34 476 [1-2]

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY.

W. Mal

JAKÓBA ARAGO

OD BIEGUNA DO BIEGUNA

i

DWA OCEANY.

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY, OBRAZY I SZKICE ŻEGLARSKIE.

TŁÓMACZENIE Z FRANCUZKIEGO

MICHAŁA BOHUSZA SZYSZKI.

TOM DRUGI.

(DWA OCEANY).

WILNO.

NAKŁADEM MAURYCEGO ORGELBRANDA.

1856.

Przemysław Pieniąż

Pozwolono drukować z obowiązkiem złożenia w Komitecie Cenzury prawem oznaczonéj liczby exemplarzy. Wilno 28 Marca, 12 Maja, 5 Lipca 1856 r.

Cenzor Paweł Kukolnik.

Inst. Geografii i Przestrz. Zagosp. BIBLIOTEKA CBGiOŚ PAN

34476 [2]

Czcionkami A. Marcinowskiego.

PRZEDMOWA.

. . . . . .

A więc, oto jeszcze książka napisana pod natchnieniem chwili, w obec faktów rozwijających się i gromadzących, że tak rzekę, pod memi stopami. Jestto wędrówka ślepego; jestto drożnik, zgadzam się na to; ale jeżeli drożnik może dać wskazówkę nowym przybyszom; jeżeli wykazuje przed nimi trudności, przeszkody, niebezpieczeństwa; jeśli im dozwala dotknąć palcem sidła zastawiane ich łatwowierności; jeśli ich ostrzega względem przynęty złudzeń, któremi ich zwodzą aż do chwili odjazdu, położyłem niemałą zasługę w obec wszystkich; od-

pocznę zadowolony tą myślą, że niémasz światełka wątpliwego, z któregoby pielgrzym nie mógł wyciągnąć korzyści, i że głos poczciwy, jakkolwiek on będzie słaby, nie umiera nigdy bez echa.

DWA OCEANY.

ODJAZD.

Pięćdziesięciu ludzi odważnych wiedzionych przez ślepego. Rouen. Hâvre. Statek o trzech masztach EDWARD. Choroba morska.

Cóż znaczy niewygodna droga pieszym wędrowcom, przyzwyczajonym do podróży długich i przykrych? Cóż znaczą niebezpieczeństwa wyprawy dla serc gorących i namiętnych, które powiedziały sobie w chwili pożegnania: Tam jest cel; zatrzymamy się wtedy dopiero, gdy go osiągniemy?

Znużenie nie jest zawsze skutkiem długiéj podróży; zależy ono często od tęsknoty rozłąki, i dlatego to spotykasz tu i owdzie, u nóg twoich, tylu odważnych tchórzów, których cień przestrasza bardziéj niżeli rzeczywistość: bojaźń wkrada się też przez uszy; odgłos jest potęgą, i znam nie jednego, którego sam huk grzmotu obala na kolana i przypędza do modlitwy.

Zgłębiać ludzi jest rzeczą sto razy trudniejszą niż zgłębiać bryłę granitu.

Potrzebaż więc dla tego, żebyśmy zbliżali się jeden do drugiego z nieufnością w duszy, szukając wzrokiem niespokojnym, pod odzieniem sąsiada, ostrza strzyletu nam grożącego?

Nie, nie; jeśli chytrość jest mieczem, dobra wiara jest puklerzem.

Wyciągaj przed sobą rękę, ale niech twe serce razem będzie czujące; niech z ust twoich wychodzą tylko słowa szczére i prawe; upędzaj się za wzrokiem odpowiadającym twojemu, a niegodziwe uczucia zamrą w piersi nieprzyjaznéj; znajdziesz pomoc i bezpieczeństwo tam, gdzie tylu innych spotkało same niebezpieczeństwa i śmierć.

Tak czyniłem w Owhyi, na wybrzeżu, gdzie Cook zapłacił życiem surowość swego postępowania względem krajowców; tak postępowałem w Ombay, gdzie dzięki moim sztukom, uniknąłem zębów wyspiarzy, którzy dniem przedtém pożarli piętnastu Anglików, co im w ręce byli wpadli. Tym sposobem zdecydowałem się dzisiaj, chociaż ślepy, stanąć na czele niebezpiecznéj wyprawy, któréj członków znam zaledwie od dnia wczorajszego.

Na ich słowa pełne życzliwości i poświęcenia odpowiadam ufnością nieograniczoną; wyruszam z nimi jak ze starymi przyjaciołmi, jak z braćmi. Wcześnie uważają oni moje niebezpieczeństwa za swoje, ja ich radości uważam za swoje; fala pienista, która zagrozi jednemu z nas, wyleje się na nas wszystkich; przypadek szczególny będzie może przypadkiem ogólnym, i jeżeli będziemy otoczeni zgubnym wirem, nasze ostatnie spojrzenia będą pożegnaniem życia, a nie przyjaźni (1).

Jesteśmy więc gotowi, pełni rzezwości, niedbający na niebezpieczeństwa, któremi nas chce przestraszyć rodzina strwożona.

Pięćdziesięciu, ni mniéj ni więcéj, wszyscy z odwagą w sercu, zwracający oczy nazad dla tego tylko, żeby powiedzieć: *do zobaczenia!* przyjacielowi, co do nas rękę wyciąga, bratu, co nas w swém objęciu trzyma.

Niektórzy z nas znają morze, tę wielką groźbę Stwórcy; drudzy słyszą już zdaleka jego wieczny huk; a ja, który tak długo z niém walczyłem, przypominam bez przestrachu, ale w religijném skupieniu ducha, jego gniewy, jego hałasy, jego krzepkie uściski, jego na-

---

(1) Te wyrazy były napisane w chwili odjazdu: nie zmieniam ich w niczém, lubo rzeczy bardzo się zmieniły w około mnie.

miętne wybuchy, a nadewszystko jego otrętwiałość, groźniejszą jeszcze niż jego bałwany, kiedy je huragan ryje jak wąwozy, albo podnosi jak góry.

Uczta braterska połączyła nas wszystkich za rogatką; była tam wesołość, to zdrowie duszy; rozłączono się nie porzucając siebie, gdyż wspomnienia są węzłem mocniejszym od stali, i w kilka dni potém, gwizdnienie wagonu znalazło nas gotowych na swojém miejscu.

Każdy się śpieszy, wsiada, zamyka w swéj skrzynce; ciężka machina rusza zagrzana szybkim tchem pary, poufna gawędka toczy się;— przybyliśmy.

Oto Rouen, ojczyzna Kornela i Boieldieu, tych dwóch Książąt dwóch poezij.

Rouen przyklaskiwa jeszcze *Białéj Damie*, któréj melodyjne arje powtarza za teatrem; ale niestety! niewielu z jego obywateli czytało *Cyda* i *Rodogunę*; gdyż nic nie jest tak pożerającego, jak prozaiczność handlu.

Havre jest miastem pełném ruchu, nawet w czasie upadku handlu. Przybyliśmy tam z sercem silnie bijącém, gdyż to jest nasze ostatnie miejsce wytchnienia, w téj Francji tak regularnéj i tak jednostajnéj, któréj pamięć jednakże będzie nam towarzyszyć po za Oceany. Pośpieszyłem podać przyjazną rękę *Corbier'owi*, temu jędrnemu Autorowi *Handlarza murzynami* (Négrier) i kilku innych romansów pełnych wdzięku i zajęcia; wsiadam do łódki, która mię przywozi aż do drabinki *Edwarda;* wstępuję na pokład, jestem u siebie.

U siebie!....

Do kogoż należy ten wspaniały o trzech masztach statek?... do właściciela, do Kapitana, do jego osady?...

Nie. Należy on do wiatrów, które nim zaraz zawładną, do cisz, które nim kołysać będą, do huraganów, od których skrzypieć będzie, do Boga, który sam wié zatokę, port, wybrzeże, co mu będzie służyć za przytułek lub grób. Co do nas, których widnokrąg się rozszerza, nie staramy się rozedrzeć zasłony okrywającéj nasze prze-

znaczenie, i uśmiechamy się na zwątpienie, jak gdyby zwątpienie było szczęściem.

Każdy jest na swojém miejscu, Kapitan, majtkowie i passażerowie.

Jak biegły nurek, miasto znika pod falą wzdychającą, i wkrótce tylko woda i niebo: tamta szémrząc pod rozbijającém ją dnem okrętu swym odwiecznym szmérem, to ostatnie nacętkowane obłoczkami, poruszającemi się od tchnienia wiatru i znikającemi wkrótce z widnokręgu.

Gawędki, które z początku były głośne, stają się teraz rzadkie i urywane; frazes, rozpoczęty w głos, kona niedosłyszany, z towarzyszeniem jęczących westchnień; twarze blednieją, oczy stają się szklistemi, pokład rozlega się tylko odgłosem kroków chwiejących się, i ze wszystkich tych ludzi, przedtém tak uśmiechających się i gadatliwych, dwaj czy trzéj zaledwie stoją dumnie na nogach, oparci na parapecie, lub trzymający się za linę.

Cóż robią inni? niestety! robią to co ja sam: cierpią, chrapią, przeklinają.... Mylę się, nie mogą się nawet zdobyć na słowo, coby rzucało przekleństwo, na energję, coby się wykazała złorzeczeniem na zewnątrz. Są oni tam, niewolnicy chybotania rzucającego nimi, już to na lewy bok okrętu pod burtę, już to na prawy, gdzie się uderzają o ostrą blachę, co ich rani, lub popychani są nogą naczelnika robotników, co ich odsuwa na bok, jakby baryłkę smoły, i nie wiedzący czy okręt bieży na otwarte morze, czy wicher zaczyna srożeć i buszować, czy dzień, czy noc na niebie, jedném słowem, wątpiący czy konanie się nie skończy na ostatniéj modlitwie wzywającéj śmierci.

Milczcie wy pieszczochy naszych stolic drzémiących, którzy wydajecie okrzyk trwogi na stuk karety, na popchnienie człeka nieuważnie idącego. Milczcie wy mężni czy bojaźliwi, wy co szwankowaliście od kuli śród boju! cierpieliście boleść dotkliwą, krzyczeliście głośno na zgrzyt piłki zaradczéj, która wam odejmowała ostatki zranionego członka; ale, niestety! wszystko to niczém jest

w porównaniu tych gorących uścisków choroby morskiéj, obejmującéj tułów najsilniejszy i podbijającéj go pod moc swoję.

Jesteś tam, bez odwagi, bez spojrzenia w oczach, leżący, skurczony, ciężko oddychający, z ustami blademi, cerą trupią, skórą już to zimną jak marmur nagrobku, już gorącą jak człowieka umierającego z gorączki.

Co mogą obchodzić te nędze i wiele innych jeszcze tego, kogo choroba morska chwyciła za gardło? Groźby wzburzonego Oceanu, syczenie płomienia pnącego się do bocianiego gniazda, nic go nie zajmuje, nic go nie zastanawia, nic go nie przeraża; ma on chorobę morską, a więc niéma drgania we wnętrznościach, niéma siły do uskarżania się lub kochania.

Nie mów mu ani o jego matce w grobie, ani o chwale jego imienia, ani o jego honorze zagrożonym, ani o uciechach jego młodości: sąto dla niego wyrazy i rzeczy, które nie mają znaczenia, które nie należą do żadnego języka, które go nie wyrwą również z jego gryzącéj odrętwiałości, jak wstrząśnienie stosu Volty nie obudzi trupa.

Ja ci powiadam, że kiedy kto mówi, że doznawał dolegliwości choroby morskiéj i dowiaduję się potém, że wsiada znowu na okręt, żeby się udać w daleką podróż, zdaje mi się, że śmieszną jest rzeczą, iż go nie zamkną do ciupy, albo niesłuszną, że mu odmawiają pałacu, świątyni, korony.

O! nędza!...

Czyś się znajdował kiedy, w dzień letni, na wsi, podczas dżdżu nawalnego?

Zapewne ci się to zdarzyło.

Otoż musiałeś uważać, że dopóki trwa nawalnica, tłum gryzący, dziobający, syczący, ucicha, zamyka się, więzi siebie dla uniknienia ulewy; ale jak tylko zjawisko przeszło, jak tylko niebo błękitne zaczęło się uśmiechać do natury we łzach, słowik na gałązce, konik polny na swéj korze, świerszcz w swojéj kryjówce, gąsienica w swéj tkance na łodydze, okazują swą radość i zalotność, powracają

do swych zwyczajnych zatrudnień, rozpoczynają swe szczebiotania, i radują się na słońcu, co ich ogrzewa.

Toż samo się działo z osadą *Edwarda*, po przykrych dolegliwościach sprawionych przez chwianie się i kołysanie okrętu, a do których ich żołądki zaczynają się przyzwyczajać.

Tylko kiedy tam mogłeś dostrzedz chód bardziéj swobodny, wzrok przezroczystszy, śpiew dźwięczniejszy, ruchy zalotniejsze, tutaj widzisz tylko postaci wynędzniałe, źrenice mdłe, chód ciężki i chwiejący się.

To dlatego, że choroba morska nie znika z ustaniem szarpania wewnętrznego; że zostawia po sobie ślady jak gorączka; że podobna do wszystkich istot przeklętych, do wszystkich namiętności nienawistnych, nie jest zadowoloną nawet po zwycięztwie, i chce żeby łzy następowały po boleści.

Ale wiatr staje się łagodniejszym, okręt pochyla się na bok ruchem regularniejszym, stopa pasażera mocniéj się trzyma pokładu, gawędki zaniechane rozpoczynają się na nowo; i ja, przedtém bardziéj znękany od moich towarzyszów, rozwijam przed ich oczyma, żeby się nie przerażali niespodzianką, niektóre z tych wspaniałych obrazów, któremi pamięć moja się ubarwiła, jak gdyby słońce odbijało się świetniéj o mą przygasłą źrenicę.

TOPIELEC.

Już dramat. Statek płynie prędko, śmierć prędzéj przychodzi. Grób Augusta. Pan Curet.

—

Już dramat, już żałoba!... Człowiek wpadł do morza! ten odgłos złowieszczy rozlega się od tyłu do przodu okrętu, i Bourge,

nasz naczelnik robotników, czynny jak myśl, wyrzekł sakramentalne słowa: «Zwinąć żagle! wsiadać na łódź! wiosła w rękę!»

Wpadł do morza!.... Czy wiész, jak te wyrazy są przerażające, gdy one zapowiadają nam oddalenie się człowieka, walczącego z potęgą Boga? Wpadł do morza!... a więc teraz za całą podporę ma falę, co mu za grób służyć będzie; im więcéj przerzyna ją żylastém ramieniem, gorączkowie drżącą ręką, tém bardziéj ginie w oceanie bez granic, którego każda groźba jest zgubnym wyrokiem.

Widziano go jak spadł z wielkiego masztu, jak zrobił młynka w powietrzu, jak się zanurzył, zniknął i ukazał się wkrótce, leżący na grzbiecie, jak biegły pływacz, który niechce od razu wyczerpać swych sił. W oczach każdego łzy, w sercu każdego modlitwa..... Łódź powoli, powoli puszczona na fale, płynie z całém wytężeniem sił wioślarzy, a majtek na bocianiém gniaździe nie traci z oczu ruchomego punktu, który śledzi śród Oceanu, śród wznoszących się fal, miotających majtkiem konającym, synem przesyłającym ostatnie pożegnanie swojéj staréj matce na kolanach. Widziałże on nasze przygotowania? wiéż on że pięciu z jego najśmielszych towarzyszy płynie ku niemu z całém wysileniem swych krzepkich ramion?... Czy też sądzi, że jest opuszczonym? Czy przez szczytną rezygnację chce już zaprzestać walki ze skonem, co mu wiecznym musi się wydawać?

Nie jeszcze! Okręt czeka, łódź płynie daléj; ale fala jest nielitościwą: chce ona bardzo tego czego chce, nie oddaje już tego co jéj raz powierzono..... i punkt szary znika od czasu do czasu przed wzrokiem straży tracącéj nadzieję.

Oto już godzina, jak szukamy człowieka na niezmiernéj otchłani, któréj ołowianka zgruntować nie może. Jakże długim ten czas, niestety! musi się wydawać dla nieszczęśliwego, wzywającego ratunku?...

Łódź bieży prędko; śmierć bieży prędzéj od niéj: porwała ona swą zdobycz, plamka na Oceanie znikła!... Modlitważ to, czy bluźnierstwo wzniosło się do niebios?... Bo też boleść oducza nas reli-

gji; bo, kiedy wypełniliśmy swą powinność, każde nieszczęście zdaje się być niesprawiedliwością, i serce oburza się przeciw téj potędze, co nas przygniata.

Ale majtkowie płyną coraz daléj po wód przestrzeni; gdyż to jeden z ich braci wzywa pomocy, pragnie ratunku, czeka ich, i nadzieja nie gaśnie jeszcze w duszach wszystkich.

Niebo przemówiło..... barki i ramiona napróżno znużyły się pracą; łódź zawraca, i płynie nazad powolniéj niż przedtém, a *Edward* pozbawionym zostaje jednego z najlepszych majtków swéj osady.

Ach! Boże dobry! dni nasze są policzone, księga wyroków boskich nie zna poprawek, i Stwórca wszech rzeczy nie cofa się nigdy nazad.

Patrzcie jednak, od czego zawisły losy nasze; szperajcie w przyszłości, wy co się zajmujecie zaledwo dniem obecnym, jak gdyby jutro było nieodzownie wasze.

W chwili naszego odjazdu brakowało jednego człowieka przy apelu; dwóch majtków, którzy pomagali zgodzonym już robotnikom, żąda być przyjętymi: jeden z nich wybrany zostaje przez Kapitana, drugi przez Porucznika, który stawia na swojém i odprawuje piérwszego. Ten, na wybrzeżu, rozgniewany rzuca straszliwe przekleństwo na swego szczęśliwszego współzawodnika. I możecie czytać dzisiaj, na rejestrze okrętowym, następne wyrazy, smutne jak ostatnie uściśnienie, posępne jak pożegnanie braterskie: «Dzisiejszego poranku, 2-go Kwietnia, o dziewiątéj godzinie, w czasie pięknéj pogody, majtek August spadł z wielkiego masztu w morze; łódź natychmiast posłaną była na ratunek; ale po dwóch godzinach bezskutecznych poszukiwań, powróciła do okrętu, który puścił się w dalszą drogę.»

— Byłto chłopiec cale pojętny, mówią ci z naszych pasażerów, którzy go lepiéj znali.

— Byłto wyśmienity towarzysz, powtarzają do siebie majtkowie, ściskając się smutnie za rękę.

— Byłto dzielny majtek, powiada także naczelnik robotników, który się mu przypatrzył przy robocie, podczas dni burzliwych, któreśmy przebyli.

Niémasz się więc czego dziwić, że on piérwszy zrobił z nami to smutne pożegnanie. Jakkolwiek bądź, gdy moja koléj przyjdzie, pewny jestem, że osada dopełni również swéj powinności, jak jéj dopełniła dzisiaj.

August powrócił był niedawno z Kalkutty, na okręcie gdzie był naczelnikiem robotników; wiész już jak dostał się do nas. P. Denis, jeden z naszych najzdolniejszych i najpracowitszych spółtowarzyszy, rzekł do niego rano:

— Mój chłopcze, ciebie tylko widać ciągle wieszającego się po rejach, upędzasz się za pracą najtrudniejszą: każdy powinien miéć swój udział trudów i niebezpieczeństw; oszczędzaj się, bo nam wiele zależy na tém, żeby cię nie stracić, bo każdy już kocha ciebie tu na pokładzie.

— Dla tego właśnie, że chcę żeby każdy mię kochał, odrzekł August z wyrazem dobroci pełnéj życzliwości, dla tego właśnie staram się czynić więcéj nad mą powinność; oszczędzać utrudzenia innym, jestto prawie przynosić ulgę samemu sobie. Zresztą, bądź Pan spokojnym, mam nogę marynarską i liny mię znają.

Oto jego grób!

I cóż! powinniśmy wszystko powiedziéć, my co chcemy być prawdziwymi od piérwszéj aż do ostatniéj stronnicy naszego opowiadania; powinniśmy wszystko powiedziéć, ażebyśmy na przyszłość nie mieli do wyrzucenia winnym podobnych goryczy.

Nic na *Edwardzie* nie było i nie jest jeszcze przygotowaném dla zapobieżenia podobnemu nieszczęściu. Tak, przyznaję, odgłos: *Człowiek wpadł do morza!* był prawdziwie elektryczny; ale nie było wiązki pływającéj dla ratowania tonących; nie było kółek do wioseł na łodzi, którą spuszczono na morze z nadzwyczajną opieszałością; nie było wioseł gotowych dla kierowania nią; nie było klatki ptasiéj dla rzucenia nieszczęśliwemu, któryby się mógł za nią uchwy-

cić, i którą nam łatwiéj byłoby wskazać ratującym, którym często fala widok zasłaniała.

Pozostaje piętnastu ludzi dla okrętu tak silnego; piętnastu, pomiędzy którymi liczymy majtka zupełnie młodego, kucharza i przełożonego nad zapasami żywności: powiadam, że to za mało ludzi dla okrętu trzymasztowego od 1000 beczek, i utrzymuję, że P. *Curet* (Kiure) bardzo źle zrobił zapewniając wielu z nas, że miał służbę składającą się z trzydziestu ludzi. Podobne kłamstwa nie mogą uchodzić bezkarnie. Wyrazy te Curet będzie czytał, jeżeli się nauczy kiedy czytać; inni je razem z nim przeczytają.

Jeszcze jeden wypadek tak okropny jak ten co nas dotknął, a zobaczemy jak potrafimy walczyć przeciwko wiatrom przylądku Horn, jeśli one będą tak burzliwe jak te, których już raz doznałem, kiedy słońce przez dwadzieścia godzin oświecało nas swemi ukośnemi promieniami.

Teraz oczekuje nas dwadzieścia godzin nocy pod biegunem południowym, dwadzieścia godzin nocy! dwadzieścia, a może i więcéj, jeśli się posuniemy daléj ku południowi, lawirując pomiędzy górami lodu, pośród strefy, gdzie śnieg pada gęstemi szmatami. Na okręcie okrytym żałobnym całunem, dwadzieścia godzin nocy śród zimna, od którego krzepną członki, skrzypią liny, ustaje bicie arterij!

Mówią mi, że dosyć dwunastu ludzi dla walki podobnéj!... Ja znajduję, że to za nadto: na cóż tyle ofiar?

EDWARD.— POTROCHĘ WSZYSTKIEGO.

Pasażerowie. Piękna Amenaida. Czy on piękny? Kapitan Chleb suchy.

—

Jest on gruntownie zbudowany, mocno spojony, dobrze blachą obity, dobremi masztami opatrzony; zdaje się być dość silnym do

wytrzymania wichrów przylądka Horn, których wszakże nie zna jeszcze, i rzekłbyś patrząc na jego chód śmiały, że żartuje sobie z lodów podbiegunowych, ku którym leci po trzpiotalsku.

Lubię wszystko, co nie drży za zbliżeniem się niebezpieczeństwa, i wyciągam rękę uprzejmą człowiekowi odważnemu, który przyjmuje bez skrzywienia się niewygody przedsięwzięcia zacnego, którego powodzenie jest więcéj niż wątpliwém.

Dla tego to witam z miłością mój trzymasztowy okręt, i jego Kapitana z..... zobaczymy jutro.

Czuję już pragnienie przyjaciela. Przyjaciel na morzu! przyjaciel w więzieniu! To nie tylko pociecha, to szczęście.....

Sądziłem, że na pokładzie znajduje się tylko moja karawana, osada i kilku pasażerów, którzy opuścili ojczyznę dla zdobycia złota kalifornijskiego; ale myliłem się. Otoż i kobiéty, jak mi mówią, ze źrenicami aksamitnemi, różanemi licami, kibicią giętką i wysmukłą. Otoż ręce dobrego tonu, wdzięczne uśmiechy, melodyjne głosy. Widzisz więc, że nasze niebo stroi się w gwiazdy, że nasza długa wędrówka skraca się, że nasze pogadanki wieczorne jakoś się ubarwiają..... Ale, niestety! czyż nie postrzegasz razem nienawiści, zazdrości, próżnych nadziei, zawodów? Czyż się nie domyślasz niepokojów, zemst, żałoby rzucającéj swą czarną zasłonę od tyłu aż do przodu pogrążonego w smutku okrętu?

Gdzież one dążą, gdzie dążą tak młode jeszcze?

Jest złoto nad brzegiem Sakramento, są perły w Gwatemala, i oto one w drodze, nierozważne, niedbające, chciwe tylko przyszłości, gdy tymczasem teraźniejszość tak groźna unosi się nad ich głową. Chcą one złota, i może poświęciły téj gorącéj żądzy łzy macierzyńskie, będące pociechą wszystkich udręczeń duszy..... Chcą one złota, i oto zaledwo zmrużą powiekę na błyski piorunów przerzynających powietrze, i słuchają z roskoszą, jakby muzyki niebieskiéj, huku grzmotu, rozlegającego się w posępnych odgłosach od zenitu do krańca widnokręgu, i od widnokręgu do zenitu. Biédne warjatki! nieroztropne trzpiotki!...

Ale zawieśmy naszą klątwę, i dowiedzmy się od téj pięknéj młodéj dziewczyny, opartéj łokciami na parapecie, czy niéma za nadto wiele goryczy w méj filozofji i za nadto żółci w moich przypuszczeniach. Spojrzenie, jak mię mój sąsiad zapewnia, ośmiela mię do zuchwałego kroku; Amenaida i ja chcemy wzajemnych od siebie zwierzeń; postępuję zaczepnie, jak zwykła czynić niedyskretna ciekawość.

— Czy nie znajdujesz, Pani, że chód okrętu ma w sobie cóś przyjacielskiego i rycerskiego razem, co czyni przyjemnemi niebezpieczeństwa żeglugi?

— Nie wiém co Pan nazywasz rycerskiém, ale pojmuję że na morzu tak mało burzliwém i z wiatrem tak łagodnym, można się łatwo ośmielić przebiegać świat.

— Jednéj?

— Możnaż być jednéj z sercem, kiedy zaledwo dziewiętnaście lat nam minęło?

Te słowa wyrzeczone były z głębokiém westchnieniem, a jednak ton głosu rozmawiającéj był spokojny i bez zadrżenia.

— Wszakże, mówiła daléj tonem weselszym, śladu łez nie można będzie dostrzedz na tym oceanie, który przerzynamy, i o którym nie więcéj będziemy myśleć, jak o widmach naszego dziecinnego wieku.

— Niech i tak będzie; niech uśmiech osiądzie na ustach; otwórzmy nową drogę naszym myślom.

— Pamięć jest fatalną rzeczą, Panie Arago, i jeżeli to prawda, że zapomnienie jest drugim całunem umarłych, jest kara także dla żyjących, zostających bezustannie w obec zawodu.

— Daruj mi, Pani, odpowiedziałem tonem dodającym otuchy, ale rozumiałem, że Pani chcesz zostawić poza sobą wszystkie smutne wspomnienia.

— To dla tego, Panie Arago, że chmura jeszcze nie minęła, i rzuca jeszcze ostatnie swe łzy na Ocean rozbudzony. Żagle podnoszą się na nasze modlitwy: rozmawiajmy.

— O czém?

— O czémkolwielkbądź.

— Wybierzmy najgorszy przedmiot, mówmy o Pani.

— Ostrożnie, Panie Arago, niegrzeczność nie jest wesołością; pozwalam ukłócia szpilką, ale nie scyzorykiem; wolno zadrasnąć paznogciem, ale nie zębem.

— Ha! jeśli tak, mówmy o rzeczach zapomnianych, o Pani małżonku, naprzykład.

— Ja niémam małżonka, i żeby oszczędzić tęsknoty daremnych zapytań, powiem ci, Panie Jakóbie, że twoja mowa toczy się jeszcze na mylném przypuszczeniu. Jestem sierotą, niezależną; a jednak serce moje ma znaczny udział w przedsięwzięciu, którego się podjęłam, i jeślim opuściła Paryż, gdzie się urodziłam, to z bojaźni nieszczęścia, w obec którego nędza i filozofja są bezsilne.

— Ho! ho! Pani kochasz więcéj spojrzeniem niżeli słowem.

— Tak sądzę, odpowiedziała mi Amenaida, spuszczając bezwątpienia swe piękne oczy, które wiedziałem że otoczone są rzęsami czarnemi i gęstemi.

— A więc to bojaźń natchnęła Panią odwagą.

— Tak, Panie Arago, bojaźń niebezpieczeństwa rzuciła mię w niebezpieczeństwo jeszcze może większe, ale zaledwo puściłam się w życie, już serce moje zostawało w ciągłéj niesnasce z głową. Walczmy z wytrwałością, jeżeli chcemy uniknąć nieszczęścia.

— Pięknyż on?

— O kimże to Pan mi mówisz?

— Ależ *o nim*, powiedziałem bojaźliwie.

— Cóż to jest piękność, proszę Pana? mówiła daléj Amenaida. Wysoki, nizki, szczupły, pękaty są pięknemi, stosownie do widzimi się lub wyobraźni; uczonego, głupca, mędrca, warjata, dziwaka, kapryśnika, kretyna nawet znajdowano po kolei pięknym. Potężni pod tym względem jak Bóg, my sami czynimy piękno, a ponieważ nieszczęściem nasz mózg nie jest zawsze w tymże samym stanie, pojmujesz Pan dobrze, jaka rozmaitość musi zachodzić w naszéj religji.

— Szczęśliwe dziécię! Widzę że mam do czynienia nie z ateistką, ale z poganką, i zaczynam mniéj trwożyć się tą powabną bladością i tą

barwą melancholiczną, którą mię towarzysze podróży zaraz na samym wstępie zasmucili.

— To wybornie, rzekła do mnie stając na przeciwko mnie, Pan sądzisz o uczuciach po kolorach: twarz rumiana ma mieć serce promieniejące, czoło blade myśl grobową.

— Mówią pospolicie: «Habit nie czyni mnicha,» pomimo to cera nie każeż nam wnosić o tém co jest wewnątrz?

— Nie, bynajmniéj, odpowiedziało młode dziéwczę głosem mniéj dźwięcznym; z przyjemnością znajdujemy często kwiaty na grobie.

— Pani stajesz się posępną, wolę się z nią rozstać.

— No, Panie Arago, będziemy mieli jeszcze dość czasu robić nasze zwierzenia. Powiedziałam Panu już tyle, że drugą razą ośmielę się więcéj powiedzieć, i Pan również wiész już dosyć, żeby się chcieć zatrzymać w drodze..... Oto ulewa nam grozi, chrońmy się! Nawalnice fizyczne czy moralne, oto nasze życie; poddajmy się więc.

Sądziłem, że nasza młoda nieznajoma poszła do swojéj izdebki, żeby się skryć przed burzą, co rwała żagle; ale widziano ją udającą się na przód okrętu, opierającą się na parapecie, i przyjmującą bez zadrżenia pociski wichru i obfitéj ulewy, na których w kanale *la Manche* nie zbywa prawie nigdy.

Co lubię najbardziéj po niespodziance, to tajemnicę.

Może ta piękna osoba, która zdaje się unikać innych pssażerów, jest tylko mieszczką opuszczoną przez zwodziciela; może robi mi swoje pół-zwierzenia dla tego tylko, że wyuczyła się tajemnic sztuki dramatycznéj, która wymaga stopniowania wzruszeń; może także — bo też nie potrzeba nikogo upośledzać — jestto szwaczka kwartału Breda, którą brak dobréj rady unosi po za Oceany, jak bańkę mydlaną, albo jak puch lecący za powiewem wiatru...

Cóżkolwiekbądź, ona mię dzisiaj interesuje; zobaczymy co będzie w przyszłości, która nie należy jeszcze do nikogo.

Ale otoż nowe mantylki, nowe suknie bawełniane, jedwabne, aksamitne. I cóż! wszystko to mię trapi, zasmuca. Czémże jest głos kobiéty, kiedy morze rzuca w daleką przestrzeń swój głos do-

nośny? Czémże jest spojrzenie kobiéty, kiedy gzygzaki błyskawic rozdzierają chmury i uderzają o fale, które się już wspinały, żeby je zagasić na przestworzu nieba? Czémże jest modlitwa kobiéty, kiedy skała granitowa pęka w kawały od uderzenia szumiącego bałwana, ciśnionego na nią przez burzę?

Tyle słabości obok tyle gniewu rzuca ci litość w serce, boleść w duszę; i twoje oczy zwilżają się na wspomnienie staréj matki, która modli się tam, tam daleko, ażeby niebo błękitne nie przestawało uśmiechać się nad jéj córką, biegącą za szczęściem, które bieży, niestety! jeszcze prędzéj od niéj.

Ale otóż Kapitan; nazywa się on *Curet*, stoczył dziesięć walk zawziętych przeciw huraganom wysp Antylskich, i chociaż się nie poznał jeszcze z wichrami przylądka Horn, mówi o nich z pogardą, która, spodziewam się, nie zmieni się w chwili zapasów.... Zobaczymy go na polu walki.

Curet gada bez końca, to dobrze; przeklina często, to jeszcze lepiéj; modli się podczas ciszy żywiołów, to nic lepszego.

Modlitwa niezbożnego w chwili niebezpieczeństwa jest bluźnierstwem i hipokryzją razem: nie wzywaj Świętéj Barbary, kiedy potrzebujesz Świętéj Pompy; nie składaj pobożnie rąk, kiedy musisz zdjąć lub zwinąć żagle.

Powiedziałem ci, że przeklina: to prawda, przeklina; ale u niego słowo nie jest rzeczą, wymawia dj..... i cz..... jak gdyby zgłoski najbardziéj harmonijne naszego języka.

Zresztą, przekleństwo jest w gruncie rzeczy własnością marynarza; jestto jego mienie, jego bogactwo, jego przepych..... Marynarz czystéj rasy przeklina z gniewu, kiedy ma wiatr z ukosa; przeklina z niecierpliwości, kiedy cisza przybija go do milczącéj wód powierzchni; przeklina z wściekłości, kiedy wiatr powolny popycha go ku pożądanemu celowi podróży; przeklina jeszcze, kiedy jego suchar jest świeży; kiedy wino pokładu jest dość mocne; kiedy Kapitan się doń uśmiecha i uderza go po przyjacielsku po ramieniu..... Widzisz więc, że przekleństwo majtka może być uważaném niekiedy za modlitwę.

Curet jest z Seyne, pięknéj wioseczki, przeglądającéj się w głębi zatoki Tulońskiéj, w morzu zawsze spokojném.

Założyłbym się o wiele przeciw drobnostce, że nie wyruszyliśmy z miejsca ani w piątek, ani trzynastego. Majtkowie wschodni są zabobonni jak stare niańki z Bretanji; Curet jest nim również. Sokrates, Catinat i Napoleon byli bardzo zabobonni, i niewiem dla czegoby Curet, mój przyjaciel Curet, mógł miéć urazę do mnie, żem go pomieścił w tak złém towarzystwie.

Mówiąc między nami, ja sam jestem zabobonny, i Jan - Jakób pewno mię nie przewyższał w tego rodzaju dzieciństwach.

Tak więc, rzecz niezawodna że Curet—Napoleon—Sokrates—Catinat—Jan Jakób jest zabobonny, że nie wyliczy nigdy trzynastu razów pletni majtkowi, i że jeśli ma karę wymierzyć, nigdy nie wybierze na to piątku..... Widzisz więc, że zabobon nie jest już tak śmiesznym, że ma swą stronę moralną, i że wszystko zważywszy, są na świecie tysiące rzeczy zdrowych i logicznych, które nie przynoszą téj saméj korzyści.

Majtkowie *Edwarda* nazywają swego Kapitana *Chlebem suchym*; bardzo stosownie, gdyż nie sądzę, żeby się zaprzątał kiedy dawaniem im, nawet w dni uroczyste, czego innego jak słoniny i wołowiny solonéj. Jadło zwyczajne nie jest u nich nigdy nadzwyczajném; ale zresztą, można od czasu do czasu schwytać doradę, dobyć rekina, i wtedy osada oddaje się radości i śpiewa całém gardłem, jak gdyby kilka cali drzewa nie oddzielało ich od nicości, jak gdyby za powrotem nie mieli może znaleść ojczyzny, przyjaciół, matki w grobie.

Biédny majtek!... Poczekaj, nieszczęsny Curet, jeszcze się z tobą gdzie spotkam.

Zaledwo kilka dni przebyliśmy na okręcie, a już się wykazują sympatje i antypatje. Ci, nie uciekając, unikają jeden od drugiego; tamci, nie szukając siebie, znajdują się. Kiedy kołysanie się *Edwarda* sprawia gwałtowniejsze wstrząśnienie, pasażer zachwycony znienacka, pada w objęcia tego, któremu sam chciałby służyć za podporę, i niewiem dla czego się uśmiechasz na upadnięcie nieuważne

przechadzającego się, który się uderzył ramieniem o skład materjałów, lub o wystającą część złamanego parapetu.

Daléj, zawierajmy ściślejsze związki, gdyż się one nie mają skończyć przy samém swém poczęciu!

Jeszcze raz, przy wielkim maszcie, trącam łokciem moję piękną nieznajomę.

Błogosławię przypadkowi: czyż istotnie jemu błogosławić powinieniem?

— Czy nie prawda, panie Arago, rzekła do mnie z otwartością i bez żadnego wstępu, że nie tak łatwo przyzwyczajamy się do niesprawiedliwości ludzkiéj, jak do wzburzenia Oceanu?

— Któż był tak niegodziwym, że przyczynił się do zrodzenia w Pani podobnéj uwagi? zapytałem z mojéj strony, biorąc rękę, którą mi bez oporu dawano.

— On!

— Wyśmienicie, pani; oto jeden wyraz, jeden tylko, który ma jedną zaledwo zgłoskę, dwie litery, a jest całą historją i może zapełnić tomy. Dziękuję Pani, że uprzedziłaś moję ciekawość.

— Alboż przyrzekłam Panu więcéj powiedziéć?

— Czyż potrzeba więcéj? Z waszemi pogadankami, Pani, to tak się dzieje jak z waszemi namiętnościami. Skoro piérwsze was zajmą, to się nie zatrzymacie, aż przy rozwiązaniu; skoro drugie bodźca wam dodadzą.....

— Dosyć, dosyć, panie Arago, posuniesz się aż do zuchwalstwa, a ja nie chciałabym miéć powodu karania go.

— Daję pani na to prawo.

— A ja go nie przyjmuję.

— Przecież jestto podarunek, który pochlebia nie jednéj ambicji kobiecéj.

— Masz w sobie dziwnie wiele próżności, Panie Arago, i mówisz jak ślepy..... Przebacz, mój przyjacielu, przebacz, wyrażenie to mi się wymknęło; cofam go ze łzą w oku, z bolem w sercu.

— Uczysz mię, Pani, że mogą nas spotkać boleści pocieszające; dziękuję jéj za to! Ale piękność, moje dziécię, mówiłem daléj z wylaniem się, piękność, dla nas nadewszystko, wygnanych z krainy światła, nie jest tylko w wspomnieniu alabastrowego czoła przy wieńcu z hebanu; nie jest w czułości spojrzenia, w poezji chodu, w harmonji ubrania: piękność, jestto także dźwięczny organ mowy, który nas nawiedza jak przyjaciel długo oczekiwany; jest ona w tchnieniu więcéj lub mniéj szybkiém ust pocieszających, w dotknięciu więcéj lub mniéj ciepłém dwóch rączek, które w naszém ręku trzymamy.

Tu moja ręka na chwilę próżną została.

— Jakżeto! pani, mówiłem daléj głosem zasmuconym, nie pozwalasz nawet marzenia nieszczęśliwemu, dla którego rzeczywistość jest tak wielkiém nieszczęściem? To po szatańsku, a kobiéta powinna być podobną do anioła. Przypominam sobie moję matkę, moję siostrę; niémam innego wspomnienia w téj chwili, gdyż wybudowałem w mojém łonie świątynię łaskawości!

Nastąpiła chwila milczenia, podczas któréj mogłem dostrzedz rodzaj badania, którego się podjęła moja nieznajoma, w celu dowiedzenia się, czy ma lub niéma przedłużać daléj swych zwierzeń.

Co do mnie, oczekiwałem bez wielkiéj niespokojności, przekonanym będąc zaraz od początku, że ostrożność weźmie górę w walce; nie dałem jednak tego poznać, z bojaźni upokorzenia jéj miłości własnéj.

Dozwól działać swobodnie kobiécie, jeśli chcesz, żeby była twą niewolnicą; skoro tylko chcesz jéj narzucić więzy, potarga je, i będziesz musiał sam ulegać.

Naszą siłę stanowi nie tyle jéj słabość, ile jéj opór, i sądzę, że nie chciałaby ugiąć się przed swoją własną wyraźną wolą, gdybyś chciał ją narzucić jéj przez tyranję.

JA.

Mój wiek dziecinny. Ruszajcie, ruszajmy. Dwaj w pudełku na trzydzieści cali szerokiém. Mój towarzysz Saintin Baudry (Sętę Bodry).

—

Wówczas, kiedy moi weseli towarzysze rzucają wzrok chciwy na przyszłość, ja, marzący na mojém ciasném posłaniu, pogrążam się w przeszłość, wywołuję moje wspomnienia najbardziéj zamglone, i zapytuję siebie: czy to tak bardzo potrzeba było, żeby mi dano życie?

Zamożna wioska, poetycznie zamknięta w górach Pirenejskich; wody przezroczyste; niebo prawie zawsze błękitne; ojciec, sama poczciwość; matka, któréj imię przypomina nam wszystkie cnoty, wszystkie uczucia, wszystkie bogactwa duszy..... i gdzież jest szczęście, jeżeli go tam znaleść nie można?

Ale czoło téj matki, tak święcie kochanéj, marzyło o inném życiu dla swych synów; uczty rodzinne były skromne, kosztowne rozrywki stały się rzadsze, i szkoły przyjęły sześcioro dzieci z Estażelu.

Wiész już o sławie starszego, którego potężne oko powołało przed swój sąd najskrytsze tajniki niebios; (*) odwaga drugiego, szlachetność jego uczuć, były długo przedmiotem powszechnego zajęcia w Meksyku, który opłakuje jeszcze swojego najlepszego jenerała inżynjerów..... O trzecim powiem wam późniéj (**). Co do Wiktora, Anvers widziało go przedmiotem rozpraw, z powodu jednego z tych czynów świetnych, które przynoszą zaszczyt zawodowi wojskowemu. Półkownik Józef był jednym z najdzielniejszych pomocników Santy-Anny, w dniach jego wielkości; najmłodszy, Stefan, jest jednym z tych umysłów celniejszych, jedném z tych serc złotych, które poj-

(*) *Franciszek Arago*, znakomity Astronom.

(**) *Trzeci*, jestto sam Autor tego dzieła.

mują cierpienia ojczyzny, któréj poświęcają, na piérwsze wezwanie, skarby swojego pióra i ostrze swojego pałasza.

Co do mnie, mój wiek dziecinny był boleścią bez przerwy. Nigdy zapewne nie widziano głowy słabszéj, duszy bojaźliwszéj, wierzeń religijnych bardziéj błahych. Moja tchórzliwość była gorączką, któréj żadna logika uleczyć nie mogła; opierała się ona napomnieniom księdza, łzom matki, pochlebstwom, groźbom, karom. Lękałem się sowy, któréj krzyk pozbawiał mię zmysłów; lękałem się czarownicy, wilka, węża, którego widziałem w nocy skręconego przy mojém łóżku, lub pod poduszką; lękałem się ciemności, dźwięku dzwonów. Na piérwszy huk grzmotu dalekiego rzucałem się na kolana; moja skóra zimna pokrywała się potem gryzącym, i moje żegnania się były prędsze od ruchów telegrafu, oznajmującego chciwym nowin prowincjom pożar jakiéj stolicy.

Pewien Maltańczyk uleczył mię: cięcie szabli cud ten zrobiło. Zadano mi fałsz publicznie; domagałem się zadośćuczynienia. Zstąpiłem cały drżący w rów otaczający miasto; rąbałem się dzielnie: chwalono moję odwagę; młode i piękne dziewczęta Perpinjanu uśmiechały się do mnie zalotnie. Zdawało mi się, że jestem bohatér, i stałem się przez próżność zuchwałym młodzikiem, prawdziwym rębaczem; miałem wtedy ośmnaście lat.

Dajmy temu pokój, i starajmy się zapomnieć; bieżmy przed siebie z szybkością piorunu, gdyż pamięć jest darem najfatalniejszym, udzielonym przez Boga ludziom mojego kroju. Ogołoćmy to czoło opalone z włosów czarnych i gęstych; zasłońmy ten wzrok, niegdyś tak gorący, kirem żałobnym, i otoczywszy go śnieżnym włosem, zbliżmy się do chwili, kiedy jak w dniach mojéj młodości mówiono ze wszystkich stron: «szalony!»

Wyraz *Kalifornja* rozlegał się od jednego do drugiego końca Europy; kufry otwarte zostały wypróżnione; biédny, z pałającą duszą, zakupił zamki, i młodość, chciwa wzruszeń, przebyła Oceany, dla zapewnienia się czy cuda Pizarrów, Kortezów i Kolumbów odnowiły się za ich dni.

Przebiegałem świat, badałem, poznawałem, wiedziano to tu i owdzie. Przychodzono rozpytywać się mię nocą, dniem, o każdéj godzinie: ciekawi próżniacy, spekulanci chciwi złota, spekulanci chciwi rozgłosu oblegali moje mieszkanie, i chcieli poznać myśl moję względem wielkich wypadków, które niechybnie miały wstrząsnąć nowemi Stanami, przyłączonemi do związku. Odpowiadałem wszystkim, mówiłem wszystkim prawdę; pisma publiczne powtórzyły moje słowa bez sprawdzenia ich, i dwunastu ludzi mocnéj woli postanowiło wyprawę do Kalifornji.

Otoż jestem na prawdę wciągnięty do przedsięwzięcia; powiedziałem: *Ruszajcie!* pośpieszyłem dodać: *Ruszajmy!* i od téj chwili, zawiązka powiększała się jak lodozwał Pirenejski.

Odwaga ma swą zarazę: gdybym chciał, utworzyłbym legję *Argonautów* z trzech i więcéj tysięcy ludzi; ale okręty mają swe wymagania, i *Edward* jakkolwiek szeroki i wysoki, nie może się powiększyć według woli ambitnych uroszczeń.

Jednak mówiono po wielu miejscach,— tchórze są tak ograniczeni i tak gadatliwi!—mówiono, tak po cichu, że mogłem posłyszéć: «On się nie puści w tę drogę.»

Odwołuję się do was wszystkich, moi przyjaciele! czy wahałem się choć chwilę? Czy widzieliście mię zachwianym w piérwszém mojém postanowieniu? Nie walczyłemże wszystkiemi siłami mojego przeświadczenia przeciwko piérwszym trudnościom przedsięwzięcia?... Powiedziałem wam: « Ruszymy razem;» uwierzyliście mnie; dzięki wam!

I oto teraz jestem w pudełku na trzydzieści cali szerokiém, przerzynający Atlantyk z północy na południe. Nademną, w szufladce takiéj jak moja, śpi, myśli, gawędzi i gwiżdże młody człowiek, Saintin - Baudry, dobry jak braterstwo, wesoły jak piosnka, pędzący za fortuną, którą mu skradziono, ale nie chcący odzyskać jéj inaczéj, jak środkami najszlachetniejszemi: pracą, poczciwością, rozumem.

Będę miał zapewne zręczność mówienia wam jeszcze o nim. Miałbym wam wiele rzeczy do powiedzenia o naszych innych towa-

rzyszach, złożonych dzisiaj znowu chorobą morską..... Kampanja się rozpoczyna; jeszcze dwa lata, a będzie skończona..... Ileż wypadków zajdzie do tego czasu, zwłaszcza jeśli wieści, które nas dochodzą z po za Kordyljerów, są wiernem echem dramatów Kalifornijskich.

W każdym razie nie przerażają one nas więcéj dzisiaj, jak wtedy, kiedy w domu jeszcze przedstawiano nam kraj złotonośny przerznięty obfitemi strumieniami krwi. Przeciwnie, w obec niebezpieczeństwa nasza ufność wzrasta, i zdaje się nam, jak piérwszym zdobywcom Ameryki, że nic tam nie zdoła oprzeć się naszemu wkroczeniu, całkiem pokojem tchnącemu.

Pojmuję wahanie się w obec niebezpieczeństwa; przypuszczam trwożliwość, kiedy przeszkoda staje przed nami ze wszystkiemi swemi groźbami; ale skoro postanowienie zrobione, skoro miecz wyjęty z pochew, skoro Rubikon ma być przebyty, o! wtedy wszelka bojaźń zdaje mi się być plamą w życiu.

Tchórzostwo jest nieszczęściem, bojaźliwość hańbą, i nie mojéj to burzliwéj karawanie można cisnąć w oczy tę krwawą obelgę.

Lubię się przysłuchiwać, jak w pogadankach na pokładzie, mniéj odważni hartują swą odwagę w zawadjactwie innych, i nie zdołacie sobie wyobrazić, ile jest zajmującéj nauki w tém starciu się walk codziennych, gdzie bojaźń pokrywa się często gaskońską przechwałką, i gdzie niepewność wyrażenia zadaje komiczny fałsz fanfaronadzie myśli.

W ogólności, zabijacze niewielu zabijają, i nie rzadko można ich spotkać, pośród miast, w obec trupów, bardzo dobrze się mających, któremi oni zapełnili cmentarze.

Rzeczy u nas nie tak się dzieją, Jeśli jest odwaga, co poniża człowieka, jest też bojaźń, co nie ujmuje nic z jego godności. Niektórzy słuchali chciwie przy odjezdném wszystkich niebezpieczeństw wyprawy, więcéj dla tego, żeby się z niemi oswoić, niżeli żeby ich unikać, i nie dziwiłbym się, gdybym postrzegł ich na czele kolumny, wtedy kiedy powstaną przeciw nam pumy, krokodyle, węże grzecho-

tniki, *Czerwone—skóry* (*) i *nostalgja* (**), najstraszliwsza, najokrutniejsza, najzgubniejsza ze wszystkich klęsk, prześladujących wędrowca w dalekich stronach świata.

Co mi się podoba, co mię bawi nadewszystko w tych rozprawach, w których się wykazują charaktery pomimo woli, to niecierpliwość najmniéj śmiałych. Chcieliby oni co prędzéj wstąpić w walkę z jaguarem, tak gibkim w swych ruchach; chcieliby co najrychléj przekonać się, czy kula Czerwonych skór trafia prosto i prędko do celu, i pewny jestem, że w przewidzeniu swego tryumfu, złożyli już u nóg swéj rodziny uszczęśliwionéj, chlubne łupy, zdobyte na brzegach Sakramento. Ostrożnie, moi przyjaciele! Wkrótce wystawieni będziemy na próbę; każdy z nas będzie piérwszym na niebezpieczeństwo, żaden z nas nie pozostanie ostatnim, i sprawimy się tak dzielnie, że za powrotem, młode dziewczęta wielkiéj stolicy będą się upędzać o spojrzenie waszéj źrenicy, o myśl waszego serca.

— Jałmużny, jeśli łaska, biédnemu Belizarjuszowi.

PORTRETY.—CURET.

Francuzczyzna Kapitana. Bourges (Burż) majtek na Bocianiém gniaździe Nasi czteréj majtkowie. Uistiti.

—

Rozpocząłem już, a więc kończę; rzeczy niedokończone nie podobają mi się.

Słysząc jego akcent, nie powiedziałbyś nigdy, że on Paryżanin, i miałbyś słuszność. Wnosząc z jego mowy szepleniącéj i gardłowéj,

---

(*) *Czerwone—skóry;* tak nazywają dzikie plemiona północnéj Ameryki.

(**) *Nostalgja*, czyli tęsknota do kraju, choroba.

przysiągłbyś, że się urodził w Tulonie lub Marsylji.... i miałbyś jeszcze raz słuszność. Typ jest tam doskonały, odnoszący tryumf nad wszelką edukacją, opierający się wszelkiéj nauce professorskiéj, nieposłuszny żadnéj nocie muzycznéj.

Są ludzie, którzy się rodzą Prowensalami, Katalończykami, Pikardczykami, Normandczykami, lub Bretańczykami, blondynami lub brunetami, jak kapusta rodzi się kapustą, jak cybula rodzi się cybulą, polip polipem, i madrepora madreporą.

Zaiste, nasz Kapitan daleko podróżujących okrętów zna się niezgorzéj na swém rzemiośle; żeglował nie mało, z dziesięć razy znajdował się w położeniach najkrytyczniejszych. Słyszałem go rozprawiającego o fizyce, astronomji, ekonomji politycznéj ze znajomością rzeczy mogącą wprawić w zdumienie Kretyna Walezji.

Pomimo wszystkich twoich usiłowań, w imię harmonji wyrazów, wiernych tłómaczów harmonji myśli, nie dokażesz nigdy tego, żeby on wymawiał niektóre syllaby, niektóre końcowe głoski inaczéj, jak go nauczyła niańka, stelmach wioskowy, albo stróż uliczny (*).

Nie pytałem się jeszcze, czy Kapitan Curet robił giesta, kiedy rozprawiał; ale słyszałem uderzenia jego pięści po stoliku, i musiałem wnosić, że mebl ten odtąd był kulejący. Zresztą, bywał on na Wschodzie; był majtkiem, jest żywy, popędliwy; żegluje od wielu już lat; znajduje się po raz piérwszy otoczonym pięćdziesięciu ludźmi chciwymi wzruszeń; wie, że go słuchają; nie pojmuje trudności języka; a więc, musi wiele mówić, nadewszystko robić wiele giestów.

Styl jest odzieniem myśli, giest jéj mieczem: Curet jest uzbrojony od stóp do głowy.

(*) Autor przytacza w tém miejscu niektóre przykłady francuzczyzny Kapitana. Dla znających język francuzki, umieszczamy tu niektóre z jego sposobów mówienia; i tak, Kapitan Curet nie mówił nigdy inaczéj jak: — *Un triangue culatéral.* — *Je t'appelle à toi.* — *Voyons voir.* — *Nous voici dans d'hureuses dispositions déjunatoires*, etc.

Dotąd nie przerzynał on innych wód jak Atlantyk i morze Śródziemne; cóż dopiéro, kiedy opłynie przylądek Horn, który był świadkiem tylu nieszczęść?

O! wtedy słowa nie będą czekać słów, frazesa będą pochłonięte przez frazesa; będzie to, upewniam cię, potóp dźwięków różnorodnych, krzyżujących się, trącających, przeplatających z sobą, takim sposobem, że ze wszystkiego tego pozostanie w pamięci tylko hałas, hałas pozbawiony znaczenia, harmonji i kontrastu..... Chaos jest smutną bardzo rzeczą!

Pod niebem lazurowém, na morzu spokojném, Curet jest junakiem *prowensalnym.* (*) On to zrównał fale, on to ustroił niebo we wspaniałą koronę z gwiazd, którą Ocean odbija w sobie z taką pychą; on to, on jeden, którego słowo rzekło wiatrom: Dmijcie regularnie i umiarkowanie! Jehowa, Neptun, Jowisz nie posiadali nigdy potęgi Curet'a, stojącego na burcie, z kapeluszem na głowie, kształtu i brudu mitologicznego.

Ale, jak tylko wicher zahuczy, jak tylko plamka czarna ukaże się na horyzoncie, zwiastunka niespokojnych nowin; jak tylko czuły barometr spada zwiastując natrętne nawiedziny, o! wówczas Curet ma tylko jedną nótę w swym głosie, nótę ostrą, miedzianą, przerażającą. Rzekłbyś, że ogień się zajął na pokładzie; że otwór zrobił się w okręcie; że woda zalała dno okrętu; że ostatnia chwila dla osady nadeszła... . Nie znam dzwonienia na gwałt tak strasznego, bębnienia tak przerażającego, ryku tygrysa tak groźnego, jak głos Curet'a za zbliżeniem się chmury, niosącéj w swém łonie burzliwém ulewę lub wicher.

— Na wielki maszt! ściągnąć żagiel na dwa oczka!

Jestto miara zwyczajna, nigdy na jedno. Curet chce zawsze żeby żagle ściągnięte były na dwa oczka, a kiedy manewr został dokonany, pozostaje on nieodmienny, chociaż wybornie mógłbyś rozwinąć najwyższe żagle.

(*) t. j. rodem z prowincji francuzkiéj *Provence*, któréj mieszkańcy odznaznaczają się junakierją.

Radziłbym, żeby zamiast zaszczytnego tytułu *Chleba suchego*, którym Curet'a udarowano, nazwano go *Dwa oczka*, które nie tyle cięży na jego sumieniu.

Byłem tém zajęty.

Jakiś człowiek wchodzi do mojéj izdebki, i podaje mi rękę pełną mozołów.

— Oto, rzekłem, ręce przywykłe do pracy.

— I serce przyzwyczajone do kochania Pana, odrzekł mi głosem wzruszonym.

— Czy znasz mię?

— I bardzo.

— Gdzież mię widziałeś?

— Tu, tam, blisko i zdaleka, wszędzie; gdyż okrążyłem świat z Panem.

— Jak się nazywasz? powiédz!...

— Bourges, majtek bocianiego gniazda.

— O! nie zapomniałem ciebie, mój dzielny towarzyszu, i dziękuję ci za radość, którą napełniasz moję duszę! Jakież stanowisko zajmujesz tutaj?

— Jestem naczelnikiem robotników.

— Usta moje tykały majtka, serce moje tykać będzie naczelnika.

— Usta i serce, panie Arago, bardzo proszę!

— Niech i tak będzie, mój przyjacielu.

Edward ma na swoim pokładzie naczelnikiem robotników odważnego człowieka, tęgiego majtka, który nie zapomina swego piérwszego stanu; duszę szlachetną, która cierpi w cichości, która cierpi i podaje rękę temu, co wzywa pomocy.

Majtkowie nie mówią już inaczéj o Bourges, jak z miłością; dla czego? Oto, że jeśli są ludzie, którzy obudzają pogardę, są inni, którzy obudzają współczucie; Bourges jest jednym z tych ostatnich.... Jeszcze go całkiem nie opuszczamy.

Idźmy daléj:

Dramat, który się ma odegrać w San-Francisco, a może nawet po za Górami Skalistemi, zatrudni nie mało rąk, gdyż zapalił nie ma-

ło głów. Niémasz mózgu, z któregoby się nie wylewały obfitém strumieniem ogromne bogactwa, i nie znam ani jednego biédnego człowieczyny w łachmanach, któryby nie kupował wcześnie dworów i pałaców dla swéj rodziny, dzisiaj żebrzącéj.

Na wszystkich okrętach świata, projekta ucieczki są rzeczą zwyczajną. Niejeden dla tego tylko chce przybyć, żeby nie powrócić; niejeden pogardza bosakiem, liną, kołkiem, wiosłem, żeby się chwycić drąga, rydla lub motyki; a ponieważ nie potrzeba wielkiego rozumu dla odrywania kawałków rodzimego złota od skał, do których przylegają, widoczném jest, że najsilniejsi, najcierpliwsi, najwytrwalsi na zmiany powietrza staną się kiedyś najbogatszymi, i staną się nimi wcześniéj niżeli drudzy.

Ale przywołajmy przed nasz sąd dzielnych chłopaków, którzy mię otaczają.

Widzisz, oni wszyscy wyciosani z jednéj sztuki; słowa ich mówią to co jest; nie przyjmują oni na siebie żadnéj maski; nie ukrywają niczego: tak, to tak; nie, to nie. Ich kryjówka jest nędzną budką; ich porucznik grubjaninem, a ich Kapitan..... dajmy pokój, za wielebym powiedział.

Tak są nieliczni w około nas, ci ludzie pracy i nędzy, że poznanie ich będzie łatwém, i że nie jestem narażony na niebezpieczeństwo zbłąkania się pośród rozmaitości charakterów. Moje zuchy z resztą nie zadają sobie trudu udawania; są oni tém czém są; straciliby wiele na hipokryzji, która jest zatrudnieniem każdéj chwili, a ich życie jest tak bardzo zajęte, że nie mają nawet chwili czasu do skarżenia się, i zaledwo rzucą przekleństwo ściągając żagiel, albo pnąc się po linie.

Nasi majtkowie mają od dwudziestu pięciu do trzydziestu pięciu lat; jeden z nich, najstarszy, nie powiem najsłabszy, ma ich czterdzieści cztéry, z których dwadzieścia trzy przepędził na morzu, to jest, pomiędzy brakiem piérwszych potrzeb życia i boleścią. Mówi o swoich podróżach z przyjemnością, ale bez fanfaronady; od rozpoczęcia swego zawodu jest ciągle majtkiem, i jeśli żegluje jeszcze, to dla tego, że ma w domu płaczącą przy pożegnaniu, uśmiechającą się

i modlącą za powrotem żonę z dziatkami, którym oddaje, po każdéj swéj podróży, cały swój zarobek.

Co za radość przy ognisku domowém! Dziécię uśmiecha się na rozkaz odjazdu, otrzymany przez ojca; matka szczęśliwa, że przyda do swéj garderoby spódniczkę barakonową, w któréj wystąpi w niedzielę na przechadzkę lub do kościoła.

Co do młodéj Rózi, która ma więcéj jak lat szesnaście, ale niéma jeszcze siedmnastu, sądziłbyś, że jest właścicielką kopalni kalifornijskiéj, tak dumnie ona podnosi swą główkę z ciemnym włosem pod białym kapturkiem, tak jéj trzewiki są zgrabne i błyszczące na kamiennych taflach portu.

Dzieci Hieronima i Rózi nie będą majtkami; zrobią ich stelmachami, stolarzami, aptekarzami jeśli potrzeba, ale nie opuszczą swego kraju, bo on nie dość zaludniony, bo potrzebuje robotników; a potém ksiądz powiedział: «Żona pójdzie za swym mężem.....» okręt zaś zrobiony tylko dla mężczyzn.

Dowodzą, że majtek jest istotą niewdzięczną, i że skoro wysiądzie na ląd, zapomina wnet o dobrodziejstwach, które otrzymał na morzu. Łatwoby mi było dowieść niesłuszność tego twierdzenia, gdybym tylko chciał przywieść na pamięć życie wszystkich mych towarzyszów niebezpieczeństw od czasu mojéj piérwszéj wyprawy; ale nie mają oni potrzeby orędownictwa mojego słowa, i to co wy, panowie oskarżyciele, nazywacie niewdzięcznością, może jest tylko przesadzoném wyobrażeniem, jakie sobie w swéj próżności utworzyliście o wielkości usług przez was wyświadczonych.

Czynić dobrze dla tego tylko, żeby to nam samym przyniosło korzyść, nie jestto ludzkość, nie jestto dobroczynność; jestto egoizm, jestto chciwość, jestto cóś smutnego dla tego co otrzymuje, i poniżającego dla tego co daje.

Jeżeli dotąd młode chraktery nie wykazały się jeszcze w całém swém świetle, to dla tego, że fala jeszcze nie ryczała, błyskawica nie rozdzierała jeszcze chmury, grzmot nie huczał jeszcze w przestrzeni, trąba nie kręciła się jeszcze blisko nas..... Czekajmy próby.

Czterech majtków, nie więcéj.

Inni są ludźmi jak ty i ja. Tamci są typami, wyjątkami, kadłubami do dyssekcji, czaszkami do zbadania. Kiedy oko spocznie na nich, nie opuszcza ich; kiedy myśl zagłębi się w ich myśli, przestaje być wędrowną, zastanawia się.

Piérwszy z tych meteorów jest *Blin* (Blę), kwadratowy przy podstawie, kwadratowy u szczytu; przypomina raczéj Herkulesa Farnezyjskiego niżeli Milona Krotońskiego, gdyż jest spokojny i poważny, ten półbożek.

Blin jest piękny, ogorzały, trochę oliwkowy; ma cóś w sobie Hiszpańskiego i Arabskiego razem. Może się urodził w Alhambrze; zapomniałem się go o to zapytać, ale zapełnię tę próżnię. Jest on w téj chwili w Bengalu, niezwłocznie udaję się w drogę, żeby się o tém z pewnością dowiedzieć. Blin jest najzręczniejszym z naszych ludzi do brania oczek (żaglowych), petrelów i rekinów. Trzydzieści wędek jest w wodzie, pięćdziesiąt ptaków zgłodniałych lata około nas, i zdaje się żartować z rozdąsanych myśliwych: wędka Blin'a wpada do wody..... i oto *szewc*, *skual*, *warcabnica* (*) na brzegu. Chciały one poznać Blin'a; wszelka ciekawość kosztuje; tę drogo musiały opłacić.

Dwa dni temu, Blin probował swych sił przeciwko cieśli; słyszałem młot spadający na kowadło. Walka nie długo trwała.

— Marchais (Marsze), bohatérskiéj pamięci, strzeż się, żeby kiedy Blin nie stanął na twojéj drodze! Strzeż się, Blin, żeby się Marchais nie dowiedział tam lub owdzie że ośmieliłem się go z tobą równać!

— Ty nie chcesz zwycięzcy, o Blinie *Edwarda*; ty nie chcesz współzawodnika, o Marchais *Uranji!* Co za starcie się wyniknie z waszego spotkania! Blin, lękam się o ciebie!

Oto Jan-Marja Petit (Pti), gawęda, plotkarz, żartowniś, impetyk, samochwał. Groźba Jan-Marji jest uderzeniem jego drewniane-

---

(*) *Szewc* (cordonnier), rodzaj ryby morskiéj; *skual*, ryba żarłoczna; *warcabnica*, (damier), ptak z rodzaju petrela, zwiastujący burzę.

go obówia; jego nogi, jego ręce nie robią giestów; one mówią, mają wymowę, przekonywają.

Jan-Marja ma źrenicę jasno-błękitną; reszta smolanego koloru. Podczas burzy, Jan-Marja wyrównywa Blin'owi w łażeniu po linach lub ściągnieniu żaglu; w czasie pogodnym, opowiada lepiéj, słuchają go chętniéj; jest on z tego dumny, używa swojego prawa; rzekłbyś, że czytasz stronnice książki napisanéj przez Pawła-Ludwika Courier. Jan-Marja jest filozofem, bardzo dobrze; nie wie o tém bynajmniéj, to jeszcze lepiéj.

— I cóż! rzekłem do niego wczoraj, kiedy był przy sztabie, pogoda cóś nie sprzyja; nie chce, żebyśmy daléj postępowali.

— Czy Pan nie wiesz, odpowiedział mi, że pogoda jest rodzaju żeńskiego: ona się zmieni; ona nie staje w przystani, nie zarzuca kotwicy..... W tém wyrażeniu czuć morze na dziesięć mil w około.

Cóż to jest Jan z Dieppe? Słuchaj go, a powie ci że był właścicielem okrętu, dla tego, że posiadał małą łódkę, z którą wychodził łowić po zatokach swojego kraju sardynki. Ale rewolucje, które zniszczyły tyle fortun, nie oszczędziły i jego, i dzielny człowiek przyjął znowu na się jarzmo nędzy, woląc umrzeć z pracy, niżeli z głodu.

Tamtego oto nie wiém dla czego nazwano *Piquet: Poteau* (*) byłoby dla niego daleko stosowniéj. Jest on okrągły jak beczka, i Jan-Marja, który kocha go, powiada że to nie mała przyjemność obiegać go w około; Janie-Marjo, lękaj się zarazy kalamburu!

A tegoż o małom co nie zapomniał!.... biédne i liche stworzeńko, rzucone tutaj jak dziécię pod kruchtą kościoła! Nie tylko byłem roztargnionym, ale winnym, złym; gdyż tym, co cierpią, powinniśmy wyciągać rękę pomocną, jeżeli chcemy, żeby i nad nami kiedyś litość miano.

Jest jeden tylko chłopiec okrętowy na *Edwardzie*, tylko jeden. Jak się nazywa? niewiém; każdy go chrzci po swojemu, każdy

---

(*) Czytaj: *Pikie*, *Poto*.—*Piquet*, znaczy kołek, tyczkę; *Poteau*, słup.

go obdarza przezwiskiem, i jeśli to potrwa dłużéj, zapomniany przez niebo, nie będzie nawet wiedział, czy mu rzucono pewnego poranku święconéj wody na czoło.

Przybywając na pokład, ci panowie mi go przyprowadzili. Był on mizerny, cery chorowitéj, nieśmiały; odpowiadał jednozgłoskami na rozkazy, które mu udzielano; a nie odpowiadał nic wcale na policzki, uderzenia nogą, które mu co chwila zadawano dla ułatwienia nauki marynarskiego języka.

Tym sposobem udzielało się pierwiastkowe wychowanie na pokładzie *Edwarda*, tak wstrzemięźliwéj pamięci.

Dzisiaj, Fanfan, Rigolet, Chonchon, Casquette, nie jest tak niezgrabny; liny, maszty, burze, trzewiki żelazne nadały mu giętkości, elastyczności, zuchowatości. Oko jego mówi więcéj niżeli usta; żartuje dość zgrabnie; a chociaż doza uderzeń nie zmniejszyła się znacznie, ten ladaco, którego nazywam Uistiti, nie wiele dba o to. Uderzenia te przychodzą swoim porządkiem jak porcje sucharów i grochu, a godziny dla tego biegą, miesiące mijają, lata przechodzą, i pewnego dnia Uistiti ni stąd ni zowąd przebudzi się majtkiem N-o 30.

Nie szukaj czego innego na pokładzie *Edwarda*, to cały jego etat, cała osada. Niech morze huczy, niech burze się zrywają, nasi czteréj, czy pięciu, czy sześciu zuchów dadzą sobie rady. Trzydzieści franków zarobionych pośród burz, jak to pięknie! Jak Bóg zrobił dobrze, że cisnął mego Uistiti na ten Ocean nędzy!

Wczoraj przechodziłem pod pomostem i usłyszałem przy baryłce z wodą głośne wybuchy śmiechu. Uistiti śmiał się!!!

— Co ci, mój chłopcze? rzekłem do niego, podając mu przyjaźnie rękę, któréj nie ośmielił się ścisnąć.

— Ach! panie, odpowiedział mi trzymając się za boki; niémam się co chwalić, nie jestem zawsze tak zręczny! Ale wypłatałem teraz Porucznikowi porządnego figla, którego lękam się żebym późniéj drogo nie opłacił.

— Cóż to takiego? opowiedz mi.

— Bardzo chętnie. Tylko co wiatr zadął silnie: — *Ruszaj na bocianie gniazdo! zwinąć żagle!* zawołał P. Boucher. Musiałem nie pobiedz dość prędko, gdyż on rzucił się na mnie jak wicher, i swoim zwyczajem chciał mi dać w brzuch tęgie uderzenie obcasem; widząc na co się zanosi, odwróciłem się i otrzymałem cios z drugiéj strony..... Pewny jestem, że Porucznik burczy teraz jak wiatr północno-zachodni.

Piękna to mi radość!

Jeśli dotąd nie powiedziałem ci słowa o P. *Comignan* (Kominjan), poruczniku okrętu, to dla tego, że jeszcze staram się poznać człowieka, który zdaje mi się być kontrastem, ale w którym dobre przymioty górują..... Przyjdzie i na niego koléj.... Wolę myśleć o Uistiti.

Biedny Uistiti! Ty nie otrzymasz odemnie uderzeń ani w brzuch, ani w inną część ciała; ale kiedy będziesz przemykać się koło mojéj izdebki; kiedy zapukasz w nią, moje dziécię, jest tam zawsze dla ciebie kawał chleba, séra, uśmiech, ściśnienie ręki i modlitwa za tego, który modli się i pracuje.

KTOBY SIĘ TEGO SPODZIEWAŁ?

Jeszcze Amenaida. Brat i siostra. Anekdota.

—

Ona to jeszcze, co mię szuka i bierze pod rękę; ręka jéj z większą ufnością spoczywa na mojéj, a ponieważ sama jest wyzywającą, mogę się stać niedyskretnym z mojéj strony. Rozpoczynam przeto atak:

— A więc, opowiedz mi pani wszystko. Słucham, jak gdybyś pani nie miała nic przedemną do skrywania; nadstawiam ucha z roztargnieniem, z niedbałością, ażebyś się ośmieliła bez udręczenia; jeżeli

zbrodnia, rozgrzeszam panią; jeżeli błąd, przebaczam..... Penitentko, na kolana przed spowiednikiem.

— Nie, stojąc, gdyż niémam żadnéj zbrodni do odpokutowania; z czołem wzniesioném, gdyż żaden błąd nie cięży na mém sumieniu.

— Mądry, pani, siedm razy na dzień upada.

— Księgi święte, panie Arago, nigdy nie kłamią. Czy mądry jest dwóch rodzajów?

— W tym razie, nie; bo inaczéj, gdyby szło o kobiétę, liczba upadków byłaby podwojoną. Mów pani bez żartu, rzekłem daléj tonem niecierpliwym, który zapewne nie uniknął badawczego oka mojéj towarzyszki. Albo pani mi powiesz wszystko natychmiast, bez żadnéj zwłoki, bez wstępu, albo nie chcę o niczém słyszeć.

— Dobrze! niech i tak będzie, rzekła Amenaida zdobywając się na odwagę. Widzisz pan we mnie smutną ofiarę namiętności najśmieszniejszéj w świecie, gdyż nie może być zadowoloną. Miałam młodego brata w pensjonie na prowincji, wówczas gdy ja, przy mojéj matce, w Paryżu, uczyłam się tego czego nie mogą nie znać bez zawstydzenia panny, przeznaczone przez swe urodzenie lub majątek, do grania pewnéj roli na świecie. Nie wiém przez jaki kaprys, który późniéj drogo odpokutowałam, moja matka, tak przezorna dotąd, powiedziała mi jednego dnia, że jeden z moich krewnych ma przybyć przepędzić zimę razem z nami. Przybył, miałam lat szesnaście, on ośmnaście.....

— Widzę niebezpieczeństwo.

— Nie widzisz go pan; pokochałam.... ale ten krewny, był.... moim bratem.

— To cóś zakrawa na dramat; mów pani daléj.

— Matka moja umarła. Wstąpiłam do klasztoru; późniéj, znudzona klasztorem, gdzie za nadto wiele jest czasu do myślenia, udałam się do Anglji; zachorowałam tam; brat mój przybył udzielić mi swych starań, i powróciłam do Francji mniéj uleczona niż kiedykolwiek bądź.

— Biedne dziécię!

— Litość pociesza, dziękuję panu.

— Nie powiedziałaś mi nic pani o uczuciach jéj brata dla niéj.

— On cierpi.

— Czy on wie o odjeździe pani do Kalifornji?

— Dzisiaj rano zaledwo postrzegłam, że on mi towarzyszy. Jest on tam, blisko przodowego masztu, bardzo blady.

— Dla czego?

— Dla tego, że powiedziałam mu przed chwilą, że jeżeli ktokolwiek na pokładzie postrzeże o naszém wzajemném położeniu, życie sobie odbiorę.

— W jakim tedy celu czynisz pani to zwierzenie się przedemną?

— Mogę się rumienić i bladnąć przed Panem.

— Twoja obecność, pani, albo jego, jest tutaj zbyteczną; jakże pani sobie postąpisz?

— Myślę wysiąść na brzeg w Valparaiso.

— A jeśli i on z panią wysiądzie?

— Widzisz pan, prawa są częstokroć mniéj niedorzeczne niżeli okrutne; każdy jest mężczyzną lub kobiétą przedewszystkiém.

Amenaida porzuciła mię nagle, i postanowiłem unikać na przyszłość zwierzeń brata i siostry, których popioły Kalifornja zobaczy połączonemi w jednym grobie.

Ach! dobry Boże! Nie chciałbym was przypuszczać do podziału moich wątpliwości względem natury i wartości uczuć téj kobiéty, przeznaczonéj może kiedy do zwrócenia na się uwagi publicznéj; ale, kiedy porównywam jéj smutek dzisiejszy z wesołością wczorajszą, zapytuję samego siebie, czy kłamstwo nie jest bardziéj na jéj ustach niżeli w sercu. Napróżno zmyślamy radość, drganie słów zdradza smutek, gdy dusza płacze i cierpi. A potém, nie wiém, ale zdaje mi się, że pewne boleści leczą się prędzéj przez tajemnicę, niżeli przez ich wyjawienie.

Szczérze mówiąc, nie pysznię się wcale z mojéj prerogatywy, i bez najmniejszego skrupułu, bez najmniejszego żalu objawiam tu głośno myśl moję.

Wiém, że Montaigne powiedział gdzieś: «*Jesteś nieszczęśliwym? Skarż się. Nie słuchają cię? Skarż się jeszcze. Odpychają cię? Skarż się ciągle.*» Zdaje mi się istotnie, że im boleść jest bardziéj więzioną, tém staje się gwałtowniejszą i bardziéj dojmującą; ale czy nie znajdujesz tego, równie jak ja, że jest niekiedy wdzięk w smutku i że osamotnienie jest pociechą?...

Koniec końcem Amenaida jest winną w moich oczach, i nie przebaczam jéj również wybryków jéj smutnéj wesołości, jak jéj szalonego smutku.

O! gdyby ona sądziła, wstępując na pokład *Edwarda*, że stawia mur miedziany między sobą a światem, wówczas miałbym pobłażanie dla jéj postanowienia; ale znała ona od początku wir, w którym życie jéj miało upływać.

W paroksyzmie naszych uczuć, ostateczności zdają się nam być zbliżone; bierzemy nieroztropność za logikę i niepodobieństwa za fakta dopełnione....

Czy Amenaida marzyła sobie przyszłość spokojną, jeżeli nie szczęśliwą, z Czerwoną Skórą, któregoby się stała od razu prawną towarzyszką? O! w takim razie rozgrzeszam ją obu rękami, wzniesionemi nad jéj głową: ale Czerwone Skóry nie obudziły ambicji Amenaidy; młoda dziewczyna nie chce również życia w lasach, jak życia w górach Skalistych; mówi ona o zabawach paryzkich, o balach, szpacerach, uroczystościach pośród swych ziomków; a ponieważ jestem na drodze otwartości, dodam, że uczułem się głęboko zranionym, dowiadując się, że dzisiaj rano umieściła ona swą skromność pod opieką naszego ubrania męzkiego.

Tak, bezwątpienia, pokład okrętowy ma swe niebezpieczeństwa dla kobiéty, która musi w pewnych okolicznościach stawić czoło wiatrom, których okręt staje się niewolnikiem; ale czy się nie zgodzisz razem ze mną, że czystość nie jest w ubraniu, i że często można być więcéj osłonioną gazą, niżeli płaszczem?...

Mów co chcesz, ja pozostanę przy swojém.

Patrz na Wenerę Medycéjską..... Nigdy mężczyzna, nigdy kobiéta, nigdy młodzieniec, nigdy młoda dziewczyna nie zarumieni-

ły się patrząc na nią..... I cóż! daj na jéj nogę podwiązkę, a nagość bogini położy koniec uwielbieniu, i otworzysz grób nieśmiertelności.

Koniec końcem, Panna Amenaida obudza we mnie dzisiaj nie wielkie zajęcie; może burza wróci całą jéj nadwerężoną potęgę.

Żyję jednak w tém przekonaniu, że kobiéta, która się staje mężczyzną, nie jest już kobiétą, i że mężczyzna, który chciałby być kobiétą, nie jest już godzien być mężczyzną..... Nadto, wczoraj jeszcze wątpiłbym o jasności mojéj myśli, dzisiaj zaś przyjąłbym ją z tém wszystkiém, co ona ma w sobie niewątpliwego. Nigdy Amenaida nie była więcéj rozebraną, jak odtąd kiedy jest ubraną po męzku; staje się ona przedmiotem szczegółowéj dyssekcyji; języki przemieniają się w skalpele; i gdybyś znał Panów: Fournier, Latteltin, Rouhaud, Halouze, nawet bezbrodych Bouvet i Crespel, rzekłbyś tak jak ja do dzikiéj Amenaidy: «Prędzéj, prędzej pani, nałóż swój czépeczek, odrzuć daleko te przebrzydłe majtki, i pokaż nam swe ramiona, jeśli chcesz, żeby ich nie widziano; jedném słowem, stań się znowu kobiétą, jeśli przywiązujesz jakąkolwiek wartość do naszych hołdów i poszanowania.»

Ponieważ jestem na drodze rozprawiania i moralizowania, pozwólcie mi opowiedzieć małą anekdotę, która was zapewne zbuduje. Starość jest gadatliwą, a ja mam górą lat pięćdziesiąt, i moje czoło uwieńczone siwizną.

Okrążyłem już świat z kobiétą wysmukłą i śliczną jak winietka Johannot'a..... Pokój jéj, pokój przyjaciółce energicznéj, którą fale oszczędziły, a którą cholera zabrała w Paryżu!

Byliśmy w miejscu piérwszego naszego odpoczynku. Prądy zmusiły nas zarzucić kotwicę w zatoce Gibraltarskiej, téj skale granitowéj, któréj boki w zęby wyciosane kryją w swém łonie tyle kul i dział.

Lord Don był kommendantem twierdzy. Lord Don, to jest, Anglik najsztywniejszy, najregularniejszy, najzimniéj przyjacielski, jaki istniał kiedykolwiek w trzech połączonych Królestwach; lord Don, który ozdabiał swe salony obrazami psów, a swój przedpokój pię-

knemi portretami Ledi, malowanych przez naszych najlepszych mistrzów.....

Sztab *Uranji* uważał za swą powinność oddać mu wizytę, i poszliśmy powitać Jego Ekscellencję, który nas przyjął jak prawdziwy *dżentlemen* i zaprosił wszystkich nazajutrz na obiad.

Pani Freycinet była z nami, ubrana w eleganckim tużurku męzkim, i jakkolwiek Anglik, lord Don zwrócił uwagę na śliczną powierzchowność naszego towarzysza podróży.

— Pan jest także oficerem na okręcie? zapytał jéj głosem, o ile można było zmiękczonym.

— Pan jest moją żoną, odpowiedział nasz dowódzca, który ujrzał rumieniec występujący na czoło swéj połowicy.

— Ach! ach! wyjąkał Gubernator z miną skrzywioną, któréj wdzięku pozazdrościłby buldog czystéj rasy; ach! ach! ten pan jest damą; to mi się podoba bardzo, nieskończenie!

Potém, po chwili namysłu, dodał tonem komicznie uroczystym:

— Miałbym sobie za wielki zaszczyt ugościć panów na jutrzejszym moim obiedzie, ale mój kucharz jest w mojém wiejskiém mieszkaniu, i niewiém kiedy powróci.

Wyszliśmy dosyć upokorzeni, że ubranie męzkie pozbawiło nas wybornego obiadu.

Lord Don nie wierzył w prawność związków Pana i Pani Freycinet.

A my, Amenaido, mamyż tobie wierzyć na słowo, kiedy upewniasz nas, że jesteś siostrą Ernesta Muller? Strzeż się, piękna brunetko. Są przypadki, w których sama wątpliwość jest obelgą, i towarzystwo, co cię otacza pod pomostem, nie żąda niczego bardziéj, jak żebyś mu podała wyborną zręczność szanowania ciebie.

Za naszych dni, młodzież wychowaną jest w bojaźni Boga i ładnych kobiét, które są, wiecie to, nieco kociéj natury.... To niepotrzebuje dowodzenia, to *skacze w oczy*.....

Koniec końcem, kto jesteś, moja pani? Poszedłem o za-

kład za tobą; mój sekretarz przeciw tobie: może obydwa mamy słuszność....

Ale, po dojrzalszéj rozwadze, wolę się założyć przeciw tobie, bo mój przeciwnik zaczyna obstawać za tobą.

ŻALE.

Zachód słońca. Bonity. Dorady. Rekin. Między dwoma wodami. Co znaleziono w rekinie.

—

Są oni tam, mężczyźni i kobiéty, młodzi i starzy, oparci łokciami na parapecie, z szyją wyciągniętą, okiem chciwém, wydający okrzyki i tłómaczący swe uniesienie giestami, głosem, szałem.

— Jak to piękne! jak to wielkie! jak wspaniałe! jaka to potęga Stwórcy!

Cicho! słuchajcie: są tam miasta, fortece, blanki; są tam także bezwątpienia walczący, spiż, działa..... Cicho! usłyszymy zaraz szczęk broni, starcie się szwadronów, huk artylerji..... Słuchajmy.

Cicho jeszcze! gdyż oto doliny bez końca, góry z swemi skalistemi szczytami, lasy z swemi odwiecznemi drzewami.....

Cicho jeszcze! to muzyka boska, muzyka pustyń; harmonja jéj przenika wszystkiemi zmysłami.

Cicho bądźcie jeszcze! gdyż oto na widnokręgu, który się ścieśnia, możecie rozpoznać wulkany, w ich dniach gniewu, potoki krwi, jeziora smoły, oceany lawy..... wszędzie ogień, płomienie, snopy ogniste, chwiejące się, jak śród pożaru; wszędzie gorejące żarzewia; wszędzie ogniste czeluście.

O! patrzcie jeszcze, tego dosyć uwielbić nie można.....

Czerwone płomienie stają się błękitnemi, smoła staje się fjoletową, lawa bladą i zamgloną..... Niémasz już wałów, niémasz warowni, niémasz wulkanów, niémasz jezior kipiących..... Są to obłoki ciężkie i gęste wahające się z leniwą wspaniałością ponad falami; są to wyziewy nieprzenikliwe, szare, mętne, któremi wicher zaraz zawładnie, i które otworzą wnet swe upusty na okręt w niebezpieczeństwie.

Widzą te czarowne obrazy, te okazałe zachody słońca, wszyscy ci ludzie, których prowadzę za rękę przez morza i lądy; pełni wzruszeń podnoszą ku niebu swe głosy, długo tłumione samą wielkością widoku, który ich oślepia i nie daje im odetchnąć.

Ja jeden, ja tylko jeden, niestety! żyję w moich wspomnieniach, i zapytuję siebie: czy kara ślepego nie jest raczéj w jasném widzeniu innych jak w jego ślepocie?

Tak, nie omyliłem się: ciemności są *karą* raczéj niżeli *boleścią;* ale wtedy, któż mi ją zadaje i jakaż moja zbrodnia?.... Matka tyle modliła się za mnie, że powinienem być wolny od winy!.....

Już wczoraj słyszałem ich wołających:

— Baczność! oto bonity, oto dorady..... prędko, prędko, trójzęba, one igrają na przodzie okrętu, będziemy mieli porządny obiad.

I wszyscy się rzucili, i wszyscy ścigali oczyma tych mieszkańców wód, którzy w swym szybkim biegu pląsają bez zmordowania w około okrętu przebiegając ośm do dziesięciu węzłów na godzinę.

Byli oni tam, zawieszeni na małym maszcie, z ręką w powietrzu, ze sznurem w ręku, czatujący na zdobycz..... Ale ryba pierzchnęła; jéj niezmordowane płetwy uniosły ją na kraniec widnokręgu, i wszyscy opowiadali sobie wspaniałe obroty, tysiące odcieni swych nieprzyjaciół, uchodzących przed żelazem trójzęba, obiecując sobie odwetować nazajutrz.

Ja jeden byłem nieruchomy; ja jeden podziwiałem tylko w przeszłości; ja jeden nie miałem mieć radośnego jutra!

Fregaty również przesuwały się wzdłuż pokładu..... fregaty lilipuckie, mięczaki różowe, fjoletowe, błękitne, pomarańczowe, pływające tuż koło okrętu, posłuszne powiewom wiatru, który ich pędzi po falach, nie zanurzając ich nigdy.

Siatki zręcznie rzucone zachwyciły niektóre z tych istot dziwacznych, i moi towarzysze podróży śledzili z niespokojną ciekawością cierpienia i skon swych więźniów, których ostatnie chwile można było poznać po lekkich gorączkowych drganiach raz po raz powtórzonych, i spłowieniem świetnych kolorów, które ich opuszczały razem z życiem.

Sam jeden jeszcze, żyłem tylko wspomnieniem; sam jeden nie należałem do tego uważnego grona, którego uniesienie nie znało granic śród tylu bogactw, co wyczerpały, zdaje się, myśl Stwórcy.

Kiedy rekin czyha na swą zdobycz z tyłu okrętu, jak wilk blisko owczarni; kiedy wieloryb świszcząc ciska w powietrze swe wspaniałe kaskady; kiedy ryby latające wymykają się z fal, podobne do tych niezliczonych rojów szarańczy, któremi równiny Afrykańskie są perjodycznie napastowane; kiedy osada i pasażerowie zawieszeni na linach przypatrują się tym igraszkom natury tak bogatéj i tak urozmaiconéj, ja jeden, zawsze jeden, oparty na kołowrocie, milczę, i gonię myślą w świat znikły dla moich oczu, wydziedziczonych z światła na zawsze.

Kmiotek, którego Bóg pozbawił wzroku, wtedy gdy zaczynał pojmować życie szczęśliwe, życie pracy i poczciwości, żałuje swojéj stajenki, swojéj góry, swojego wielkiego dębu, swojego ogródka warzywnego i spojrzenia swojéj matki..... Ja, biédny bogacz, który wszystko widziałem, wszystko poznałem, wszystko zbadałem, tracę czarowne blaski, które były moją radością, bogactwa klimatów najrozmaitszych; tracę Archipelagi, stolice, Królestwa, Cesarstwa, kędym przenosił moje namiętności; a gdy one były moją miłością i moją pychą, oto jestem żebrakiem, nietylko brakiem skarbów, które ty posiadasz, ale jeszcze brakiem tych, które sam straciłem.

O! jak miljonowy Pan byłby szczęśliwym, gdyby nigdy nie był miljonowym, wtedy gdy dziwactwem losu zmuszony jest wyciągać rękę do przechodnia, i prosić o chleb powszedni!

Milczcie, wy szlachetne półgłówki, którzy przypominacie mi upojenie moich pięknych dni przeszłości! Milczcie, gdyż lepiéj jest tysiąc razy nic przedtém nie posiadać, niżeli wszystko stracić, kiedy nadzieja umarła, kiedy nauka i boleść nie przyniosły żadnéj ulgi.

Myślałem, że zdala od tych nowożytnych Aten, gdzie kwitną sztuki, gdzie się rozwija zbytek, płód handlu, gdzie panuje nauka, chwała ludów, cierpienia moje będą miały mniéj goryczy, smutek będzie mniéj głębokim; powiedziałem sobie, że gdy przyjąłem na siebie posłannictwo prowadzenia w dalekie krainy młodych ludzi chciwych złota i wolności, moje siły i moja energja podwoją się śród trudów..... Alem był za nadto lekkomyślny, i rozpacz porywa mię za gardło, gdyż wątpię niekiedy, żebym podołał memu posłannictwu.

Bo też cisza nieubłagana trzyma nas na miejscu pod równikiem; bo nieznośne upały czynią nas niezdolnymi do wszelkiego energicznego postanowienia; bo burze nie nadeszły jeszcze, żeby wystawić nasze siły na próbę; bo muszkuły niepotrzebne temu, kto nie doznaje żadnego oporu, i nieznam nieprzyjaciela niebezpieczniejszego nad tego, który nie chce walczyć.

Pojętność jestże dobrodziejstwem dla tego, który nie może jéj w działaniu okazać? Nie sądzę, i jestem niestety! sposobniejszym niżeli wy do rozwiązania téj kwestji. Nie zazdrośćcie mojego przywileju.

Czy będę myślał jutro tak jak dzisiaj? Tak sądzę, jestem tego pewny.

Nic nie zwiastuje ruchu; powietrze oniemiałe; ciepłomierz, w cieniu i bez odbicia wskazuje 33°; okręty, które widzimy obok naszego, zachowują jak my swe położenie, i nic nam nie zapowiada, że jesteśmy bliscy opuszczenia téj strefy ognistéj, co nas pożera.

Nie tyle my sami, ile to co nas otacza, czyni nasze życie wesołém lub smutném, jeżeli tylko gangrena egoizmu nie zaraziła naszego serca; a ponieważ zdaje mi się, że zasłona żałobna unosi się nad *Edwardem*, jestem logiczny życząc sobie burzy w miejscu odrętwienia, które nas przygniata.

Każda zmiana jest dobrodziejstwem, kiedy czujemy przykrość położenia; ale, niestety! okręt nasz tak zbudowany, że często, u przylądka Horn, będziemy z żalem wspominać dni zwrotnikowe, tak smutnie jednostajne.

Oto rekin, dziécię zrodzone od dwóch miesięcy najwięcéj. Błaga on, płynąc wzdłuż okrętu, o kawałek słoniny; rzucają mu go przez miłosierdzie; łakomiec widzi to, rzuca się, podskakuje, odwraca się, otwiera paszczę, połyka..... i w kilka minut potém, pozbawiony ogona i głowy, w któréj błyszczy zaledwo dwanaście ostrych zębów, powierzony zostaje kucharzowi, który uczyni z niego wyborną dla nas potrawę. Nasz kuchmistrz jest człowiek najbieglejszy w swém rzemiośle! Jestem za tém, żeby go udarowano koroną.

Czyżby splin miał mię opuścić?.... Czyżby wiatry regularne odnowiły jutro swój bieg rycerski? Czyżby powiew z kraju rodzinnego przyniósł nam miłą woń ojczystą?... Nie, nie, nie jestem z liczby tych, którzy widzą niebo uśmiechające się na swe nadzieje; oto jestem znowu pogrążony całkiem w mych ciemnościach, to jest, w mojéj samotności, i witam sercem wiatr, który się podnosi i zdaje się chcieć nam towarzyszyć do *Krzyża Południowego*, którego cztéry ramiona promienieją na przednim maszcie *Edwarda*.

Jeszcze niebo we łzach! ulewa trwa bez przestanku, i nieszczęściem, ulewa bez najmniejszego powiewu wiatru..... Zostajemy między dwoma wodami.

Niektórzy z naszych nie wierzyli bardziéj w rekiny jak w syreny; dzisiaj wiara ich jest zachwianą, gdyż majtkowie wciągają drugiego na pokład, rekina prawdziwego tą razą, którego nasz wyborny naczelnik robotników rozmierza wzrost i objętość: ma on sześć stóp długości.

Bonity podróżują w wesołych gromadach, wieloryby zdają się naznaczać sobie miejsce schadzki w tychże samych okolicach; świnie morskie ruszają ściśnionemi szeregami i przebywają ogromne przestrzenie, jak wychodzcy jednéj połączonéj rodziny; dorady, tak świetne, tak zalotnie iskrzące się, łączą się dla podróży, dla pląsów, i bezwątpienia także dla miłostek; ryby latające zmieniają swój żywioł, jak wy zmieniacie swe zdobycze i swe namiętności; rekin jeden przechadza się samotny po téj wielkiéj drodze zwanéj Oceanem, który przebiega jak złodziéj czyhający w nocy po ulicach stolicy, milczący, z okiem otwartém na każdą zdobycz i śmiejący się tylko z boleści innych.

I cóż! Smutno mi patrzeć na zgon tego potworu, który umiera tam, bez obrony, śród atmosfery duszącéj, nie zostawując po za sobą ani żalu, ani pamięci.

Tak umiera zły śród wód i na lądzie; tak powinna umierać wszelka istota, która niéma serca w sercu, ani łzy dla boleści, co ją osobiście nie dotykają.

Dzisiaj niedziela, dzień uroczysty; witajże nasz rekinie!

A teraz, macie wiedzieć, że dwa dni temu kilku oficerów bardzo znakomitych okrętu Angielskiego, płynącego z Portsmuth do Sydney, będąc u nas na pokładzie, mówiło nam, że rzucili w morze ciało młodéj kobiéty, udającéj się do swego małżonka do Port-Jackson.

Otoż tedy w brzuchu rekina znaleziono scyzoryk, kawałek koronki i pierścionek śrebrny.

Pomost i izba czeladna znalazły żarłoka przewybornym.

Biédny Laborde, który miałeś razem ze mną odbyć podróż około świata, przypominam sobie, niestety! bolesne twoje z nami pożegnanie, kiedy opuszczałeś Brezylję; przypominam także że miałeś się za szczęśliwego, że uściskasz wkrótce twą rodzinę w Maurice, gdzie oczekiwała na cię luba narzeczona.... Złowiliśmy również rekina nazajutrz po smutnym wypadku, który cię spotkał, i jedna z twoich rąk dała nam poznać, że znalazłeś trzy całuny, żagiel, w który cię zaszyto, rekina rozciągniętego na pokładzie *Uranji*, i ten Atlantyk, który

przerzynamy jeszcze dzisiaj, i od którego wiatr leniwy zda się nie tak prędko jeszcze nas oddali.

Ale oto powstaje, witamy cię!.... Ucicha znowu; i znowu zostaję pogrążony w moje smutne dumania.

MARZENIA.

Okręt na widnokręgu. Zdrowie Króla.

—

Okręt ukazuje się na widnokręgu, podnosi się, kroczy, zbliża się ze wszystkiemi swemi żaglami zalotnie rozwiniętemi; dąży ku nam, ciekawy, my dążymy ku niemu: dwaj przyjaciele biegący jeden na spotkanie drugiego wkrótce się łączą.....

Rozmawiamy z sobą, on piérwszy nas zapytuje.

— Skąd płyniecie?

— Z Hawru.

— Król dobrze się ma?

Wszyscy z naszéj osady patrzą jeden na drugiego zdziwieni. Skądże się wyrwał ze swéj strony ten dziki trójmasztowy okręt? Czyż się ukrywał przez wiele miesięcy na jakiéj wysepce nowo odkrytéj? Czy był uwięziony między dwiema bryłami lodu oderwanemi od biegunów? Czy rozbójnicy Malajscy trzymali go w łańcuchach w swym niegościnnym Archipelagu?

Zdumieni, nie odpowiedzieliśmy na pytanie trójmasztu, który się puścił w dalszą drogę i zapytywaliśmy siebie: o jakiego to Króla zdrowie pytał z taką żarliwością?

Kto wié? Może o zdrowie Monarchy zwanego Ludwikiem Filipem, zostającego dziś na wygnaniu, że niechciał pozwolić lu-

dziom, pomocnikom swoim ze wszelkich epok, zasiąść do dziecinnego stołu?

To być bardzo może, bo też ciekawość jest Królową świata, bo wygnanie jest rzeczą świętą dla niektórych, bo starość jest przedmiotem tkliwego zajęcia dla pewnych dusz!

Dozwólmy zniknąć po za nami w gęstéj siatce mgły okręt ryzykowny; i zaledwo wyruszywszy w drogę, myślmy także o pytaniach, jakie zadamy kiedyś tym skrzydlatym powozom ogromnego Oceanu.

My także będziemy się rozpytywać z niespokojnością o nowiny, najprzód rodzinne; potém zostawiając na uboczu trony przemijające, będziemy się śpieszyli dowiedzieć, co się stało z Monarchją wszystkich krajów, z najwyższą władzą wszystkich epok, z ludźmi gienjalnymi, którzy rzekli do światła: «przebieżysz tę drogę,» i do gwiazd: «pójdziecie tędy!».... Podniesiemy głos dla dowiedzenia się o pieśniach poetów, którzy opiewali tylko naszą chwałę, o księgach dziejopisów, co nie przedali swego pióra, o płótnach malarzy, którzy szlachetnie używali swego pęzla..... Niestety! niestety!.... wiele grobów, bezwątpienia, odpowie na nasze wezwanie, i okręt, któremu zadamy te pytania, uśmiechnie się przesuwając koło nas, i powie jak my dopiéro co:

«Skądże się oni wyrwali?»

POD ŻAGLAMI.

La Pictura. Gazella. Opisanie mojéj szufladki. Czémże są sześć miesięcy?

—

Chwytamy w lot wszelką zręczność, którą przypadek, to bóstwo ludzi ryzykownych, rzuca na naszéj drodze dla przerwania jednostaj-

stajności dni, któremi nas zagraża żegluga, tak smutnie rozpoczęta. Dla tegoto z rozkoszą nieznaną od pielgrzymów, wędrujących po stałym lądzie, ujrzeliśmy dzisiejszego poranku niedaleko od siebie trójmasztowy okręt z Rotterdamu, żeglujący również na południe i mający płynąć bez odpoczynku aż do Batawji.

Z uprzejmością cale nie prowensalną, Pan Curet wzywa Kapitana Thilmann na śniadanie; ten się wymawia, ale ujęty przesłaniem mu butelki Szampańskiego, każe odwiązać łódź i przysyła nam swego Porucznika i Chirurga.

Nie uwierzycie, z jaką prawdziwą przyjemnością znaleźliśmy się jeden obok drugiego, przy tymże stole, oni i my, rozmawiając o Europie, jak o staréj przyjaciółce, i o burzach, jakby o upiorach, zdolnych tylko przestraszyć dzieci i niańki.

Bordo, rum, kawa, użyte do woli, poczém nastąpiło pożegnanie ze wzajemném życzeniem szczęśliwéj podróży; i oto dzisiaj jeszcze jesteśmy blisko jeden drugiego, jak gdybyśmy się lękali rozłączyć.

La Pictura, Kapitan Thilmann, żegluje na Wschód; *Edward* na Zachód..... Wkrótce zarzucimy kotwicę na dwóch krańcach średnicy ziemi, i gdzież się spotkamy znowu? Ale czyż nie jeden całun pogrzebowy przeznaczony jest do okrycia nas razem na całą wieczność?.....

Jesteśmy pewni dzisiejszego poranku że nasze rodziny wkrótce otrzymają od nas wiadomość; oto dwumasztowy statek, szybki biegacz, zwinny i poskoczny, zbliża się do nas i zapytuje.

— Nazwisko waszego okrętu?

— *Edward*, Kapitan Curet.

— Z Seyne?

— Tak.

— Jesteśmy z téj saméj wioski; moje nazwisko Fisquet.

— Winszuję sobie podwójnie tego spotkania. Gdzie dążycie?

— Do Gwadelupy, a wy?

— Do Kalifornji; mam na pokładzie P. Jakóba Arago, brata zna-

komitego Astronoma, na czele pięćdziesięciu osób przeznaczonych do zbadania tamtych stron.

— Zapewnij Pan ich, że nasze życzenia najprzychylniejsze towarzyszą im.

— Dziękuję Panu w imieniu wszystkich.

Dzieciństwo, powiesz?.... Tak, to dla tego, że nieodbywałeś nigdy dalekich podróży na téj ogromnéj wód przestrzeni; że nie przerzynałeś nigdy Sahary, tego drugiego Oceanu piasku, który ma swe burze, swą ciszę, swą odrętwiałość, i strzeże również święcie jak jego brat ofiary symunu, któremi się karmią zgłodniałe pantery; to dla tego, że nie możesz pojąć szczęścia Araba na czatach, skoro wielbląd zapowiada przez swój chód rzeźwiejszy zbliżenie się karawany ryzykownéj; o! wtedy wdzięczny pielgrzym rzuca się na kolana, obraca się na wschód, i składa dziękczynienia Mahometowi, który mu wyciąga pomocną rękę.

Dozwól nam więc tych radości, niepojętych przez tylu ludzi, i ciesz się, przeciwnie, z naszego uśmiechu, gdyż to o was nam mówią, gdyż zasięgamy wiadomości o przyjaciołach, ojczyźnie, rodzinie. Milczenie nie jestże często boleścią i karą razem?.... I oto, patrz!

Gazella jest jeszcze tam, na naszych wodach, zatrzymana ciszą zupełną. Szczęśliwa myśl powstaje w głowie P. Curet, który zwykle nie myśli wcale: puszcza on łódkę na morze i chce poruczyć swoje listy P. Fisquet; mamy zaledwo kilka minut czasu do napisania; pióra biegą, serca biją, stronnice się zapełniają.

Listy są odprawione; posyłam mą kartkę wizytową dzielnemu dowódzcy statku, który mnie przysyła swoją, i zdaje mi się, że rozstaję się z przyjacielem.

To dla tego, że wszystkie rzeczy morskie są poważne, jak ci już powiedziałem; to dla tego, że jest poezja tak w pieszczotach jak w groźbach morza, i że ślad, który tak prędko znika po za nami, pozostawia nam drogie i wielkie pamiątki.

Ale, ponieważ *Edward*, ten leniwiec, nie postępuje daléj od trzech dni, pozostawmy go w jego ciszy. Kiedy się żyje w niezgo-

Inst. Geografii i Przestrz. Zagospod. BIBLIOTEKA CBGiOŚ PAN

dzie, najmędrzéj się rozłączyć, bez nienawiści jednak i złorzeczenia: ta filozofja warta może tyle co każda inna. Opowiadam daléj.

Edward jest dobrym chłopcem, znacie go; znacie także człowieka, który czyni wam swe zwierzenia; znajcie również i kryjówkę, z któréj on wam ich udziela: jestto obraz Rembrandta.

Podnieście nogę, uchylcie głowy, jesteście u mnie. Nie probujcie postąpić krok daléj, chcielibyście rzeczy niepodobnéj. Bóg nawet tego sobie zabronił. Wiecie już, że moje łóżko jest szufladką od 65 centymetrów (*) szerokości i pięciu stóp, ośm cali długości. To cała długość izby. Co do kufra, ten zajmuje połowę szerokości, to jest, trzy stopy; co za ambicja!

Jeżeli mieszam metry ze stopami, to dla tego, żeby się nie pokłócić z żadnym systematem: polityka jest wyborną szkołą.

Wstępuję do mojéj szuflady za pomocą taboretu, służącego za piérwszy szczebel, i krzesła, które mi pozwala usiąść bokiem i rozciągnąć się na mém prześcieradle, jedném tylko; na cóż dwa, na tak małą przestrzeń?

Ażeby zaciągnąć na pręcie żelaznym kawałek czegoś, w kształcie firanki, koloru żółtego z czerwoną obwódką, przytwierdzono lisztwę w górze izdebki tym sposobem, że potrzeba, iżby moje ręce poprzedzały bezustannie moję głowę, jeżeli niechcę zyskać guzów lub pokiereszować siebie ranami: zresztą, téj niedogodności doświadczam przy każdém poruszeniu, cokolwiek żywszém, którego sobie dozwalam, gdyż wszędzie są wydatności, i nieszczęściem, są one z drzewa lub żelaza, a architekt nie myślał wcale o zaokrągleniu ich, może niestety! w przewidzeniu mojéj podróży do Kalifornji.....

O Architekcie! żebym to ja wiedział twe nazwisko!

Moje posłanie, na cztery i pół stopy od podłogi, składa się z prześcieradła, poduszki, materaca na deskach i woreczka z sło-

(*) Półtora łokcia pol.

mą siekaną służącego za wałek pod poduszkę..... Przy odjezdném zapomniałem takiego wałka. Wszelka nieprzezorność przynosi swój owoc.

Dla zapobieżenia skutkom zbyt mocnego kołysania się okrętu, wsuniono pomiędzy ściany wewnętrzne mojéj izdebki i materac, deskę, służącą mi za oporę, gdyż bez niéj byłbym już wrzucony do składu żywności, będącego przy wejściu do mojego wspaniałego Luwru, skąd dobytoby mię zapewne dla tego tylko, żeby mię wyrzucić rekinom..... Otoż teraz jestem ochroniony, zabezpieczony, żarłoki będą pościć.

Podemną, na równi z podłogą, okręcony swemi owczynami, leży ów pojętny Saintin, o którym jeszcze będzie mowa przed końcem kampanji. Gdy podniesie głowę, uderza się często o moje nogi, zwieszone z łóżka; jeśli ją wysunie nieostrożnie z swéj framugi, odbiera ciosy od taboreta, od krzesła, od butów i od lisztwy kilkocalowéj, która mu służy za pudełko.....

Biédny Saintin, święty Piotr czeka nas tam w górze, żeby nam dać więcéj powietrza i przestrzeni; musi tam w raju być przestronnie.

Róbmy daléj nasz przegląd, zaledwo dałem początkowy jego rys.

Na lewo, jak ręką dostać, kazałem zrobić dwie małe przegródki, jedną na moje ołówki całe, drugą na ołówki zużyte; te ostatnie są bliżéj mnie: wdzięczność jest piérwszą moją cnotą. Bliżéj trochę głowy, panuje otwór, czy też okienko, które mi udziela powietrza. Na prawo, blisko węzgłowia, jest drugi składzik, gdzie mieszczę moje album, to drogie narzędzie, za pomocą którego zbieram moje samotne myśli, dla udzielenia ich potém moim przyjaciołom..... Nie winienemże mu za to złożyć podziękowanie?

Pod tą policą jest mały kuferek, na którym stoi naczynie cynkowe z swą miednicą; miednica i naczynie do dwóch rozmaitych użytków. Wyżéj, w tym malowniczym magazynie, zawieszony szary pilśniany kapelusz z szerokiemi skrzydłami, tak jak Figara, dotykający prawym brzegiem kapelusza miejskiego, a lewym kapelusza słomkowego,

zapomnianego tam przez Amenaidę, którą mógłby skądinąd skompromitować ten zastaw, tém bardziéj, że ze środka jego wygląda kapciuch na tytuń i butelka kauczukowa.

Czy to już wszystko? Czekajcie, oto jeszcze chustka biała wełniana niepospolitéj wielkości, która otacza wszystkie te przedmioty jak girlanda z lilij i zdaje się być łańcuchem pojednawczym, przeznaczonym do połączenia fraszek z uczuciami. W rodzaju arsenału, widzisz u stóp łóżka, mocno przytwierdzone dwa pistolety, szabla i fuzja, które dadzą się we znaki Czerwonym Skórom, kiedy te będą szukać z nami zaczepki. Saintin widział Arabów Oranu i Sahary. Potém jeszcze miedniczka, obok któréj idą porządkiem brzytwy, nożyczki, szczotki, grzebienie, mydło, scyzoryki, piłki do paznogci, pęzelki, butelki z atramentem, cybuchy, lunety, flaszki z rozmaitego rodzaju balsamami, gąbki, szczoteczki do zębów: nad wszystkiém tém panuje waza katalońska z cyny, drogi dar familijny, który mi będzie towarzyszyć w powrocie, albo służyć za ciężar, kiedy mię wrzucą do morza..... Nawet po śmierci chcę być w dobrém towarzystwie.

Zobaczmy, nie zapomniałżem czego? A! tak: paka jeszcze pół trzeciéj stopy szerokości, zamykająca w sobie książki i nasze pieniądze..... Książki całkiem ją zapełniają. Na podłodze nasze obówia, trzewiki, buty i pantofle, pomieszane razem z odzieniem zapomnianém przez służącego, ulubione nasze towarzystwo, które będziemy mieli czasu zużyć w kopalniach i na Górach Skalistych, co się zdają od nas uciekać niewdzięczne! Cicho! oto skład na żywność; to szczupłe, bardzo szczupłe; dowiecie się zaraz do czego on służy; niémasz biédnego, któryby nie mógł robić cokolwiek dobrego.

A teraz przychodzą odwiedzający, niekiedy nawet odwiedzające. Tu obraz jest czarowny. Znacie obszerność pałacu, a więc możecie się domyślać. Przychodzi ktoś pode drzwi, daje mi dobrydzień, wysuwa głowę; odpowiadam mu, i po wszystkiém. Przychodzi drugi, piérwszy znika; głowa światłowłosa zamienia głowę ciemnowłosą, przyjacielskie dobrydzień powtarza się, i trzeci odwiedzający poprze-

dza czwartego, po którym następuje kilku innych, od których otrzymuję zaledwo jedną syllabę ukradkiem.

Co do okienka, służy ono do rozmaitego użytku; tu kochany skład gra pewną rolę; pukają: otwieram..... Naczelnik robotników, przyjaciel, majtek ściskają mi rękę, zamieniamy uprzejme słówko tak miłe dla ucha; a potém, jestem mało jedzący, moja porcja przewyższa mój appetyt; zaoszczędziłem sardynkę, kartofle, ciasteczko, filiżankę kawy; wysuwam powoli te bogactwa, dziękują mi, błogosławią, a kosztowało mię to tak mało..... resztki niegodziwego obiadu, którego brytan mojego podwórza niebardzo chciałby spożyć.

Oto trzydzieści pięć dni jak wyruszyliśmy; jeszcze sześć miesięcy podobnego życia, wygód tak zbytkowych, a pożegnamy izdebkę, wodę słoną, szufladę, okienko, suchary, kołysanie się okrętu w poprzek i wzdłuż; jeszcze sześć miesięcy, a nowe życie będzie otworzone naszéj wędrownéj ambicji; jeszcze sześć miesięcy, a nasza noga, przyzwyczajona do morza, stanie na stałym lądzie; jeszcze sześć miesięcy, a Amenaida nam wyzna, że brat nie jest bratem, i że namiętności są obywatelkami świata..... Wiedzieliśmy już o téj wielkiéj prawdzie pierwiéj od niéj. Sześć miesięcy w strefie gorącéj i pomiędzy lodami bieguna południowego.

Czémże są sześć miesięcy dla tego, który myśli o wieczności?....

PRZEJŚCIE PRZEZ RÓWNIK.

Rozmowa. Upadek Amenaidy. Praczka. Potém mężatka

—

Jeżeli niebo dało mi życie dla walki ciągłéj z namiętnościami i żywiołami, to nadewszystko na morzu chciałem tę walkę odbywać.

Tu przynajmniéj kłótnia jest zawziętą, i ponieważ nasz przeciwnik jest groźnym nawet pośród swych grzeczności, łatwo pojąć, dla czego powinniśmy być uzbrojeni od stóp do głowy.

Pomocniki fal są straszliwe: jestto prąd, którego nam niepodobna wyrachować szybkości; jestto skała podwodna, którą polipy powiększyły, i która rozdziera nasz spód miedziany; jestto brzeg niegościnny, na który prąd nas wyrzucił bez najmniejszego powiewu wiatru; jestto huragan, co ryczy; jestto piorun, co nam grozi spaleniem; jestto trąba, która nami kręci i igra z nami jak z bańką mydlaną.

Tu nic nie jest z nami i dla nas, chyba tylko odwaga, krew zimna, rezygnacja.

Przedwczoraj, wspaniała burza ciężyła nad *Edwardem* nieruchomym, i piorun, jak przestroga, igrał na widnokręgu ognistemi wstęgami, pośród chmur i fal, zdających się mieszać z sobą. Następny dzień był dniem smutnym, pomimo obecności kilku okrętów, czekających jak my na wiatr przyjazny.

Niebo szare, nizkie i zamglone płakało bezustannie; nie mogliśmy wyjść na pokład, a nie możecie mieć wyobrażenia o tém przykrém uczuciu, jakiego się doznaje w tém przymuszoném zamknięciu, kiedy muszkuły zostają w zupełnéj bezczynności; kiedy myśl wyrywa się naprzód, jak rumak nieposkromiony.

Ale oto muzyka z trąb i rogów odzywa się wesoło z bocianiego gniazda; milczenie panuje pomiędzy osadą i głos grzmiący zapytuje.

GŁOS.

Kto tam?

KAPITAN.

Ja!

GŁOS.

Powiedziałem: Kto tam?

KAPITAN.

Odpowiedziałem: ja.

GŁOS.

Ja, to głupstwo; ja, to kapusta, rzepa, cybula, lina, wiosło; ja, to każdy i nikt; jakież jesteś *ja?*

KAPITAN.

Ja, Curet, rodem z Seyne, departamentu Var.

GŁOS.

Jakto! to ty Curet?

KAPITAN.

To ja.

GŁOS.

Jakżeś ty brzydki, mój chłopcze, i jeżeli takiego gatunku jest wielu w twoim kraju, żałuję mocno biédnych młodych dziewcząt.

KAPITAN.

A jednak, jestem żonaty.

GŁOS.

Powinieneś nim być.

KAPITAN.

Co rozumiesz przez te dwuznaczne słowa?

GŁOS.

To do ciebie nie należy..... Powiedz mi, Curet, twój okręt przebył już równik?

KAPITAN.

Nie.

GŁOS.

Nie!..... Oj! Curet, Curet, niebezpieczeństwo ci grozi. Ale chcę być dobrym Monarchą i moje postępowanie zależeć będzie od twojego. Przyjmij jak należy mojego kurjera, i niech on mi przyniesie twą odpowiedź..... Żegnam cię..... Słowo jeszcze: gdzie dążysz?

KAPITAN.

Do Kalifornji.

GŁOS.

Czy wieziesz z sobą złoto?

KAPITAN.

Jadę go szukać.

GŁOS.

Masz tylko mężczyzn z sobą?

KAPITAN.

Mam i kilka kobiét.

GŁOS.

No, to będziesz miał i złoto; gdyż potrzebują żon w Sakramento; twój ładunek jest dobry.

Kurjer jawi się na pokładzie i oddaje Kapitanowi list następnéj treści:

«Rafalus — Uraganus wręczy ci ten list, który posyłam żeby się dowiedziéć, czy twa skorupka jaja przebyła już równik; jeżeli przebyła, płyń sobie daléj; jeżeli nie, moi majtkowie zbrojni przewrócą twój statek, skoro nie usłuchasz mych rozkazów. Wiém, że ty jesteś tęgi zuch, który kpisz sobie z trąby morskiéj jak z trąbki tytuniu; ale ponieważ pójdziesz głową na dół, co jest rzeczą trochę żenującą, potrzebujesz pomocy i ja ci ją ofiaruję.

Bourge, Król równika.

Kapitan obiecał zastosować się do przyjętych zwyczajów, a wtedy, niedźwiedź biały, na którym siedział Rafalus-Uraganus, przebiega pokład, rozdziela kukse, batogi i łajanki wszystkiemu, co się przeciwi jego przejściu.

Słońce wschodzi jak kula ognista, co ma świat zapalić. Baczność! Oto prezydent, Król, Samowładca, Najwyższy Kapłan, sułtan, szach równika, obok swojéj małżonki.

Co za małżonka, wielki Boże!

Oj, żoneczka to prześliczna!
To relikwja fantastyczna;
Ma sześćdziesiąt tylko latek,
A choć włosów niedostatek,
Ale za to siwe, krótkie;

Dwie powieki czerwoniutkie
Osłaniają dwoje oczek,
Z których jedno aż w obłoczek,
Drugie w dół na ziemię patrzy.

Oto jeszcze kapłan, notarjusz, djabli, ołtarz, ceber wielki z wodą, wszystko zasłonione przed oczyma profanów, mających otrzymać absolucję.

Formuła jest prosta:

— Przysięgaj, że nie będziesz nigdy stroił koperczaków do żony marynarza.

— Przysięgam.

Deska, na której siedzisz, przewraca się, znikasz, wydobywają cię, jesteś już poddanym Króla równika. Nadto, ponieważ kapłan nie chciał zmienić formuły, damy bez wielkiego oporu wykonały przysięgę i jestem pewny że będzie dotrzymaną.

Wszakże jedna z nich opiera się; znajduje, że wyrażenie formuły (które tutaj podaliśmy przez omówienie), jest zanadto marynarskie, wzbrania się wymówić tych cztérech obrzydłych liter, i buch! zanurzają ją, dobywają i jeszcze raz zanurzają w nieszczęsnym cebrze.

Biédna Amenaido! Otoż jesteś zupełnie odartą z poezji; otoż jesteś traktowaną jak Besnard, jak Crespel, jak Muller, jak wszyscy urwisy osady; *sic transit gloria mundi.*

Ale, niestety! Ofiara była rozpoczętą. Już ty przyjęłaś swój upadek, o Amenaido! i każdy z tych panów pamięta, że widział cię, kilku dniami przedtém, bez pobożności w sercu, bez różańca w ręku, bez miłości w duszy, przed klassyczną baleją, myjącą pod słońcem zwrotnikowém pończochy, koszule, kamizelki i aż do nędznych szlafmyc pasażerów, którzy się nikczemnie targowali z tobą o ofiarę.

Przebacz mi więc, Amenaido; ale obiecałem historję, i gdybym raz skłamał, nie wierzonoby szczerości żadnego z moich słów. Zresztą, osada jest tam, z oczyma otwartemi, i młodzi ludzie, którzy ją składają, przebijają wzrokiem wszystkie zasłony.

Amenaido, poddaj się twemu przeznaczeniu. Moje milczenie odtąd odpłaci ci za tę ostatnią stronnicę. Ty nie istniejesz już dla *Edwarda*; ty należysz w przyszłości do strzelca Oregonu, albo do Skór-Czerwonych, które cię z radością obwołają swą królową.

P. S. Dowiedziałem się przed kilku dniami, że Amenaida, którą napróżno szukałem w kopalniach, została szczęśliwą małżonką młodego, pięknego, bogatego i pełnego ufności Meksykańczyka, którego jest chlubą i szczęściem. Niémasz drzew pomarańczowych w Kalifornji; wieniec ślubny Amenaidy nie był zapewne bielszym od jéj duszy.

. . . . . .

Historja, filozofja, wiatry gwałtowne, niebo jasne, rozrywki okrętowe, wszystkiego wam dałem po trochę w tym rozdziale: czemużbym odmówić miał wam trochę Amenaidy, którą Muller dzisiaj jeszcze zapewne opłakuje, i o któréj zachowuję, ja także, przelotną pamięć?

Widnokręgi ogniste, odgłosy burzy, wyspy różnobarwne, groźby ludożerców, radość powrotu, pozostawiają mało miejsca w duszy przechodnim uczuciom..... Amenaida będzie wyrozumiałą dla mnie, jak ja jestem miłosiernym dla niéj: miłosierdzie jest zaraźliwe.

KOLOS.

Besdnar. Jego języki. Uczta. Poezja Besnard'a.

—

Nie jest tu mowa o kolosie Rodyjskim, pomiędzy nogami którego żeglowały okręty z rozwiniętemi żaglami; nie jest tu mowa także o jednym z tych ludzi Centaurów, brudnych, ogorzałych, otyłych, koczujących, którzy od przylądku Horn przebiegają szyczy jak Pam-

pero przestronne równiny Paragwaju, swe jałowe podboje; nie, nie. Patagonja niéma ludzi takiego wzrostu jak ten, o którym wam chcę mówić, i którego *Edward* długo, upewniam was, przechowa pamięć.

Niémasz potrzeby podnosić głowy, żeby być na równi z jego czołem, przeciwnie; a jednak jestem logiczny, kiedy mając mówić o nim, wspominam wam o Patagończykach i kolosie Rodyjskim.

Nie zawsze wzrost czyni panującym: patrz na dąb doliny, patrz na krzew rosnący na górze. Tak samo Besnard, nasz kolos Besnard nie zdaje mi się być nigdy mniejszym, jak kiedy zmuszasz go do wstąpienia na kołowrot, kiedy otrzymujesz od niego jedną z tych natchnień demosteńskich, których pozazdrościłby mu Mirabeau.

Nazwałem Besnard'a; Besnard, dwie syllaby, siedm liter, nic więcéj: i cóż! one jedne, te siedm liter streszczają w sobie wszystkie nauki, wszystkie zdolności, wszystkie rozumy. Pic de la Mirandole znika z moich wspomnień; Berzelius, Humboldt, Cuvier, Laplace, Monge, Byron, stają się atomami; Napoleon zostaje bez czci; Hugo, Lamartine, Chateaubriand, niemają ni kadzideł, ni ołtarzy; Besnard jest gąbką hiperboliczną, która ściera całą tę przeszłość; Besnard, nasz przyjaciel Besnard, jest naszą miłością, naszą pychą, a nadewszystko naszą chlubą.

Nie miał on się z nami zabrać. Niewiém przez jakieś opłakane nieporozumienie nasze zaślepione towarzystwo chciało go ukarać ostracyzmem; ale ja, którego czoło opromieniło się jego żywém światłem, postanowiłem wrócić go do czci, myśląc o tym poczciwym Arystydesie, tak nikczemnie wygnanym przez Ateńczyków; i mówiłem sobie: wieki idą, ale z niemi także idą nadużycia, niesprawiedliwości, hańby, tyranje.

Besnard, Arystydes, jesteście teraz przykuci do jednego łańcucha, przeznaczeni do jednej nieśmiertelności.

Karty historji są tablicami miedzianemi; jeżeli dzieło moje mię przeżyje, tobie jednemu będę za to obowiązany, Besnard, o Besnard!

moja miłości, o Besnard! moja pociecho, ledwo że nie powiem, moja nagrodo!

A więc Besnard nie miał nam towarzyszyć do Kalifornji, a więc San-Francisco miało się zasmucić naszém niegodziwém postanowieniem i okręt okryć się żałobą.... Jednym razem lokomotywa drogi żelaznéj syczy z radością głośniejszą, Rouen się weseli, Havre przyozdabia się w swe najpiękniejsze ubrania świąteczne, *Edward* podskakuje zalotniéj w zatoce, Besnard przybył.

Dzienniki o tém mówią, *Brindeau* (Brędo) to ogłasza w swém piśmie urzędowém, właściciel okrętu upewnia o tém wszystkich, a jednak są jeszcze niedowiarki; gdyż potrzeba, niestety! żeby dobre nowiny sława nieraz ogłaszała dźwiękiem trąby na wszystkich wieżach. Ale niepodobna wątpić. Widziano Besnard'a, pokazywano go sobie palcem, a potém spotkano w Paryżu trzy Arjadny opuszczone, dążące ku *Pont-Neuf* dla zmierzenia jego wysokości. Besnard jest w Hawrze, Besnard ma wsiąść na okręt, Skóry-Czerwone zobaczą Besnard'a. Szczęśliwe Skóry-Czerwone!

Oto on, pod naszą ręką, co się z nim pieści; pod naszém słowem, co go magnetyzuje; pod naszemi pocałunkami, co go zapalają; należy on do nas, do nas jednych; będziemy mogli cieszyć się nim do woli przez sześć miesięcy, przez ośm, przez dwa lata. Jak dni nam prędko upływać będą, o mój Boże! Ale jakież szczęście jest wieczném?

Wszelako, nasz towarzysz podróży Besnard nie należy do towarzystwa Argonautów, których przygniata całą swoją wyższością, niepodobna nam było, nawet na jego korzyść, odmienić piérwszego naszego postanowienia, i niémam prawa inaczéj cieszyć się Besnardem, jak tylko jako jego sąsiad. Iluż Paryżan, ileż Paryżanek nadewszystko pozazdrościłoby mojego losu!

Patrz jednak do jakiego stopnia posunąć się może okrucieństwo plagi morskiéj! Choroba morska, ta przebrzydła choroba morska nie oszczędziła Besnard'a, i niektórzy widzieli go skręconego jak węża, napełniającego swą izdebkę odartą z poezji bolesnemi jękami i zapominającego o swych językach wędzonych.

Macie bowiem wiedzieć, że Besnard ma języki: ma on je spakowane w skrzynkach, nad któremi czuwa jak Argus nad złotém runem. Języki Besnard'a, jego kiełbasy, jego groch, jego fasole nadewszystko, oto jego materjalna istność. Ciało jego żyć będzie tam, na brzegach Sakramento, za pomocą tych preparacij kuchennych; umysł karmić się będzie obrazami czarownemi, które się rozwiną przed jego oczyma, i ujrzycie za jego powrotem piorunującą epopeję, którą wszystkie *języki* europejskie przełożą na swój sposób.

Nieprawdaż, czytelniku, że to jest dziwnie rażący kontrast, i że wyrazy: języki, fasole, kiełbasy, groch i bob, obok tych dwóch dźwięcznych syllab *Besnard*, wyglądają jak plama tłusta na sukni z białego atłasu; jak brodawka na pięknéj twarzyczce; jak półwiersz kulejący na stronnicy Ségalas lub Mer'ego?

Ale cóż chcesz? nasze życie tak utworzone, i skała pochylona panuje często nad łąką ustrojoną w kwiaty.

Besnard, odwołuję się do tych, co mię otaczają, jest jednym z tych ludzi wyjątkowych, którzy umieją nadać dowcip temu, co go niéma i znaczenie rzeczom będącym bez żadnego związku. Besnard znalazł słowo zagadki tam, gdzie autor prawi niestworzone rzeczy, i widziałem go, ja który do was mówię, który chcę przedewszystkiém, żeby mi wierzono, widziałem, powiadam, jak Besnard lepiéj niżeli jaki Newton odpowiedział na pytanie, które mu ośmieliłem się jednego dnia zadać:

«Kiedy dyftong kulejący znajduje się niezgrabnie przyczepionym do zakrętu koła kwiecistego, i kiedy pierścień przekątny pęka bez celu i bez obuwia, co z tego wynika dla ekliptyki, ukrytéj pod postacią ofiary kobiecéj?»

Każdy inny niżeli Besnard zadrżałby; ty sam, uczony myśliciclu, co przebiegasz te karty, zostawałbyś bezwątpienia w wielkim kłopocie. I cóż! bez namysłu żadnego, bez omacków, zupełnie jak natchniony, Besnard rozwiązał zadanie, i odtąd pozyskany dla nauki.

Ale jakież niebo jest bez chmur, jaki widnokrąg bez mgły, jaki gienjusz bez Zoila? Besnard musiał uledz prawu powszechnemu i uczuć ukąszenia trutniów, prześladujących wszelką sławę, zażartych przeciwko wszelkiéj wziętości.

Od wymówek przyszło do przekąsów, od przekąsów do potwarzy; złe namiętności rosną jak śnieżne kule. Besnard byłby niezawodnie wyzutym z swéj potęgi, gdyby jaka siła mogła obalić Mont-Blanc, gdyby ramię człowieka zdolne było oprzeć się spadowi Niagary.

Besnard, opadnięty, lżony, zanic ważony, wyszedł jednak zwycięzko z walki, i odtąd tron jego stał się ołtarzem; nie podziwiają już go, ale uwielbiają.

Pojedynek miał miejsce pomiędzy dwoma zapaśnikami równie walecznemi, z których jeden był za Besnardem, drugi przeciw niemu; niegodna walka masztalerska, boksy tragarskie, gdzie pięść grała główną rolę, gdzie oko jednego z przeciwników odebrało cios, który zostawił po sobie ślad czarny, żółty, błękitny, okalający powieki i jagody. Besnard się wmieszał pomiędzy walczących; dzielném ramieniem usiłował rozdzielić dwóch zapaśników; ale, niestety! wszelka wspaniałomyślność kosztuje drogo: Besnard odbierał na prawo, na lewo, po głowie, po łopatkach, po goleniach kułaki, które dwaj przeciwnicy sobie wymierzali.

O La Fontaine! ty będziesz zawsze najgłębszym z naszych moralistów; Besnard idzie po tobie.

Zdarzyło się tu co bajkopis przewidział: nienawiść zobopólna walczących zgasła we wzajemném uściśnieniu rąk, i oto szlachetny poświęcony gburowi.

Drugi jednak pojedynek na puginały, pistolety, szpady miał nastąpić; jako naczelnik wyprawy byłem o tém zawiadomiony; serce moje wskazało mi mą powinność, szlachetność wielkiego Besnard'a miała dokonać reszty.

— Przyjacielu, rzekłem do mojego przyjaciela, krew ma popłynąć; żona, ciotka, siostra, krewna, kochanka, matka może, okryją

się żałobą; możemyż nakazać milczenie naszym uczuciom wspaniałomyślnym?....

«Przyjacielu, przyjacielu, przyjacielu. Czuwajmy, żeby okręt nie został polem mordu, żeby fale nie stały się grobem; rozbrójmy serca nadto zajątrzone, bądź tęczą, zwiastunką dni pogodnych i nocy przejrzystych; jedném słowem: pogódź gorączkowych zapaśników i niech twoja obecność pomiędzy nami będzie dobrodziejstwem.»

Nie trafiłem prosto w cel: żyłka czuła Besnard'a nie zadrgnęła jeszcze.

— Jestem silny mojém prawem, odpowiedział mi z swoją zwykłą wymową; nie żądam niczego więcéj, jak żyć po przyjacielsku z nimi wszystkimi i z innymi; ale pojmujesz to, panie Arago, i gdybyś widział moje udo, przyznałbyś sam, że raz, który otrzymałem, nie facecja; dla tego chcę, żeby powietrze, którém tutaj oddycham, stało się dla mnie trucizną, jeżeli postąpię na cal do zgody. Jestto wyrok bardziéj niecofniony niżeli Szaktasa.»

Cóżbyś uczynił na mojém miejscu? Bezwątpienia to, co ja uczyniłem: rzuciłem się w przyjacielskie ramiona mojego przyjaciela; wezwałem łez na pomoc, prosiłem, błagałem w imieniu ojczyzny, rodziny. Uczułem serce ludzkie bijące w piersi ludzkiéj; łzy jego zmieszały się z mojemi; łzy moje potoczyły się po jego licu, i z tego nadspodzianego zmieszania zrodziło się postanowienie następne, które mi przypomniało przewagę Cycerona, którego znasz zapewne *oratio pro Murena*.

— Pojmuję, przyjacielu, twój przestrach nerwowy, i moją powinnością jest położyć mu koniec. Wydajmy ucztę. Ty, przyjacielu Arago, dostarczysz szampańskiego, ja ofiaruję języki, i spodziewam się, że u naszego stołu ręce się ścisną tak..... jak..... czyni się to, kiedy nienawiść, któréj nie miano..... istnieje po przyjacielsku!

Towarzystwo okrętowe niczego też więcéj nie żądało; miało języki, miało kiełbasy, Besnard przyznawał się do winy, zwycięztwo nie mogło się nam wymknąć: Besnard był bohatérem.

Nie widzieliście nic, wy Paryżanie zepsuci waszemi galami perjodycznemi, gdyż nie widzieliście zachwycającego widoku, jaki przedstawiało towarzystwo przodu okrętowego pod niebem błękitném, śród widnokręgu jaśniejącego, w połowie osłonione żaglem, który naczelnik robotników *przyjaźnie* zawiesił pomiędzy linami.

Patrzcie, to słabo, niedokładnie, to zaledwo blady rys; ale słuchajcie.

Trzy rodzaje arystokracji zasiadają na ławie: arystokracja talentu, Besnard; arystokracja pracy, Bourge; arystokracja nieszczęścia, ja. Przed nami kołowrot, a na nim półmisek, w którym mogło cóś być, ale już nic nie było, potém trzy tuziny butelek, które oczekiwały tylko na znak, żeby takoż zostać próżnemi.

Sześćdziesięciu ludzi najmniéj, z których jedni zawieszeni na linach, drudzy zajmujący przód okrętu, większa część siedząca okrakiem na przednim maszcie, tworzyło grupy dziwnie malownicze, i żebyście wiedzieli w jakich ubiorach! Burnosy, czapki aksamitne, koszule czerwone, żółte, jaskrawe, szyje okręcone w chustki najrozmaitszych kolorów, majtki kroju mitologicznego, pręgowane we wszystkie kolory tęczy, buty jak do konnéj jazdy, sandały, trzewiki, pantofle albo drewniane obuwia, okrywające nogi bez pończoch, albo pończochy na nogach cyklopowych jak nogi Besnard'a; brody długie, widełkowate, włosy à *la malcontent*, artystycznie ułożone przez biegłą rękę; pasy czarnoksięzkie, za któremi stérczą zużyte kordelasy, służące do rozcinania łykowatych mięs, podawanych codzień na stół zgłodniałych biédaków; i z pośrodka tych dziwacznych strojów, których słupy rynku paryzkiego i galerje Tamplu, za zbliżeniem się nowego roku, dałyby tylko słabe wyobrażenie, wychodzą głosy grzmiące jak trąby, dźwięki organiczne podobne do dźwięków Bufleta, zstępującego trzema notami niżéj grzmotu, albo perły fletowe, podobne do pereł Crespel'a, które wziąłbyś za nótę miłosną narzeczonéj, liczącéj szesnaście wiosen..... Potém jeszcze, wrzaski i ryczenia wszystkich zwierząt stworzenia: koguta, kury, wołu, sowy, lwa, cze-

czotki, i Besnard panujący nad tą całą wrzawą, skoro tylko giestem dał poznać, że ma chęć mówienia.

Wszystko to jest zimne, bezbarwne, bez życia; wszystko to jest, niestety! opowiadaniem ślepego, który nie widzi ognistych spojrzeń, krzyżujących się z sobą, pełnych wyrazu giestów, zamieniających się z sobą, koziołków, susów Szampjonów, Dubanów, u których płomyk czerwony na piersiach zapowiada serce patrjotyczne. O moi przyjaciele! Ileż wdzięczności winne wam cielęta morskie, które gromadami tłoczą się koło okrętu i igrają śród fali pienistéj, która podnosi się, żeby usłyszéć wasz koncert piekielny!!!

Ale, cicho! oto języki Besnard'a, oto kiełbasy Besnard'a, oto kiszki Besnard'a, i gospodarz drży z radości i czoło jego okrywa się rumieńcem skromności..... Mówią mu rzeczy najpochlebniejsze, zarzucają go madrygałami, pełnemi zachęty na przyszłość, i wena jego nie słabnie; odpowiada wszystkim, stawia czoło wszystkim: jestto źródło niewyczerpane.

Czémże jest przy nim Cezar, dyktujący razem czterem sekretarzom? Niech się schowa Cezar!

— O Besnard, jak twe języki są wyborne!

— Ach! panowie, to nie moja wina.

— O Besnard! jakie twe kiełbasy soczyste!

— Ach! panowie! kosztują mię też sowicie.

— O Besnard, jakie twe kiszki smaczne!

— Ach! panowie, zawstydzacie mię, ale przymieszałem tu cóś swojego.....

Na te słowa, wołania, klaskania, stukania nogami, hurra szalone całéj menażerji, uwieńczone improwizacją Besnard'a, u którego wiersze wydobywają się wszystkiemi porami.

Tymczasem Szampańskie przybywa, a gdy noc razem z nim przybywa, gdy poeta za nadto śmiały wyjąkał rymy bohatérowi uczty, gdy ten ze swéj strony zmuszony jest odpowiedziéć na nie, i na tymże arkuszu swe natchnienia umieścić, cisza panuje przez

kilka minut i Delamarre czyta; sądziłbyś że jest na scenie, dawaj oklaski.

. . . . . .

Biédny poeta! Iść obok Besnard'a, który leci! To chrząszcz latający obok orła!.... Przebaczcie mu, on ślepy; wiecie o kim mówię, dwuznaczność jest niepodobieństwem.

Oto Besnard; przysiągł on nam, pod słowem honoru, że nie poświęcił dwunastu godzin na utworzenie tego arcydzieła..... Mówię to wam pod sekretem, Besnard się chlubi:

Wasza wola, przyjaciele,
Stawia mię tutaj na czele,
Héj! śpiewajmy więc wesoło,
Niech piosenka zabrzmi wkoło....
Tra la la tra la la la la la.... (bis).

Wczoraj w wieczór niemiła
Awantura się zdarzyła,
A nim tam przyszło do zgody,
Piętą w tył dostałem wprzódy.....
Tra la la tra la la la la la (bis).

Co ja tutaj powiadam,
Na to dowody składam,
Patrzcie, znak ten egzystuje,
Co mię nie bardzo raduje.....
Tra la la tra la la la la la (bis).

Reszta temu podobna: trzydzieści sześć strof poezji ubolewającéj!

Chciałem poszarpać moje wiersze przed Besnardem i wrzucić je do morza; ale szlachetny jak wszystko co rozciąga opiekę, Besnard oparł się temu najsilniéj, powiadając że ponieważ jego mają być ogło-

szone, nie widzi, dla czegoby ten sam zaszczyt nie miał spotkać innych.

— Każdy musi cóś swojego przyłożyć, zawołał swoim głosem Stentora, jakim zwykle mówi; nie każdemu to dane..... Pojmujesz, że wiersze, to rzecz ciężka..... Nie robią się one jak trzewiki lub języki.

Nowe oklaski rozległy się. Wielbiciele porwali Besnarda, podnieśli go na swych ramionach, obnieśli cztéry czy pięć razy wkoło *Edwarda*, potém postawili na kołowrocie, skąd wznosił się nad tłumem. Tu kończą się moje zwierzenia. Są plamy na słońcu, i jakkolwiek harmoniczny głos Besnarda, jakkolwiek wielkie jest niebezpieczeństwo walczenia z nim, oświadczam, że na jego miejscu wybrałbym godniejsze przedmioty, piosnki mniéj erotyczne, treść mniéj żartobliwą. Powiedziałem: są plamy na słońcu.

Nazajutrz, patrzaj co za cud, nazajutrz, wszystko, albo prawie wszystko znikło jak sen. Nikt nie myślał o pojedynku, który tylko co nie zakrwawił pokładu okrętowego. Ślady walki na pięści, tak mocno wyryte na policzkach zapaśników, nie dawały się już widzieć, i koniec serwety umoczony w wodzie dowiódł nam, że jeśli przeciwnik był biegłym kolorystą, suche malowidła nie opierają się długo zamachom czasu i Wandalów. Besnard jeden zachował pamięć kłótni, dzięki jego nodze uszkodzonéj pobitym ćwiekami trzewikiem, i kochany przyjaciel, który napisał na swéj fuzji: *ex libris Besnard*, jest dzisiaj i będzie zawsze miłością, pieścidełkiem, pychą *Edwarda*, tak biédnego z powodu tego utrapionego Kapitana Curet.

M Y.

Trybunał honorowy. Rozkaz dzienny. Po grze, loterja. Żywność majtków. Upominania się. Szkoła politechniczna na okręcie. Oświadczenie. P. Comignan. Niezgoda na okręcie. Sądy paryzkie będą o tém stanowić.

—

Oto jesteśmy na równi z Rio de la Plata, rzeki potężnéj, po któréj buszuje *pampero*, ten równacz nieposkromiony, pędzący ku biegunowi południowemu, i nie zatrzymujący się pierwiéj aż nim zniesie wierzchołki piérwszych przegród, tych ogromnych lasów brezylijskich, które się rozciągają aż do brzegów Urugwaju.

Rano zwołany został przezemnie trybunał honorowy. Miałem sprawę z jednym z członków towarzystwa, domagałem się sprawiedliwości; ta wkrótce domierzoną została. Pomińmy szczegóły procesu; powiedziałem już: milczenie jest niekiedy nauką.

Oto dla czego trybunał honorowy: powziąłem myśl utworzenia go jeszcze przed odjazdem; zwierzyłem się z tém moim nowym przyjaciołom w dzień uczty pożegnalnéj, zgodzili się na to; cel mój łatwo odgadnąć.

Pięćdziesięciu młodych ludzi, pięćdziesiąt głów gorących, pięćdziesiąt serc namiętnych, chciwych złota, przestrzeni, niepodległości, a za prezydenta czoło obnażone, oczy ociemniałe: lękałem się.

Jakim sposobem zapobiedz niesnaskom, kłótniom, pojedynkom? Wiedziałem, niestety! ze smutnego doświadczenia, ile te ostatnie pozostawiają częstokroć dręczących smutków w duszy, a miałem zdać rachunek przed siostrą, matką, z powierzonych mi drogich im osób.

Utworzyłem trybunał honorowy; postanowiłem, żeby każdy mu podlegał, że nie będzie żadnéj appelacji od jego wyroków, i że najsurowszéj naganie podpadnie ten, coby się chciał od niego jakim sposobem wywinąć lub uwolnić. Ja piérwszy, powtarzam, zasiadłem na

ławce oskarżonych, a jednak pozostałem prezydentem szanowanym od moich towarzyszów podróży.

Dzień ten płodny w wypadki, nie porzucajmy go jeszcze.

Słońce schylało się ku północy, i kiedy Paryż przebudzał się do rozkoszy i kwiatów, *Edward* biegł na południe ku lodom i mrozom. Kiedy kilka zaledwo godzin przejrzystéj ciemności osłaniało Ateny zachodnie, my pod zimnym deszczem, pod mglistą strefą, oświeceni słońcem bladém i bez gorącości, staraliśmy się cofać pamięcią do długich wieczorów zwrotnikowych, przerywanych tylko pod niebem miedzianego koloru burzami, tak często odwiedzającemi tamte okolice.

Cóż robiliśmy wtedy? Co robili moi przyjaciele, którym się tak szczérze poświęciłem? Niestety! grali oni, rzucali na kartę, na kostkę, na domino grosz zaoszczędzony, który baczna matka włożyła w zawiniątko pielgrzyma. I niespokojność malowała się na czołach, i słowa przyjazne umilkały na ustach, i ręce ściskały się z niedowierzaniem.

Musiałem zrobić krok stanowczy. Zwołałem radę: postanowiliśmy, że wszystkie gry są zabronione. Obiecano nam posłuszeństwo; ale znacie przysłowie, tę mądrość narodów; nazajutrz gry hazardowne rozpoczęły się z nowym zapałem.

Nie mając żadnéj władzy nad pasażerami, którzy nie należeli do naszego towarzystwa, trudno mi było wstrzymać popęd rozszerzający zepsucie; dla tego dałem pokój, w nadziei, że lekarstwo zrodzi się z gwałtowności saméj choroby, oczekiwałem. Ale wydałem w końcu następny rozkaz dzienny, który sprawił lepszy skutek:

«Do Panów członków towarzystwa: J. Arago i Kompanja.

«Dowiaduję się z głębokim smutkiem, że nałóg gry, który obiecaliśmy porzucić, trwa ciągle i zagraża nam niebezpieczeństwem na przyszłość.

«W imię moralności zagrożonéj, zaniechajmy gry, panowie, jeżeli chcemy zachować prawdziwe braterstwo pomiędzy sobą; gdyż niepodobna, żeby bolesne uczucie nie raniło duszy tego, któremu

los nieprzyjazny sprawia zawód nadziei, wtedy zwłaszcza, kiedy potrzeby za zbliżającém się wylądowaniem dadzą się mocniéj uczuć.

«Wasz przyjaciel

«J. Arago.

Inna gorączka nastąpiła wkrótce po téj: loterja zastąpiła miejsce gry. Przy odjezdném, żaden z nas nie posiadał dosyć na potrzeby wyprawy. Od téj chwili, każdy miał nad potrzebę, i mający złe zamiary, dla lepszego powodzenia swego przedsięwzięcia, powierzyli go w opiekę zwodniczéj wymowie naszych pasażerek. Jedna z nich nadewszystko, dobra, uprzejma, najsłuszniéj szanowana od wszystkich, szczęśliwa przed odjazdem, szczęśliwa prawie na okręcie, gdyż była przy boku swego małżonka, człowieka uczonego, odważnego i rozumnego, pani X..., przyjęła na siebie obowiązek stręczycielki bezinteresownéj. Niepodobna było nic jéj odmówić, i biletów namnożyło się strasznym sposobem.

Wypuszczano na loterję fuzje, pistolety, łańcuszki, zegarki, zegary, puginały, skóry koźle, szlafroki, pierścienie, wino szampańskie, koszule, pałasze, a nawet sztuki pięciofrankowe!!!

Był to zapęd, gorączka, szał, wściekłość. Byłeś oblegany na pokładzie, jak niegdyś w Paryżu, przez przedających *Epokę*, jak dzisiaj nim jesteś przez przedających *Prassę*, i jestem zasmucony, że przemysł nie wynalazł para-loterij na korzyść okrętów żeglujących jak my ku przylądkowi Horn. Równie jak każdy, uległem i ja zarazie, i wygrałem na téj grze przyjemność zobaczenia mojego worka pustym, nim dosięgliśmy piérwszego miejsca odpoczynku.

Cóż pocznę w Valparaiso? Bóg temu zaradzi, on spuści odrobinę manny na drodze ślepego. Błagam tylko o jeden promień, to jest, o uśmiech, o nadzieję.

Śmierć loterjom! Jeszcze jedna czy dwie wloką się kulejąc; konają one jak wszystkie istoty chorobliwe i wątłe, których piérwsze przesilenie wpędza do grobu.

Cicho! Jesteśmy u stołu, i jeden z pasażerów przyzwoitéj bardzo powierzchowności idzie prosto do Kapitana i pokazuje mu talerz prawie próżny.

— Czego Pan chcesz? zapytał go Curet swoim głosem prędkim i obojętnym.

— Niewiele czego; trochę pokarmu dla naszych zgłodniałych żołądków.

— Jak skończę objad, pomówimy o tém.

— Zaczekamy na Pana.

O! tu dramat był pełen zajęcia: z jednéj strony głód przemawiał; z drugiéj zimna krew, łakomstwo, skąpstwo.

— Ale Pan powinieneś nam dawać żywności podostatkiem, wołało dziesięć głosów grzmiących jak dziesięć przekleństw.

— Ja też jéj Panom daję.

— To nie prawda.

— Panowie fałsz mi zadajecie! krzyknął Curet posiniały z gniewu.

— Tak, fałsz, odrzekł wychudły syn Helwecji, sto fałszów; Kapitanie, jesteś nędznikiem, infamisem, odpowiesz nam za to prędzéj czy późniéj.

— Daję wam to co obiecałem, żywność majtka.

— My nie mamy téj nawet, my co płacimy, co ledwo możemy utrzymać się na nogach z braku pokarmu, co znajdujemy tyle tylko siły, żeby cię traktować tak, jak na to zasługujesz ze wszystkich względów.

— A więc panowie chcecie mię wrzucić do morza? chcecie mię zamordować?

Na te słowa głośne hurra! rozległo się od przodu do tyłu okrętu, i kilka głosów energicznych odezwało się do Kapitana.

— Jesteś za twardy, rekiny ciebie jeść nie zechcą. Nie jesteśmy rozbójnikami; chcemy żywności, ot i wszystko: daj nam żywności, daj nam to co nam dać powinieneś, i niech cię djabli porwą!

Zdaje się, że djabeł wmieszał się w tę sprawę, i usłyszał słuszne groźby naszych zgłodniałych biédaków, gdyż Kapitan Cu-

ret, który dowodził dotąd, że wypełnia swe zobowiązania, posłał po kilka pudełek wędzonego mięsa, którego wkrótce ani odrobina nie została od żarłocznego apetytu nieszczęśliwych pasażerów.

Kapitan Curet czy powstanie po tym ciosie zadanym jego powadze? Czy potrafi uśmierzyć gniewy, do których tak często dał powód? Nie sądzę; i jeśli właściciele okrętu, jeśli ich wspólnicy mogą się cieszyć ze sknerstwa Kapitana, zdaje mi się niepodobieństwem, żeby choć jeden pasażer puścił się odtąd na morze na okręcie, którego Kapitan będzie się nazywał Michał Curet, rodem z Seyne.

Wszelako wielka chmura przeszła, lubo gniewy wrzały jeszcze w zranionych piersiach; groźby na przyszłość rozlegały się pomiędzy linami *Edwarda*, i było rzeczą konieczną dla bezpieczeństwa wszystkich zrobić jaką dywersję.

Pomiędzy pasażerami, niektórzy posiadali naukę agronomji, inni hadlu, inni znowu botanikę, gieologją; drudzy zrobili sobie imię w sztukach mechanicznych; jeden z nich potrafił zgłębić wyższą matematykę i astronomję.

Ten ostatni, jestto P. Lenoir. Ożywiony najlepszemi chęciami dla dobra swych towarzyszy podróży, wymyślił szkołę politechniczną, gdzieby każdy z nas przynosił owoc swych rozmyślań; gdzie najmniéj umiejący oświecaliby się światłem szczęśliwszych, i od téj chwili kursa publiczne zastąpiły grę.

Jesteśmy więc w szkole, uważnie słuchający wielkich prawd historycznych i naukowych, które stały się chlubą państw; oto staliśmy się znowu dziećmi na ławach szkolnych. Prócz dyscypliny, niczego nie braknie, nawet żartów z profesora, który niemniéj przeto gorliwie spełnia swój zaszczytny obowiązek, i który wiele zrobił dobrego dla każdego z nas.

Jednak, nawet na morzu, grzmot nie rozlega się nigdy bez echa, i gniewy wczorajsze musiały mieć odgłos. Zręczny i przezorny Kapitan przyzywa do siebie osadę okrętową, i w mowie improwizowanéj, gdzie Bóg i Chrystus główną grali rolę, powiedział im,

że odtąd on sam przyjmuje na siebie gospodarkę okrętową, że nie znał prawdy, że miał na celu dobro wszystkich, i że nieszczęściem, zły duch stanął na przeszkodzie pomiędzy nim a pasażerami.

Ponieważ łzy i westchnienia bardzo stosownie towarzyszą elegjom, gdy każda wymowa potrzebuje pomocników, Curet użył swojego prawa, i oto bije się w piersi i wzywa naszego współczucia.

I cóż! powiadam ci, ja, że to jest nikczemnie i podstępnie; powiadam ci i piszę, Kapitanie Curet, że nikt pod karą podwójnej hańby nie może krzywd i sromu przez siebie dopełnionych zwalać na osobę sąsiada. Dzisiaj Comignan jest twoim kozłem ofiarnym, którego chcesz się pozbyć, wtedy kiedyś błagał przedtém, żeby ci towarzyszył; rzucasz nań swe przekleństwa dla tego, że nasze ścigają cię i przygniatają; usuwasz go, poniżasz, robisz go mniéj niżeli chłopcem okrętowym, gdyż odejmujesz mu wszelką władzę, i mówisz do każdego przez to niegodziwe postępowanie, że on jest niezdolnym, że niezasłużenie otrzymał swój stopień, i że jego niesposobność dostatecznie wykazaną jest przez twą naganę.

Powoli, powoli: po namiętności logika; po gwałtowności zimna krew; mówię i piszę.

Czy podobna wmówić człowiekowi przywykłemu do morza, że ty, Kapitanie, nie wiedziałeś po sześćdziesięciu pięciu dniach żeglugi, co się działo na pokładzie *Edwarda?* Czyż jest Kapitan tak mało doświadczony, któryby nie wiedział, jeżeli nie codzień, to przynajmniéj co tydzień, jak się rozdzielają porcje, jak są utrzymani pasażerowie, jak oni żyją, a nadewszystko jak umierają?

Ach! dobry Boże! już dziesięć razy ich skargi doszły do ciebie; już dziesięć razy odpowiedziałeś na ich prożby obietnicami uroczystemi, nigdy nie dotrzymanemi, i wiedziałeś dobrze o wszystkich szczegółach gospodarki okrętowéj; gdyż jesteś Curet, człowiek przedewszystkiém lubiący porządek, chcę mówić skąpstwo, gdyż jesteś Curet, nazwany *Chlebem suchym* przez wszystkich tych, którzy

z tobą żeglowali, i których traktowałeś tak jak dzisiaj traktujesz tych, do których wyciągasz rękę zdradliwie braterską.

Ale jeżeli istotnie zostawałeś w niewiadomości szczegółów gospodarczych *Edwarda*, to ty, a nie P. Comignan, zasługujesz być złożonym z urzędu, najprzód przez Rząd, potém przez właścicieli okrętu, których zawiodłeś zaufanie. Jakim sposobem potrafisz się oprzeć temu rozumowaniu, które nie pozostawia ci żadnego wybiegu?

Tak jest, istotnie, twój Porucznik z początku był gburowatym; wypadły mu z piersi, albo raczéj z ust, wyrażenia ubliżające dla pasażerów; ale poznał on swą winę, i kiedy człowiek ma serce odpowiedne głowie, odzyskuje wnet miejsce nierozważnie stracone.

Tak, bezwątpienia, Comignan przyjął na siebie pewną odpowiedzialność moralną za wszystko co się dzieje na okręcie; tak, bezwątpienia, cięży takoż na nim jakaś cząstka tych krzywd ciężkich, które każdy z nas ma prawo ci wyrzucać; ale Comignan jest przynajmniéj szczérym w swéj gburowatości, nie zwala on jéj przyczyny na ciebie, i co większa, posiada przymiot, o którym powinniśmy wspomnieć w tych prawdomównych pamiętnikach. To rzecz ważna, słuchajcie.

Skutkiem ogólnego niezadowolenia, oświadczenie miało nastąpić, ale określone tą razą, sformułowane w wyrażeniach energicznych na papierze, który miał być starannie strzeżonym w naszém archiwum.

W tym celu proszono mię, żebym zstąpił pod pomost dla roztrząśnienia i wygotowania aktu. Ty, co o niczém niewiesz, Kapitanie Curet, dowiedziałeś się o tém téjże chwili, i w twéj niegodziwéj przezorności spodziewałeś się znaleść posługacza w Panu Comignan.

— Zstąp pod pomost, rzekłeś do niego, pod jakimkolwiekbądź pozorem, posłuchaj co mówi tam P. Arago; on się nie tai, mówi głośno, zachowaj w pamięci wszystkie jego słowa i powtórz mi je.

— Daruj, Kapitanie, odpowiedział Comignan, jestem oficerem okrętowym a nie szpiegiem: nigdy jak żyję tego chleba nie jadłem.

O! pojmuję teraz twą nienawiść przeciw P. Comignan; oto czém ją usprawiedliwić.

I oto rezultat tych nieszczęsnych sporów: dwie tylko koleje okrętowe mają dzisiaj miejsce. Dowodzą niemi Curet i Boucher. Znacie już piérwszego, a oto drugi.

Żeglował on długo jako poławiacz wielorybów; był wystawionym na niebezpieczeństwa we wszystkich strefach; uderzał się dwa razy o lody obu biegunów; jest człowiekiem doświadczonym.

Czy tego dosyć?

A teraz, niech jeden z nich zachoruje, komu powierzyć okręt?

Czy sądzisz, że Comignan zdegradowany z przyjemnością wróci na powrót, przez sam zbieg okoliczności, na stanowisko, które samowolność mu wydarła? To jest rzeczą niepodobną przy charakterze nieugiętym Porucznika; a gdyby się na to i zgodził, czy myślisz, że osada będzie miała dla niego też same względy, toż samo poważanie co przedtém? Nie, zaiste.

Curet niéma dosyć godności w sercu, Comignan ma za nadto szlachetności w duszy.

Ten rozdział nie potrzebuje wyprowadzania wniosków, jest on nauką od początku do końca . . . . . .
. . . . . Dzisiaj położenie stało się nie do wytrzymania. Każde słowo jest przycinkiem, ubliżeniem, obelgą, i nieszczęściem. Ten właśnie, coby powinien być najumiarkowańszym, gdyż jest najsilniejszym, wyrzuca z siebie błoto swych nienawistnych gwałtowności.

Dzisiejszego rana, w obec prawie wszystkich znakomitszych pasażerów, P. Curet odezwał się do Porucznika słowami tak pogardliwemi, że ten, będąc jeszcze panem siebie, znalazł w swém oburzeniu dowody i wyjaśnienia tak przekonywające, że Kapitan odpowiedział tylko na nie zostawując na polu walki swą godność pożyczoną.

Wiatr przez całą noc dął silny, potém piorunem wszczął się wicher; Comignan był zmuszonym *dozwolić pędu*, po zwinieniu żaglów. Nie było innego obrotu do uskutecznienia.

— Jesteś nędznikiem, rzekł do niego dowódzca, nie uznaję cię godnym być chłopcem okrętowym.

— Nie posuwaj się tak daleko, odrzekł mu Comignan; moje dowody gotowe, gdyż żeglowałem pod dziesięcią doświadczonymi dowódzcami, którzy wszyscy oddali mi zupełną sprawiedliwość. Wyszedłem zwycięzko ze wszystkich mych egzaminów bez żadnego pobłażania, i nie przebiegałem mórz jak Pan pod dyrekcją swojego Papy.

— Przypomnij sobie, zawołał Curet, że potraciłeś maszty na *Nancy;* patrzaj, żebyś ich nie potracił na *Edwardzie;* czynię cię odpowiedzialnym za wszelkie uszkodzenia.

— Gdybyś był razem z nami na *Nancy*, odrzekł Comignan, poginęlibyśmy wszyscy.

Oskarżenie Kapitania było ciężkie; oto Comignan uznany za niezdolnego, oto zgubiony w oczach osady; ale w takim razie, powtarzam, za cóż Curet wziął go z sobą? Dla czegoż namawiał go tak usilnie w Hawrze? Ogołocenie z masztów *Nancy*, śród straszliwego huraganu morza indyjskiego, było mu znaném, a więc był bardzo winnym, a przynajmniéj bardzo nieroztropnym, że go mianował Porucznikiem *Edwarda*.

Milczcie. Ostatnie słowa Kapitana nie umrą bez echa. Comignan ma go sądownie skarżyć za oszkalowanie, i niewiem jakim sposobem oskarżony zdoła obronić się, gdy mu dowiodą, że on, Curet, mówił kilkanaście razy, i kilkunastu osobom, że odwaga i zimna krew Comignan'a uratowała *Nancy* na oceanie Indyjskim?

Sądy paryzkie będą wezwane do rozsądzenia téj sprawy; ale tymczasem okręt cały w płomieniach, i nie dla słuchania to stajennych łajanek moi przyjaciele i ja przedsięwzięliśmy drogę do Kalifornji.

Kapitanie Curet, te wyrazy przezemnie napisane, uznaję siebie jednego za nie odpowiedzialnym.....

Jeszcze jeden wypadek, gdyż nigdy niémasz końca tyranji, która nas oblega ze wszystkich stron.

Oto już wiele dni, wiele tygodni jak scena dramatyczna na pokładzie, tak dzielnie odegrana przez Szwajcarów, miała miejsce; ale oto teraz lew Przylądka Horn kryje swe pazury i tłumi swe zwykłe ryczenia.

Zręczność jest po temu; kiedy wiatry milczą, namiętności milkną także, i bezwątpienia kiedy Ziemia stanów uśmiecha się do *Edwarda*, który się przemyka cały strojny wzdłuż jéj brzegów, usta, które ciskały przeciw mnie najgwałtowniejsze obelgi, uśmiechną się także.

Tak bezwątpienia rozumował sobie tego poranku P. Curet, i oto dla czego chytry lis zbliża się krokiem powolnym do zostającego na czatach Pellaton'a i innych potomków Wilhelma Tell'a, których chce sobie przybrać za pomocników.

— I cóż! moi przyjaciele, rzecze do nich głosem pieszczonym, pogodę mamy piękną.

— Bardzo piękną, odpowiedział zimno P. Pellaton.

— Nie prawdaż, że mamy przed oczyma wspaniały widok?

— Bardzo wspaniały.

— A jednak są pomiędzy nami serca tak czarne, jak te ostre skały są białe.

— Jakież to, Kapitanie?

— Ukradziono mi dwie kury.

— Musiały być bardzo twarde.

— Nie skosztowano ich, gdyż odebrałem..... A teraz panowie wiecie, o co rzecz idzie, i spodziewam się, że zaświadczycie o dokładności protokułu, który spisałem.

— Daruj pan, ale nic nie widzieliśmy, nie wiemy o niczém, nie podpiszemy niczego.

— Niech i tak będzie. Ale zechcecie panowie, w zamian za moje uprzejme postępowanie, odwołać przed świadkami ubliżające wyrażenia, których użyliście dawniéj przeciwko mnie.

— A, co do tego, Kapitanie, bądź pewnym, że je utrzymujemy w całéj mocy, i uważamy za bardziéj zasłużone niżeli kiedy.

Wymowa stracona, grzeczne słówka poszły na wiatr; Szwajcarowie zadali fałsz przysłowiu: niémasz pieniędzy, niémasz..... i zostali zagniewani jak przedtém, a pani Curet będzie mogła oznaczyć godzinę zawodu swojego męża, patrząc na piękny zegarek, który ci panowie dali jéj w Hawrze w zamian za uprzejme względy, jakie przyobiecał miéć dla nich nieskazitelny Kapitan.

Ziemia Stanów została okrążona, oto wyspa *Pustelnik*, leżąca na zachód Przylądka Horn.

Oto jeszcze Diego-Ramirez, szczyt wulkaniczny prawie pusty; płyniemy po nowym Oceanie, miejmy nadzieję, że on będzie mniéj jednostajnym, niżeli ten, który dopiéro co opuściliśmy.

Bo czémże jest w istocie żegluga bez trąb morskich, bez burz, bez piorunów spadających na maszty, prawie bez wielorybów, bez żaglościgów, bez gór lodowych na południe téj ziemi południowéj Ameryki, która widziała tyle klęsk?

Mniejsza z tém, Bóg jest wielki, On sam wié, co nam przeznaczono w przyszłości.

PRZYLĄDEK HORN.

Co porusza świat. Stół okrętowy. Las wężowy. Góra lodu. Zaprzeczają bytności Przylądka Horn. Tęcze księżycowe. Magiellańczycy. Przebudzenie się lwa. Spotkanie pływającéj butelki. Wyspy Matki Bożéj. Ludożercy. Araokany. Moje imieniny.

—

Argonauci płynęli niegdyś w celu zdobycia Kolchidy; Argonauci płyną dzisiaj w celu zdobycia złotego runa Kalifornji.

Mitologiczny Jazon był bajecznym wodzem bajecznéj gromady bajecznych wojowników, uzbrojonych w bajeczne włócznie; my, bardziéj rzeczywiści, odpowiedzieliśmy na poważne wezwanie, i przebywając morza najburzliwsze kuli ziemskiéj, zgodziliśmy się grać rolę czynną w dramacie, który się ma odegrać w kopalniach kalifornijskich.

Tak więc, złote runo, Kolchida, złote jabłka Hesperydów, złoty piasek Sakramento, oto co poruszało, co porusza ludność, to jest, wszystko to co gangrenuje, co psuje, co pali; niech mówią co chcą, wieki następują po sobie i powtarzają się. Piérwsze wieki były bardzo występne!

Minęliśmy wyspy Azorskie, Maderę, wyspy Kanaryjskie bez żadnego nadzwyczajnego wypadku, prócz śmierci tego dzielnego majtka, którego opłakujemy jeszcze. Obrządek tylko przejścia równika wywołał niejaki uśmiech na usta marynarzy, schylonych pod ciężkim swym trudem; a mając prawie wiatr z boku, stanęliśmy na równi z Rio de la Plata, które nam przysyła, w darze od swego popędliwego dyktatora Rosas'a i jego codziennych przywyknień, wichry najgwałtowniejsze.

Wszelako dni się zmniejszają, noce chłodnieją, niebo staje się ciemném, nizkiém, szarém; dążymy w krainę podbiegunową, i pomimo naszéj niecierpliwości, prawie wszyscy żądamy, ażeby burza, jedna z tych jakie się często, niestety! dają widzieć w tych stronach, popchnęła nas ku wiecznemu lodowisku, téj ziemi lodowatéj, gdzie huragany, zgodnie z wiekami, wzniosły wieże, sklepienia, galerje, cytadelle, miasta milczące, zimne cmentarze, które zaludniają same tylko cielęta morskie, nurki i pingwiny.

Podziwiałem już te czarowne obrazy, moi towarzysze chcieli także miéć co do opowiadania; ale wiatry mają swą wolę wszechwładną, okręty są ich niewolnikami, i oto odbywamy powolną i nudną drogę pomiędzy Patagonją i wyspami Maluińskiemi.

Ciągle woda, ciągle widnokrąg ścieśniony, ciągle pokarm marynarski, szczupły i obrzydliwy, ciągle zasmucające sceny pomiędzy nielitościwym Kapitanem a pasażerami, dochodzącymi swych praw

pogwałconych..... Prędko, prędko, Valparaiso lub śmierć! Ale Valparaiso zdaje się od nas uciekać. Rzadko chleb, najczęściéj suchar cierpki, chropowaty, twardy, wino, które dla tego tylko tak nazywam, że w naszym języku nie mamy odpowiedniego wyrazu dla nazwania rodzaju i natury rzeczy, a na dobitkę, woda tłusta i cuchnąca, na któréj poetycznie się unosi różnokolorowa mieszanina malutkich robaczków, żwawych i swawolnych, igrających z sobą, jak Trilby P. Nodier, tak wdzięcznéj pamięci.

Cieniu mojego przyjaciela! Przebacz, że rzucam twoje imię, tak słusznie kochane, pośród tego plugawego miejsca, zwanego składem mięsiwa w okręcie, i którego woń twoich marzeń nie zdołałaby oczyścić.

Oto dwa dni przyjaznego wiatru, oto niebo różnobarwne i wesołe..... Płyńmy daléj!

W istocie, nic nie znam śmieszniejszego w świecie nad fizjonomję i mowę tych odważnych tchorzów, którzy, po minioném niebezpieczeństwie, natrząsają się z niego giestem, spojrzeniem, szyderstwem, jak gdyby nigdy nie istniało.

Przypominam sobie moję awanturniczą niegdyś wyprawę blisko Delhy, na Timor, w gęstym lesie, gdzie mi zapewniano, że znajdę węże *boa*, i przypominam ją sobie z głębokiém uczuciem politowania dla moich przechwałek.

Mam wstręt wrodzony do wężów, żab, pająków kosmatych; wolałbym dziesięć razy znajdować się oko w oko ze lwem jak z gadem, a jednak, ponieważ chlubiłem się, że się nie cofnę przed niebezpieczeństwem wyprawy, szedłem ciągle daléj w towarzystwie mojego dzielnego majtka Petit, którego kochasz, bezwątpienia, jeśli o nim słyszałeś.

A jednak, gdyby jaka siła materjalna stanęła wtedy na przeszkodzie mojemu przedsięwzięciu, mówię ci szczérze, na ucho, że dziękowałbym za to mojéj szczęśliwéj gwiaździe.

Oto dla czego robię te wsteczne uwagi:

Kilka wichrów dość silnych spotkało nas, kiedyśmy byli na równi wysp Maluińskich, i lawirowaliśmy pomiędzy tą gromadą wysp,

dających się często we znaki żeglarzom, a ziemią Patagończyków. Kiedy wiatr zwolniał, rozwinęliśmy więcéj żaglów, i zbliżyliśmy się wkrótce do tego Przylądka Horn, świadka tylu nieszczęść, i na którego widok blednieją żeglarze.

— Ziemia! zawołał szyldwach na czatach.

— Góra lodowa! odpowiada straż na przodzie okrętu.

I wszystkich spojrzenia skierowane są ku krańcom widnokręgu.

Jestto *Ziemia Stanów*. Ukazuje się ona przyodziana swoim płaszczem śnieżnym, dzika, pusta, pokresowana, kątowata, szczególniéj na samém wybrzeżu, taka wreszcie jaką widziałem ją w 1821., trzy dni przed nieszczęściem, które spotkało moję piękną *Uranję*.

Wiatr przyjazny wiał ciągle, opłynęliśmy całą wschodnią część téj niegościnnéj ziemi, potém całą jéj południową część, i w sześć godzin późniéj wpłynęliśmy na Ocean Spokojny.

Dopiéro to powstały żarty, koncepty, śmieszki wymierzone przeciwko przylądkowi Horn i jego burzom.

— Przylądek Horn nie egzystuje.

— Przylądek Horn jest marzeniem podróżników.

— Przylądek Horn został tylko wymyślony dla zastraszenia nianiek.

— Patrzcie! patrzcie! trzy stopnie ciepła w samym środku zimy; niémasz wichrów, niémasz lodowisk pływających, niémasz żaglościgów.

— Arago, Bourges i Juan, którzy opłynęli jakoby przylądek Horn, żartowali sobie z nas; mieli nas za błaznów. Poczekajcież panowie!

Bourges, Juan i ja, nie śmiemy nawet ścisnąć siebie za ręce, staramy się skryć gdzie, i posuwamy się aż do zwątpienia o naszych smutnych wspomnieniach; ale cierpliwości.

Patrzcie jeszcze!

Nic nie brakuje do wspaniałości obrazu; ani tych poetycznych tęcz księżycowych, tak ciepłych, tak przezroczystych, które zdają się

otaczać wieńcem błękit niebios; ani tych rozgłośnych podskoków wędrownych wielorybów, których rzucania się odpierają fale z posępnym odgłosem; ani tych dwóch siostr bliźnięcych, które nauka nazwała *Magiellanami*, tych świateł przynoszących pociechę zbłąkanym na wód przestrzeni żeglarzom; nic nie zasłania najmniejszego zakątka tego ogromnego koła, którego zajmujesz środek, i które ginie tam, tam w oddali, w siatce wyziewów, pod któremi kryją się dwa Oceany, prawie zawsze sprzymierzone z sobą dla zaguby.....

Dumnymi więc byli moi towarzysze podróży; posuwali się aż do zuchwałości, jak to ci już powiedziałem.

Zdaje się, że lew drzemiący na krańcu południowym wyspy Pustelnika posłyszał żarciki *Edwarda;* rozgniewał się on, i rzucając na nas wzrokiem pogardy, wstrząsnął swe muszkuły, podniósł się na swych żylastych łapach, obrzucił w koło głowy swą płową grzywę, ryknął i *Edward* zadrżał we wszystkich swych sustawach.... Pasażerowie zapytują siebie niespokojném okiem, i Bourges, Juan i ja nie jesteśmy już osamotnieni. Morze się wydyma, niebo szarzeje; pytają nas o przyczynę téj zmiany tak szybkiéj, przedtém nim huragan zaczął ryć głębie Oceanu.

— Jestto bajeczny przylądek Horn, odpowiadamy z uśmiechem na ustach; jestto ten Przylądek Horn, wymarzony przez żeglarzy, klecących bajki dla zastraszenia dzieci, który przychodzi nam oddać swą kartkę wizytową: bądźmy gotowi do przyjęcia go.

Jestto najprzód świst przeraźliwy, przebiegający pomiędzy linami, podnoszący się aż do bocianiego gniazda, i zstępujący podskokami w nierównych przedziałach czasu; rzekłbyś, że to są olbrzymy dziwaczne, bawiące się ściganiem siebie a nie chcące doścignąć, i sądziłbyś, że postrzegasz ich, tak ich pęd jest krótkim i urywanym; potém, u spodu okrętu ruchy gorączkowe, powstające z nagłego uderzenia wędrownéj fali, spotykającéj się w odwrotnym kierunku z sąsiednią falą, a na pokładzie cóś smutnego i uroczystego.

Strzeż się teraz! Fala się podnosi, przedłuża, wygina, leci i pęka uderzając się o spód zagrożony! Zwyciężona w tém pierwszém

natarciu, powraca nazad, rzuca się znowu, i dylowania skrzypią w jéj żelaznych kleszczach.

Po pierwszym wybuchu usta bledniéją i kilka głosów w połowie przygasłych, odzywa się: *Giniemy! okręt pęka!* W dalszym ciągu, zapytują siebie, czy walka będzie długą; i kiedy okraczając maszt przedni, wściekły bałwan wpada na pokład, zmiata go i wstrząsa zachwianym masztem; każdy powtarza sobie po cichu: «Dobrze nam tak, nie naigrawajmy się z nieprzyjaciela śpiącego; lew staje się znowu lwem, skoro sen opuści jego powieki.»

Po stwierdzeniu słów naszych, Przylądek Horn ucisza się znowu, i podobni do trzech Szwajcarów Gesslera, Bourges, Juan i ja uścisnęliśmy się za ręce, z odrobiną radości w duszy.

Przylądek Horn, moi mili przyjaciele, nie jestto ani kraniec południowy téj ziemi Stanów, któréj podziwiasz budowę, tak malowniczo pokrésowaną, ani przylądek południowy wyspy Pustelnika, ani skała najwydatniejsza Ziemi Ognistéj, nazwanéj bezwątpienia tak przez *antyfrazę* (1). Nie pokonałeś jeszcze Przylądka Horn, kiedy przebyłeś jego południk, nie, nie; przylądek Horn jestto przestrzeń zamknięta pomiędzy pięćdziesiątym stopniem szerokości na Atlantyku a sześćdziesiątym prawie, i równaż przestrzeń z południa na północ na Oceanie Spokojnym. Tam to jest Przylądek Horn.

Czy burza stoi kiedy na miejscu? Czy wicher niéma skrzydeł ognistych lub lodowatych? Czy wiatr rzuca kotwicę i wstrząsa tylko falą, na któréj kołysze się okręt? Wy wiecie dzisiaj, że tak nie jest, i jeśli wasza wesołość przy wietrze pomyślnym była prawie wyzwaniem burzom południowym, wasza rezygnacja dzisiejsza jest odpokutowaniem, nad którém niebo, spodziewam się, ulituje.

Patrzcie, patrzcie jeszcze: byliśmy na równi z wyspami Maluińskiemi; morze wznosiło się pod obłoki; każdy z was podziwiał,

---

(1) *Antyfraza*, figura, przez którą używa się wyrazu mającego znaczenie odwrotne temu, co się chce powiedzieć.

każdy z was był w uniesieniu..... Cicho! cicho! wpatrzcie się dobrze. Oto na szczycie pienistym téj fali, któréj piana dostaje się aż na pokład, płynie butelka. W butelce postrzegasz zwitek papieru, i przymocowaną do szyjki drutem, parę stóp długości, płynącą także deszczułkę od cztérech do pięciu calów.

Cóż to ma być? Ostrzeżenie zapewne, ostatnia myśl, ostatnie pożegnanie..... Kapelusz z głowy! może to ogromna trumna przechodzi.

A teraz kiedy płyniecie na północ, kiedy *Edward* chwieje się na wydętych bałwanach Oceanu Spokojnego; teraz, kiedy wiatr silny i uparty zmusza was krążyć w jedném kółku od dni piętnastu, schylacie głowę przed zgubną potęgą Przylądka Horn, prosicie u mnie o przebaczenie za wasze szyderstwa przeciwko niemu, przeciwko mnie, który byłem ofiarą jego burzliwości i jego dziwactw.

Dzięki w jego imieniu! dzięki także w mojem! gdyż nazwalibyście moję książkę romansem, a teraz oto zmuszeni jesteście przyznać, że napisałem historję, historję atramentem czerwonym, to jest krwią napiętnowaną, łzami przesiękłą.

Byłem w tém miejscu moich zwierzeń dziennych; miałem zakończyć ten rozdział, który pomieścił w sobie tak wielką przestrzeń mojéj drogi, kiedy poradziwszy się mapy, dowiedziałem się, że żeglujemy pośród Archipelagu Chiloe, tuż około wysp *Matki Bożéj*.

Nazwanie przypominające miłość, przypominające okrucieństwo; religja czułości, religja mordu! I zapytuję siebie: o czém myślą monarchowie Europejscy, że pozwalają w téj części kuli ziemskiéj, którą przebiegają ich bandery, skrywać się jeszcze ludożercom?

Są pożeracze ludzi na Markizach, na wyspach Salomona, na Fitdży, na Ombay. Widziałem ich. Są pożeracze ludzi na niektórych wyspach prawie nieznanych Malezji. I cóż! Żaden okręt, odkrywszy swe strzelnice, nie wyplunie spiżem na te wyspy z lawy, zrumienione krwią chrześcijańską, i morderstwa dokonywają się ciągle, i nieszczęśliwi wyrzuceni przez burzę na te brzegi, znaj-

dują tam śmierć okropną, obok miast kwitnących, gdzie przepych sztuk i przemysłu chlubi się swém bogactwem i swemi dziwactwy.

W r. 1824 pewien poławiacz wielorybów doznał rozbicia na stałym lądzie, naprzeciw Chiloe. Żaden człowiek stamtąd nie powrócił, wszyscy zginęli od strzał, od żelaza; wszyscy służyli za pokarm straszliwym biesiadnikom.

Okręt był francuski, gazety francuskie ogłosiły szczegóły téj okropnéj rzezi, udzielonéj przez jednego dezertera. Zrobiło to jakieś wrażenie na dzień jeden. Nazajutrz nasi książęta polowali na jelenie w lesie królewskim, jak polowano na ich poddanych na niegościnném wybrzeżu.

Ludożerstwo jestli w obyczajach i w religji Araokanów? Nie wiém; ale czy te obrzydłe uczty są dopełnieniem zemsty, czy dogmatem przekazanym im przez przodków, zawsze cywilizacja, ludzkość, wymagają wytępienia tego plemienia ludzi, i hańbą jest dla Europy pozostawić bezkarném morderstwo jednego ze swych dzieci.

Przeznaczeniem było, żeby ten rozdział miał większą obszerność, niżeli z początku chciałem mu nadać. Skrzynka, w któréj zamykam moje myśli, była otwartą, kładłem już w nią mój sposzyt; w tém ręka przyjazna uściska moję, potém za nią następuje druga, potém trzecia, potém dziesięć innych, potém dwadzieścia, i wkrótce zstępują do mojéj duszy te słodkie słowa, które tłumią boleści i każą kochać życie.

Mój ojciec chrzestny ochrzcił mię Jakóbem; sam jeden na okręcie nie wiedziałem, że święto mojego patrona nadeszło; ale szlachetna gromada, co mię wybrała za dowódzcę, pamiętała o tém, i oto staje u wnijścia mojéj izdebki, zamieniając ze mną oznaki uczuć braterskich najgorętsze i najszczersze; i podaje mi w zapomnienie, że moja kryjówka może się stać jutro grobem, a moje łóżko trumną.

O Valparaiso! śpiesz się więc prędko otworzyć przed nami swą przystań pocieszającą! O piękne Chilijki, dajcie słyszeć muzy-

kę swych zgłosek tak zalotnie wymawianych, i niech wrzaskliwe głosy Kapitana Curet znikną z naszéj pamięci, jak te okropne zmory, które nadchodzący dzień rozprasza, i za które ledwo wynagrodzić zdoła miłe przypomnienie ojczyzny!

PRZYBYCIE DO CHILI.

Valparaiso. Kobiéty Chilijskie. Perolina. Jéj narzeczony. Taniec dla błyszczenia; kościół dla kochania. W Lima puginał; w Valparaiso wachlarz. Gitara. Arfa i piano. Nóżki malutkie. Zapał naszych towarzyszów.

—

Ziemia! Przystań, miasto, stolica piękna i bogata, Valparaiso; rzeczpospolita młoda i silna, Chili.

Czegoż się tu dowiemy? Łańcuch się odwija, kotwica ryje dno morskie, *Edward* drży i zatrzymuje się..... my sami oczekujemy niecierpliwie ruchu i działania.....

Prędko, prędko, szukajmy przyjaciół, ojczyzny, rodziny.... Złoto kalifornijskie późniéj nas zajmować będzie.

Znam was, moi piękni czytelnicy, was nadewszystko moje ciekawe czytelniczki. Chcielibyście, żeby promień słońca oświecał dziś moję źrenicę, jeśli nie dla czego innego, to dla tego, żebym w méj gadatliwości przedstawił wam obraz mniéj lub więcéj szczegółowy kobiet Chilijskich, które przechodzą tam około mnie, i odmładzają mię swém miłém szczebiotaniem. Niestety! niestety! Mogę wam tylko udzielić dawnych moich wspomnień; wolno mi tylko mówić wam o przeszłości, dalekiéj już od chwili, w któréj kréślę te wyrazy; ale jeśli to prawda, że ludy zachowują, w przeciągu kilku wieków przynajmniéj, swój charakter pierwotny, jeśli wpływ cywili-

zacji działa na nich powolnie, bardzo powolnie, mogę pisać nie lękając się popełnienia błędów.

Chilijka jest brunetką, ale brunatność jéj okraszona rumieńcem; włosy jéj czarne i nieco kędzierzawe ozdabiają czoło szerokie, gdzie zdajesz się postrzegać wykluwającą się męską myśl: oczy jéj wielkie, foremne, nie patrzą, ale zapytują, chcą się dowiedzieć; szukają pana, albo raczéj niewolnika; mówią one, władają, panują.

Nie sądzę, żeby słowo Chilijki czystéj krwi było kiedy w niezgodzie z jéj wzrokiem, który zdaje się oddychać samą niepodległością; w ogólności słowo to krótkie, dźwięczne, urywane; rozbija ono frazes, czyni go giętkim lub twardym według woli; nadaje mu sprężystość lub wdzięk, według tego jak wymyka się z ust więcej lub mniéj ściśnionych; takim sposobem, że łatwo się domyślasz nienawiści lub czułości, sympatji lub wstrętu, jakkolwiekby starano się je ukryć wtedy, gdy słuchasz oczyma lub myślą.

Nie rozminąłbyś się z prawdą powiadając, że Chilijka niéma dziecinnego wieku. Mówią przed nią o rzeczach najpoważniejszych i najtajniejszych życia, jak gdyby jéj rozum nie miał się obudzić na pewne malowidła, na pewne obrazy, których barwy za nadto jaskrawe odbijają się we wszystkich jéj zmysłach. Dla tego to często jesteś zdziwiony, że nie powiem przestraszony, słysząc wychodzące z ust całkiem różanych, całkiem dziecinnych, zapytania tak nieskromne, że żądałbyś sam trochę mniéj światła od słońca lub świec, żeby na nie odpowiedzieć.

I, uważ, nie są to *dzieci straszne*, unieśmiertelnione u nas przez tego czarownika zwanego Gavarni, które wypowiadają zło, hańbę i zbrodnię nie pojmując ich, które chłoszczą jednym zamachem i żonę oszukującą i męża oszukanego, które donoszą, oskarżają i zdradzają najniewinniej w świecie. Bynajmniéj. Tu, w Chili, w Valparaiso, w Santjago nadewszystko, dziewczynka, którą podrzucasz na swych kolanach, psotniczka, któréj ofiarujesz obręczyk, mała całkiem pensjonerka, która tylko co dokończyła swéj porcji chleba z konfiturami i swéj stronnicy katechizmu, pyta się u ciebie

oko w oko, ze złośliwym uśmiechem, bez zasłony na czole..... nie powiem już o co! Nikt nie zadaje pytania, na które nie chce otrzymać odpowiedzi.

Ale jakkolwiekbądź, wszystko to jest powabne, wszystko to dziwne, wszystko to sprawia, że lubisz podróże, wszystko to podaje w zapomnienie boleści i niebezpieczeństwa drogi.

Zdaje się, że drobne przywidzenia, drobne przywyknienia, drobne sposoby obejścia się uwieczniają się z większą trwałością, z większą jeszcze żywością, jak wielkie rysy cechujące naród..... Dla czego? niewiém, ale często zrobiłem tę uwagę, i Chili, równie jak Peru, jak Brezylja, przyszłyby mi w pomoc, gdyby który z moich współbraci zaprzeczał mi.

Na przechadzce, u siebie, kiedy jest samotną, na ulicy, kiedy stąpa drobnemi kroczkami, chwiejąca się jak bambus, i dumna z swych biódr elastycznych i z swojéj głowy, którą podnosi z męzką zalotnością, młoda dziewica Valparaiso, która ma więcéj jak lat piętnaście, a niéma jeszcze siedmnastu, porusza ciągle ustami, jak gdyby powtarzała zadaną jéj przez proboszcza lekcję. Moi przyjaciele tylko co się przekonali, że dobrze się przypatrzyłem, i oto oni, równie jak ja, szukają przyczyny téj nieméj gadatliwości, za nadto tajemniczéj, żeby nie miała wystawiać na jaw dwóch rzędów pereł, oprawionych w podwójny rąbek koralowy..... Dowiem się o tém, gdyż oto Peppa, która podobną jest do Teresy, podobnéj do Józefy, podobnéj do Rozyty, które podobne są do wszystkich, co ich nie widzisz.

Przypadek zdarzył, że znalazłem się wczoraj wieczorem obok jednéj z tych milczących paplaczek, u Pani de B..... Zacząłem się rozpytywać.

— Dla czego, śliczna Perolino, zapytałem mojéj sąsiadki, odmawiasz twe modlitwy w pośród tłumu, który śmieje się, gra, pali tytuń i skacze?

— Któż Panu powiedział, że odmawiam modlitwy? odpowiedziała mi prędko Perolina.

— Ruch twoich ust.

— Tego Pan nie widzisz, bo nieszczęściem nie możesz widzieć.

— To nic, ja się domyślam, a raczéj wiém, gdyż widziałem i często się wam z uwagą przypatrywałem, moje śliczne panie.

— Daruj, Senjorze, ale się źle przypatrzyłeś. Kiedy młoda dziewczyna mówi do siebie, to nie na jéj usta potrzeba patrzeć, ale na jéj oczy: tam jest myśl, tam serce, tam namiętność. Powtarzać jest rolą papugi, a jeśli mamy jéj skrzydła, to dzięki Bogu! nie posiadamy jéj gadatliwości. Ciało idzie, ale myśl dąży szybczéj od niego; ona bieży, wyprzedza lata, kiedy jesteśmy dziećmi, i poprzedza dnie, kiedy czujemy w sobie duszę. Żyjemy taką miarą w czasie obecnym, przeszłym i przyszłym: czy znajdujesz Pan, że to jest szaleństwem?

— Lękam się tego.

— *Loco! loco!* Ot masz Pan, jutro rano będę się widzieć z Józefem R...., który chce mię poślubić..... Otoż, rozmawiałam z nim, i on chociaż nieobecny, rozmawiał ze mną; wyprzedzałam godzinę, ot i wszystko.

— Musiał pani pięknych rzeczy nagadać?

— On mię kocha.

— A więc on panią łajał?

— Tak, i byłam z tego szczęśliwa; to tak miło wzbudzić w kim zazdrość.

— A gdyby on panią porzucił?

— Niepodobna! Nie postanowiłam nic jeszcze.

— A gdybyś pani postanowiła? rzekłem daléj dość lekkomyślnie.

— O! wtedybym się lękała; dla tego mam się na ostróżności. Gdyż dla nas młodych dziewcząt, niebezpieczeństwo jest zawsze tam, bo zawsze na nas napadają. Kiedy kochamy trochę, to tego za nadto; kiedy kochamy bardzo, to tego nie dosyć..... Piérwsze chwile są najniebezpieczniejsze, i przebyłam je, jeśli nie bez łez, to przynajmniéj bez upadku.

— Jakto! pani opłakiwałaś swój tryumf? wyrzekłem z zadziwieniem, którego nie mogłem powściągnąć.

— Nieinaczéj; on był tak nieszczęśliwy, i teraz może jeszcze wątpi o mojéj miłości.

— Czy prędko ma być o niéj przekonany?

— Pojutrze.....

Drzwi się otworzyły.

— Oto on, rzekła do mnie Perolina. Nie odchodź pan; on mię szuka, i pewną jestem, że uczuje zazdrość, skoro obaczy mię rozmawiającą z panem.

— Zmiłuj się pani; włosy siwe, oczy bez spojrzenia, czoło obnażone!

— Zazdrość, senjorze, jest bezrozumną, i wczoraj miałam z nim straszną kłótnię, że usiadł obok Terezyty.

— Jakiegoż ona wieku?

— Ruina, starożytność!.... dwadzieścia siedm lat.

Kochanek, narzeczony, przyszedł nieszczęściem przerwać rozmowę tak dobrze rozpoczętą; ale w kwadrans potém, zbliżył się do mnie, i zaprosił mię z największą uprzejmością na swój ślub..... Są to szczęśliwe zdarzenia, których nie należy opuszczać.

Badajmy daléj.

Ganiono przedemną ubiór Chilijek; powiedziano mi że stały się całkiem francuzkiemi. Wandale nie oszczędzili nic, nawet ich mantylki z koronkami, odznaczającéj ich kibić jak gorset, i pozostawiającéj całą jéj giętkość i śmiałość. Chilijka niéma zalety, powiedziałbym raczéj wady, któréjby się wstydziła wystawić na widok, i sądzę że miałaby się za ułomną, nie będąc nią trochę: słońce ma swoje plamy.

W Lima kobiéty lubią grać w karty do zapamiętałości; tu poprawiły się one z téj wady. Taniec dla błyszczenia, kościoł dla kochania, oto dzień, oto noc Chilijki..... z małemi wyjątkami.

W Lima bawią się jeszcze w puginał; w Valparaiso bawią się tylko w wachlarz. W palcach młodéj dziewczyny klęczącéj, ma on

swe gniewy, swe dąsania, swe nadzieje, swe bojaźni, swe radości; jest on całą książką, całą historją. Szampoljonowie rzeczypospolitéj rozumieją ten język wybornie; wiedzą bez usłyszenia jednego słowa godzinę zejścia się, godzinę tajemnicy; niestety! godzinę także zmiany. Kobieta jest kobiétą przedewszystkiém, we wszystkich częściach świata.

Lud prosty gra jeszcze na gitarze, i tańcuje segadillę rozczochraną; osoby wyższego tonu brząkają na arfie i pianie. O przeklętemi bądźcie, wy Erard, Soufleto, Pleyel, Herz, którzy przerzucacie tym sposobem państwa, i przenosicie Francję, brzydką Francję w krainy najodleglejsze, które podróżnik zwiedza dzisiaj już tylko z obojętną ciekawością!

Przebaczcie, przebaczcie mi, Liszt, Chopin, Thalberg, Codine Prudent, Kątski; przebaczcie mi, Pleyel, Loveday, Martin, Masson.... harmonijnéj pamięci. Ale, cóż chcecie! Moja praczka brząka na fortepianie, moja odźwierna brząka na fortepianie, moja mleczarka, moja szewcowa, moja kotka, mój pudel, brząkają na fortepianie, a skoro się nie nazywa, skoro się nie błyszczy na niebie sztuk pięknych jak te imiona opromienione, które dopiéro co przywiodłem, nie należy mieć fortepianu u siebie, chyba dla umeblowania za nadto obszernego salonu, albo dla uśpienia dzieci w kołysce.

Czy powiedziałem wam już, że Chilijka chodzi, że chodzi przynajmniéj tyle co wy i ja, kiedy nie mamy pojazdu, i kiedy bieżym na wezwanie podpisane: Regnier, Brohan, Sivori, Roger, Pellegrin, Altès, albo Thalberg? Jeśli wam powiedziałem, to powtarzam jeszcze i potwierdzam, gdyż moglibyście o tém wątpić patrząc na te nóżki delikatne, malutkie, stąpające z nadzwyczajną zalotnością, którychby Djanna łowczyni słusznie mogła im pozazdrościć.

Wszystkie te bogactwa, wszystkie te dary hojnego nieba i płodnéj natury wydobywają okrzyki uwielbienia u moich towarzyszów podróży; a ja, szczęśliwy tém, że mogę zadać fałsz tym, którzy wierzą w pogorszenie fizyczne rodu ludzkiego, winszuję sobie, że mogę porównać teraźniejszość z przeszłością, odświeżając

moje dawne wzruszenia we wzruszeniach tych, którzy mię otaczają.

Teraz, bieżmy ku naszemu celowi, i nie zasypiajmy w rozkoszach Kapui.

TEATRY.

Santjago ma dwie sale. Szczury dwóch krajów. Wszystko, prócz wodewilu. Literatura nóg. Paquita wesoła. Siedm stopni występku. Casacuberta. Jego śmierć. Santjago, stolica Chili. P. Alexandri i jego marjonetki. Aktorowie. O'Loghlin. Jego żona. Cachucha. El Sapado. Teatr Universidad. Służące przynoszą krzesła. Sztuka zaczyna się, niewolnice wychodzą. Kwiaty w teatrze. Sufler. Trochę mniéj pięści i mniéj kochanków.

—

Santjago ma dwie sale, brzydkie, zimne, otwarte na wszystkie wiatry z powodu trzęsienia ziemi, i które zajmują, razem z publicznością,— jeżeli przypadkiem jest tam publiczność, — legjony szczurów, tłustych, szarych, wielkich, bardzo różnych niestety! od tych, które u nas zwracają na siebie lorynetki lowelasów podstarzałych parkietu i przedsceny.

Szczury tutejsze, jak szczury naszego kraju, żyją za kulisami i z kulis; gryzą tam, czają się, mnożą, okryte są futerkami; ale różnią się tém mianowicie od naszych, że wszelkiemi sposobami unikają świata, chronią się spojrzeń, gdyż nie stroją się ani w jedwabie, ani w aksamity, ani w koronki, ani w czułości.

Dajmy pokój wszelako szczurom obu krajów i nadstawmy ucha artystom, którzy przechodzą i mówią przed nami.

Grają wszystko w Santjago, wszystko, oprócz wodewilu, dla którego Chilijczycy okazują najwyższą pogardę.

Wczoraj jednak, za mojém staraniem grano w Valparaiso wodewil złośliwy od stóp do głowy. Przyklaskiwano mu z zapałem, ale powiedziano mi z pogróżką: «Nie probuj Pan tego więcéj; jeden raz nie jest zwyczajem; żyjemy w pogardzie śpiewków, rzuconych w pośród djalogu.»

Pytam się, jakby tu wyglądały: *Rodzina aptekarza*, *Małżonek damy chorów*, *Moja żona i mój parasol*, ogołocone z przycinku, z madrygału, z epigramatu, których nawet nie zadają sobie trudu przełożyć na prozę..... Za to wartoby wypoliczkować Chilijczyków, wyburczyć Chilijki; to znaczy wyrzec się uśmiechu; a jednak lubię jednych, i niemam nienawiści dla drugich: zapytaj u.... Zapominam nazwisk.

Za to, literatura nóg jest więcéj szanowaną w Rzeczypospolitéj Południowéj. Darmo że zakreślone koła doznają przerwy, darmo że piruety często są koślawe, darmo że w stawianych krokach braknie rytmiczności, loże, parter, *cazuela*, klaskają rękoma, tupczą, wrzeszczą, wyją, ryczą, skoro się ukaże tancerka, skoro wystąpi skoczek.

Pojmujesz dobrze, Paquito, śliczna jak bukiet pani Prevost, młoda i świeża jak myśl miłości, że to nie na ciebie spadają te wyrazy ubliżające.

Ty masz wdzięk, wytworność, ty jesteś ładna, ty jesteś miła, mądra nadewszystko, niestety! i miałem tyle przyjemności słuchania ciebie, ciebie, Katalanko wysłużona, ile jéj miały Rzeczypospolite tutejsze widzenia ciebie..... Bądź zdrowa Paquito o drobnych rączkach, o wielkich oczach; bądź zdrowa Paquito wesoła, z dźwiękiem mowy tak słodkim, ze słowem tak zalotnie śpiewaném; bądź zdrów także, bracie Paquity, który czuwasz nad swoją siostrą jak matka czuwa nad swém dziéckiem ukochaném, opuszczam was, ale nie zapominam o was.

Było to wczoraj, w niedzielę. Grano na teatrze Universidad *Siedm stopni występku*, któremi Wiktor Ducange uposażył nasze bulwary (już temu lat wiele). Artysta z talentem, Casacuberta,

odegrywał główną rolę w téj potworności melodramatycznéj; wchodzi na scenę i powiada: «*Ta sztuka mię zabije!*»

W kilka godzin późniéj oddawał on ostatnie tchnienie pośród swych przyjaciół i tłumu, rozczulonego i zadyszanego przy skonie aktora, którego sercu milszy był szacunek publiczny, niżeli dawane oklaski.

Nazajutrz, o północy, Sarmjento, ten republikanin energiczny i namiętny, ten publicysta znakomity, o którym wam późniéj mówić będę, jak równie Fernandez Rodellas, poeta pełen wdzięku i wytworności, przemawiali w niewielu znaczących słowach nad mogiłą Casacuberty; i ja, którego także wezwano na ten smutny obrządek, oddałem me ostatnie pożegnanie temu, któremu z zapałem przyklaskiwałem dniem przedtém.

Santjago jest stolicą Chili; Valparaiso jest miastem drugiego rzędu, a jednak tu tylko znajdujesz teatr porządny, obszerny, salę wybornie urządzoną, loże przestronne, czystość, wygodę, a nawet zbytek.

P. Alexandri tém się zajmował; ale cóż to jest ten P. Alexandri?

Awanturnik, przedsiębierca, pełen odwagi jak Kolumb, którego jest współziomkiem, biédny w pieniądze jak on, i jak on bogaty w przyszłość, rzucił się pewnego dnia w świat, nie mając nic więcéj do życia jak zręczność swych palców, i przybór zupełny marjonetek.

To mało, nie prawdaż? I cóż! nie potrzeba było więcéj Panu Alexandri dla dojścia w niewielu leciech do ogromnéj fortuny.

Drobna moneta zamieniła się wkrótce na piastry, piastry na czerwone złote; i nie będąc pogardzonemi, marjonetki spoczęły w przedpokoju.

Boliwja i Chili kłóciły się z sobą, jak to zwykli czynić dobrzy sąsiedzi, którzy się wzajemnie nienawidzą. Pieniądze Pana Alexandri przyłożyły się do kosztów wojny. Stał się on patrjotą; kapitały jego napełniły kufry tego, który umiał rozporządzać niemi z tak szlachetną roztropnością, i gdy kulka śniegowa powiększała się za każdym

obrotem, chcę mówić za każdym powiewem, P. Alexandri chciał, żeby kraj, któremu on był winien swą fortunę, otrzymał od niego także dobrodziejstwo.

Wszystko się wiąże na tym świecie; figurki papierowe poprzedziły marjonetki, marjonetki poprzedziły kuglarzy, kuglarze poprzedzili aktorów, a wiecie, że wielu aktorów stało się wielkimi artystami.

Opowiem wam jutro może o *Szynganie*, któréj pamięć tak bolesną przechowuję w sobie.

Alexandri był, bezwątpienia, równie tém dotknięty jak ja, i oto upędza się on za sławą gruntowną, tworzy w myśli teatr współzawodniczący najpiękniejszym w Europie.

W wielkich sercach szlachetny zamiar powzięty jest faktem dokonanym.

Malarze, architekci, dekoratorowie wezwani są do uskutecznienia tego przedsięwzięcia; sprowadzono ich z Paryża, Hiszpanji, Włoch; Alexandri przyśpiesza dzieło, wkrótce Valparaiso miało pomnik.

Winienem był oddać tę sprawiedliwość człowiekowi, który pojął, że sztuki są bogactwem narodowém; nie powiem wam nic o jego rodzinie, rodzinie znakomitéj, ukształconéj, oświeconéj, którą oglądamy z takiém szczęściem, opuszczamy z takim żalem.

Przebiegajmy prędko, żeby nie przypominać sobie za nadto, że cztéry tysiące mil oddziela Valparaiso od Paryża.

Czy uwierzycie, że pojętność i zmysły Chilijczyka są tak przytępione, że nie mogą trzy razy słuchać jednéj sztuki? To obarcza za nadto pamięć artystów, to nie dozwala dobrze wróżyć o przyszłości teatru w Ameryce Południowéj.

I cóż! Są ludzie tak dumni ze swojego stanu, że na przekór téj uciążliwéj antypatji, o któréj wam dopiéro co mówiłem, oddają się głębokim badaniom, pracom poważnym dla uposażenia swojego kraju arcydziełami wszystkich państw, chociażby nawet ich prace miały być daremnemi, ich talenta nie poznanemi.

O'Loghlin, naprzykład, któregobyście kochali jak ja, gdybyście jak ja znali go; O'Loghlin, dyrektor dzisiejszy teatru Val-

paraiso, ukształcony jest na wzór rzadkiego człowieka, o którym wam uprzednio mówiłem.

Nie obcy mu Corneille, Racine, Molière, Shakespeare, Hugo, Dumas, równie jak Calderon i Lope de Vega, pochodnie jego ojczyzny.

W świecie O'Loghlin ma układ pański jakiego Lauzun'a lub Richelieu; na teatrze chwyta z niesłychaném szczęściem najdelikatniéjsze odcienia ról jemu powierzonych.

Niedbając na tradycje, rzuca się on tu i owdzie jak rumak nieposkromiony; tłómaczy namiętności z energją przechodzącą niekiedy zakres, ale bez fałszowania logiki, i nie uwierzycie, ile jest niespodzianego w jego grze, w jego dźwięku mowy.

Gdybym wam dał bjografję zupełną O'Loghlina, sądzilibyście, że to jest płód wyobraźni gorączkowéj; wolę raczéj przeskoczyć piérwsze stronnice jego życia i powiedzieć wam, że nic bardziéj czystego, uczciwego i pełnego życzliwości jak Pani O'Loghlin, którą teatr szczyci się, i która płacze jak Dorval, tak żałośnéj pamięci.

O'Loghlin przetłómaczył dla teatru, który mu jest powierzony, wiele sztuk z naszego repertorjum, a jednak wiedział dobrze, że tegoż dnia, którego się urodziły, zobaczy je umierające.

Niestety! niestety! *Cachucha*, *El Sapado* używają więcéj przywilejów, i publiczność Chilijska patrzałaby przez kwadrans na kręcące się na wielkim palcu ciało giętkie i pulchne, i krzyczałaby *bis* i klaskała w dłonie, tak jak w Lima czystém przy wspaniałéj walce kogutów.

Wiém dobrze, że szczegóły, które mają nastąpić, nie zawierają w sobie godności, jaką chciałbyś znaleść w przedmiocie tak poważnym, ale nie wszystko jest kwiatem w ogrodzie, nie wszystko radością w przyjaźni, nie wszystko szczęściem w czułości macierzyńskiéj; zresztą kontrasty sprawiają malowniczość. Chodźcie tedy za mną.

Za wejście do loży płaci się cztéry reale, prócz tego za każde krzesło po jednym. Ale zapłaciłeś tę sumkę dość porządną dla tego, żeby słyszeć raz tylko sztukę ogłoszoną przez afisz; i cóż! czło-

wiek jest tam, co myśli że to mało dla ciebie, który ci ofiaruje hojnie procent od twych pieniędzy, i zmusza cię, chcesz czy niechcesz, słyszeć dwa razy dzieło przedstawiane: ten człowiek, to sufler.

O! on, upewniam cię, nie pozwoli nigdy na to żeby aktor brał rolę swoję na ton wyższy od jego; krzyczy on, wrzeszczy, hałasuje, ryczy swą sztukę od początku do końca, od piérwszego wyrazu do ostatniego: rola tyrana, rola głupca, malca, pokojówki, wszystko mu jedno! Słyszysz go z lóż i z galerji, jak słyszysz trąbkę muzykanta lub konduktora dyliżansu, kiedy grzmiące: «*Ruszaj!*» rozlegnie się przy wyjeździe ze stolicy.

Apuntador teatru Valparaiso,— wstydzę się istotnie za Panów O'Loghlin i Alexandri, — bierze tylko trzydzieści piastrów na miesiąc; a jednak ten *apuntador*, z piersią śpiżową i głosem niższym o trzy nuty od trombonu, jest człowiek z silną głową i silnemi piersiami; jestto wielka niesprawiedliwość do wynagrodzenia.

Zaiste, jestto rzecz opłakana, ten sufler, z głosem stentora, powtarzający pięć aktów: pięć aktów długich, ścisłych, zbitych, jednym ciągiem, na jedną nutę!!

Jeszcze jeden krok ku stolicy. Stań teraz u drzwi jednego z teatrów Santjago, Universidad albo Rzeczypospolitéj, i patrz na wchodzące damy, przybrane w swe wspaniałe kosy, w zasłony spadające do nóg i w swój ubiór amazoński....; oto służąca, z tyłu za niemi, niesie krzesła, jak one same niosą kobierce, kiedy mają klęczeć w kościele. Jedne i drugie wchodzą; piérwsze mają teraz na czém usiąść w swych lożach, *niewolnice* wychodzą, a nazajutrz powracają do teatru, gdzie za kartką swéj pani, odbierają krzesła przyniesione.

Jeśli nie wiész o tym zwyczaju i udasz się na reprezentacją kilku minutami przed podniesieniem kortyny, sądziłbyś że przyszedłeś na bazar, żeby być obecnym przy przedaży starych meblów, oddanych na publiczną licytację.

Nadto, jak tylko idzie o reprezentację uroczystą, jak tylko rzecz

się toczy o benefisie artysty ulubionego, loże Universydadu, a nadewszystko loże Valparaiso, podobne są do prawdziwych koszów z kwiatami, pomiędzy które rozsiano brylanty, takie błyskawice ciskają oczy Chilijek, wtedy gdy tłum jest tam dla krytykowania lub chwalenia.... Jestto *Włoska Opera* w Paryżu, kiedy Alboni, Persjani, Lablache, Ronconi i Mario powtarzają nam melodje wielkich mistrzów sztuki.

Tak, bezwątpienia, wszystko to jest dobrze, wszystko to zachęcające, wszystko to ukazuje na przyszłość pełną chwały; ale potrzeba niejednéj reformy! Czegoż możesz się spodziewać po przyszłości teatru, do którego damy każą przynosić swe krzesła, gdzie sufler jest więcéj słyszany niżeli artysta, gdzie on pali tytuń w swéj budce podczas reprezentacji, gdzie żyją w pogardzie wodewilu?....

Co do mnie, zachowuję starannie w mém sercu pamięć wielkich względów które mi okazali Chilijczycy; i uwierzyłem sto razy więcéj w Porcher'a, naszego kochanego kapitalisty, słysząc oklaski dla moich śpiewków, układanych przy ryku fal Przylądka Horn i wichrów miotających okrętem śród Archipelagu Chiloe.

Tak, moi przyjaciele z Valparaiso, jeżeli chcecie teatru, któryby wam przypominał zupełnie Europę, niech wasze oklaski nie będą uderzeniem pięścią w ławkę, niech sufler będzie suchotnikiem, niech Yanki i Francuzi nie wydają sobie codziennie krwawych bójek na pięści, niech młode dziewice i szlachetne damy nie rzucają tak wiele bukietów miernym artystóm; niech grają na waszych teatrach więcéj jak raz jeden znakomite arcydzieła; niech zastępy niezliczone pcheł nie zapełniają parteru, i niech Margarita nie otacza się w czasie sztuki gronem miłośników, zagłuszających nawet głos suflera, którego znacie już potęgę.

Chilijczycy, Scribe lub śmierć! Wodewil lub żałoba!.... Ostrzegam was; moja gorąca przyjaźń dla was nie zmieni się równie zdaleka jak zbliska.

Alexandri uposażył was wspaniałym teatrem, wspierajcie zdolności P. Alexandri, jeśli pojmujecie waszą chwałę i wasze rozkosze.

SZYNGANA.

Trzeba znać Szynganę. Bal i koncert. Publiczność, mężczyźni, kobiéty. Weź swój bilet. Co za bilet! Weź szklankę maté. Cztéry lustra i tyleż świéc. Szczypce naturalne. Bez kortyny. Narzędzia muzyczne. Mechanizm stolika nocnego. Paznokcie. Taniec i wrzaski tłumu.

—

Nikt nie odwiedzał Koryntu bez uwielbienia Aspazji, nikt nie może odwiedzić Rzymu bez widzenia Papieża i bez przyklęknienia przed Świętym Piotrem; nikt nie zwiedza Londynu bez obejrzenia Świętego Pawła, Westminsteru i tunnelu; nikt nie przebiega Paryża nie zatrzymawszy się w Luwrze, na placu Vendôme, w Panteonie, w Obserwatorjum, u Inwalidów i w Szlachtuzie; nikt nie może połykać pyłu prozaicznego Valparaiso nie poznawszy Szyngany.

Szyngana jest radością Chilijki czystéj krwi; ona żyje Szynganą jak żyje Cazuelą w teatrze; ona wzdycha do Szyngany rano, wieczorem, żądałaby jéj w nocy, gdyby owady, jéj towarzyszki pokojowe, nie potrzebowały swojego łupu codziennego; chce ona Szyngany przy blasku prostopadłych promieni słońca, w czasie chłostania ulewnego deszczu, podczas prądu niszczącego wiatrów południowych, zmiatających wierzchołki gór.

Szyngana, moi przyjaciele, nie jestto ani naszyjnik, ani małżonek, ani kochanek, ani szal kaszemirski, ani biesiada chilijska.

Szyngana jestto sala balowa i razem koncertowa, gdzie jaśnieje Samacuecca, usypiającéj pamięci.

Oto świątynia.

Gromada ciekawych, amatorów, niecierpliwych, zajmuje przestrzeń ulicy dość ścieśnioną, gdzie się tłoczą, depczą, żeby nic nie stracić z cudów zawierających się wewnątrz.

Przypatrzmy się tym fizjognomjom, których typ mnie już dobrze znany.

Są to ludzie ogromni, ociężali, tłuści, cuchnący, okryci *poncho* w łachmanach, brudnemi pantalonami i koszulą nie więcéj czystą; są to czoła bez włosów, włosy bez czół, policzki nabrzmiałe, ręce pełne mozołów, oczy płowe, usta rozmawiające po cichu z uchem i mówiące, bezwątpienia, rzeczy nie mogące się wyrazić w żadnym języku. Boże! co za postacie bydlęce! Co za mowa rażąca słuch! Jak dotknięcie podobnych istot przejmuje dreszczem!

Prędko, prędko, zobaczmy co jest wewnątrz i szukajmy uchrony przed biedactwem zewnętrznem.

A jeszcze zapomniałem wam powiedzieć że są tam i kobiéty— tak, nie mylę się, prawdziwe kobiéty, ubrane w spodniczki, wstążki, chusteczki i pończoszki; młode dziewczęta z swemi długiemi kosami czarnemi, swemi oczyma czarnemi, swemi brwiami czarnemi, swemi paznokciami czarnemi i swemi zębami białemi. To nie bardzo grzecznie z mojéj strony, przyznaję; ale rycerze stołu okrągłego pomarli od wielu wieków, i czasy rycerstwa zdaje się że nie chcą zmartwychwstać.

Jakkolwiek mało może być w tém grzeczności, spodziewam się że nie ściągnę na siebie gniewu, kiedy powiem, że postać tych kobiét co otaczają Szynganę jest w zupełnéj zgodności z postacią mężczyzn; mowa taż sama, ruchy téż same, i że bez spodniczek i kos, założyłbym się że nie rozpoznałbyś pana od panny.

Wejdźmy.— Podwoje osadzone w trzy potwornéj wielkości słupy, uszkodzone tarciem wieków, pysznie się roztwierają, sięgając od ziemi aż do szczytu budowli.

Nie sądźcie, proszę, żeby się one ubiegały o pierwszeństwo z łukiem tryumfalnym *Gwiazdy* albo *Antonina*, albo też ulicy S-go Djonizjusza, albo nawet z jedném z tych nizkich sklepień galerij pa-

łacu narodowego w Paryżu. Nie, moi przyjaciele, Szyngana niema tyle pretensji. Drzwi, o których mówię, podobne są do otworu jednéj z tych stodół Normandzkich, kędy przechodzą zaledwo bogate żniwa okolicy, albo do tych wrót naddrożnych, które patrijoci—obywatele wiosek wznoszą co lat pięć na cześć swych wymownych deputowanych, podróżujących kosztem gminy.

To pysznie, chlubnie, ale nie olbrzymio; to nie zapowiada bynajmniéj podróżnikowi archeologowi świetności zmarłéj kraju, gdzie panowały niegdyś sztuki, nauki i przemysł.

Oto dziura obok drzwi, wsuń w nią twoję rękę opatrzoną realem; wrzuć tam sztukę monety i weź w zamian co ci wsuwają w rękę. To cóś ciężkiego, czarnego, śmierdzącego, lipkiego; nic to! Bierz dla tego, jeśli chcesz być w Szynganie.

Otrzymałeś twój bilet, służący późniéj za kontramarkę, a téj kontramarki, czy też biletu następne jest pochodzenie.

Wiecie już, że grają w karty w Chili.

Z domu bogacza karty przechodzą do domu ubogiego, z domu ubogiego do szyneczku, z szyneczku do sklepiku, pełnego zaraźliwych wyziewów; i tu, talja kart ważąca jedną uncję dochodzi do wagi półfunta, tyle palce utłuszczone pozostawiły tam śladów swych pieszczot.

Otoż, ze sklepiku, króle, damy, walety, asy, newki i ich towarzysze udają się wprost do kassy Szyngany, gdzie jeszcze zaoszczędzają je, kiedy ta kassa nie spodziewa się wiele przychodu, to jest, kiedy wicher północny zalewa cię falami pyłu, ale kiedy niebo jasne, karta utłuszczona rozrzyna się tylko na cztéry części: zawsze jest próżność u nędzarza zbogaconego.

Dodajmy, że kiedy publiczność nie zbiera się gromadnie, dzielą kartę na ośm części; ubóstwo uczy oszczędności....

Jedna, dwie lub trzy plamy, w kształcie jakichś gzygzaków, oznaczają dzień uroczystości: każdy dyrektor teatru musi mieć cokolwiek gienjuszu.

Jesteś tedy opatrzony w bilet, masz prawo wejść, i czas już żebyś był oswobodzonym od tłoku twych sąsiadów.

Jeśli nie rzucasz twojego złota na wiatr namiętności, jeśli real psujący wypadł z żalem z twojéj skąpéj ręki, możesz jeszcze wyciągnąć z niego korzyść, siadając w parterze na ławce koślawéj, pokrésowanéj licznemi szparami.

Tam, czy jesteś szlachcicem czy kmieciem, siedząc obok *guasso*, możesz żądać szklanki *maté*, wychylić do dna ten napój, i podać sąsiadowi szklankę zwilgoconą dotknięciem ust wszystkich obecnych. Szyngana jest hojną.

Zresztą, napój podawany nie jestto rzecz najbardziéj odrażająca w sali; wzrok, węch, słuch, dotknienie odbierają tam śmiertelne ciosy, i nie pojmuję dla czego, gdy zamykają kanały, nie wyciągną kordonu zdrowia około wzorowéj Szyngany, żeby odosobnić ją od świata zdrowego i cywilizowanego.

Jeżeli ty, nowy Krezusie, zgadzasz się na uposażenie nieszczęśliwéj Szyngany jeszcze jednym realem danym przy wejściu, możesz to uczynić bez obrażenia próżności tancerki lub śpiewaka; ale wtedy, dla odznaczenia się od tłumu żebraczego, za pomocą drabinki kulejącéj, co jest najmniejszą jéj wadą, wstępujesz na galerją, panującą nad zgromadzeniem, i możesz według woli cieszyć się widokiem jego, nie tracąc żadnego ze szczegółów; potém, jeśli chcesz udzielić cząstkę twojéj uciechy niecierpliwéj gawiedzi ulicznéj, wychylasz głowę przez okienko, protektorską ręką nakazujesz jéj milczenie, i opowiadasz uroczystości świątyni szyngańskiéj.

Cztéry lustra zalewają salę swemi ogniami krzyżującemi się.... cztéry lustra! Przebacz, o Ravrio! ale nasz język niedostateczny jest do nadania jakiegokolwiek nazwiska téj machinie zawieszonéj na sznurze, i w któréj szczeliny wprawiono cztéry świéce przyjemnego zapachu.

A ponieważ gorąco panujące w sali przyśpiesza z nadzwyczajną szybkością roztapianie się tłustości, prawie co kwadrans to zachwycające lustro spuszczane jest przez artystę, który włazi na ławkę, odsuwa ciekawych napiętnowanych łojem, i dodaje życia przedłużonym knótom, ucierając je swoim wielkim i wskazującym palcem, napuszczonym śliną.

Wszystkie te ważne zatrudnienia uskuteczniają się podczas saméj reprezentacji, wszystko to się czyni z powagą kastylijską, tąż samą z jaką *serenos* wyrywają cię ze snu, który opiekuńczemi skrzydły zaczął cię osłaniać.

Zapytacie mię może, dla czego opowiadam z takiém zamiłowaniem o Szynganie wygorsowanéj? dla czego staram się nieopuścić żadnéj z jéj świetności? Oto dla tego, że Szyngana jest twórczynią teatrów chilijskich; że nim jéj nie było, dawano reprezentacje pod gołém niebem, na ulicach, placach, rynkach; że po niéj, dzięki jéj, wzniesiono świątynię godną naszych wielkich miast europejskich, gdzie talenta kosmopolityczne przedstawiają uwielbieniu sławne imiona, gdzie występują kolejno Corneille, Shakespeare, Molière, Hugo, Scribe, Rossini i Dumas, równie jak godni zastępcy tych niezgasłych pochodni, których wieki skąpo udzielają.

Wspomnienia, zresztą, nie rodzą się bardziéj z sprzeczności, niżeli z podobieństw? Tak sądzę, jestem tego pewny, co się mnie tycze.

Nie zobaczyłem nigdy małéj głowy cukru, żebym nie przypomniał sobie natychmiast tego ogromnego olbrzyma, uwieńczonego razem smołą, śniegiem i dymem, na głos którego drży cały Archipelag Kanaryjski; nie widziałem nigdy toczących się przezroczystych nurtów rzeki, żebym nie obudził w sobie wspomnienia bezładnéj wspaniałości Njagary, któréj sam huk zdolny nauczyć religji.... Wiek dziecinny przypomina starość, uśmiech, łzy, czułość, zdradę, kretyn człowieka gienjalnego, i nie byłem nigdy zachwycony przez ciszę w pośród ogromnego Oceanu Spokojnego, żebym nie zrosił łzami skał Maluińskich, gdzie spoczywa dzisiaj moja piękna *Uranja* podruzgotana.

Po tém usprawiedliwieniu, przedłużam daléj moje postrzeżenia przyobiecane.

Niémasz kortyny na przodzie sceny w szynganie; nie znają tu sztuki oszczędzania uciech; za piérwszym rzutem oka możesz wszystko objąć.

Co do aktorek i aktorów, oto oni na podniesieniu, siedzący lub stojący, rozmawiający i palący, odziani jak ty i ja, tak, że możesz, nie przesadzając wcale, wziąć ich również za mężczyzn jak za kobiéty, z małemi wszakże wyjątkami.

Mają oni bielidło na czole, róż na policzkach, czerninę na brwiach: panie damy dodają błękit-nidło na swe piersi dla odznaczenia żył, i nie wiem tam czego jeszcze; nacierają także czémś zęby, żeby dać poznać że stan ich dozwala im bez wielkiéj trudności gryźć kawały mięs łykowatych, które się gotują w poblizkim kociołku: próżność jest królową świata.

Narzędzia muzyczne są: gitara, arfa i stolik nocny..... Niewdzięczni zapomnieli o kastanjetach narodowych, kastanjetach mówiących, gadatliwych, kastanjetach poetycznych, dodających giętkości kibici, ognia spójrzeniu, żywości nogom..... Ach! zbrodniarze Chilijczycy! Ale przynajmniéj nie uraczyli nas fortepjanem, podziękujmy im i za to.

Wymieniłem wam instrumenta; potrzeba jeszcze żebym powiedział, że nie trzymają ich, jak zwykle trzymają je w świecie artystów.

Scena panuje zuchwale nad publicznością; są to deski oparte na mocnych belkach; ale podłoga ta nieszczélna w wielu miejscach, grozi, za każdém wstrząśnieniem, zrzuceniem na sam spód budowli, instrumentów, tancerzy i muzykantów.

Patrz teraz: są to małe rączki kobiéce, które mogą się skrobać w czoło w odległości *trzydziestu centymetrów* (1), dotyla paznokcie ich długie, i zaostrzone po chińsku. Ciągłe takoż przestawanie ze strunami nadało im twardość kopyta końskiego, i żałowałbym bardzo niewiernego kochanka, przeciw któremu zostałyby wymierzone w dniach gniewu.

---

(1) Tu Autor, zdaje się, przesadził, bo nadał paznokciom artystek chilijskich długość więcéj jak czwierć łokciową, co wątpię żeby mogło egzystować *in rerum natura.* P. Tł.

Arfa, leżąca poziomo, ma za punkt oparcia niepospolicie wydatną pierś artystki; a żeby drgania jéj nie przywiodły arfy do stracenia równowagi, opierają jéj podnóże na kawale skały granitowéj, którą herkulesowie północni nie łatwoby zruszyli z miejsca. Wszystko to zachwycające dla oka, ale uszy, biédne uszy!

Przejdźmy do stolika nocnego, bez naczynia we środku, i starajmy się dać pojąć mechanizm tego mądrze pomyślanego instrumentu, który wątpię żeby Europa wyrodna probowała kiedy przyswoić sobie.

Są to cztéry nogi prawie równe, jako tako połączone z sobą deszczułką, któréj drzewo cieńkie i dźwięczne ma posłannictwo wydawać odgłos pod ręką w nią uderzającą, jak to czyni dobosz z bębnem wojskowym; ale, ponieważ odgłos ten powinien dać się we znaki uważnym słuchaczom, wymyślono, — patrz co za gienjusz! — Wymyślono powiadam, małe języczki z blachy żelaznéj obijające się o drzewo, naśladujące dość dobrze, kiedy są poruszane łagodnie, łoskot niezmiernie bawiący węża grzechotnika..... Rzekłbyś że to pargamin tarty o pargamin.

Ale kiedy energiczna pięść muzykanta lub muzykantki chce nadać więcéj dźwięczności swemu stolikowi nocnemu, o! wtedy sądziłbyś że jesteś obecny robocie praczek, uzbrojonych w swe grube klepacze; nigdy Sax-horn, przerażającéj pamięci, nie otrzymał podobnych rezultatów.

Zresztą, wpływ tego pysznego instrumentu jest tak magnetyczny, tak przeważny, że tancerze, porwani jego głosem, nie śmiem powiedzieć, harmonją, dążą nogą i ciałem za ruchami ręki, i taki czynią stuk na podłodze, jak gdyby skakali na samym stoliku nocnym ze wszystkiemi jego przyborami.

Pojmujesz dobrze, że kiedy jest tyle ekscentryczności w muzyce, musi jéj być dosyć w tańcu.

Ale tu nieznam słownika zdolnego do wytłómaczenia wzruszeń, tupań, jastrzębich spojrzeń, konwulsyjnych ruchów, erotycznych uśmiechów aktorów dramatu, pobudzonych jeszcze wrzaskami tłumu, który

chciałby żeby małżeństwo spełniło się przy świetle luster....., a wiesz już jakich luster!!

Tancerze nie trzymają się za ręce, — chustka ich przedziela, inaczéj zamieniliby się na węgiel. Nogi ich, uważ to dobrze! nigdy nie są zwrócone na zewnątrz, ale wewnątrz palcami; to czyni czarujący effekt, i wyzywam Cerrito, Taglioni, Elsler, żeby zdołały naśladować śmiałych *Chinganeros*, którymby tylko policjanci miasta Paryża mogli wtém dorównać.

Pomiędzy temi muzykantami, jest jeden człowiek, którego nazywają *Maricon*. Jestto plama tłusta na błocie, czy plama błotnista na tłustości.

Udajmy się w inną stronę, zobaczmy co innego; powiedzmy tylko, dla dania wypoczynku naszéj pamięci, i ponieważ o tém była już wzmianka we *Wspomnieniach ślepego*, że na wyspach Marjańskich widzieliśmy taniec prawie podobny do *samacuecca* chilijskiego. Ale tam jestto *samacuecca* odświętna, zalotna, z kwiatami u czoła, z westchnieniem w sercu, z uśmiechem na ustach.

Na wyspach Marjańskich, *samacuecca* jest bukietem ślicznym, wydającym wszędzie woń skromności, chwytającéj za serce, i sprawiającéj że błogosławisz chwilę przybycia i przeklinasz chwilę odjazdu..... Ruszaj do Guham.

I rzecz skończona.

Mój przyjaciel Chaigneau (Szenjo) nie zataił przedemną niczego.

Jego oko pojętne zgłębiło wszystkie zakątki tego miejsca rozkoszy, przypuścił mię do tajemnic kapłanek świątyni i jéj wiernych czcicieli. Dziękuję.

Co do mnie, dotknąłem się ręką i myślą przybytku, ołtarza, bóstw i przydatków; i kiedy byłem pewny że o niczém nie przepomniałem, spocząłem w mojém uwielbieniu.

SERENOS.

Ich wrzaski. W nocy niczego nie wolno. Trzydzieści sześć katarów za pensję. Dźwięk dzwonów popękanych i ich głosy.

—

Upewniam cię najprzód, że oni to co robią, robią poważnie, bardzo poważnie, sumiennie: może nawet z zamiłowaniem. Cóż chcesz! Wszystkie namiętności rodzą się i dojrzewają w sercu człowieka, i sereno posiada serce tak jak ty i ja, nieszczęściem dla rodu ludzkiego, który ma swe godziny snu, spokoju, marzenia. Więcéj jak ty i ja, sereno posiada także piersi, i jakież piersi, wielki Boże?! Żaden z naszych słynnych tyranów bulwarowych nie śmiałby z nim współzawodniczyć, chyba byłby szalonym, albo bez miary pysznym.

Patrz: noc spada z nieba, strojna w perły i szafiry, albo kąpiąca się poetycznie w falach perłowéj macicy, pędzonych powiewem wiatru..... On tam.... tam.... poważny sereno, piechotą lub konno, z świstawką w lewém, z sznurem w prawém ręku, stojący jak słup granitowy na rogu ulicy. Cicho! zegar bije godzinę.... Wszystko się porusza, wstrząsa, kipi, jestto tartaś czarnoksięzki, są to wrzaski, mogące obudzić nieboszczyka w grobie, jestto upadek melodrammy w teatrze *Wesołości*, z jego przenikliwém gwizdaniem, z jego ryczeniami i jego wściekłością.

«*Już pół do jedynastéj i na deszcz się zanosi!*»

Są to wyrazy, zdaje się, bardzo proste, które Jourdain sam wziąłby za prozę. I cóż! Rossini, Meyerbeer, Halévy, Auber i wszyscy kompozytorowie dzisiejsi, wszyscy harmoniści i dyzharmoniści świata, nie mogliby wymyślić nic bardziéj dzikiego, bardziéj rażącego, bardziéj szarpiącego uszy, jak okropne śpiewanie, straszliwe krakania mojego zucha, powtarzającego ten frazes tak prosty, i dającego znać, że święcie pilnuje swojego stanowiska....

Myślisz może, że jak tylko wyrecytuje swą lekcję, umilknie on i spocznie? Biédny domatorze, w jakimże ty zostajesz błędzie! Sereno zaczął ijść krokiem mierzonym; ledwo że go słyszysz jeszcze z ulicy, bo tu ulica u ciebie, w twojém mieszkaniu, tak ściany są cieńkie, i tak blisko jesteś ziemi.

Gwizdnięcie szarpiące uszy rozlega się znowu; powtórzone ono przez tego, który zajmuje swe stanowisko w jednym lub drugim końcu ulicy: krzyk nieszczęsny daje się słyszeć znowu, wydany przez drugą, trzecią, czwartą pierś, a pierś niezmordowaną. Przytulasz się w kąciku swojego łóżka, raczéj swoich desek.

Wiatr co go przynosi, cofa się z przestrachem.

Łajesz, przeklinasz, choćbyś był samym Hippolitem. Sereno zwyciężył cię, jak potwór Trezeński zwyciężył niegdyś szlachetnego syna Tezeusza, który nie chciał słuchać czułych oświadczeń swéj macochy.

Sereno zaczyna swój koncert nutą nizką, długą, wlekącą się, podnoszącą, w takt spadającą, bez akkordów, podobną do ryczenia osła, szukającego brakującéj mu paszy. Gamma postępuje w górę na tercję, kwartę, odzywa się dyszkantem, przenosi go, zmienia na bełkot, rozszerza, przedłuża, skraca, ciągnie daléj tak pięknie, tak poetycznie, nadaje barwę tak malowniczą, tak fantastyczną, tak dziwną; miesza tak dzielnie syllaby z dźwiękami, że gdybyś nie znał poświęconego frazesu, założę się o dziewięćdziesiąt dziewięć przeciwko jednemu, że nigdy znaczenia jego nie schwycisz.

To bardzo przyjemnie, nie prawdaż? Ale każda półgodzina, tu jak w Europie, niema więcéj jak trzydzieści minut na zegarach miejscowych; otoż słuchać tego, co trzydzieści minut, to zanadto, to przeszkadza ci spać, to odziera z poezji twe marzenia, choć z drugiéj strony, przerywa występne myśli złoczyńcom, rozciąga opiekę nad mieszkańcami aż w ich domach. Drzwi twoje nie są dobrze zamknięte; i baf! sereno skazuje cię na karę czterech piastrów, które musisz płacić natychmiast. Przemykasz się ukradkiem po ulicy, sereno łowi cię sznurem, oddaje w ręce drugiego sereno, ten oddaje w ręce trzeciego i tak następnie, aż nim cię dostawią do mie-

szkania, które sam wskazałeś. Tam, rozpytują gospodarza, sługi, wszystkich, i jeśli pokazało się że skłamałeś jesteś aresztowany i uwięziony.

Sprobuj teraz zemknąć, kiedy mając jakąś potrzebę zbliżyłeś się do wygodnego kącika i złapany jesteś na gorącym uczynku; ni stąd ni z owąd, sznur cię chwyta, opasuje, ściska swojemi węzły, jakby splotami węża dusiciela, i zamiast trzech realów naznaczonych prawem, zapłacisz dwa piastry, wybierane na korzyść moralności. Ależ, trzeba jeszcze wiedzieć, że czego nie wolno, w nocy, pod murem, tego możesz się dopuścić w dzień, pośród ulicy, pod okiem nawet czujnego sereno, który zna swą księgę praw i przechodzi koło ciebie nie powiedziawszy ani słowa.

Wszystko to dziwne w oczach podróżnika, ale cóż chcesz? Nikt nie podróżuje, nikt nie przebywa czterech tysięcy mil, żeby widzieć tylko merów, co zapomnieli nauczyć się czytać, drobnych przeniewierzeń małżeńskich, albo kłótni woźniców.

Myślisz może że już pozbyłeś się go tak łatwo? Nie, nie, jeszcze to nie koniec obowiązków sereno; pozostają jeszcze inne, bardzo trudne do spełnienia.

Patrz: drzwi otwarte, słota na dworze, krzyk rozpaczy daje się słyszéć, matka drży o swojego syna chorego, syn napróżno błaga ratunku dla swéj matki złożonéj chorobą; potrzebujesz pomocy skutecznéj i prędkiéj.... Sereno przywołany, doktor będzie wkrótce; natychmiast go zobaczysz.

Gwizdnięcie się rozległo, sereno sąsiedni je powtarza, nauka rozbudzona, przybiega. Matka, syn odzyskują nadzieję, i ty uważasz wynalazek sereno za dobrodziejstwo.

Sereno niema munduru; okryty swojém *poncho* narodowém, równie latem jak zimą, z kapeluszem na głowie, słomianym lub pilśnianym, kroczy on przez miasto, i wolno ci, bez obrażenia go, wziąć go za stróża, człowieka biédnego, żebraka lub żołnierza pieszego. Sądzę że myje się raz tylko w półroczu; jeśli ogłaszam o nim tak drobne szczegóły obyczajowe, to dla tego, że chcę mu zostawić po sobie dobrą pamiątkę.

— Ile masz dochodu na rok? Zapytałem wczoraj jednego z tych bohatérskich podpór rządu.

— Trzydzieści sześć okropnych katarów, odpowiedział mi głosem ochrypłym.

— A z czegoż żyjesz?

— Mój głos wystarcza na to, żebym nie umarł z głodu.

Kiedy katar potrwa długo, naprzykład ośm do dziesięciu dni, pojmuję dla czego naśladują oni tak dobrze dźwięk dzwonów pękniętych, szmér wody błotnistéj, spadającéj w głąb' kanału, albo ryk szakala szukającego trupa.

Zresztą, znajduję pomiędzy nimi i pewną klassą ludzi naszego kraju, tak przedziwnie cywilizowanego, zupełne podobieństwo. Podobnie jak sereno, istoty, na które zwracam twoję uwagę, twój gniew, robią z dnia noc i z nocy dzień..... Są to piekarczyki brzydkie, grube, tłuste, zapocone, ryczące jak zwierzęta drapieżne zruszone z legowiska, piekarczyki z głosem chrapliwym i żałośnym, który przestrasza przechodzących, nabawia trwogi młodą dziewczynę, i ściga cię z kwartału do kwartału, jak oszust czatujący na ofiarę. Ale piekarczyka, który nie zatrzymuje nikogo i wyrabia nam tylko chleb, zroszony jego potem, napróżno byś pytał na ulicy, napróżno byś wzywał jego pomocy. Okrutny, odpowiedziałby ci on przez jedno z tych *haaaa!* przeciągłych, które ci zapowiadają zgon, ostatnie chrapanie, ostatnią nadzieję zagasłą.

Tak! tak! Wolę raczéj sereno Valparaiso, Santjago, lub Limy, niż piekarczyka paryzkiego; wszelako wolę raczéj Paryż, nawet z jego piekarczykami, niżli trzy miasta Amerykańskie z ich czujnemi serenos, z ich dziewczętami przykuczniętemi w kościele, i z Mariquitą ciemnowłosą, wspartą na ręku we drzwiach swojego domu, wieczorem, kiedy już nie dzień i kiedy jeszcze nie noc. Dobranoc tamtym, do zobaczenia téj ostatniéj.

ŻEBRACY.

Ich obyczaje. Umarli w Chili.

—

Jestto szlachetne rzemiosło, rzemiosło żebraka, kto się niém trudni w Valparaiso, w Lima, albo w każdém inném wielkiém mieście Europejskiém lub zamorskiém.

Żebrak Kastylski i żebrak Chilijski ubierają się w swe łachmany, jak ty się ubierasz w swe jedwabie i swe aksamity szamerowane złotem. Tak samo jak ty jest hardy w swéj nikczemności; podnosi tak wysoko jak ty głowę i spojrzenie; a kiedy przyjmuje jałmużnę podawaną z ręki do ręki, pogardza nią jeśli ją rzucasz na ziemię jak jadło brytanowi..... Żebrak Chilijski nie ugina się nigdy.

Bądź pewnym, że żebrak hiszpański, z jakiéjkolwiek on będzie prowincji, z jakiejkolwiek stolicy, zostanie żebrakiem, chociażby niewiem jaką zebrał fortunę w swych wędrówkach. To tak pięknie miéć klatkę za schronienie, plugawy owad za towarzyszów, kamień za poduszkę, kij za podporę i swobodę pól, któréj nikt nie myśli mu zaprzeczać!

Czego potrzeba żebrakowi dla ubarwienia jego życia?—Płaszcza w szmaty podartego i rany krwią ociekłéj.

Rana żebraka jestto jego szlifa, jego mundur; dla tego, jakież to o niéj ma staranie! Cała jego usilność obrócona nie na wyleczenie jéj, ale na utrzymanie, powiększenie, na nadanie jéj powierzchowności najstraszniejszéj, na udzielenie jéj odcieni najniebezpieczniejszych. Wszystko tu trąci błotem, łzami, krwią, ropą brzydką, zielonawą, co cię zmusza, ciebie cudzoziemca, ściągnąć rękę do twojéj kieszeni i wrzucić białą monetę w rękę odciśniętą i czarną.

Rzekłbyś że żebracy tutejsi należą do jednéj rodziny z żebrakami Hiszpańskiemi; sądzisz że widziałeś ich w ścisnionych gruppach na ulicach Madrydzkich i w przysionkach kościołów Barcellony lub

Grenady. Taż sama fizjonomja, taż głowa rozczochrana, tenże sam śpiew jednostajny i nosowy, taż bezwstydność w oku. Domyślasz się, że wyszli oni z jednéj szkoły, że wychowani w tychże zasadach, wdrożeni do tychże samych nałogów.

Człowiek, o którym wam mówię, jest politykiem takim jak Talleyrand, prawie takim jak Metternich, daleko większym od Thiers'a, i możesz o tém sądzić ze sposobu, jakim on prosi o jałmużnę.

Używa on prośby wtedy, kiedy koło niego przemyka się Francuz, nie używa jéj nigdy, kiedy Anglik lub Niemiec trąca go łokciem.

Wrazie potrzeby, żebrak umie korzystać ze swojéj wysokiéj pozycji socjalnéj, i widzisz go niekiedy, ale to wyjątkowie, pokornym, jak gdyby o nic w świecie nie miał ciebie prosić, jak gdyby przewidywał że pójdziesz do niego pierwéj, niżeli on krok do ciebie zrobi. Źrenica żebraka jest pojętniejszą od źrenicy uistiti.

Ten co urodził się biédnym, umrze biédnym, jakkolwiek stałby się bogatym przez przebiegłość, obłudę lub swoje rany.

Żebrak ma swój stan, swą professję, swe rzemiosło; żyje on przez siebie i dla siebie, może utrzymywać swe książki rachunkowe, i nie dziwiłbym się gdyby niektórzy z nich mieli kommisantów, kassjera; tylko że ci panowie nie lękają się bankructwa, gdyż wszyscy razem nie mogą im odmówić wypłaty, a oni uważają się za wierzycieli wszystkich, wierzycieli nielitościwych, biegących za tobą po ulicy, wrzeszczących i wyjących aż do drzwi twojego domówstwa najlepiéj obwarowanego, i nie dozwalających ci plonu, z któregoby nie mieli żadnéj cząstki.

Chodźmy się przypatrzyć rannemu wstawaniu żebraka; to proste i jasne jak wstawanie zalotnicy czystéj krwi; to cię może natchnąć marzeniami szczęścia i poezji.

Słońce rzuca swe ukośne promienie w izbę otwartą na wszystkie wiatry; oko żebraka otwiera się na światło i on zasiada do swéj tualety.

To jest odpędza daleko od siebie, wstrząsając się, tysiące owadów, które obrały sobie siedlisko na jego skórze gorącéj i wilgotnéj.

Po dokonaniu téj piérwszéj czynności, nasz Antynous powstaje, potém znowu usiada, potém wyciąga ręce, potém wydobywa kilka liści zielonych z jednéj ze swoich torb, i przygotowuje tym sposobem swój dochód dzienny.

Te liście, o których wam mówię, do jakiego one mają służyć użytku? Oto do takiego: potrze się niemi krwią ociekła rana, zostawią one w około niéj ślady wyraźne gangreny poczynającéj się; i jakże przypuścić, żeby litość była głuchą na uskarżania się człowieka, którego ramię ma być odjęte, na jęki i wykrzywiania młodéj dziewczyny, któréj pierś dotknięta nieuleczoną chorobą? Prędko, prędko, wsparcia nieszczęśliwemu, Bóg ci za to stokrotnie wynagrodzi.

Te rzeczy, moi przyjaciele, oglądajcie zdaleka, bardzo zdaleka, jeżeli nie chcecie zachować po nich smutnéj i bolesnéj pamiątki; gdyż ćma owadów żarłocznych, zarażających powietrze, rzuca się miljonami na nową zdobycz, w pogotowiu im będącą, i strumień sąsiedni może cię tylko ratować od ich bolesnych ukąszeń.

Że człowiek silny i zdrowy opiera się téj walce dziesięciu tysięcy przeciwko jednemu, to jeszcze pojmuję; ale że młodzieniec, że dziecko w pieluchach nie ulegną w téj walce, to tego wyobraźnia moja przedstawić sobie nie może, wtedy nadewszystko, kiedy myśl moja przenosi się do tych ohydnych kryjówek, które znajdujemy tu i owdzie, w pewnych kwartałach odosobnionych Valparaiso i stolicy Chilijskiéj.

Liczba nędzarzy jest tutaj niezliczona, i znają się oni wszyscy z sobą, jak dzieci jednéj matki. Nowo przybyli na świat przyjmowani są przez towarzystwo, jak zasób pożyteczny dla zaspokojenia żarłoczności owadów, które nie mają potrzeby żebrania dla znalezienia swéj karmi codziennéj.

Żebrak znający swe rzemiosło, zmienia często ulicę, kwartał,

a nawet miasto lub prowincję. Urozmaica on także powierzchowność swych ran, przenosi je z miejsca na miejsce, i nie znajdziesz ani jednego w całém Chili, któryby nie był ślepym albo niemym, przynajmniéj dwanaście razy w swém życiu.

Powiedziałem razu pewnego jednemu z moich przewodników, jak jestem nieszczęśliwy słysząc ciągle głos bolesny tylu ślepych, proszących o jałmużnę.

— Widzą oni że Pan sam jesteś ślepym, odpowiedział mi ze smutnym uśmiechem, przeto starają się rozczulić go tém samém nieszczęściem, które go dotknęło.

«Gotowi oni stać się garbatemi, głuchemi lub kulawemi, według tego jakiemu kalectwu ulegają przechodni, i takim sposobem wszystkie kieski, nadewszystko kieski cudzoziemców, otwierają się dla ich żebractwa politycznego.

«Nie wiém skąd ci nędznicy biorą łzy, któremi codzień skrapiają swe kolana, mówił daléj mój przewodnik. Miałem odwagę, pewnéj niedzieli, przypatrzyć się dziecku na pół leżącemu na schodach kościoła *la Maternidad*. I cóż! przekonałem się że prawdziwe łzy, łzy rzęsiste spadały z jego oczu od południa aż do zadzwonienia na *Anioł Pański*, to jest, w ciągu sześciu całych godzin, i że źródło, z którego one płynęły, nie zdawało się być bynajmniéj wyschłe; nazajutrz toż samo się rozpoczynało, i poszedłbym o wielki zakład, że mój urwis gra w téj chwili tęż samą rolę.

Poszedłem o zakład i przegrałem: mały żebrak płakał sposobem zdolnym poruszyć najtwardsze serca.

Podobne obrazy mogą oduczyć dobroczynności, a jednak potrzeba przyznać, że nędza jest wielką w Chili, że rząd nie stara się o zniszczenie żebractwa, że uważa go może za zło konieczne, i dodaję, ja, co to piszę, że za nadto wiele jest jałmużników w Chili, żeby wsparcia publiczne mogły być skuteczne..... Nie potępiaj mię za nadto wcześnie.

Prawie wszystkie kwesty czynią się w imię Kościoła, na korzyść Kościoła, niby przez sługi Kościoła; i kwestarze są tak porządnie

ubrani, tak elegancko obuci, tak starannie wypomadowani, że się łatwo domyślić, niestety! iż jałmużny, omijając prawdziwych żebraków, przechodzą do na korzyść pośredników.

Jakiegokolwiek dnia, o jakiéjkolwiek godzinie, latem, kiedy słońce świeci prostopadle, zimą, podczas największéj ulewy, jeśli zwiedzasz kwartał Valparaiso, który się rozciąga od rynku do *Castillo*, przerażonym jesteś niezmierną mnogością żebraków, mężczyzn, kobiét, dzieci, z obnażonemi głowami, tu i owdzie bezładnie leżących na kamieniu, na piasku, w błocie, i udzielających przechodniom zgniłych wyziewów ran, któremi ich ciała są pokaleczone. Ale nie sądź, żeby z tego kanału nieczystości wymykały się, oskarżające przeznaczenie, krzyki boleści lub przekleństwa; bynajmniéj: śpiewają tam, śpią, śmieją się..... Litość zamiera w du zy.

Zwrócono moję uwagę, pewnego dnia, na jednego z tych żebraków, którego widok sprawia odrazę, i którego oburzająca bezwstydność zasługiwałaby na surowe skarcenie. Nazywa się on Santjago Caritas.

Panicz ten ma ranę szeroką i fijoletową, poczynającą się u podbródka i idącą wężykiem aż do dolnéj części żołądka. Rośnie ona razem z nim, starzeje razem z nim, przeżyje pewno jego; ale nie z niéj to on umrze, gdyż pielęgnuje ją, pieści, jak gdyby to była jaka doskonałość, którą niebo go uposażyło.

Santjago wié, że w takim to domu jest kobiéta ciężarna, która wychodzi do kościoła od południa do piérwszéj godziny; otoż on, już usadowiony, z raną odkrytą, u drzwi téj damy, któréj oko przerażone nie może uniknąć ohydnego widoku; jałmużna wypada z ręki i *Caritas* się rejteruje. Wieczorem, żebrak znajduje się znowu na swojém miejscu, i nazajutrz toż samo, tam lub owdzie; mniejsza o to gdzie.

I cóż! Wiész czego się chwyciło wiele familij, przerażonych widokiem i dotknięciem tego nędznika? oto dają mu pensję miesięczną, która się pomnaża corocznie przez zręczność z jaką łotr ten umie wynaleźć w mieście osoby, którym widok téj szkaradnéj nagości odej-

muje sen i apetyt. Santjago daje dzisiaj lekcje brudalstwa tym ze swoich towarzyszy, którzy niestety! mają jeszcze wiele do zrobienia, żeby się stać godnemi swojego mistrza.

Sądzisz może, że niéma arystokracji pomiędzy żebrakami, których powołuję przed moje kratki? Nie miéj żadnego złudzenia w tym względzie.

Sprobuj dać monetę miedzianą ręce odciśniętéj, do ciebie wyciągnionéj, i zobaczysz z jaką pogardą odrzuci ją. Podaj mu kawałek chleba lub mięsa napoczętego, zapyta cię, czy to myślisz że psom rzucasz jadło, i plunie po grubjańsku u nóg twoich, na znak odrazy.

Powracałem zawczoraj z *Castillo*, wypróżniwszy mą kieskę na korzyść uczciwych oszustów, którzy chwytali za poły mojego odzienia.

— *Senjor*, rzekł do mnie żebrak głosem cieńkim, *medio cito por el amor de Dios.*

— Dałem już twoim braciom.

— Ja niemam braci.

— To twoim siostrom.

— Ja niemam siostr.

— Mniejsza oto, niemam już nic.

— O Jasny Panie, poszukaj tylko w swojéj kieszeni.

— Niemam już ani jednéj sztuki monety srebrnéj.

— Kiedy tak, to daj mnie Pan choć parę groszy.

Pewny jestem, że gdybym zamiast ośmdziesięciu pięciu franków, których u mnie żądał, dał temu ładaco reala, podburzyłby on na mnie tych, których nie chciał przyznać za swych braci, i że nie uszedłbym inaczéj z ich rąk jak za pomocą sprężystego batoga stróża, zawsze gotowego do wymierzenia sprawiedliwości.

Znacie teraz prawie życie błędne i siedzące razem tych szczęśliwych biedaków, życie żebractwa i nikczemności, życie lenistwa i hańby, przeciw któremu rząd ojcowski Pana Blanco nie poradzić nie zdoła. Musiałem pokryć milczeniem niektóre czynności ich życia domowego, wystawionego na wszystkie wiatry, równie jak na wszyst-

kich oczy. Dosyć tego co powiedziałem, nie prawdaż? Potrzeba zostawić wolny ściek wodom błotnistym i nie narażać życia turysty postrzegacza. Ale część obrazu pozostaje mi jeszcze do rozwinięcia; wolno ci odwrócić oczy od niego.

Co do urodzin żebraka, jest tu przywiléj na korzyść matki; znała ona boleść, umie znosić niedostatek, narażoną jest ciągle na zmiany powietrza, i góry nie mają szczytów śnieżnych tak wysokich, żeby mogły ją zatrzymać w jéj wycieczkach; a więc, ma ona więcéj siły do rodzenia.

U biédnego, u bogacza, mała istota przychodzi na świat. Matka cierpi i płacze, dziécię cierpi i krzyczy..... Otoż równość. Bóg jest Bogiem.

Ale śmierć przychodzi, przychodzi z starością lub bez niéj, przychodzi z swym gorzkim uśmiechem, swém szarpaniem wewnętrzném, swemi bolami; zbliża się ona, puka do drzwi; otwierają jéj, wchodzi; wszystko do niéj należy.

Tu korzyść jest na stronie bogacza; może on stawić siłę przeciw sile, może wznieść zaporę wymaganiom tak natarczywym téj, która wcześniéj lub poźniéj nie przebacza nikomu.

Ale biédny musi jéj od razu uledz; i bardzo często, niestety! kiedy ona stanie we drzwiach, witają ją przyjaźnie, wyciągają do niéj rękę: «*Przychodź, bądź pozdrowioną.*» Z tém wszystkiém, trup jest tam, na ziemi wilgotnéj, a około trupa nieruchomego, inne trupy chodzące.

Jednak, nikt nie zadaje sobie trudu pójść wpisać datę zejścia na rejestrze gminy. Pies zdycha na ulicy, uchwycony arkanem stróża, ciągną jego zwłoki na nadbrzeże; fala je porywa, unosi, odrzuca i wyrzuca znowu na ląd; szczury po kolei napadają na nie: wiatr roznosi resztę.

Zobaczysz zaraz jak sobie poczynają z trupem biédnego, otoczonego jego przyjaciółmi i jego rodziną.

Są oni tam, stojący lub siedzący, z oczyma suchemi, z sercem suchém równie jak oczy. Wiatr powiał z północy, mówią o wietrze północnym; dom się zawalił, mówią o domie zawalonym; ale trupa,

który jest tam, rozciągnięty na skórze wołowéj, na ziemi, pośród nich, nie widzą oni, nie myślą o nim. Wczoraj, to co innego; był to człowiek, chodził, żebrał, miał na swym ciele rany prześliczne, które były kapitałem. Dzisiaj, czémże on jest? bryłą ciała, rzeczą bez ruchu, z którego ran krew już ciec nie będzie: w rzeczy saméj, te walne biédaki, oni, co jeszcze są, mają co innego do czynienia, niżeli zajmować się tém co było.

Gawędzą więc sobie, ci żebracy w łachmanach, około żebraka, który ich więcéj nosić nie będzie, i któremu ziemia nie da przytułku, aż dopóki dół ogólny nie będzie zapełniony.

Piją sobie *maté*, napój mocny, gryzący, sprawujący nudność i gorączkę, z naczynia, które podają jeden drugiemu i wciągają płyn w usta za pomocą rurki albo trzciny, którą każdy powleka osadem śliny zielonawéj; aż miło patrzeć!

Nie pokryto rużem twarzy nieboszczyka, nie upiękrzono go małemi muszkami, jak to czynią z synami dostatnich rodzin; nie poniosą go także do domu sąsiedniego dla uświęcenia go i zachowania od piorunu; nikt niema wiary w niego, nikt nie da *medio* (1) za dotknięcie jego czoła lub piersi. Tacy nieboszczycy nie mają przywilejów. Tymczasem posługacze są w całym komplecie, zamieniają z sobą spojrzenia, popychają nogą tego, który był ich towarzyszem; i kiedy już on zajmuje najmniejszą o ile można przestrzeń, zawijają go w skórę, która już służyła tylu innym, zaszywają go i czekają nim dzwon sąsiedniego kościoła nie uderzy dwanaście razy.

Dzwon przemówił, nie pozostaje już kropli *maté* dla odwilżenia granitowego gardła ostatniego opoja, liczą się między sobą na palcach, dzielą się na gromady, biorą na swe plecy ciężkie brzemię, wychodzą na ulicę, dążą do Panteonu.

Ale droga długa, i jakkolwiek szybkim postępują krokiem, godzina najmniéj upływa nim przebędą *Quebrada d'Elias*, osta-

---

(1) Moneta hiszpańska: pół piastra; na naszą monetę 4 złote.

P. Tł.

tni szczebel na drodze z Valparaiso do nieba, ostatni stopień prowadzący do grobu, a stamtąd....

Za przykładem proboszcza, bedel, zakrystjan, stróż pobytu umarłych, również się pokładli; pojmujesz że żaden z nich nie wstanie na wezwanie ubogich, wrzeszczących u jego łoża, i nie otworzy bramy cmentarza.

Wtedy, cóż robią żebracy? co już nie raz bezwątpienia zrobili, co zrobią nieraz w przyszłości.

Patrz, jak to rzecz prosta, jak rzewna; patrz jak czułość jest pełną wynalazków: rzucają trupa na ziemię, na tę ziemię, któréj on ma powiększyć objętość; zdzierają z niego skórę wołową, i dwóch najsilniejszych zuchów gromady porywa go, jeden za głowę, drugi za nogi.... Pojmujesz łatwo, że wolą oni zawsze trupa młodéj dziewczyny, niżeli młodego mężczyzny; włosy tamtéj przedstawiają sposobność zręczniejszego ujęcia i bardzo ułatwiają czynność.

Oto więc trup w ręku przywykłych do tego rodzaju ćwiczeń. Wahają nim w prawo, w lewo; liczą wahania; nadają mu większą siłę pędu, i w chwili danéj, ciskają go przez mur.

Nie sądź jednakże, żeby się zawsze udało od piérwszego razu i żeby cmentarz przyjmował zawsze od razu swą zdobycz.

O! w takim razie co za śmiechy pomiędzy żebrakami, i można pójść o zakład, że druga próba nie będzie szczęśliwszą od piérwszéj.

Chwytają znowu zwłoki staréj matki lub młodéj dziewczyny, wahają niemi z tém większą gorliwością, że chcą zawstydzić piérwszych zapaśników, zmordowanych trudem, i nieboszczyk szczęśliwie pada w poświęcony obręb.

Zrobiwszy to, dokonawszy téj energicznéj czynności, zaproszeni na obchód oddalają się z cygarem w ustach, i brat, i ojciec wygnańca ziemi kładzie się na posłaniu nieboszczyka, wylęga się w téjże wklęsłości, którą ciało jego zrobiło.

Co do stróża cmentarza, ten robiąc swój przegląd ranny, uderza nogą nowego przybysza, wzywa swego pomocnika, ciągnie razem z nim trupa ku ogólnemu dołowi, wrzuca go, i wieki tak

nad nim przechodzą. Wzniosą może kiedy świetną salę balową na miejscu gdzie śpią dzisiaj pokolenia żebraków, bandytów starych i młodych, którzy czekają tam dnia ostatecznego sądu.

Ale tymczasem, gdzież są oni?

UMARLI I ŻYWI.

Grabarze. Psy. Zgon dzieci przepowiednia szczęścia. Trupy do najęcia. Kośnica ubogich. Anekdota. Szczegóły okropne, ale potrzebne. Nagrobek hiszpański.

—

Tutaj, szczególniéj tutaj, grabarz żyje z ofiar, które zabierają występek i śmierć, jeden na czas krótki, druga na wieczność.

W Santjago, w Valparaiso, w całém Chili, grabarz czyni z dnia noc, i z nocy dzień.... Gałganiarz ten miejsc żałoby, nieodbiera nigdy trupa inaczéj jak po przebiciu dwunastéj godziny nocnéj. W swych rękach odciśniętych, gniotą go, targają na prawo, na lewo, kładą go na wznak lub bokiem, wszystko im jedno, w trumnie, któréj wierzchu nie przybijają jeszcze; porywają go i niosą gwiżdżąc. Przyjaciele, krewni zebrani, widzą te przygotowania bez wzruszenia; podają sobie *maté*, każdy wciąga go przez tęż samą rurkę, ściskają się za ręce i udają się na spoczynek.

Tak postępują z szlachtą, z bogaczami, z ludźmi majętnemi. Nie tak są grzeczni z ubogiemi, nędzarzami, których zwłoki bez trumny leżą tam na stole kulawym.

Liweranci cmentarza przybyli, owinęli trupa jeszcze ciepłego w brudne prześcieradło, które niestety! okrywało już tylu innych, i z ciężarem na plecach, biegą mając po przedzie brzydkie latarnie; na znak trwogi, stają, oglądają się, rzucają ciężar, biorą go znowu

na swe barki i przybywają do domu żałoby, gdzie towarzysze na nich czekają, z rękami na piersiach założonemi, z cygarami w ustach, z waporami winnemi w głowie.

Oto już się zebrali!.... wchodzą do pokoju dobrze oświeconego, gdzie śmieją się, gawędzą; oto damy młode i piękne chłodzą się wachlarzami, oto mężczyzni starzy i szpetni, którzy wszyscy pomagali nieboszczykowi oszukiwać śmierć, która nie oszukuje nikogo; patrz, leży on tam na paradném łożu, okryty jedwabiem, uwieńczony kwiatami, z rużem na licach, z rużem na czole, z muszkami powabnie rozsianemi.... Rzekłbyś że to narzeczona, marząca o chwilach szczęścia, na nią czekających.

Grabarze przybywają, trup zbezczeszczony rusza ku miejscu wiecznego odpoczynku..... Ruszaj za nimi.....

Kiedy brzemię za ciężkie, upuszczają je na ulicy, blisko błotnego rynsztoka; siadają skurczywszy się w około niego, kładą na niém chleb, mięso, które im służy za śniadanie, dodaje im sił, i biegą daléj co prędzéj, gdyż czekają ich inne nocne przechadzki.

Kiedy staną nad dołem, xiądz pyta ich czy ciało jest mężczyzną, czy kobiétą..... zapomnieli o tém, przypatrują się; kapłan odmawia *absolucję*, trwającą pięć minut. *Requiescat in pace.... Amen.*

Pomimo *serenos* i stróżów, dużo jest psów w Valparaiso, biegających po nocy, jak przemytnicy, i szukających zdobyczy wszędzie, gdzie ją mogą znaleść, na przekor zabójczemu arkanowi. Powiedziałem ci już, że niekiedy trup wpadnie do rynsztoka, niosący go zdrzemią się znużeni, psy sąsiednie ośmielają się wtedy zbliżyć się aż do nich.

Leży tam *cóś* nieruchomego, rozszerzającego w około zgniłe wyziewy; zwierzę zastanawia się, wącha, podnosi prześcieradło, oblizuje ciało, i pozostawia go oczyszczone ludziom żałoby, chciałem powiedzieć, ludziom radości.

Wszystko to poznać jest smutną rzeczą, nie prawdaż? Cóż dopiéro tym, co chcąc poznać łagodne obyczaje kraju, na które niebo

żsyła noce tak balsamiczne, znajdują się jednym razem w obec podobnych widoków?

Patrz jak tłum się ciśnie, tłum pięknie ubrany i uśmiechający się, ku temu domowi, którego okna otwarte, jakby w piękny wieczór wiosenny. Cóż to tam się dzieje w tém szczęśliwém mieszkaniu?

Wczoraj było to małe dziécię, światło lub ciemno włose, kędzierzawe, z gładkiém czołem, z pieszczotliwém spójrzeniem, z małemi pulchnemi rączkami; pojmowało już czułość, pocałunek macierzyński; miało wieczność przed sobą.

Niestety! niestety! potrzeba tak mało siły dla zgnębienia słabości. Dzisiaj, ciało elastyczne i giętkie leży wyprężone i bez życia, na posłaniu różowém, usianém kwiatami, skąd się wydobywa woń przyjemna.

— To mój brat, mówi głosem dźwięcznym młoda dziewica lat szesnastu do świeżo przybywającego; patrz Pan jaki on piękny!...

Śmierć jest że kiedy piękną?

— Co za anioł rafaelski! wołają ze wszystkich stron, okrywając pocałunkami zwłoki jeszcze wilgotne biédnego dziecka.

— Pozwólcie! Połóżmy lepiéj tę muszkę, tak mu ona nie dotwarzy: nie dostaje jeszcze jednéj na brodzie; odkrój kawałeczek kitajki, zobaczysz jak to będzie pięknie; a ten tulipan, co się oderwał od korony P. Jezusa! Jak te stróżówki są niezręczne! — *Apropos*, czy piłeś Pan herbatę? czy nie chcesz szklanki orszady, grzaneczki z konfiturami?.... Kiedy radość nawiedza dóm, nie potrzeba weń wnosić smutku.

Tak, panowie, śmierć dziecka uważaną jest tutaj za wróżbę szczęścia; jestto Archanioł, Cherubin, mały *Jezusek*, jak go oni nazywają; i matka nóci sobie zwrótki piosenki, i siostra opycha się cukierkami, i oczy są suche, i dusza tylko raduje się ze straty, co zbogaciła rodzinę.

Im ciało dłużej pozostaje w mieszkaniu, tém spodziewane szczęście pewniejsze; dla tego to, potrzeba widziéć, jak starannie śledzą za postępem rozkładania się ciała.

— Powiedz mamo, czy nie znajdujesz, że skóra ciemniejsza jak była wczoraj? Czy uważasz jak nosek znacznie już zwęział?

— Zdaje mi się, że kwiaty, otaczające tę piękną główkę, doznają także na sobie potęgi śmierci.

— Masz słuszność. Pożyczemy na kilka godzin naszego małego Jezuska *donnie Carmen*, która o niego prosiła dla uświęcenia swojego domu; potém każemy go zanieść do *Mendez Cabral*, który przeszłego roku pożyczył nam swojego, nareszcie poszlemy go tam, gdzie się będzie modlić za nas.

Takim sposobem zwłoki przenaszane są z domu do domu, zostają kilka minut w jednym pokoju, potém wnoszą je do drugiego, i kiedy grom się rozlega, kiedy trzęsienie ziemi wstrząsa domem całym, rodzina ubezpieczona odprawi zaledwo modlitewkę, mały Jezusek pobłogosławił mieszkanie i staje w obronie przeciwko woli Bożéj.

Nie zdajeż ci się że czytasz powieść fantastyczną, napisaną pomiędzy dwoma przesileniami gorączki, pośród szału, albo w czasie biesiady bachicznéj? Czy nie myślisz że ten, co ci udziela tych smutnych szczegółów, czerpał je z jednéj najbardziéj przejmujących dreszczem stronnic Anny Radcliffe, szatańskiéj pamięci?

Nie zapominaj że jestem historykiem a nie bajkopisem, że ta potworność, o któréj ci opowiadam, istnieje tu od lat stu, że już dawno temu jak widziałem ją i walczyłem przeciw niéj, że znajduję ją dzisiaj jeszcze w całéj mocy, i że ona do tyla jest w obyczajach chilijskich, że wątpię bardzo iżby potrafiono kiedy ją z nich wykorzenić.

A jednak braknie jeszcze jednego rysu, jednego odcienia do tego obrazu.

W Chili, wszystko się przedaje, kobiéty, młode dziewczęta..... niektóre wiedzą o tém dobrze.

W Chili wszystko się przedaje, nawet śmierć.

Dziécię już nie żyje; sądzisz że pożyczają go bez różnicy każdemu? Nie, nie; spekulant nie traci tak nierozsądnie korzyści swego szczęśliwego położenia.

— Chcesz mieć radość u siebie? Masz, zostawiam ci mojego małego Jezuska: dziesięć piastrów za jedną godzinę, dwadzieścia za dwie, i tak daléj; ale śpiesz się, gdyż Pani Carmen prosiła nas o niego dzisiejszego rana.....

Targują się, kłócą, pożyczają, odbierają, umawiają się, i śmierć przynosi podwójną korzyść.

Tak, mówię to, gdyż tak jest, gdyż mi serce boli patrząc na to; Chili, Peru, Brezylja, co uświęcają podobne zwyczaje, są pozbawione zmysłu moralnego.

Dziécię, małe biédne stworzeńko, którego piérwszy krzyk jest boleścią, piérwsze spojrzenie olśnieniem, dziécię, to jest, to co jest najsłabszego, najbardziéj rozrzewniającego na świecie; dziécię, słodki owoc miłości, szczęścia, uniesienia..... Jest ono tam, należy ono do ciebie, jest twojém, twojém jedynie, nie śmiesz rachować dni, co mu są przeznaczone, gdyż Niebo obiecuje mu je tak długie i radośne; jest ono tam, to dziécię, które matka kołysała na swém łonie, na twych kolanach, igrające z twojemi ustami, co się doń uśmiechają; uśmiecha się ono także, i jeden powiew je obala, i jego główka się pochyla, i jego puls bić przestaje, i życie jest już śmiercią!

Otóż jesteś bez niego, bez nadziei na twoje stare lata, bez pociechy w twych ostatnich boleściach; oddala się ono, i ty śpiewasz: Hozanna!

Śpiewaj! śpiewaj! kiedy anioł nawiedza twoje mieszkanie, ale płacz! płacz! kiedy anioł z niego ulatuje.

. . . . . .

Nie mów mi o doli nędzarza, których każdy cmentarz paryzki jest pełen. Otwiera się on, przyjmuje swą zdobycz, zamyka się; matka pozostaje sama z swą boleścią..... wszystko się skończyło.

Tu, w téj stolicy, przepaść jest ogromna, pozostaje ona otworem przynajmniéj w ciągu dni dwudziestu, według dziwacznéj woli śmierci.

Oto dziécię, ciskają je....; oto starzec, wrzucają go.....; oto młody człowiek, młoda dziewczyna, murzyn, mulat, biały, mniejsza z tém! wszystko to leci na kupę, głowa nowa na tułowiu wczorajszym, ręka splata się z ręką, członki z sobą poplątane i pomieszane, wszystkie służą za łup robactwu, które zmienia według woli swe pożywienie..... Wszystko to przy świetle słońca, w nocy, zawsze!.....

Daléj! daléj! nie szukaj wzrokiem téj kałuży cuchnącéj! Wyziewy jéj są ci skazówką pośród ciemności, postępujesz obok téj uchrony nędzy i nicości, oddalasz się od niéj przerażony, strwożony; i kiedy w kilka dni potém, idziesz się zapewnić, czy w istocie dobrze widziałeś, czy nie jesteś ofiarą okropnéj zmory, znajdujesz przepaść zapełnioną; przytém dwóch ludzi, dwóch chłopaków dwóch robotników, którzy gwiżdżąc zrzucają rydlówką lub nogą nieco ziemi na tę kośnicę mogilną, a potém jeszcze tupią po niéj nogami, żeby ją zrównać, jak gdyby tańczyli na kwiatach.

O Chilijczycy! wy mię przyjęliście jak brata*, ale piszę dzieło poważne, winienem wszystkim prawdę.

Kilka dni temu, trzéj młodzi ludzie, chciwi wzruszeń, poszli ku wieczorowi, odwiedzić to schronienie nędzy, tę kośnicę ubogich, zdolną oduczyć religji. Stają nad samym dołem; jeden z nich śmielszy od innych pochyla się nad nim, ziemia się osuwa, wpada, krzyk rozpaczy dochodzi do uszu jego przerażonych towarzyszów; biegą oni, śpieszą na brzeg przeciwległy dołu i widzą nieszczęśliwego wyczerpującego mężnie siły na wydobycie się z tego lepu zniszczenia. Opiera on nogę na czerepie starca, ramię młodéj kobiéty zdaje się go pociągać w przepaść; pogrąża się w jakąś próżnię, i jego usta spotykają nabrzmiałe usta jakiegoś dziecka, które upadkiem swym wydobywa na wierzch. Gdziekolwiek oprze się ręką, tam śmierć, tam zniszczenie, tam koście obnażone, tam ciała przegniłe, czarne, fjoletowe, żółte, rozsiadłe lub stężałe, suche lub ociekłe, według tego jak słońce wczorajsze je rozmiękczyło, lub chłód wieczorny je okrzepił.

Gdy smród tych trupów na kupę zwalonych zajmuje mu oddech, żegna skinieniem ręki swoich przyjaciół i upada na wznak, bez ruchu, na swém posłaniu grobowém. Ale ci postrzegają dzwonnicę w pobliżu, biegą, ucinają sznur od dzwonu, spuszczają go i po niesłychanych usiłowaniach wydobywają wreszcie ze steku plugawstwa nieroztropnego, który wróciwszy do życia, stracił rozum.

Wkrótce potém on także znalazł swe miejsce w dole nędzarzy.

Otrzęśmy nasze odzienia, oczyśćmy je z naszych myśli żałobnych i szukajmy jakiéj ulgi po tylu nędzach.

Oto śmierć jeszcze znajduję pod mojemi stopami, przedemną, ale to śmierć, tylko ze łzami i żalami; śmierć bez bolu w sercu, bez wstrętu w duszy.

Nie daleko od kośnicy jest grób wspaniały, sprowadzony, jak powiadają, z Karrary, i rznięty z wielką sztuką. Pokrywa on zwłoki niewiem jakiéj znakomitéj damy, któréj zapomniałem nazwiska; i tuż koło tego pięknego grobowcu, na dwie stopy od ziemi wznosi się kamień grobowy, na którym czytam napis wywołujący uśmiech. Oto jego przekład, choć może niezupełnie dokładny:

Tu w téj mogile leży pochowany
Półgłówek, w jednéj stale zakochany.
Przechodniu! nie uchodź stopą lękliwą,
Bo stałość nie jest rzeczą zaraźliwą.

Zapewniano mię, że to żona nieboszczyka zrobiła ten czterowiersz w języku hiszpańskim.

Boże! gdyby to umarli wracali!!

POJEDYNEK.

Prawie niepodobny w Chili.

W Chili, nie szukaj zemsty z orężem w ręku za krzywdę zadaną honorowi siostry, za obelgę wyrządzoną staréj matce, jeśli lękasz się galer, jeśli nie chcesz widzieć dwódziestu kul wymierzonych na ciebie przez ludzi zimnéj krwi, którym prawo powiedziało: Strzelaj!

W Chili, bardziéj niżeli gdzieindziéj, możesz się schronić za denuncjację, dla rzucenia błotem na czoło dziewczyny, dla pogrążenia w żałobie uczciwéj rodziny.

Pojedynek jest zabroniony w Anglji, w Stanach Zjednoczonych i w wielu innych jeszcze krajach; ale wiész jak tam prawo bywa elastyczném, kiedy pobudka honorowa podała ci pistolet lub szpadę w rękę.

W Chili, ręczę że nie potrafisz uniknąć jego surowości, jakkolwiek słusznym byłby twój gniew, jakąkolwiek równość zachowałbyś w pojedynku.

Galery, śmierć!.... Księga praw wyrzekła, nie nakażesz jéj milczenia, żadna opieka nie przyjdzie ci w pomoc; szczęśliwyś jeszcze, że kula żołnierza ochrania cię od szubienicy kata, bo nie wieszają w Chili.

Nie sądź, przynajmniéj, że popieram sprawę pojedynkujących, że jestem obrońcą rębaczy; że jestem wychwalaczem wszelkiego rodzaju odwagi, i stronnikiem tych *bravi*, dla których pojedynek jest zabawką.

Nie, nie, znam dobrze co w tém jest niemoralnego, niezbożnego, antichrześcjańskiego. «*Ten kto zabija mieczem, od miecza umrze,*» powiedziały księgi święte. Ale słowo jest często bardziéj zabójcze niżeli miecz, i wtedy to jest powinnością tego ostatniego wbić je w gardło potwarcy. Słowo Pisma powinno być tak

rozumiane. Prawodawcom należałoby zgodzić się między sobą dla wykréślenia z naszych praw wszystkiego co się odnosi do sprzyjania denuncjacji i podłości.

Chilijczykowie, w ogólności, nie pojmują téj wielkiéj prawdy, chociaż Chilijczykowie są z natury mężnemi.

Ziemia Chilji drży często od wybuchu wulkanów; serce Chilijczyka jest zimne i niewzruszone na rany przez niego otrzymane. Bez śniegu Kordyljerów, Chili nie miałoby prawie kropli wody dla odwilżenia swych gruntów; bez częstych odwiedzin cudzoziemców, Chili żyłoby tylko swoim snem i swojém życiem poziomém.

Czyż to jest natura zepsuta? Nie; jestto natura martwa, niedokończona; dokończenie późniéj przyjdzie, bez żadnéj wątpliwości.

Uczucie bolesne odzywa się w twojém sercu, kiedy postrzegasz tak mały postęp obyczajów i zwyczajów hiszpańskich śród starożytnych zwyczajów Chilijskich.

Aż dotąd, zwycięzca nie mógł otrzymać znacznéj przewagi nigdzie, ani w moralności, ani w fizyczności, nad krajowcami tych okolic. Wszędzie tu tylko mięszanina, skupienie rzeczy różnorodnych, śród których daremno szukasz dawnego pierwiastku.

Wojownicza Hiszpanja znika tutaj pod ospałością Chilijską, która zakończy może na pognębieniu swéj czasowéj władczyni.

Cerę kastylską, oczy kastylskie, ręce kastylskie znajdujemy w Chili; ale szukałbyś tu napróżno puginału wsadzonego za podwiązkę.

Zazdrość nie podnosi się tu do tak wysokiego stopnia, i nie ostrzem to sztyletu, matka lub żona mści się za obrazę przeciwną umowie.

Kradzież kilkogroszowa, będzie tam karana z ostatnią surowością; kradzież twojego szczęścia domowego, nie będzie nawet poszukiwaną; i wielu narzeczonych wié wcześnie o trwałości swego położenia wyłącznego.

Nie mów mi że rzucam potwarze. Imiona *własne*, — szcze-

gólniejszy nasz język,— obarczają moję pamięć, i łatwo mógłbym się ich pozbyć.

Walka kobiéty z kobiétą, z powodu niewierności małżeńskiéj, stanowiłaby epokę w Chili. Dzisiaj niedanoby temu wiary, i świadkowie nawet wątpiliby o ich rozumie.

Cała starożytna Italja, Italja Cezarów, tak różna od Italji dzisiejszéj, schroniła się w pustynie Abruzzów i Appeninów; całe starożytne Chili, tak różne od Chili wczorajszego, dzisiejszego i jutrzejszego, żyje prawie niepodległe na śnieżnych szczytach Andów i w ciemnych puszczach Waldywji..... Sprobuj je stamtąd wyrugować.

Dużo jest Rodrygów w Chili, szukałbyś tam napróżno Cyda. Natomiast, iluż Gormasów wyzywających!

Dla dopełnienia przenośni, dodam że żadna Ksymena nie ośmieliłaby się zachęcić cię do wywarcia zemsty, któréj skutkiem byłoby zrumienienie ziemi choćby kropelką krwi.

Oziębłość mężczyzny przeszła do serca kobiéty.

W Anglji, we Francji, w Stanach Zjednoczonych, litują się nad tym, który zostaje zmuszony uciekać się do praw dla ukarania obelgi; tutaj, winszują mu tego.

Pewien adwokat w Santjago otrzymał, kilka dni temu, policzek na miejscu publiczném; skarga wnet była zaniesioną przed trybunał, i największe pochwały słyszałem ze wszystkich stron oddawane szlachetnemu postępkowi strony wypoliczkowanéj.

To pięknie bezwątpienia, to ewangelicznie; ale trochę mniéj religji nie zawadzi człowiekowi światowemu, a zbytek pokory nie jest bynajmniéj cnotą.

Chciałem opowiadać i oto wytaczam sprawę; wina moja tém cięższa, że piszę te wyrazy w samém Chili, gdzie ich ogłoszenie poprowadziłoby mię niezawodnie przed sędziów nieubłaganych....

ARKAN.

Pojedynek dzieci. Cuchillo. Pojedyńcze walki. Lancelot wiosenny pokutujący za winy ojca.

—

Dziejopisowie średniowieczni podają nam, że dziécię balearskie nie śniadało pierwéj aż nim nie strąciło swoją procą pokarmu zawieszonego na najwyższych gałęziach topoli. W Chili, rzekłbyś że cuda czasów przeszłych, chcą się odnowić.

Skoro wyjdziesz ze środka miasta, zobaczysz wnet jak dzieciuch, używający już nieco swobody, o dwadzieścia kroków przynajmniéj od celu, rzuca swój arkan, dąsa się, gdy się mu nie uda i uśmiecha, gdy się mu powiedzie.

Dwaj Chilijczycy, dwoje dzieci, zamienili z sobą przy spotkaniu słowo obelżywe, rzucili na siebie kamieniami, które nie raniły nikogo; nic to: wyzwanie przyjęte przez obu, i oto oni, podparłszy się w boki, z nienawiścią na czole, z zemstą w oku, z zajadłością w sercu, stoją naprzeciw siebie, jak ci bohatérowie Homera, wysocy na dziesięć łokci, na których głos i szczęk broni, drżały w około doliny. Blisko nich, stają uważni, zadyszani, ojciec i matka tych rycerzy; późniéj nadbiegają przyjaciele, późniéj zgromadza się tłum, wtedy nadewszystko kiedy Żep, albo Fernando, albo Lopez, albo Joachim występują jako zapaśnicy.

Strumień ich rozdziela, strumień głęboki, szybki, z swojemi ostremi skałami, pianą i szumem. Krzyk rozlega się; arkan zwija się w powietrzu i świszczy; Żep upatrzył chwilę przyjazną, cisnął rzemień, szybki jak płomień; ale Fernando rzucił się w bok, i ręka, która cisnęła na niego broń straszną, zachwycona węzłem, mogącym się rozjąć tylko nożem. Ale napróżno ofiara stara się wymknąć: zwycięzca cięży całemi siłami na więżącym rzemieniu, i woda strumienia zakipiała od upadku ciała, któremu strwoże-

ni rodzice pośpieszają z pomocą, prawie pewni że odwet będzie im dozwolony.

Jednak, jeśli krew nie przeraża cię, chyba gdy płynie strumieniem, udaj się przez stepy jałowe w ślad za dwoma Chilijczykami, przywykłemi do zabawki z *cuchillo* (kuczyllo), klingą stalową dobrze wyostrzoną, z długą rękojeścią, bez któréj nigdy nie wychodzą na polowanie..... zamienili oni z sobą uśmiech i spojrzenie wyzywające. Wyzwanie przyjęte: poncho zrzucone z ramion, okręcone koło ręki; walka się rozpoczyna.

Sądzisz może że idzie tu o głęboką ranę w serce, o szeroką krésę w piersi, o ramię lub pięść odciętą..... Nie, nie; jestto tylko walka naperfumowana, pojedynek pełen delikatności; zwyciężcą jest ten, który najmniéj zadraśnie skórę, który ledwo się dotknie żywego ciała.

Rzekli oni do siebie: *Tylko w czoło.* Wtedy, czołu jednemu grozi *cuchillo*, a *poncho*, jak puklerz okrywa inne części ciała.

Co w tém wszystkiém najbardziéj zadziwiającego, to że zapaśnik zagrożony stara się być raniony dość głęboko, żeby wygrać zakład, ale nie tak głęboko, żeby cierpiéć długo od rany. Rzekłbyś że to czoło szuka noża, a nie nóż szuka czoła, jak u nas twarz nadstawia się niekiedy ręce, co jéj grozi.

Cóż powiesz? te zuchy posiadają zręczność tak zadziwiającą, że zaledwo odcień różowy ubarwi czoło, dotknięte przez ostrożne *cuchillo.*

Nie sądź jednakże żeby te walki pojedyńcze, czyli raczéj te szczególne walki kończyły się zawsze sposobem tak spokojnym: serce Chilijczyka nie jest wolne od namiętności; rozjątrza się ono przegraną, i kiedy raz zapaliło się zemstą, arkan i *cuchillo* dopełniają swego przeznaczenia. Szyja zostaje ściśniętą, pierś przeszytą.

Tutaj, pojedynek karze się śmiercią. Zwyciężca lub zwyciężony, wyzywający lub wyzwany, nie mogą się spodziewać przebaczenia; albo jeśli niespodzianie łaska ich spotka, to dla zaprowadzenia ich na galery, gdzie są traktowani jak złoczyńce.

A więc, niémasz pistoletów albo szpad, niémasz także świadków, gdyż oni również ulegają losowi walczących. Ale arkan ma swe przywileje: jest on bronią honorową, bronią patrycjuszowską, chociaż lud tylko jéj używa. Stąd tedy, zabójca który dusi rzemieniem, rzadko jest ścigany, gdyż krew nie była przelaną, a krew tylko stanowi zbrodnię w Chili.

Co do noża, ulega on, równie jak szpada, potępieniu. A jednak, żaden mieszkaniec wsi nie wydala się z miasta nie mając u boku, albo za cholewą, *cuchillo* bez pochwy, zawsze gotowego do sprobowania się z arkanem, lub z nieprzyjacielem, czy to on będzie nazywał się człowiekiem, czy wołem, jaguarem czy pumą.

Nie wiem czy instynkt zwierzęcia ściganego uczy go potęgi broni za pomocą któréj go ujarzmiają; to tylko pewna, że można często widzieć muła lub byka, za jedném dotknięciem rzemienia, stającego wnet pośród swego biegu i drżącego febrycznie na samo zagrożenie strasznego powściągacza, świszczącego w powietrzu przed ujęciem. Czyż boa nie wywiera téj saméj potęgi na bawoła lub antylopę? Czyż orzeł i sęp nie paraliżują lotu gołębia lub wróbla, które śpieszą, że tak rzec można, same rzucić się w szpony kata?

Nie zaprzeczaj potęgi arkana, jeśli przyznajesz tę, którą posiada orzeł, sęp lub krogulec.

Nie sądź bynajmniéj, pomimo szczegółów wyżéj przytoczonych, że działalność Chilijczyka, jest niezaprzeczona i nieprzerwana; zostawałbyś w błędzie. Mówią o Francuzie: był on walecznym tego a tego dnia; powiém o Chilijczyku: był on czynnym od téj do téj godziny, według tego jak dobrze lub źle trawił.

To pewna że arkan nie spoczywa nigdy w jego ręku, jestto narzędzie chciwe swego łupu; ale ręka, która nim obraca, myśl, która nadaje mu ruch i życie, mają swe chwile odrętwienia; i sen co chwyta za głowę, obejmuje także muszkuły i wolę. A jednak, są byki do ujarzmienia, konie lub muły do schwycenia i Chilijczyk, który chce zarobić swój obiad, musi zająć się tym trudem. W tym celu, a razem żeby się nie znużyć zbytnie walką, idzie powoli dro-

gą, którędy wié że przechodzić będą jego ofiary; zawiesza arkany odpowiednio do wzrostu zwierząt, i kiedy te biegą poruszone z swego legowiska, rzadko się zdarza żeby arkan nie ujął ich kilka pośród zmroku, wybieranego zwykle na tę wojnę zbójecką.

Ale te sidła na muły sąż tylko zgubne ofiarom, na które zostały zastawione? Niestety! nie zawsze; i jeden z moich biédnych Argonautów, dumny z swojego szybkiego rumaka, na którym więcéj jak od dwóch godzin czwałował, mógłby wam opowiedzieć dzisiaj swój nieszczęśliwy przypadek, gdyby nie wiedział że zbieram szkrupulatnie wszystko co się odnosi do moich towarzyszów podróży. Ten biédny przyjaciel, to Lancelot, Lancelot, o którego donośnym głosie już wam mówiłem; Lancelot, który idzie często w zapasy z falami Oceanu, wtedy kiedy *tornado* porywa je i ciska pod obłoki; Lancelot wiosenny, tak nazwany od wielkiéj ilości pączków czerwonych i białych, które kraszą jego czoło i lica w każdéj porze roku. Pyszny z swojego *poncho* i swojego *panama*, okrywającego jego barki nierówne, pędził on, pędził szparko na swoim Bucefale brudnokasztanowatym, a noc zaczęła się już była spuszczać na ziemię.

Pewien swojego tryumfu, wyzywa na wyprzódki towarzyszy, i puszcza się z całą szybkością nóg swojego konia młodego i silnego. Strzeż się! strzeż! jednym susem przesadzi on wieżę Valparaiso. Ale arkan napięty robi swoje, i nieszczęśliwy Lancelot, pochwycony za szyję, zerwany ze swego rumaka, zawieszony zostaje na powietrzu i chwieje się jak trup Marign'ego na szubienicy w Montfaucon.

Przyjaciele nadbiegają, rozcinają węzeł.

Ofiara, na wpół żywa, pada na ziemię okrytą kurzawą, i po ośmiu dniach zaledwo, może wybełkotać opisanie swego zadzierżgnięcia komiczno-dramatycznego.

Zresztą, Lancelot zasługuje na karę wymierzoną mu przez arkan: jego ojciec jest fabrykantem fortepjanów!!!

Bóg jest sprawiedliwy i Lancelot nie jest jego prorokiem.

BŁYSKAWICA.

Historja Davidson'a. Wstrząśnienie od trzęsienia ziemi.

—

Nie raz mówiono do mnie: Pan widzisz, nie prawdaż? Widzisz swojemi palcami, swoim rozumem, swojemi pamiątkami, swoją przeszłością tak promieniejącą? Czyż nie oglądasz dotknięciem swojém rzeczy, które chcesz koniecznie poznać, pod wszystkiemi ich kształtami, niekiedy nawet z ich kolorami? Nie, moi przyjaciele; ślepy, co wzrok utracił, wtedy kiedy natura okazała mu swe bogactwa, nie ma tych korzyści jakie posiada ten, który nie oglądał nigdy blasku słońca, słodyczy uśmiechu, czystości spojrzenia, harmonji kolorów, uroku oddalenia.

Ten ostatni mógł sobie utworzyć i tworzy istotnie księgę oddzielną, słownik, logikę oddzielną, które go oświecają pośród jego ciemności i pocieszają w jego ubóstwie.

— Do czego możesz przyrównać szkarłat? pytają go.

— Do dźwięku trąby, odpowiada bez wahania się.

Słyszał on że szkarłat jest rażący, stąd to powinowactwo wyobrażeń.

— Co to jest uśmiech? pytałem pewnego razu jednego z moich towarzyszów nieszczęścia, ślepego od urodzenia.

— Jestto pieszczota, odpowiedział mi, ściskając za rękę.

Nie widział on nigdy ani uśmiechu litości, ani uśmiechu gniewu, ani uśmiechu pogardy; nie widział nigdy uśmiechu nienawiści; uśmiechu dumy, ani uśmiechu zdrady.

Są ubóstwa, które dla innych są bogactwami, jak to dopiéro co wam okazałem.

Uczémy się widzieć, tak jak uczémy się mówić, chodzić; a ponieważ wdałem się w pogadankę z wami, ponieważ fala kona milcząca u stóp moich i lekki wiatr od morza obwiewa mi czoło, pozwólcie opowiedzieć mi wam uniesienia radości człowieka, którego

znałem w Londynie, i któremu niebo przeznaczyło jedną z tych prób, które odbierają życie lub rozum.

Daniel Davidson utracił był wzrok w takim wieku, kiedy nie umiemy jeszcze ocenić tego nieoszacowanego daru; zaledwo ujrzał światło, już słońce skryło się przed nim; późniéj nauka i boleść wyczerpały napróżno swe usiłowania żeby wrócić mu to, co niebo mu odebrało.

Można przywyknąć, mówią, do nieszczęścia..... Kto to mówi? Ludzie szczęśliwi.

Oto piętnaście lat jak szukam tego co mi zostało wydarte, oto piętnaście lat dla mnie jak noce następują po nocach, i każdego rana kiedy szmér z ulicy zapowiada mi że dzień się począł, przekleństwo bliskie jest do wyjścia z moich ust i z mojego serca.

Dla ślepego wszystko jest goryczą i strapieniem, gdyż wszystko co dzieje się około niego, głosi jego nędzę; to krok szybki, pomijający z łatwością stojące mu na zawadzie przeszkody, to światłowłose dziecko igrające z obręczem, to muśnienie jedwabnéj sukni, które ci zapowiada że kobiéta jest tam, co cię wita ze łzą w oku.

Ale, pozwólcie mi opowiedzieć wam o Davidsonie i zapomnijcie o wiecznéj żałobie opowiadacza.

Oparty na ramieniu Pana Davy, domowego swego lekarza, przechodził on jednego dnia ulicą *Regent street* blisko *Cyrku*, gdy jednym razem przestraszony powtórzoném wołaniem woźnicy, opuszcza rękę swego przyjaciela i rzuca się ku trotuarowi.

Kabrjolet nadbiega, trąca go, Davidson upada, uderza się czołem o róg muru, podnosi się i wydaje krzyk przeraźliwy. Sir Davy rzuca się ku niemu.

— Co tobie, mój przyjacielu? pyta go z udręczeniem.

— Ja oszaleję, ja jestem szalony, odpowiada mu Davidson, trzymając ręce zakrwawione na oczach.

— Uspokój się, Danielu, rana ta nie jest niebezpieczną.

— Nie to mię trwoży, niepokoi; lękam się czy nie marzę, nie śmiem patrzéć.

— A to czemu?

— Bóg jest Bogiem..... Widzę, widzę. Ot rzecz jakaś tu, blisko mnie..... dotykam się czego się chcę dotknąć, zmysły moje mieszają się; lękam się!

— Nie lękaj się i błogosław Przedwiecznego, rzecze doktor zawiązując mu oczy swoją chustką; nie dotykaj się téj zasłony, będzie ona zbawienną dla ciebie. Chodź, mój przyjacielu, wracajmy do domu; tłum co cię otacza, modli się za tobą; oto pojazd, wsiadajmy.

W kilka minut potém, rodzina Davidsona modliła się także; doktor jeden lękał się, żeby to nie było tylko szybką błyskawicą, co mignęła nad czołem jego przyjaciela, i w każdym razie wzywał pomocy nauki, bez któréj jednak niebo by się obeszło.

Jak tyko Sir Davy przekonał się że w istocie światło zostało wrócone Davidsonowi, zawiązał mu oczy w dziesięcioro grubszą opaską, trzymał swojego przyjaciela w pokoju zupełnie ciemnym, i tylko powoli, powoli przyzwyczajał go do promieni słońca.

Tymczasem, dzień wielkiéj próby nadszedł. Davy zgromadził w salonie rodzinę Davidsona, drżącą i szczęśliwą razem, i kilku z swoich uczonych współbraci, żeby w potrzebie przyszli mu w pomoc i obserwowali fenomena, które przewidział.

Głębokie milczenie panowało w pokoju miernie tylko oświeconym.

— Oprzyj się na mojém ramieniu, rzekł Doktor do Danjela, i usiądź obok mnie tu, na krześle. Drżysz, mój przyjacielu, jesteś niespokojny; jeżeli niémasz siły do uspokojenia się, jeśli nie czujesz w sobie odwagi przyjąć dobrodziejstwo niespodziane, którém Wszechmocny ciebie obdarzył, to zaczekam jeszcze; czy przyrzekasz mi że będziesz spokojny?

— Przyrzekam, mój przyjacielu; ale chwila ta jest tak uroczystą, że potrzebuję modlić się do Boga, żeby mi dodał odwagi.

— Módl się i uspokój się.

— Boże mój, przyjdź mi w pomoc, rzekł Davidson, i niech wola twoja się spełni! Kto tu jest przy mnie?

— Twoja matka na kolanach, odrzekł doktor, twoje siostry, twój ojciec i kilku twoich najlepszych przyjaciół.

— Dobrze, teraz niech Bóg przemówi, poddaję się Jego woli.

— Wyśmienicie; bądź tylko posłuszny; wykonaj dokładnie to co ci zalecę; nie obracaj głowy ani na prawo, ani na lewo, patrz przed siebie, gdzie powiem żebyś patrzał.

— Uczeń twój będzie ci posłuszny, odpowiedział Daniel z uśmiechem melancholicznym; mów.

— Wiész, mój przyjacielu, co to jest stół, pies, dziécię?

— Wiém.

— Dobrze więc! o dwa kroki od nas, postawiłem na stole psa i dziécię; są oni tam i będą piérwszemi przedmiotami na które rzucisz oczyma, które zobaczysz. Ale nie bądź tak wzruszonym, bo inaczéj na późniéj odłożę tę próbę; odważnie, Danielu, oto światło.

Dawidson zbladł jak chusta, i opaska wnet znowu na jego oczach zawiązaną została.

— Daruj, mój przyjacielu, zawołał Daniel, głośno łkając; ale kiedy pomyślę że jutro, dzisiaj może, będę mógł pośpieszyć na spotkanie matki, że mi wolno będzie pójść według woli wziąć za ręce moich braci, odpowiedzieć uśmiechem na uśmiech, rozum się mój miesza, i w bojaźni obrażenia tém Boga, lękam się prawie tyle światła co ciemności.

— Ustąpcie, ustąpcie, rzekł Sir Davy głosem surowym; ustąpcie, moi przyjaciele; Daniel jest bez odwagi; niech więc ulega skutkom swojéj tchórzliwości.

— Nie, doktorze, oto jestem zupełnie spokojnym, łzy przyniosły mi ulgę; teraz jestem posłuszny, rozkazuj.

— Wierzę ci. Przed chwilą pytałem się ciebie, czy wiész co to jest dziécię i co to jest pies, i odpowiedziałeś mi, że wiész. Tam, na stole postawiłem dziécię i psa; patrz tylko na nich, proszę cię.

Opaska była zdjętą po raz drugi.

— Mój Boże, jak to rzecz ciekawa! zawołał Davidson; co to tam porusza się?

— To dziécię, to pies, oboje na stole.

— Któreż z nich dziecię?— Który pies? Nie mogę tego wiedzieć, bo nie widzę ich mojemi palcami; takim tylko sposobem mógłbym ich rozpoznać.

— Dobrze, zaraz ci je pokażémy tym sposobem.

Opaska została zawiązaną na oczy Dawidsona, który dał dwa kroki naprzód i poznał łatwo dotknięciem dwa przedmioty, co mu były przedstawione.

— Teraz wróć na swoje miejsce, rzecze doktor.

I wtedy kiedy usiadł, przemieszczono dziécię i psa.

— I cóż! zapytał Sir Davy, zdejmując opaskę, nie omylisz się teraz? powiedz gdzie dziécię a gdzie pies?

— To nie trudno, rzecze Davidson, pies po lewém ręku, a dziécię po prawém.

Przedmioty te zupełnie przeciwne miały położenie.

Powtarzam, uczémy się widzieć, tak jak uczémy się czytać, chodzić; dziécię potrzebuje paska, nie rachuje ono równie odległości jak niebezpieczeństwa, i Davidson stał się dzieckiem; pokazano mu płomień świecy, on spalił palec chcąc go ukazać; na ulicy szedł zawsze z rękoma naprzód wyciągnionemi, lękając się uderzyć o to co było daleko od niego; i, jednéj nocy, kiedy księżyc panował na niebie, padł on na wznak, krzycząc do doktora, że Bóg ciskał na jego głowę kulę ognistą.

Wszelako wychowanie jego uzupełniało się powoli; rodzina Davidsona uszczęśliwiona uśmiechała się na uwagi czynione przez nowowiercę, i bez bojaźni na przyszłość, starała się mu dać pojąć skutki perspektywy, których on nie mógł sobie wytłómaczyć....

Niestety! przez sześć miesięcy Davidson widział wschodzące słońce; widział jak okrywały się zielenią i owocem lasy, jak toczyły się strumienie, jak rozwijały się kwiaty; podziwiał następstwo kolejne dnia i nocy; pojmował piękność wzroku zgodnego ze słowem; szedł rano, wieczorem, złożyć pocałunek na czole matki.

Jednego poranku przebudza się.

— Janie, otwórz okienice.

— Panie, one już otwarte.

— Co mówisz? Przekleństwo! przekleństwo! oślepłem znowu.

W rok potém, chowano w ogrodzie Bedlam szaleńca nazywającego się Daniel Davidson, który rozerznął sobie gardło sztabą żelazną, służącą za zaporę w jego izdebce.

Ale z jakiego powodu wszystkie te zwierzenia się pośród opisu moich podróży? Oto z tego powodu:

Dnia 13 teraźniejszego miesiąca, jak już wam powiedziałem, o dziesiątéj godzinie zrana, było trzęsienie ziemi w Valparaiso. Przebudziłem się na wstrząśnienie, które trwało dwadzieścia pięć sekund, i ujrzałem, bez żadnéj wątpliwości ujrzałem, nie tylko światło, ale także kształty i barwę przedmiotów mię otaczających.

Niestety! nie miałem blisko siebie ani braci, ani przyjaciół, ani żony dla spotkania mojego spojrzenia pełnego uniesienia.

O! jak zazdroszczę szczęściu Davidsona!

TEMBLOR.

Modlitwy niedokończone. Skutki balu i trzęsienia ziemi w Valparaiso. Złowrogie wołania Serenos.

—

Wczoraj, 13 listopada, o dziesiątéj godzinie zrana, ziemia była gwałtownie zachwianą dwoma wstrząśnieniami, które trwały dwadzieścia pięć do trzydziestu sekund.

Morze było spokojne, niebo mgliste; ale żadnego wiatru w powietrzu, żadnego upału nadzwyczajnego. Psy w domu Konsulatu, gdzie mieszkałem, wyły przeraźliwie, a przeciwnie, w klatce, gdzie

przede dniem, szczebiotały wesoło cztery kanarki, panowało żałobne milczenie, zwiastujące wielki wypadek..... Jednym razem, odgłos głuchy, podobny do huku grzmotu, rozlega się w przestrzeni; ziemia wstrząsa się poziomo od północy ku południowi, potém uspakaja się na sekundę, rozpoczyna znowu swój ruch wahadłowy, i zdaje się grozić miastu nagłém zniszczeniem.

Wybiegłem z mojego pokoju, i stojąc we drzwiach wpółotwartych, słyszałem narzekania służących i sąsiadów, którzy wołali klęcząc: *Dios mio! Dios mio! gracias! gracias! gracias!*

Skromność jest zwyciężoną; ale ja, biédny ślepy, nie mogłem odnieść żadnéj korzyści z jéj przegranéj. Tam, blisko mnie, ładne dziewczęta, w jednéj koszuli, z oczyma i rękoma wzniesionemi do nieba, prosiły przebaczenia u Boga za ich słodkie marzenia przerwane, wtedy gdy prawie tuż obok nich dorodni młodzieńcy, nie tak obojętni, żeby mieli tylko widzieć w stworzeniu obraz Stwórcy, nie odwracali swych spojrzeń od murów popękanych, jak gdyby dziewica modląca się nie miała dość mocy przejednać gniew niebios.

W tém przejściu tak śmieszném i tak jednostajnem, które nazawamy życiem, można wszakże bardzo często uważać, jak śmiech i łzy, komedja i dramat idą z sobą w parze, krok w krok, jak gdyby poufali przyjaciele. To jest prawdą u nas, w Europie, w Chinach, na wszystkich Archipelagach, pod wszystkiemi strefami, pośród stepów najdzikszych, śród oaz najbardziéj woniejących; to jest prawdą u ubogiego, u bogacza, u kretyna, u człowieka gienjalnego; to jest prawdą od początku wieków, które może się nigdy nie poczęły; to będzie prawdą do końca wieków, które, według wszelkiego prawdopodobieństwa, nigdy się nie skończą (*). Wczoraj ziemia drżała, i ludzie drżeli z nią razem; jeden z nich, więcéj od innych

(*) Tłómacz nie podziela tego zdania Autora, gdyż według nauki Pisma ś. świat jak miał początek, tak będzie miał i koniec.

M. B. Sz.

przerażony, wylatuje z swojego mieszkania, i boso, cały drżący, głosem przerywanym, woła: «Litości, Boże! litości dla biédnego grzesznika! Tak, okradłem Marcjala, ale wrócę mu to co ukradłem! Tak, oszukałem Mercedez'ę, ale wrócę jéj, co straciła przez mój podstęp.... Litości, o Boże miłosierdzia! Przysięgam Tobie....»

Wstrząśnienia ustały, modlitwy razem z niémi ustały, przysięga złodzieja nie była dokończoną; wrócił on do siebie zawstydzony swojém zapomnieniem się. Odpowiada dzisiaj tym, którzy słyszeli jego słowa, że nie należy dotrzymywać obietnic wydartych groźbami ludzi czy Boga; nowe trzęsienie ziemi spowoduje zapewne szczęśliwszy rezultat. Dałby Bóg, żeby to jutro nastąpiło! Mercedez i Marcjal również tego sobie życzą.

Ponieważ wdałem się w opowiadania, i mam powtórzyć prawie słowo w słowo dowcipną pogadankę Pani Carmen Cortez del Alcazar, dozwólcie mi zapełnić czyste stronnice, które mam pod ręką.

Był bal w jednym z wielkich domów Valparaiso; młode i piękne dziewczęta, a jest ich tu wiele, młodzi i przystojni mężczyzni, których jest tu mało, tańczyli, walcowali przy dźwięku muzyki harmonijnéj, ale bez kastanjetów.

Zabawa była wesołą, potoki światła rozlewały się wszędzie; myśli jak zwykle leciały pocztą, równie jak nogi, które zdawały się nie dotykać ziemi, równie jak serca, które w takt uderzały..... Trrrr! sala drży, chwieje się.....

Wszyscy są na schodach już połamanych; wrzeszczą, płaczą, modlą się, wybiegają w natłoku na plac publiczny, śród najgłębszéj ciemności; i jak gdyby przypadek, ten nieszczęsny władca wszech rzeczy, chciał się w to wmieszać, zdarzyło się że młodzi z młodemi znaleźli się przy sobie, a starzy z staremi także popadali obok siebie.

Niestety! rany otrzymane téj nocy przez niektóre z tancerek dość długo nie mogły się zagoić, i w kilka miesięcy zaledwo pokazały się na świat biédne kalekie, żyjące zawsze w bojaźni Boga i trzęsienia ziemi.

Mówiłem już wam o *serenos*, psiarni dużo hałasu robiącéj, wyrywającéj cię ze snu jakby kleszczami i rzucającéj gniew w twoję duszę ich przeklinającą.

Owóż, krzyk *sereno*, kiedy zapowiada trzęsienie ziemi mieszczanom w pół uśpionym, jest krzykiem posępnym, roznoszącym trwogę, który cię całego wstrząsa i przywodzi nawet niezbożnego i ateistę do wierzenia w Boga, który karze i nagradza.

Słowo *temblor* w ustach *sereno*, kiedy noc jest pochmurną, kiedy wiatr świszczy, kiedy morze huczy, jest upomnieniem do modlitwy, wezwaniem do żalu.

Minuta, dwie najwięcéj, i *Concepcion* było kupą gruzów..... Podnóże Kordyljerów spoczywa na lawie rozpalonéj, i wcześniéj lub późniéj saletra i smoła wytrysną z pośród więżących je mas granitowych.

Lękam się za Valparaiso, gdyż jestem daleko od Valparaiso; inni powiedzieliby że lękają się dla tego, iż mieszkają w mieście chilijskiém.... Zdaje mi się że moja bojaźń nie tyle przynosi wstydu.

Piszę te wyrazy daleko od przyjaciół, których tam zostawiłem; odległość uczy trwogi.

GWIAZDY SPADAJĄCE.

Czy to wulkan, czy dusza S-éj Giertrudy? Mój przewodnik Józef. Jego wyobrażenie o zstępowaniu dusz.

—

Jak tylko opuściłeś miasto, jesteś w pustyni. Nie w jednéj z tych pustyń nieznanych, któremi Afryka środkowa jest zapełnioną; nie w tych samotniach dzikich, które Spitzberg i Grenlandja rozścielają pod stopami wędrowca dla zmuszenia go do żałowania

swéj lekkomyślnéj odwagi, ale pustyni bez gniewów, bez dąsów, bez zemsty.

Włazisz na jeden ze szczytów czerwonawych, otaczających miasto, które podróżnicy po szalonemu nazwali *Val paraiso* (dolina raju); panujesz nad najwyższemi gmachami, rzucasz wzrok badawczy na panoramę ciebie otaczającą, któréj noc chilijska nie osłania ani bogactw, ani niedostatków, i zapominając na chwilę swéj ojczyzny, skupiasz swe myśli, które pomimo twéj woli przestają być wędrownemi.

Patrz co za dziwna własność téj ziemi Chilijskiéj, tak dziwacznie pokrésowanéj! Niémasz murawy u stóp twoich, niémasz zieloności nad twoją głową, wątpisz prawie o roślinności okolic Valparaiso, i wiatr przechodzi się tam swobodnie, nie pieszcząc bynajmniéj warkoczy drzewa, którego twój wzrok nadaremno szuka na téj ziemi, smutnéj swém ubóstwem.

Szérokie wąwozy, głębokie rozpadliny, służące za łożysko strumieniom, toczącym się pośród skał granitowych, niebo błękitne, przezroczyste, powietrze balsamiczne, w dali Ocean, ty pośrodku obrazu; i przerywający milczenie téj natury martwéj, krzyk dziki kondora, zstępującego z białych cyplów Wielkich Kordyljerów..... Jesteś w uniesieniu, i pojmujesz tutaj, więcéj niżeli we wszystkich innych częściach świata, jak dalece szczęście może być w milczeniu, spokoju, skupieniu ducha.

Po dwóch godzinach niebieskiéj błogości, przyzwałem mojego przewodnika, drzémiącego niedaleko odemnie, podniosłem się z ziemi wdzięczny i zadumany, ale wnet znów upadłem od nadzwyczaj gwałtownego wstrząśnienia ziemi.....

— To musiało nastąpić, rzekł do mnie Chilijczyk żegnając się; widziałem tam, tam daleko, ze strony Palanco, plamkę czerwoną, która się wkrótce rozwinęła we wstęgi, i wzniosła ku niebu jak włócznia ognista.

— Mój chłopcze, to wulkan, co zrobił sobie otwór przez pokłady granitu, ciężące nad nim.....

— Nie, JWPanie; to dusza Świętéj Giertrudy co wstępuje do nieba, swojego pierwotnego mieszkania.

— Gdyby wszystkie dusze były tak jasne, może by rozproszyły ciemności mnie otaczające.

— Bezwątpienia, senjorze, gdyby było tyle dusz co ludzi.

— Czyż każdy z nas niema swojéj?

— Mój spowiednik upewnił mię że nie każdy; on dowodzi, że biédni wieśniacy Chilijscy mają tylko instynkt, jak wół, pies, koń.

— On sam jest koniem, mój chłopcze; Bóg uposażył wszystkich ludzi temiż darami; my wszyscy mamy duszę.

— Czy wiész, senjorze, że i mnie tak się zdawało, odrzekł Józef z uśmiechem wdzięczności na ustach.

Szliśmy daléj, i łatwo mi było postrzedz że mój naiwny towarzysz zadawał sobie nieskończenie wiele trudu, żeby ukryć przedemną niektóre swoje ruchy.

— Co tam robisz? zapytałem go głosem przyjaznym.

— Żegnam się i modlę.

— Dla czegoż się tak często żegnasz i modlisz się z taką żarliwością?

— Ach! senjorze, to dla tego że nie widziałem nigdy tyle dusz zstępujących z nieba na ziemię.

— Wytłómacz się jaśniéj, mój dzielny chłopcze.

— Oj! nie tak to bardzo dzielny; powiém ci nawet, Senjorze Santjago, że lękam się bardzo, żeby jedna z tych dusz przeklętych nie spadła nam na głowy i nie zgniotła nas.

— Co do mnie, tego się nie lękam.

— To dla tego, że jesteś Pan zapewne franmasonem, może nawet heretykiem..... Patrz, słuchaj Pan! mówił daléj Józef rzucając się na kolana.

Usłyszałem istotnie blisko nas lekkie drgania w powietrzu, krótkie przenikliwe świsty, szybko przemijające, i znikające wkrótce z szmérem podobnym do tego, jaki wydaje kula ołowiana, spadająca na grunt błotnisty.

Były to gwiazdy spadające; i nie sądzę żeby w żadnym innym kraju na ziemi, to zjawisko meteorologiczne powtarzało się tak często.

Nauka je wyjaśnia, poezja zbiera.

Usiadłem obok Józefa ciągle klęczącego, wyjąłem mój ołówek i napisałem:

Ty co się w górze przemykasz,
Jak chwila rozłąki sroga,
Ty co zabłyskasz i znikasz,
Z rozkazu i tchnienia Boga,
Jesteś że lubym płomykiem,
Co serca szlachetne grzeje,
Czyli zimnym poprzednikiem
Boleści, która łzy leje?

Czyś ty wzrokiem Archanioła,
Co panuje z niebios szczytu,
Czyś z hjerarchji świętéj koła,
Co się wznosi śród błękitu?
Czyś ty z ziemi oddalonéj,
Co od piorunu zadrżała;
Czyś z ojczyzny opuszczonéj,
Z któréj biéda nas wygnała?

Miałem matkę ubóstwianą,
Którą niebo odebrało,
Byłażbyś drogą świetlaną,
Którąb' jéj serce spływało?
Byłażbyś nadzieją moją,
Coby do snu kołysała,
I wdzięczną twarzyczką swoją
Uwolnienie zwiastowała?

O nie! ten płomyk ponury
Jakby całunem okryty,
Jestto żałoba natury
Nad miejscem, gdzie grób wyryty.
Módl się, gdy ona w przestrzeni
Lecąc, wszędzie trwogę sieje,
Módl się za tych, co strapieni,
Módl się za mnie, co boleję!

STRASZNE DZIECIĘ.

One są wszędzie. Jak dawno już, jak przestałem być strasznem dziéckiem. Kobiéty nie przebaczają pierwéj jak po ukaraniu. Papa czy mama, to wszystko jedno. Epigrammat.

—

Straszne dziécię jest wszystkich krajów, świat niémi wybrukowany, istnieją one od piérwszego dnia stworzenia, i niewiem czy nie na korzyść to strasznego dziécięcia Bóg kazał, żeby Oceany ryczały, żeby światy toczyły się w przestrzeni, żeby słońce oświecało naszego planetę. Kamczadale mają swoje dziéci straszne; widziałem je u mieszkańców Ziemi Ognistéj, pod biegunem przeciwległym; trącasz je nogą w Meksyku, w Peru, w Chili, w Boliwji, w Taiti, na wyspach Malajskich, u Hottentotów; i oto jedno z nich, które mi zadaje ranę w Lima, w Concepcion, albo w Valparaiso, jak gdybym nie opuszczał Paryża, téj stolicy świata, gdzie dzieci straszne założyły swe państwo.

Jeśli cię pozostawiam w wątpliwości względem miejsca, gdzie mianowicie pieściłem po ojcowsku dziécię straszne, które mi tyle sprawiło złego i zadało tak głęboką ranę w serce, to dla tego, że mam swoje przyczyny; nie chcę jść za iego przykładem: ostro-

żność w mówieniu jest cnotą starości, w której ćwiczę się oddawna.

Chciałem pominąć milczeniem ten krótki ustęp mojego życia tak burzliwego; ale złota gwiazda zajaśniała na mojém posępném niebie, i zdawało mi się na chwilę, że Bóg, znużony surowością, okazał się być tkniętym moją zgryzotą, gdyż popełniłem wiele złego od lat pięćdziesięciu.

O straszne dzieci! Bóg dla was to stworzył piekło! strzeżcie się! Wasze czoła różowe i czyste, wasze włosy mięciuchne, wasze oczy ponętne, kiedy ich nie kosicie; wasza rączka pieszczotliwa, wasz uśmiech pocieszający; ale wasz język!.... Co za szydełko! co za jaszczurczy język!

Opowiadajmy rozsądnie, i wywołajmy ciekawość bez jéj zaspokojenia. Powiedziałem już wam: oto blisko pół wieka jak nie jestem już strasznem dzieckiem.

Przechadzałem się więc, tu i owdzie, koło mieszkania konsula, człowieka z umysłem wyższym, sercem prawém, duszą wzniosłą; słuchałem rozmowy kilku służących próżnujących, które mi zdawały się być nieprzyjazne reputacji jednego z mych współziomków, którego nazwisko bardzo plebejuszowskie nieraz już obiło się o moje uszy. Obeszło to mię bardzo, jak dobrego patrjotę, i postanowiłem zapobiedz zgorszeniu. Rzecz szła o kilka starych sztuk odzienia, które jakiś dzielny chłopiec z Paryża czy Londynu, chciał rozdać przed odjazdem, wiernym swoim służącym, i które wykonawca tych rozkazów zatrzymał u siebie samowolnie. Wszystko to wynosiło zaledwo wartość kilku piastrów, a mówiono o procesie, o sądach, o intendencie; niewiem już tam o czém! Chciałem się w to wdać, i udałem się prostą drogą ku domowi posiadacza owych rzeczy.

Chciałem się widzieć z mężem, a tym czasem żona wyszła na spotkanie. Spodziewałem się usłyszéć głos krzykliwy, chrapliwy, nosowy; dźwięk głosu miły i przenikający jak niebieska melodja obił się o moje uszy. Zacząłem żałować że przyszedłem, bo

przyjście zapowiada pożegnanie, a jest wiele pożegnań, które są boleścią.

O czém z sobą mówiliśmy? O wielu rzeczach, prawdziwie; ale nie było najmniéjszéj wzmianki o starych rupieciach, poruczonych mężowi. Mąż również pozostał w cieniu. Ale, ponieważ jestem pewny, że te stronnice będą kiedy czytane przez zachwycającą nianię, ponieważ się odwołuję do prawości kobiecéj dla obrony mojéj prawości autorskiéj, dodam, że rzucono wiele słów szlachetnych we względzie mojéj podróży do Kalifornji i moich poprzednich wycieczek.

Moje położenie stawało się trudném; żądałbym już nie słyszéć, żeby miéć prawo odezwać się takoż, i żeby wypowiedziéć jak wielką pociechę znalazłem w tém nieprzewidzianém spotkaniu; ale musiałem słuchać, i milczałem.

Organy nie mają dźwięków bardziéj melodyjnych, strumyk niema milszego szméru, powiew łagodny wiatru słodszych pieszczot; cała moja przeszłość znikła przed tą obecnością; moją ojczyzną była kanapa, salon, lekkie szczebiotanie, a niekiedy milczenie, mające takoż swą wymowę.

Odczarowanie było niepodobném, moje ciemności od tego mię ochraniały; z resztą, wiedziałem że jestem w obec kobiéty pięknéj, bardzo pięknéj; zacząłem być zuchwałym, jak każdy człowiek bez nadziei: kiedy niemamy nic do stracenia, jesteśmy wtedy bardzo śmiałemi. Pani M.....' była nauczycielką w Paryżu, stąd tedy uważałem za rzecz naturalną przypomnieć jéj dawane przez nią lekcje, stając się jéj uczniem. Każda kobiéta lubi panować. Podnieś głowę dla patrzania na nią i słuchania jéj; niémasz hańby w téj niewoli; a jednak nie zapominaj, że ręka kobiéca probuje zawsze chętnie ostrza swych pazurków na tego, który jéj śmie stawić czoło.

Pani Ma... ma organ tak sympatyczny i tak przekonywający, że idę o największy zakład, iż nie odmówisz wiary żadnemu jéj słowu. Według niéj, dom jéj jest klasztorem, pustelnią, tajemnym przybytkiem, do którego niewielu tylko wybranych znajduje przy-

stęp; ale w takim razie jakim sposobem jéj złoty języczek anatomizuje tak zręcznie obyczaje chilijskie? Jakim sposobem jest wtajemniczoną do tylu sekretów, o których najpoufalsi nie wiedzą? jakim sposobem tak poetycznie wyprowadza na jaśnię postacie, poddane jéj skalpelowi? Rzekłbyś że to malarz przed swoim modelem, rzekłbyś że to obraz odbity w najczystszém zwierciadle.

Skutkiem długiéj usilności poznania siebie saméj, pani Mai.... stała się bardzo surową dla drugich, i jéj pochwały mają zawsze jakąś przypiewkę, która część ich pochłania. Głowa możeby i mogła potępić serce.

Ona mówi.... słuchajcie, róbcie jak ja.

— Pani M. de L.... jest kobiétą iskrzącą się dowcipem, szampan więcéj nie upaja..... Ale wié o tém za nadto.

— Pani Pastora C..... jest piękną..... Ale za nadto lubi przybierać postawy.

— Pani de C.... ma głowę prześliczną..... Ale staje się za nadto otyłą.

— Pani Sch..... jest zupełnie maleńką kotką białą z chodu i zalotności.... Ale kotka biała ma zęby ostre.

— Pani Ber..... ubiera się bardzo gustownie.... Ale mąż jéj wielki głupiec.

— Pani Bl.... jest typem dobroci, wdzięku, znakomitości.... Ale tak jest dumną z swych zachwycających dziatek, że nie dozwala ani słowa powiedziéć swoim wielbicielom.

Nieszczęsne *ale* musi być zawsze, jak koleina na drodze, jak gąsienica na kwiecie, i szczęśliwym prawie jesteś, że znajdujesz wadę w téj, która ją upatruje w każdéj innéj. Gdzież u licha życzliwość kryje się na téj ziemi? To pewna, że ani w gorsecie, ani pod kapeluszem z kwiatami.....

Pani Mail..... śpiewa jak Ugalde, Damoreau lub Dorus..... tylko trochę gorzéj.

Gra na fortepjanie jak pani Pleyel, Boireaux, lub Martin.... tylko nie tak dobrze.

Maluje jak Vernet, Schoeffer, albo Winterhalter..... tylko mniéj doskonale.

Pisze wiersze jak pani Valmore, Ségalas, Tastu, lub Hugo..... tylko nie tak wyborne.

Z temi wszystkiemi przymiotami, obok których znajduję takoż i stronę ujemną, pani Maill..... powinnaby być, zdaje mi się, nieco pobłażliwszą; ale kobiéta nie przebacza nigdy chyba po ukaraniu, i pani Mailla.... jest kobiétą od stóp do głowy, ma ona cóś z rodu kociego; to nie potrzebuje dowodzenia, *to skacze w oczy.*

Ale powiedziałem wam przed chwilą, że byłem nieco zuchwałym przy pani Maillar..... zlekka tylko tego dotknąłem, nie składając na to przed wami dowodów; oto one. Spowiadam się przed wami, chcę żebyście mi dali rozgrzeszenie, i tak już dość grzechów cięży na mojém sumieniu.

Pani Maillard ma tam, na stole, dwa tomy (wié ona dobrze że piszę prawdę); są to *Pamiątki ślepego.* Nie mogę wam wyrazić ile było wdzięku w jéj pochwałach i dobroci w jéj pociechach..... Byłem aż zawstydzony.

— Niestety! pani, słowa takie jak twoje podałyby w zapomnienie wielkie nieszczęście, gdyby były szczéremi; ale wierzę w twoję litość więcéj niżeli w szczérość, a jednak mam wielką chęć zyskania jeszcze cóś w twojéj opinji. Prozaik jest niekiedy poetą, i jeżeli pani pozwolisz, pokażę jéj moje wiersze.

— Niewiedziałam że pan masz ten talent. Jakiż jest przedmiot pańskiéj poezji?

— Wyborny przedmiot: ty, pani.

— Przeczytam je z przyjemnością.

— Och! mamo, zawołała córka jéj męża, ja takoż chciałabym bardzo je przeczytać.

— Zobaczémy, mój aniołku, rzecze pani Maillard, która była tylko macochą tego straszno-ślicznego stworzeńka.

Wyszedłem z mocném postanowieniem napisania kilkudziesięciu wierszy i przyniesienia ich nazajutrz téj, która miała je natchnąć.

Nazajutrz istotnie byłem u niéj; znalazłem tylko dziécię z jego niańką, która mi podała szklankę limonjady..... Nie zapominam o niczém.

— I cóż! kochany panie, czy wiersze dla mamy zrobione? zapytała mię psotniczka, siadając prawie na moich kolanach.

— Zrobione, moja maleńka.

— O! tém lepiéj; daj mi je pan, a ja oddam papie.

— Ależ to dla mamy, powiedziałem jéj, trochę zmięszany.

— Papa czy mama, to wszystko jedno.....

Głupieńka! komu by to przyszło do głowy? widać zaraz że nie odbiera wychowania w Paryżu.

Trzymałem papier w ręku, mała dziewczynka porwała go i pobiegła śmiejąc się, schować go do pokoju swéj matki. Szczęśliwy papier!

Rostropna niańka poszła za nią, i powracając do mnie, rzekła po cichu:

— Bądź pan spokojnym, mam u siebie pańskie wiersze; pani będzie je miała wkrótce.

O nieoszacowana pokojówko! ty też same wychowanie odbierasz we wszystkich krajach.

Była czwarta godzina, pisałem u Konsula; człowiek jakiś wpada, pies rzuca się na niego i kąsa go w rękę. Człowiek ten, był to pan Maillard, wściekły, obłąkany, rozdąsany że śmiano pisać do jego żony wiersze jedne dłuższe od drugich, i że miano w nich zuchwałość mówić do niéj *ty*..... Straszne dziécię dopełniło swego posłannictwa.

Jako człowiek znający z kim ma do czynienia, pan Konsul starał się pocieszyć małżonka w krzywdzie wyrządzonéj jakoby jego honorowi i téj jaką pies mu zadał kąsając go w wielki palec. Powiedział mu, że poezja ma swe przywileje, że tykają Boga i Jego zastępcę, Cesarzów i ich ministrów, kobiéty i ich szpice; uwiadomił go że tykają skały, rzeki, drzewa, słupy, że kiedyś sam on może będzie tykany, jeżeli znajdzie jakiego Pindara, chcącego opiewać jego ciasta i małe paszteciki (był to cukiernik), i że w końcu nie widział nic ubli-

żającego honorowi ani téj co te wiersze natchnęła, ani tego co je w natchnieniu napisał.

P. Maillard oddalił się; nie mogłem przewieść na sobie, żeby nie pogłaskać psa i nie zrobić dlań madrygału—epigramatu, którego on zapewnie nie bardzo pojął, ale który P. Maillard zrozumie może:

Dla czegoż krwią twe oczy z wściekłości nabiegły?
Co ci zrobił ten bałwan, Polluksie kochany?
Wszak mówią, że on w sztuce Feliksów tak biegły.....
Brat od brata być musi więcéj szanowany.

IMIONA WŁASNE.

Wycieczka aż do Santjago. Ciżba. Józef Wiktoryn Lastaria, Marcjan Gonzalés, etc. Pani Cazotte. Juana Toro de Vienna. Pani de la Motte. Pani Mercédés Marin Solar. Safo chilijska. Admirał Blanco, etc.

—

Kiedy przybywając do jakiéj stolicy, widzisz spotykających ciebie i podających ci braterską rękę ludzi najznakomitszych; kiedy poeci, mówcy, ministrowie, prezydent, otaczają cię względami i przychylnością, dla tego tylko że twoje imie bez plamy doszło aż do nich, wtedy powiadam powinniśmy poświęcić temu krajowi, tym obywatelom przedniejszym, kilka stronnic w naszych dziełach, powinniśmy im dać miejsce w naszych wspomnieniach najdroższych.

Niektórzy z moich towarzyszów podróży postanowili zrobić wycieczkę z Valparaiso do Santjago, stolicy Chili; przyłączyłem się do nich. Przebyliśmy malownicze okolice, i zaledwo przybyliśmy na miejsce, ciżba nas otoczyła; ciżba żywa, namiętna dla obrony lub zwalenia téj lub innéj zasady, ale zapominająca na swe osobiste zaję-

cia, dla przyjęcia nas z gościnnością bezprzykładną w naszéj wyrodnéj Europie.

Z pomiędzy nazwisk, które wam przytoczyć muszę, przychodzi mi najprzód na pamięć Józef Wiktoryn Lastaria, adwokat z przekonaniem, wymówny, jędrny, z którym można walczyć, nie przestając go szacować; prawoznawca głęboki, poeta sercem, ekonomista przezorny i obrońca niezmordowany praw każdego, zapaśnik zawsze gotowy do walczenia przeciwko nadużyciom zagrażającym bezustannie postępowi i cywilizacji. Lastaria nie potrzebował mównicy, żeby dać poznać swe imię aż u nas. Dzieła jego, nacechowane filozofją wolną od słabości i przesądów, wystarczyłyby dla pomieszczenia go na czele znakomitości politycznych i literackich swojego kraju..... Dzięki za jego rady, wtedy kiedy szukaliśmy światła we względzie potrzeb jego ojczyzny! Dzięki mu szczególniéj, za tę szczérą i prawą przyjaźń, którą nam ofiarował, i za którą wywdzięczamy się z takiém szczęściem.

Czyż przepomnę, w tych zwierzeniach się udzielanych wszystkim, o téj szczérości obejścia się, o téj grzeczności tak niewymuszonéj, tak uprzejméj, o téj potędze rozumowania, co go nie opuszcza w najpoufniejszych pogadankach, Marcjala Gonzalés'a, którego serce przewyższa głowę i który roztrząsa z równém powodzeniem kwestje najżywotniejsze swojéj młodéj rzeczypospolitéj? Nie, nie, pióro samo zmusiłoby naszą rękę, gdyby nam zabrakło pamięci.

Oto Viel, żołnierz od stóp do głowy, półkownik francuski, znający nasze świetne czyny, w których miał znakomity udział, i poświęcający się aż do męczeństwa dla swéj drugiéj ojczyzny, którą sobie wybrał. Viel do nas należy.

Palazuelos mówi, i płomień gorący wybucha z ust jego.... Czego on chce, nikt w Chili nie chce bardziéj od niego; jego oczy, jego giesta, wyraz jego głosu, wszystko przychodzi w pomoc dla zapewnienia zwycięztwa jego sprawie, a sprawa jego jest zawsze sprawą ludzkości.

Cóż to jest Sarmjento? Argientyńczyk doświadczony, silny mie-

czem, silny piórem, walczący bronią równą, ale nieubłagany szermierz jak tylko widzi że pole, na którém walczy, jest polem prawości i swobody. Rosas nie lubi Sarmient'a, łatwo temu daję wiarę! są to dwa żywioły przeciwne sobie: tamten, despota aż do tyranji; ten, niepodległy aż do fanatyzmu.

Pióro prędko bieży, kiedy kréśli podobne portrety; przenoszą się najprzód fizjonomje, których lękamy się utracić wyrażenia, potém porównywamy je z tém co ich otacza, i zapytujemy samego siebie, dla czego jesteśmy przychylniejsi jednym niżeli drugim.

Czyż rozmyślanie i praca uczyniły Sarmjento takim jakim jest? Nie, bezwątpienia. Napróżno byś chciał ulepić Herkulesa z gliny, twój półbożek upadnie za piérwszém wstrząśnieniem, i glina stanie się znowu gliną. Marmur i śpiż nie są podległe takim odczarowaniom, i pomimo wymierzanych ciosów, bohatérowie, których dłuto rzeźbiarza stworzyło, pozostają niezachwiani i nietknięci..... Ich natura pierwotna ochrania ich od zniszczenia.

Jeśli się nie mylę, Sarmjento musiał sprawić wiele nocy bezsennych swéj mamce, i nie sądzę żeby przewodnik jego dzieciństwa pochwalał bardzo jego uległość, jego towarzysze tylko musieli go kochać, gdyż bezwątpienia, stawał się on zawsze obrońcą ich słabości, wtedy kiedy sam potrzebował tak dalece opieki.

Co to mię może obchodzić, czy on odnosił, czy nie, nagrody w szkołach? Jeden z naszych pisarzy najznakomitszych nie odniósł ich nigdy więcéj jak dwie, to jest, nagrodę zdrowia i nagrodę pływania, a jest teraz chlubą swojego kraju.

Pomińmy więc młodzieńcze jego lata: oto Sarmjento adwokatem. Przebywa on Atlantyk, i przybywa do Europy poznać nasze prawa, nasze instytucje, nasze obyczaje; przybywa żeby zgłębiać, nie żeby się rozerwać; wyzuwa się z swego entuzjazmu, żeby lepiéj sądzić; okrzesywa się zetknięciem z tém co Paryż zamyka w sobie najznakomitszego, i oto, myśliciel rozważny, pisze on stronnice energiczne i moralne, które uważa za księgę praw dla samego siebie.

Kiedy jest blisko ciebie, idę o zakład że się nie wstrzymasz, żeby nie rzucić nań drugiego spójrzenia..... *Ktoby to był?* Takie jest pytanie, które wnet sobie zadasz. Ktoby on był? Ach! dla Boga, czytaj co on napisał; jeśli styl jest człowiekiem, myśl jest nim tém bardziéj. Sarmjento ma w sobie cierpkość Katona, popędliwość Demostenesa; ale zbywa mu na przymiocie Fabjusza, Montecucullego: nie jego to nazwą kiedy zwlekaczem.

I dla tego, patrzaj: jak tylko chciał żeby jego rzeczpospolita była rzeczpospolitą wzorową, chciał tego tak silnie, że owa natura dzika i okrutna, nienawidząca i krwiożercza, obłudna i barbarzyńska, zwana Rosas, rzuciła na niego swój wzrok jastrzębi i kazała wznieść szubienicę.

Oddaj Sarmjento w ręce Rosas'a, którego również powołam kiedyś przed moje kratki, i dyktator, a raczéj powiem, zbójca, da ci dwadzieścia mil ziemi, dziesięć tysięcy baranów, pięć tysięcy wołów, i pozostawi cię sam na sam z swoją Manuelitą, któréj według woli będziesz mógł ścisnąć wysmukłą kibić.

To co piszę, nie jest oszczerstwem, jest historją; jest historją dni upłynionych i dni obecnych, będzie to historją dni przyszłych, jeżeli będziemy posyłać do tego nieszczęsnego Rosas'a tylko dyplomatów wyperfumowanych i działa bez kul we środku.

PANI CAZOTTE.

Czy to dla tego ona dobra że piękna? Czy dla tego piękna że dobra? Kwestja trudna do rozwiązania.

A najprzód, czy ona istotnie dobra? Gniew motylka niemniéj przeto jest gniewem, a chociaż bez jadu, żądło jego często jest mieczem bardzo ostrym..... Pytaj kwiatów, od których odlatuje.

Bogactwo jéj warkocza stało się przysłowiem, nawet w Chili, gdzie prawie wszystkie kobiéty mają wspaniały wieniec hebanowy. Pani Cazotte pyszni się tym djadematem Cesarskim; lubi kiedy jéj o nim mówią, uśmiecha się na pochwałę; zdaje mi się nawet że ją

wyzywa, i nie dziwiłbym się, gdyby żądło, o którém wam dopiéro co mówiłem, musnęło koło twego lica, w razie gdybyś szukał porównania tym bogatym opaskom, tym jedwabnym zwojom, które tak poetycznie wieńczą tę ciemną głowę chilijską.

Ręce pani Cazotte są malutkie, delikatne, dobrego domu.... Ściskają się za ręce w Santjago: nakaż więc milczenie oszczérstwu, i dozwól ślepemu poznać niektóre z tajemnic osłonionych tak często, niestety! dla niego jednego.

Pani Cazotte bardzo jest uprzejmą w swym domu; jesteś tam jak u siebie. Mówią tam o muzyce, poezji, czułości macierzyńskiéj, macierzyńskiéj nadewszystko, i jakże mogłoby być inaczéj, obok tego miłego szczebiotania cherubinków, skaczących po kobiercu?.... Całowałem je często w czoło; moja myśl przestawała na tém, chociaż pani Cazotte była radą z moich pieszczot: bogactwo i slepota nie podróżują razem. Kto nadskakuje pani Cazotte? wszyscy; a jednak nie tyle to tłum liczny wielbicieli jak zasady żony, czynią bezpieczeństwo męża..... Co do mnie, gdybym posiadał brylanty pani Demidow, lękałbym się, czuwałbym w nocy, we dnie, bez ustanku. A jednak czémże jest blask drogiego kamienia obok promienia jasnego ciskanego przez aksamitną źrenicę czarującéj kobiéty?

Tu, jestem tylko echem publicznego odgłosu, powtarzam wyrazy.

Inne stronnice nastąpią po tych; rozpatruję, badam grunt, na którym chcę walczyć.... Czekajcie więc, moi ciekawi; miejcie cierpliwość, moje ciekawe; dowiecie się o wszystkiém późniéj, a potém przyjdzie i na was koléj.

Żuana Toro de Vienna ulega częstym potwarzom; niémasz się czego dziwić. Jest ona piękną, jest szlachetną, pobłażającą; ma dowcipu tyle, że mogłaby go udzielić tobie, tobie i mnie; opowiada przedziwnie, dźwięk głosu jéj jest muzyką..... Mogłaż uniknąć jaszczurczego języka? Nie. Słyszałem jednakże panią Żuanę potwarzającą niektóre damy Santjago, których reputacja była wątpliwą. Pani Żuana jedna tylko je chwaliła..... Uchyl głowę przed tą szlachetnością.

Mówiono wiele o świetnych balach dawanych niegdyś przez panią Manunga de la Motte; ja powiem wam tylko o świetnéj jéj rozmowie, o jéj ruchach bez pedantyzmu, o jéj postępowaniu bez bigoterji. Pani de la Motte jest Europejką od stóp do głowy; przyjęła ona od cywilizacji wysoko posuniętéj wszystko co jest w niéj barwném, wszystko co się w niéj podoba; i jeśli Valparaiso pozostaje z tyłu, nie jestto winą jego słońca, które je ogrzewa i oświeca razem.

Czyż oszczérstwo dotknęło również panią de la Motte?

Żadnéj w tém wątpliwości; jędza jest obywatelką świata, i w jéj oczach błędy są występkami, a występki zbrodniami.

Błędy pani de la Motte jakież są? oto ona zapomina.... swoich wykroczeń; przytaczam je tu: ona panuje, podbija; wiész już teraz: miéj się na ostróżności.

Pozostawiam nadal dopełnienie obrazu, którego tylko zarysy rzuciłem: zwierzenia się będą pisane czerwonym atramentem.

Pani Mercédès Marin Solar, jestto Safo chilijska; poezja ma skrzydła ogniste. Ossjan śpiewał pośród mrozów Szkocji; Byron we mgłach Tamizy i na brzegach Troady; Hugo, Lamartine, Ségalas i Valmore u nas; Kamoens, na brzegach luzytańskich, i pomimo groźb Adamastora.... Ptaszek śpiewa, śpiewają przy urodzinach człowieka, a nadewszystko przy jego śmierci, co jest bardziéj logicznem; milczenie nawet ma swą harmonję, i świat jest orkiestrą, gdzie każdy bierze udział; my, łkaniem, miłością i żalem; sowa, swoim krzykiem przeraźliwym; jaszczurka, swoim złowieszczym szelestem; lew, swoim rykiem; oceany, swojemi gniewy.....

Wszystko śpiewa na ziemi; pani Solar śpiewa w Santjago chwałę swojego kraju, uciechy przyjaźni, słodycze macierzyństwa.

Pani Mercédès Solar ma córkę: powiadano nam zawsze, że Muzy są dziewicami; otoż zadajemy fałsz mitologji.

Młoda dziewczyna ma zaledwo lat dwanaście, a już jéj poezja jest pełną barwy, całkiem uczuciowa, całkiem sercowa.... A to dla tego że w Chili namiętności i winogrona dojrzewają prędko; dla tego

że w Chili krew płynie szybko w arterjach i że poezja jest gdzieindziéj niżeli w głowie.

Niech pani Solar jednak ma się na ostróżności! nic tak nie upaja jak kadzidło: wstępuje ono do mozgu, a nie zawsze oczyszcza; i wiész to sama, senjoro, nie możesz niewiedzieć, senjoryto, że nic nie jest tak zgubnego dla gienjuszu jak pochwała. Wyraz *gienjusz* był tak hojnie rozdawany, że roztropność nam zaleca, być bardzo ostrożnemi w obec wszelkich uroszczeń zasłużenia nań, jakie nam przypisują.

Ale na cóż mam przedłużać daléj moje uwagi, kiedy mam napotkać późniéj, w innném dziele, imiona tak drogie mojéj pamięci? Między innemi, imię admirała Blanco, znakomitsze jeszcze blaskiem swojéj zasługi osobistéj, niżeli wysoką pozycją społeczeńską, jaką zajmuje.

Admirał Blanco jest razem miłością i dumą Chili, tak jak jest wsparciem cudzoziemców, odwołujących się do jego sprawiedliwości.

Uchyl głowę przed tą rodziną uprzywilejowaną, którą ręczę że nie opuścisz bez żalu, kiedy przyjdzie chwila rozstania. Potrzykroć pozdrowienie imieniowi admirała Blanco!

Czyż nie byłoby również niewdzięcznością zapomnieć o Gomez'ach, Valenz'iach, Gutjer'ach, których pióro jest puklerzem i mieczem, i którzy przedłużają tu dzieło wyzwolenia, co tak dzielnie rozpoczęli na brzegach la Platy?

Cazott'owie, Blanchard'owie, Grisar'owie, tak melodyjnéj pamięci, zajmą także kilka kartek mojego dzieła, i śpieszę uprzedzić o tém, żebym nie był oskarżony o niewdzięczność, zgodnie z Cortes'ami, którzy wiedzą dobrze ile jest w mojéj duszy miejsca dla wdzięczności.

CHWILE WYTCHNIENIA.

Archipelag żeglarzy. Kapitan Moruc (cz. Moriuk). Jego dwie żony dzikie. Nałóg druga natura. Miłość dzieci młodéj dzikiéj kobiéty. Rosita (cz. Rozyta) i jéj dziécię. Rozstrzelania w Chili. Carmen (cz. Karmen). Dziwne poświęcenie się macierzyńskie.

—

Malujmy obyczaje wystawując sprzeczności; skala porównania nie dozwala zbłądzić.

W ogólności, nazywamy *dzikiém* w Europie każde zwierzę dwunożne myślące, które nie nosi ani odzienia, ani kapelusza, ani chustki na szyi, ani żółtych rękawiczek: dla was obywatelów świata siedzących na miejscu, jest dzikim ten, co nie usiada przy stole wspaniale zastawionym, co nie pojmuje ani Boieldieu, ani Auber'a, ani Halev'ego, ani Donizett'ego, ani Hugo'na, ani Chateaubriand'a, i dzikim jest dla was ten człowiek czarny, żółty lub miedziany, który żyje w lasach, na wybrzeżach morskich, w chałupach, z polowania, rybołostwa, a niekiedy nawet z łupieży.

Według was, niémasz dzikich w waszych miastach z tak równemi ulicami, w waszych ogrodach tak ubarwionych kwiatami, na waszych miejscach przechadzek tak rozkosznie ocienionych, i znajdują się oni tylko na rzadko rozsianych Archipelagach Oceanu, blisko szczytów Gór Skalistych, albo u podnóża tego straszliwego Mowna-Kah, którego lawy bezustannie kipiące pochłoną może kiedy Owhyję, która przechowuje, w głębi swoich zatok, zwłoki Cook'a złożone w trumnie ołowianéj.

I cóż, mówię wam, ja co to piszę, że zostajecie w wielkim błędzie. Żeby poznać ludzi, potrzeba się im przypatrzyć we własnym ich domu, pośród ich radości, ich smutków, ich namiętności. Słuchajcie.

Rzecz dzieje się tam i tu, na Archipelagu Żeglarzy i w Chili; cztéry osoby, pięć najwięcéj występują na scenę: P. Moruc, kapitan

okrętowy, dwie młode dzikie, jedna mająca lat dwadzieścia pięć, druga ośmnaście, i P. Blanchard, rysownik i dyplomata razem: ale nadewszystko fizjolog zasłużony, który opowiada jak pisze, a pisze jak Ludwik Reybaud. P. Moruc, zarzuciwszy kotwicę w znacznéj odległości od głównéj z wysp Żeglarzy, zalecił swéj osadzie nie przyjmować żadnéj kobiéty na pokład; ale niéma takiéj szczeliny, przez którą by się nie wcisnęły te szatanki domowe, kiedy się powodują kaprysem głowy lub serca. Wyznajmy takoż, że ludzie osady okrętowéj, widząc pływające około nieruchomego spodu bryku, dwie odważne wyspiarki z małemi zawiniątkami bielizny, wyciągnęli im opiekuńczą rękę i pomogli im wstąpić na pokład.

Kapitan, powróciwszy z wyspy, zdjął z kotwicy, płynął przy pomyślnym wietrze przez całą noc, i nazajutrz zaledwo dwie kobiéty zbiegłe ukazały się na pokładzie.

P. Moruc, rozgniewany, chciał wrócić nazad i oddać je ich królewskim rodzinom; ale, wzruszony ich łzami i ich prośbami, puścił się w dalszą drogę i zarzucił kotwicę w zatoce Valparaiso.

Skoro wylądował, dwie kobiéty, odziane prawie tak jak Ewa przed skosztowaniem jabłka, stały się przedmiotem ciekawości publicznéj wielce natrętnéj. Ciżba zebrana ścigała ich wzrokiem, szyderstwy, przycinkami; każdy chciał te nowe przybyszki słyszéć mówiące czy szczekające; każdy chciał się ich dotknąć ręką; nie mogły postąpić kroku, żeby nie były otoczone tłumem, który straż z trudnością rozpędzić zdołała.

Dwaj przekupnie ryb przechodzili niosąc swój towar na plecach w koszach plecionych z łozy: dwie te kobiéty, natchnione swą przeszłością, rzucają się, porywają ryby, które uważały za najsoczystsze, i pożerają je z ogonami, i skrzelami, nim P. Moruc miał czas zapobiedz téj łupieży.

Podczas dnia, hotel, w którym stanął P. Moruc był całkiem otoczony, jak to u nas się zdarza, kiedy do jakiego miasteczka przybywa minister, deputowany oppozycji, olbrzym, albo truppa marjonetek. Wyprawiono im serenadę, albo raczéj kocią muzykę, i dwie te kobiéty, oparte na ramieniu swego przewodnika, musiały pokazać

się w oknie dla podziękowania za *wiwaty* całkiem zajętego niemi pospólstwa.

Nazajutrz, wiele kantorów było zupełnie pustych; biegano po mieście, rozpytywano się, chciano wiedzieć co się stało z nieporównanemi dzikiemi, i jak tylko jaka figura, mniéj więcéj nieznajoma, przemykała się koło jakiego zbiegowiska, wnet powstawał ruch, i wołano: oto one!

Ileż to młodych Chilijek, które w tém zdarzeniu tylko, zostały nazwane dzikiemi!

Jednak przyzwyczajono się powoli do sposobu postępowania obu wyspiarek, które P. Moruc przyodział jako tako w suknie płócienkowe; ale one swobodne i niepodległe aż do zuchwalstwa, aż do nieprzyzwoitości, kładły się sobie tam lub owdzie na trotuarach ulicy, na piasku wybrzeża, i jak tylko chciały zrobić sobie wielką rozrywkę, udawały się do kawiarni, stawały na krzesłach, i przypatrywały się grze bilardowéj..... Niezawodnie bym się im podobał.

Wszystko zdoła się naprzykrzyć wkońcu, nawet cywilizacja, nawet dzikość, może nawet szczęście!

P. Moruc odpłynął, mając na swym pokładzie dwie wyspiarki, które chciał odwieść do ich kraju, i których P. Blanchard skreślił rysy na płótnie; niestety! umarły one w drodze, i Ocean pokrywa je dzisiaj swemi falami.

W parę lat potém, młoda dziewczyna, przybyła także z Archipelagu Żeglarzy i wylądowała w Valparaiso; szukała ona swéj matki, téj kobiéty dwudziestopięcioletniéj, któréj nie miała już nigdy oglądać. P. Blanchard dowiedziawszy się o przybyciu biédnego dziecka, prosi ją do siebie; wchodzi ona do tego salonu, gdzie Konsul umyślnie umieścił portrety wyspiarek.

Młoda dziewczyna rzuca spojrzenie na obraz, blednieje, drży wszystkiemi członkami, przysiada na ziemi, kryje głowę pomiędzy kolana i zanosi się od płaczu....

To była dzika!

Świadkowie téj sceny rozczulają się, osypują najtkliwszemi

pieszczotami nieszczęśliwą; wmawiają jéj że zobaczy kiedyś swą matkę, ale łzy biédnéj córki nie ustały pierwéj, aż nim P. Blanchard nie podarował jéj tego drogiego dla niéj obrazu..... To była dziewczyna dzika!

A teraz oto cywilizacja.

Rosita jest ładną brunetką, ze spojrzeniem błyszczącém, kibicią giętką, wysmukłą, słowem dźwięczném; oko jéj nie patrzy na cię, ono zapytuje; usta jéj nie uśmiechają się, ale upajają; ręce jéj nie dotykają się ciebie, ale oplatają, i domyślaszsię łatwo, że jéj stanik nie tylko nie nadaje kształtu więzionéj przezeń kibici, ale że sam stosuje się do zaokrągleń części ciała, któremi natura uposażyła pierś pięknéj Chilijki.

Nie bież bardzo prędko za Rositą, gdyż ona ucieka dla tego tylko, żeby była złowioną, i niewiém dla czego potyka się zawsze, jak tylko postrzega że doganiający ustaje w biegu.... Jeśli ci nic nie powiedziałem o warkoczu Rosity, to dla tego że nie wierzyłbyś jego bogactwu, i że zresztą nie chcę, żebyś bardzo żałował tego Chili tak dziwacznego w swych sprzecznościach, tak ciekawego w swéj indywidualności, które opuszczę z takim żalem.....

Ale ta Rosita, czémże jest ona? Czy wielką damą w kraju republikańskim? Czy mieszczanką zbogaconą, szlachcianką zrujnowaną, artystką błyszczącą na teatrze, modystką królującą przy swoim kantorze? Rosita jestże ubraną w jedwab', czy w płócienko? Czy ma na głowie kapelusz, czy tylko swe jedwabiste sploty, spadające aż do kolan? Czy Rosita chodzi w rękawiczkach? Czy umie czytać i podpisać swe nazwisko? Czy serce Rosity odpowiada chętniéj sercu człowieka z gminu, czy arystokraty? A najprzód, czy ma ona serce tak jak ty i ja, albo czy ma ich wiele, jak tyle innych twarzyczek kobiécych zapełniających przestrzeń?

Otoż pytań co nie miara! otoż wiele przypuszczeń, gdy idzie tylko o prostą służącę, o dziewczynę najmującą się za sto piastrów rocznie, i którą pani Dolorez B.... odprawiła, dla tego, że biédne dziewczę zostało matką, i że jéj dziecko płakało od rana do wieczora, nie licząc kwileń od wieczora do ranku.

Rosita się oddala, zadąsana, upokorzona, gniewna; wchodzi do swego mieszkania, siada na ziemi, kładzie swoje dziecię na krześle i zasypia..... Zmartwienie wyrządza ci niekiedy tę przysługę.

Ale trzęsienie ziemi daje się czuć, wiesz że ono się tu często zdarza. Rosita powstaje przelękniona; dziecię rzuca się..... swojemi małemi rączkami szuka podpory, któréj nie znajduje, przewraca się, upada, rozbija sobie główkę i umiera.

Matka jego jest tuż, blisko niego, zadyszana; maca puls, nabiera pewności że on już nie bije, że oddechu niéma w ustach, że spojrzenia niema w oczach..... Co za szczęście! Rosita nie jest już zagrożoną w swéj teraźniejszości i w swéj przyszłości.

Szczęśliwa matka przybiega, wpada do pokoju pani B....., staje dumnie przed swą dawną panią, i mówi jéj głosem najweselszym:

— Możesz mię pani znowu wziąć na służbę, niémam już dziécka: moja córeczka tylko co umarła; będę znowu pani służyć.

Młoda dziewczyna, która przybyła z Archipelagu Żeglarzy i która tonęła we łzach, cała udręczona, na sam widok portretu swéj matki, ta młoda dziewczyna, nazywana była dziką!....

Rosita urodziła się w Chili, w Valparaiso..... to kobiéta ucywilizowana! i nieszczęściem, nie jest to wyjątek.

Ale, cicho! oto tłum ciśnie się z głuchém szemraniem..... Jestto ciżba niezmierna, tłok gęsto skupiony mężczyzn, kobiét, dzieci, wszystkich oczy zwrócone na jeden punkt, wszyscy udzielają sobie wzajemnie wzruszeń chwilowych, bojaźni, która niémi miota, nadziei, co się im uśmiecha.

Śród tego natłoku idą żołnierze milczący, z fuzjami na plecach, i pośród nich widzisz osła prowadzonego przez dwóch posługaczów, ciągnącego skórę byczą, sunącą się po ziemi z złowrogim szmérem i do któréj mocno przywiązany winowajca, skazany na śmierć, obok zakonnika. Cóż on przewinił? Może sprofanował kościoł, uderzył księdza w odzieży kapłańskiéj, albo zabił swojém *cuchillo* nędznika, który chciał zwieść jego siostrę. Skazany on na rozstrze-

lanie; ma on odwagę, chciałby sam iść na miejsce kary... ale nie, ciągną go, tak prawie jak ciągną u nas, ku Montfaucon, zwłoki konia zdechłego ze starości. W kilka godzin potém, około północy, ludzie opatrzeni w latarnie, przychodzą szukać szczątków ludzkich, unoszą je gwiżdżąc i rzucają w dół ogólny. Wszystko się skończyło na tym świecie. Ale powiedz mi co się dzieje w innych światach z ofiarami i ich katami?

Od dramatu do komedji, krok tylko; dajmy go, nie zbaczając od przedmiotu, i zobaczmy moralność, jaką można wyciągnąć z faktu, który mam wam opowiedzieć. Ale moglibyście zastosować zdanie swoje do mojego; wolę przeto zamilczéć co o tém myślę.

A najprzód, uprzedzam was, moi kochani współbracia z Paryża i prowincji, że udzielam wam anekdoty prawdziwéj, i pozwalam wam wyciągnąć z niéj korzyść, jaką zechcecie.

Ty, Scribe, mistrzu nas wszystkich, nasz królu, nasz Cesarzu, nasz prezydencie, zrób z niego wodewill, jak te które codziennie znosisz; czekamy od ciebie arcydzieła. Ty, Dennery, zatemperuj twe pióro i zbuduj dzieło jak twoja *Dama de Saint Tropez*, albo *Marja-Joanna* tak przerażającéj pamięci; wy, Duvert i Lauzanne, Clairville, Varin i tylu innych, których nie wymieniam, gdyż moje pióro już się znużyło, czytajcie; jest tu przedmiot do sztuki, według mnie, bardzo zajmujący.

Carmen Iriarte,— ostrzegam was że nie wymieniam prawdziwego nazwiska, — Carmen była śliczną dziewczyną, która czuła w sobie serce w tym wieku, kiedy u nas bawią się jeszcze lalkami. Niestety! lalka Carmeny nadużyła strasznie pieszczot dziecinnych biédnéj Chilijki, gdyż jednego poranku, nim jéj ojciec i matka wyszli z swéj sypialni, wchodzi ona blada, drżąca, z łonem mocno bijącém..... rzuca się na kolana, cała we łzach, i błaga łkając o przebaczenie winy, któréj wkrótce nie będzie mogła ukryć przed światem.

Rozpacz panowała w domu, gdyż wszelkie zadośćuczynienie było niepodobne. Zwodziciel był nędznikiem bez czci i wiary,

bez majątku, bez rodziny: ofiara była spełnioną, biédna matka Carmeny nie chciała narzucać innéj swojéj córce przejętéj żalem.

Cała rodzina oddaliła się do majątku leżącego niedaleko Valparaiso. Matka jedna odwiedzała od czasu do czasu miasto i okazywała z radością swoim przyjaciołom znaki niezawodne ciężarności, o którą błagała niebios. W kilka miesięcy późniéj wydała *ona* na świat piękną córeczkę, którą możesz widzieć dzisiaj przechadzającą się pod ramię z Carmeną, która ją kocha jak siostra zwykła kochać siostrę; mylę się, jak matka zwykła kochać córkę.

O! tak, Chili nie jest jeszcze zupełnie stracone dla moralności, gdyż można tam znaleść jeszcze, tu i owdzie, w jego dwóch wielkich miastach, serca tak szlachetne, że mogą przebaczać, jakto uczyniła ta pani Iriarte, któréj nigdy nie ścisnąłem za rękę inaczéj, jak z największą życzliwością. Młody człowiek znakomitéj rodziny ubiegał się o rękę panny Carmen, ale ta nie przyjęła ofiarowanego jéj szczęścia, i zdaje mi się że siostra była dla niéj pociechą w braku męża.

NAKONIEC.

Żegnaj, Chili! Concon (cz. Konkon). Herradura. Le Callao (cz. Kallao). Lima. Jeszcze morze. Piotr Ludwik Cabasson (cz. Kabasson) rodem z Angouleme. Jego Taigne (cz. Teń) i jego Tesquieu, (cz. Teskie). San Francisco. Pierwsze spojrzenie. Pion. Gra. Traktjery. Chińczycy są Gaskończykami Indji. Dzisiaj. Przedtém pustynia, teraz świat. Następcy Cartouch'a i Mandrin'a. Jeszcze Cabasson. Dillon i Barroilhet.

A więc żegnam już Waldywję i Chili; żegnam was Konceptje, Karmeny, Dolorezy, Konchity, których głos odbija się więcéj w mo-

ich uszach, niżeli w sercu..... Żegnam was, warkocze pływające, dźwięczne słowa, wyzywające usta. Żegnam was, głupi *serenos*, uwiadamiający śpiochów, że spać nie mogą, i kochanków, że chwila rozstania nadeszła..... Żegnam was, *stróże*, których groźba jest tak prędką, i których arkan jest tak prędkim jak groźba; żegnam was, gitary niezgodne, śpiewy monotonne, tańce ociężałe, kościoły napełnione niepoprawnemi penitentami, kantory przemysłowe, klasztory fanatyczne jak sam fanatyzm, gdzie się przygotowują, w milczeniu, niesława i hańba rodzin.

Żegnam cię, Chili!

Wiatr południowy podnosi się jak zwykle; wieje on raz mocniéj, drugi raz słabiéj, potém się zwiększa, rozszerza, zajmuje przestrzeń, i popycha gwałtownie ku równikowi tułacze okręty, które go pozdrawiają pod swemi żaglami ściągniętemi.

.....*Europa* nie bardzo dobrze pływa; jestto okręt ciężki, niezwinny, nie posłuszny stérowi..... Nic to, wiatr silny go pędzi, i oto ziemia już znika..... oto Kordyljery zanurzają swe boki czerniące się w wodach, jak gdyby trzęsienie ziemi pogrążyło je w nich. Napróżno walczémy przeciw wiatrowi zachodniemu, nie możemy wyjść na otwarte morze, i góry panujące nad Concon'em wznoszą się na prawo.

Concon (Konkon) jest miasteczko prawie nieznane, brudne, cuchnące, leżące na stronie; nie wspomniałbym wam o niém, gdyby nie było dzisiaj miejscem pobytu człowieka, którego ojcobójczy oręż był tak zgubnym bohatérskiéj Hiszpanji..... Ten człowiek, to Marroto..... Mijajmy prędko.

Herradura jest portem, który zbogacają kopalnie miedzi, i z którego Chili mogłoby ciągnąć ogromne korzyści..... ale Chili śpi; pozostawmy go w jego spoczynku.

Pomiędzy Chili i Peru leży zapora trudna do przebycia, pustynia Boliwji, samotnia nieznana, któréj nie myślą zbadać, i którą jaguar przebiega w swych pustoszących wycieczkach.

Witam cię Boliwjo i twój port jedyny, Kobija, więcéj pysznią-

cy się niż Calao i Copiapo, skąd się wysyła corocznie kupy srébra, które mogłyby zawstydzić kopalnie Kalifornijskie.

Zarzućmy kotwicę w Callao, tém przedmieściu Limy, i zobaczmy czy stolica peruwjańska posiada jeszcze swe piękne *tapadas*, swe *sayas* tak powabne i tak sprzyjające rozwiązłości. Niestety! niestety! wszystko przemija na ziemi, wszystko niknie od tarcia wieków, wszystko idzie w zapomnienie, wszystko umiera, Niniwa, Babilon, Kartagina..... i rozkoszne *saya* pięknych Peruwjanek! Jakże świat prędko starzeje! Mamże wam opisać obyczaje Limy? Nie! znacie już obyczaje Valparaiso..... Otóż! opatrzcie waszą paletę w trochę więcéj smoły, trochę więcéj rużu, rzućcie mniéj zasłon na ramiona, dajcie kosy dłuższe, więcéj wyperfumowane..... zmieniajcie kochanków częściéj niżli suknie; przygotujcie szampan, co wstępuje do mózgu; grę, co zawraca głowę; miłostki, co wstępują do serca; rachujcie głośno w salonach, nie mówię liczbę waszych ofiar, ale liczbę waszych spólników; nie wierzcie ani we łzy przegranéj, ani w rozpacz rodzin, a będziecie mieli Limę, niewolnicę swoich mnichów bezwstydnych, swojego słońca prostopadle świecącego i swoich obyczajów pierwotnych.

Lima jest tylko wierną swojéj hańbie, rzekną filozofowie o zmarszczonych czołach; ja powiadam że Lima jest wielkiém miastem, gdzie chcą radości, tańców, szczęścia, mniejsza oto za jaką cenę, mniejsza o jakiéj godzinie..... Niech żyje Lima!

Daléj! daléj! niebo nam sprzyja; nie chce żeby Peru odbijało się za nadto silnie w naszych pamiątkach, i oto przysyła ono z południa jeden z tych wichrów gwałtownych, które popychają okręty pomimo ich woli i ogołacają je z masztów tak mocno przytwierdzonych.

Niémasz już Peru, to jest, niémasz brzegów jałowych, urwistych, czarnych u spodu, czerwonawych po bokach, śnieżnych u szczytu, ocienionych chmurami..... Jeszcze morze, morze i jego nudy!.... jeszcze niezmierny Ocean Spokojny, którego drzémanie jest tak zabójcze!.....

Jak tylko burza ryczy i grozi, albo jak tylko fala milcząca się równa, moje wspomnienia dawno ubiegłéj przeszłości obudzają się żywsze niżeli kiedy, i przypominam z radością dwóch ludzi, z któremi piąłem się na szczyt nie jeden, z któremi przebyłem nie jedno niebezpieczeństwo, z któremi stawiłem czoło nie jednym groźbom.

W braku Marchais i Petit, których typy może stracone na zawsze, nie pogardzajmy tym dzielnym chłopakiem, z głosem cieńkim, co dochodzi do mnie, słaby jak lekki powiew wiatru, którego żagle wysokie przyjmują ostatnie westchnienie.

— Dobry dzień, P. Arago, rzekł siadając obok mnie na pokładzie.

— Dobry dzień panu; pańskie nazwisko?

— Piotr Ludwik Cabasson, rodem z Angoulême, do usług pańskich, jeśli zręczność będzie po temu.

— Dziękuję; czy jesteś majtkiem na okręcie?

— Nie, panie; jestem pasażerem, do usług pańskich, jeśli zręczność będzie po temu.

— Dziękuję. Gdzież się pan udajesz?

— Do Kalifornji.

— Dla szukania złota?

— Żeby być tam nauczycielem szkolnym.

— Zamiar pański bardzo szlachetny.

— O! przyszedł on mi bez długiego namysłu; stan fabrykanta guzików przestał być zyskownym; wszyscy u nas zaczęli mówić o Kalifornji; poszedłem za innémi, i oto jestem tu, gotów na pańskie usługi, jeśli zręczność będzie po temu.

— Dziękuję. Pan zapewnie zabrałeś dużo książek z sobą?

— Dwie wielkie paki. Jeden z moich przyjaciół z tamtéj strony Oceanu dał mi swojego *Taigne* i swojego *Tesquier*, oraz pomógł mi w nabyciu innych, i takim sposobem coś się zebrało.

— Czegoż Pan zamierzasz uczyć przybywszy do San-Francisco?

— Jego samego? nic; ale jego mieszkańców, wszystkiego co wiém; ale ponieważ chciałbym ich nauczyć cokolwiek nauki niebie-

skiéj, a wiém że Pan jesteś *gastronomem*, chciałbym się Pana zapytać, kiedy ziemia zacznie się zaokrąglać dla nas.

— Nie rozumiem ciebie, mój przyjacielu.

— Mówiono mi że ziemia jest okrągłą, a jednak, oto więcéj sześciu tysięcy mil odbyłem drogi, a ona zawsze jak płaska, tak płaska.... Mianożby żartować ze mnie?

— Nie, mój przyjacielu; ziemia istotnie jest okrągłą, jak ci to okażę drugą razą.

— Dla czegożby nie zaraz?

— Dla tego że upał jest nieznośny i że zdołam zaledwo wymówić parę wyrazów.

— A więc będę czekał.

Oto jesteśmy w San-Francisco.

Opisałem wam w inném miejscu okazałe położenie téj zatoki, równéj w piękności z najpiękniejszemi, milczącéj wtedy jak pustynia, ożywionéj dzisiaj jak pole bitwy.

Nie obiegajmy świata dla poznania świata; jest on w tym zakresie, którego ogromną przestrzeń oko twoje ogarnia, na tym gruncie bezustannie rytym kulą i motyką; na brzegu téj rzeki o szybkim prądzie, gdzie się wznoszą, jak przez czary, domy, które jutro będą wioskami, a w kilka dni potém miastami, z swemi ulicami, swemi placami, swemi przechadzkami, swemi kantorami: jestto świat w minjaturze, świat Europejski; są to obyczaje wszystkich ludów, przywyknienia wszystkich narodów, śmieszności wszystkich prowincij, namiętności i występki wszystkich krajów.

Mówią tu *dobry dzień* we wszystkich językach, okradają się po amerykańsku, po angielsku, po chińsku, po meksykańsku, po malajsku, rękami, spojrzeniem, myślą; nie okrywają grzbietu niczém; nie chodzą, ale biegają; mówią tylko o miljonach, raczéj wrzeszczą; złoto jest wszędzie, a jednak wszędzie nędza. Jeśli masz mieszkanie, jesteś bogatym; jeśli mówisz po angielsku, masz kapitały.....; jeśli do tego znasz hiszpański i niemiecki, jesteś nabab, masz kieszenie pełne złota, możesz umrzeć z gło-

du; powiedziałem już wam, że głód jest tu wszędzie, równie jak nasycenie.

Patrz, oto młody elegant, z twarzą bladą, okiem szklistém, krokiem chwiejącym się; przybył on do San-Francisco z wielkiemi planami na przyszłość, z złotemi marzeniami w głowie, z poezją w sercu; rzucił się do tego kraju martwego dla ożywienia go czcią sztuk, dla udzielenia mu nauk, cywilizacji..... i biédak odczarowany wstaje przededniem, rozciąga się na piasku nieprędko potém jak słońce zaszło za widnokrąg.... i oto wstaje, kiedy gasną gwiazdy, błagając o przygniatający ciężar dla jego bark słabych, o trochę pokarmu dla jego żołądka zrujnowanego.

Patrz, oto tuż obok niego, facjata wysoka, kwadratowa u dołu, kwadratowa u wierzchu, koścista, żylasta, chropowata w dotknięciu, z któréj wymykają się dźwięki chrapliwe, wyrazy grube, błyskawice groźne: to jest istota, co się nazywa *pionem*.

Pion jest człowiek przywykły do pracy, do pracy ciężkiéj i bezustannéj; we dnie, pod słońcem palącém; w nocy, śród zimnéj ulewy. Pion przywykł do siekiery, do drąga, do rydla: oparty o mur granitowy, schylony pod skałą z lawy, grzebie swojemi palcami, które się kaleczą i nie czują bolu; jest on tam, panujący nad wszystkiém co go otacza, najbogatszy ze wszystkich, bo jest najsilniejszym; był lokajem wczoraj, dzisiaj jest panem. Pion, po swym przybyciu, zarabiał dziesięć piastrów na dzień, żył niewiedzieć czém..... niczém..... zebrał pieniądze, skarby, spozierał przed siebie; i gdy ujrzał w dali maszty okrętów przybywających, rzekł do siebie: «Tam są moi ludzie, tam są moi słudzy, tam są moje skarby!....»

Pion nabył sobie kawał ziemi; zbił tam kilka desek, porobił w nich otwory, dał pokrycie zdolne oprzéć się wiatrowi północno-zachodniemu..... Okręty przybywają, zarzucają kotwicę; pasażerowie występują na ląd.... pion daje im przytułek i zabiera za to ich odzienie, żywność, narzędzia, których cudzoziemiec potrzebował do swych trudów i zajęć.

Dzisiaj, w chwili kiedy to piszę, przybywaj do Kalifornji ze złotem, jeśli chcesz nabyć złota; Rotschild jest tam przez swego zastępcę P. Davidson'a; Rotschild, którego znajdujesz w obu Indjach, pod obu biegunami, we wszystkich stolicach, we wszystkich Archipelagach; Rotschild, który porobi wkrótce osady na księżycu i Jowiszu..... Znajduje się dużo żywego srébra w Kalifornji; Rotschild zagarnie sobie wszystkie żywe srébro, które wysyła do Copiapo.... Jeśli ci zostawia trochę złota, to dla tego, że w danym dniu, kiedy mu się spodoba, to złoto będzie jego własnością.

Niektóre wielkie domy z Lima, Valparaiso, Ameryki północnéj i Meksyku, kilku Chińczyków, ludzi obrótnych jak mało na świecie, trzymają się jeszcze na powierzchni śród tego oceanu interesów, kipiących jak lawa Cotopaksi; ale powtarzam, z małemi tylko wyjątkami, majątki zrobione w Kalifornji zagrzebią się w tymże kraterze, i roztropność tylko może ratować spekulantów..... Niech usłuchają moich przestróg..... Zobaczmy miasto; poznajmy szczegóły; są one w tak wielkiéj liczbie.....

Znasz już zewnętrzną postać domów, powierzchowność zakłopotaną tych, co je opuszczają dla przebieżenia ulic, przepłynienia zatoki, rozpytania przechodniów, ażeby znaleść robotę, zapewnić sobie przytułek, zarobić na obiad. Idź teraz za tym tłumem, który śpieszy zadyszany, i wstąp z nim do téj sali drewnianéj, któréj drzwi otwarte są zapchane ludźmi, jak drzwi świątyni Mahometa w Mekce, kiedy karawany, co wyszły zwycięzko z pustyni, przychodzą wzywać Proroka.

Muszą tam dziać się wielkie rzeczy, muszą się tam ogłaszać bardzo pożyteczne prawdy, muszą tam doznawać bardzo przyjemnych wzruszeń, gdyż wciskają się tam za pomocą pięści, przemocą, gdyż słabsi, w połowie przyduszeni przez mocniejszych, wchodzą tam niekiedy z odzieniem w szmaty podartém..... Sprobujmy razem z silnemi, walczmy razem ze słabemi; ciekawość, to potężny bodziec!....

Sala wielka, stół też wielki; w około niego ledwo się można przecisnąć; wszędzie na nim rozłożone wory złota w blaszkach,

w proszku, w monecie, w sztabach; ludzie stoją, siedzą, klęczą, z okiem na karcie, z ręką w kieszeni, gotowi każdéj chwili odpowiedzieć przeznaczeniu, co igra z ich wyrachowaniem, i którzy widzą w mgnieniu oka bajeczne summy zmieniające właściciela, bez żadnéj zmiany na twarzy przegrywającego.

Najprzód, milczenie grobowe..... Karta przemówiła, powstaje harmider piekielny, krzyki, wołania, wyrazy niezrozumiałe.... a wszystko to bez gniewu, bez nienawiści, bez rozpaczy, jak psy wyjące i skaczące na odgłos trzęsienia ziemi.

Istoty zaludniające ten dom, o którym wam mówię, i kilka jemu podrzędnych, rozproszonych po mieście, zdają się nie doznawać ani głodu, ani znużenia; gra odbiera im sen, apetyt, podaje im wszystko w zapomnienie..... potrzeby ciała, inne namiętności duszy, i widzisz wielu, którzy straciwszy skarby, zebrane w kopalniach, nie opuszczają swego stanowiska, i z rękoma na piersiach założonemi, śledzą, z témże samém zajęciem, zmienne koleje gry, jak gdyby ich własny fundusz był narażony na niebezpieczeństwo.

Tu, tysiąc razy częściéj niżeli w Baden, bogaty w obecnéj chwili, jest nędzarzem za godzinę. W Europie, straciwszy swoje pieniądze, powierzywszy swój majątek zdradliwéj karcie, rzadko się zdarza żebyś nie znalazł obiadu, łóżka, ręki przyjaznéj i pewnéj. Tu, skoro straciłeś twe złoto, możesz tylko liczyć na kopalniach odległych, możesz tylko ofiarować twe ramiona pod ciężar, którego czeka, tam na wybrzeżu, pion, silniejszy od ciebie, pion, w którym więcéj pokładają ufności. Co do ciebie, czekaj karawany, zwiedź znowu składy niewyczerpane, gdzie już wycieńczyłeś twe siły, a jeśli los uśmiechnie się jeszcze do ciebie, jeśli trafisz na bogaty pokład, posłuchaj mnie, za powrótem do San - Francisco, zatrzymaj się tam tylko na dni kilka; i unikaj nadewszystko, jakby kryjówki zbójców, obmierzłych domów, które ci wskazałem..... zostawisz tam nie tylko twe złoto zebrane, ale wyjdziesz stamtąd z sercem skażoném, z duszą uwiędłą..... Gra jest zarazą.

Po grze idą traktjernie, i musimy wyznać prawdę, że wstrzemięźliwość tu bardzo upowszechniona; dla tego to, chociaż te zakłady prawie wszystkie mają tutaj dość znaczne dzienne dochody, przychodzą do majątku bardzo powoli. Pomiędzy nimi, traktjer chiński jest bardzo uczęszczany, i dwa koczkodany, które go utrzymują, chłopcy ochędóżni i pracowici, będą mogli powrócić wkrótce do swego kraju z ilością złota wystarczającą na zakupienie pięknéj łódki i cztérysta lub pięciuset morgów w pobliżu jeziora Fyin, około którego roi się ludność, wyrównywająca ludności całéj Francji. Chińczycy są Gaskończykami Indij, i o nich to można szczególniéj powiedzieć: «Biorą skąd mogą.»

Oprócz trzydziestu budowli, które są prawdziwemi domami, inne mieszkania nagromadzone wyglądają raczéj na oboz maurytański, wzniesiony na ruinach miasta europejskiego..... Jestto widok dziwny i czarujący razem.

Namioty wszelkich kolorów, wszelkich kształtów, wszelkich rozmiarów; budynki kwadratowe, wchodzące aż do morza, z otworami szczególnym sposobem rozmieszczonemi, służącemi za drzwi i okna, zasłoniętemi materją, płócienkiem, płótnem żaglowém, i we wszystkich tych zakątach, we wszystkich tych składach, około wszystkich tych kryjówek, ludność zadyszana mężczyzn dorosłych, młodzieńców szukających zajęcia, błagających o pracę, żebrzących o dźwiganie ciężaru dla zarobienia na chléb, na téj ziemi, wybrukowanéj złotem.

DZISIAJ.

Rzuć w nieładzie na płótno kolor czarny, biały, czerwony, błękitny, fijoletowy; pomieść, w celu zrobienia czegoś śmiesznego, barwy żywsze obok odcieni najbladszych; nakreśl trójkąty, czworoboki, czworokąty nierówne, linje krzywe; narysuj wielkie to co powinno

być małe, na czele to co powinno zostawać w pewnéj odległości; zmięszaj wszystkie żywioły, ludzi i rzeczy, które najmniéj odpowiadają sobie, a będziesz miał, albo blisko tego, wyobrażenie o San-Francisco w chwili mojego opowiadania.

Niémasz na świecie ludu czynniejszego nad mieszkańców Ameryki północnéj. U nich pożar obraca w perzynę miasto; wylew rzeki unosi stodoły, stada, domy i mieszkańców; w kilka dni późniéj, w miesiąc najdaléj po wypadku, wszystko się odnawia jakby za pomocą czarów, oprócz ludzi, którzy nie rosną tak prędko jak grzyby i kłosy.

Cóż powiesz? ta zadziwiająca działalność mieszkańców Bostonu, New-Yorku, Nowego Orleanu, albo Filadelfji ustępuje i znika w obec przejawów perjodycznych, które ludzie z tamtéj strony Oceanu przenoszą na ziemię kalifornijską.

Była to pustynia, jak już wam powiedziałem; dzisiaj, jestto świat pełen ruchu. Było to milczenie, teraz jestto ciągłe kipienie i przelewanie się: ręczę ci że nie stąpisz ani kroku swobodnie tam, gdzie przedtém słyszałeś tylko odgłos twoich kroków, szum fali, wiatru, lub mruczenie niedźwiedzia; i kiedy z jednéj z wyżyn panujących nad rodzącém się miastem, rzucisz oczyma na zatokę, liczysz secinami, tysiącami okręty wędrowne, które dwie półkule wysyłają ku téj ziemi żałoby i radości, nadzieji i odczarowania, nędzy i bogactwa.

Ty więc, malarzu lub opowiadaczu, możesz dać wierny obraz obecnéj chwili; ale, gdy w kilka godzin późniéj panorama się zmieni, nie jesteś już prawdziwym, odwiedzający nie poznaje tego miejsca; tworzyłeś według własnéj fantazji w miejscu kopjować; oskarża on cię, potępia, dopóki jego rozum, zachwiany na chwilę, nie przekona go naocznie o cudach zdziałanych pragnieniem, najbardziéj pożerającém ze wszystkich, pragnieniem złota.

O! to pragnienie, moi filozofowie postrzegacze, czytacie na wszystkich twarzach, we wszystkich oczach, na wszystkich ustach, we wszystkich ruchach; gryzie ono, pali, zamienia na węgiel, i im

więcéj znajdujesz środków ugaszenia go, tém bardziéj ono ciebie prześladuje i nęka.

Nie tylko złota potrzeba odwiedzającym Sacramento, ale wiele złota. Bogactwo jest zaledwo majątkiem, i zbytek nazywa się potrzebą konieczną.

Opiszęż wam bójki, zasadzki, podstępy codzienne na ulicach San-Francisco? Na cóż się to zdało? Domyślacie się już tego, i całém następstwem tych zajść, rozpoczętych ręką lub kijem, a kończących się na sztylecie, jest szubienica wystawiona dla zwycięzcy, i trup wahający się w powietrzu, gdy tym czasem sprawiedliwość legalna nie miała siły zatrzymania zbójcy.

Starożytne Peru, to dzisiejsza nowa Kalifornja, prócz imion czarownych, które przewodniczyły zdobyciu kraju Inkasów, i które przebyły wieki, nie straciwszy nic ze swéj sławy.

Peru, Kalifornja i Meksyk leżą jedne obok drugiego, a jednak napróżno szukasz Korteza lub Pizarra w San-Francisco. Grób strzeże dobrze ludzi znakomitych, których w nim złożono. Znajdujesz jednak tutaj parodję wielkich rzeczy, i to nie prawda że Cartouche i Mandrin nie zostawili następców. Zapytaj o tém dróg krwią zbryzganych, które prowadzą z San-Francisco do Stockton i z Stockton do kopalń.

Ale niektóre szczegóły stanowią historję, więcéj niżeli rozumowania.

Co było niegdyś gruntem skalistym i nieuprawnym, widzisz dziś zmienione przez potęgę czarnoksięzką na domy, sklepy, teatra; walczą tu o każdą piędź ziemi, fale Oceanowe są odparte przez zaborcze słupy, na których się wznoszą mieszkania najśmielszych, i zapytujemy z przestrachem, gdzie się zatrzyma ten Ocean mężczyzn i kobiét, których żądza bogactw wyzionęła na tę ziemię, jedną z najpiękniejszych i najwspanialszych na kuli ziemskiéj.

Niestety! to co kraj zyskał na liczbie gości, stracił na malowniczości, gdyż postrzegasz teraz tylko gdzie niegdzie, w niewielkiéj liczbie, pierwotnych mieszkańców tych okolic; poznajesz Peruwjańczyka po jego oku błyszczącém, po jego chodzie junackim, po jego

pantalonach i kurtce, gdzie błyszczą rzędy guzików złotych i srebrnych, chwiejących się od wiatru lub ruchów idącego. *Poncho* i széroki kapelusz zapowiadają Chilijczyka, więcéj niżeli jego twarz kwadratowa. Oto głowa ogolona i cera żółta jak metal tego kraju, jestto ziemski mieszkaniec niebieskiego Państwa; a tuż obok niego podziwiasz wspaniałego Kanaka wysp Sandwich, który w krótkim czasie, dzięki każącéj cywilizacji, poznał wartość złota, równie jak nieszczęścia, które ono za sobą prowadzi. Na bok przed Malajczykiem, okrytym swoim *cahen-slimouth* i swoim *cahen-sahorji*, tuniką i pantalonami, w których się mieści *crish*, (nóż), umoczony w *bohon-upas* (truciznę); na bok także przed odważnym strzelcem Oregonu, przed którym zatrzymujesz się osłupiały na widok tego czoła szerokiego, wystającego, ciemnego, tych włosów długich i twardych, téj piersi kosmatéj, tych ramion muszkularnych, tych rąk żylastych, wywijających pośród tłumu zabójczym arkanem, którym narzuca więzy jaguarowi i bawołowi, zmuszonym przebywać szczyty Sierry-Nevady dla uniknienia śmierci lub niewoli.

Byłoby to ciekawe dzieło, coby opisało dramata téj pierwszéj zdobyczy: ja nie mogłem podjąć na siebie trudu napisania go, a zresztą mam inne obrazy do rozwinięcia przed memi czytelnikami.

Ocean spokojny huczy, słyszę straszliwy głos jego wzywający mię; może to groźba: tém lepiéj; podobają się mi jego gniewy, tyle przynajmniéj co jego pieszczoty; stawmy im czoło. Miałem tylko co wsiąść na wielką łódź okrętową.

— To Pan, panie Arago? rzekł do mnie znany mi głos.

— Ja. Co tu robisz?

— Odpoczywam, gotów na Pańskie usługi, jeśli zręczność będzie po temu.

— Po czém tak odpoczywasz?

— Po tém że nic nie zrobiłem, że nic niemam do robienia. Tak, tak, panie, spoczynek bez pracy jest bardziéj nużący niżeli sądziłem.

— Nie znalazłeś więc zajęcia, od czasu twojego przybycia.

— Owszem, znalazłem.

— Masz więc uczniów?

— Mam, trzech: Chińczyka, Peruwjańczyka i Kanaka z wysp Markizów. Ten ostatni przynajmniéj tak utrzymuje, choć pewny jestem że nie jest znakomitszego rodu jak Pan i ja.

— Być to bardzo może; ale czy zarabiasz na życie twojém rzemiosłem?

— Zarabiam ból piersi, gotów na pańskie usługi, jeśli.....

— Wiém, wiém już resztę; czy myślisz długo pozostać w San-Francisco.

— Do niedzieli: pewien poławiacz wielorybów najął mię, i puszczam się znowu na morze; jest tu za nadto wiele uczonych, oni to mi chléb odbierają.

— No, odważnie, mój chłopcze; ja się także puszczam na morze; niech cię Bóg zaprowadzi do portu, gdziebyś mógł wygodnie spocząć po trudach. Daj mi twą rękę.

— Oto ona.

— Do zobaczenia.

— Co to takiego?

— To uncja złota, co się wymyka z moich palców otwartych; ściśnij swoje i schowaj ją.

— Dziękuję, dziękuję, dziękuję; ale źle Pan zrobiłeś, iż nie dowiodłeś mi że ziemia się obraca; kiedy będę o tém mówić, nie będą mi wierzyć.

— Nie mniéj jednak żyć będziesz szczęśliwie, mój chłopcze, jeśli będziesz mógł jeszcze uścisnąć swą matkę, zobaczyć swą rodzinę, i jeśli Bóg nie odbierze ci wzroku.

Powróćmy nazad, i przygotujmy się do nowych walk.

Po chaosie, który długo ciężył nad Kalifornją w pierwszych dniach jéj zdobycia, nastąpiło światło, cisza, regularność..... Jestto Europa, ale Europa odmłodzona, Europa silna i potężna, Europa promieniejąca przyszłością.

A jednak, jest zawsze wiele nędzy na brzegach Sacramento, i wielu nowych przybyszów napróżnoby załamywało ręce w rozpaczy, gdyby głosy szlachetne nie wyrzekły do nich: Odważnie! gdyby ręce dobroczynne nie dopomogły im stanąć na nogach. Słuchajcie:

Było ich trzech, dzisiaj pozostaje dwóch tylko. Poznałem tego co zniknął, w Santjago, był on tam właścicielem wspaniałego pałacu, gdzie cudzoziemcy, Francuzi nadewszystko, przyjmowani byli z braterską uprzejmością..... Nazywał on mię swoim przyjacielem, ja go nazywałem bratem; rozstaliśmy się z sobą mówiąc *do zobaczenia*.... Należało pożegnać się na zawsze.

Drugiego słyszeliście w Paryżu, wykonywającego melodje Auber'ow, Halévy'ch, Meyerbeer'ów, jako artysta pojmujący doskonale tych wielkich mistrzów i dodający im nowéj wartości..... Klaskacie jeszcze rękoma na wspomnienie chwil uniesienia, któremi on obdarzył wasze wieczory.

Trzeciego widziałem w Valparaiso, walczącego z niesłychaną energją przeciwko dziwacznym kolejom losu, już to surowego, już uśmiechającego się, który mu nie dawał ani chwili odpocznienia.

Pewnego dnia, wyruszył on do Kalifornji z towarzystwem dobraném i swoją pojętnością nad wszystkiém berło trzymającą.

O! tą razą dziwaczna fortuna nie ujdzie mu z rąk, trzyma ją na uwięzi, przywiązuje do siebie, i wzywa do pomagania mu w San-Francisco, kobiétę rozumną i poświęcającą się, któréj życie związane z jego życiem..... Podróżnik znajduje upodobanie w tych myślach wstecz cofających się.

On, ten człowiek, o którym wam mówię, chce szczęścia innych; organizuje, tworzy, na wzór zakładów w Santjago i Lima, Towarzystwo dobroczynności, gdzie biédny zbłąkany może znaleść chléb, a często także powrót łatwy do swojéj ojczyzny.

Zachowajcie w pamięci i w sercu, tak jak ja to czynię, imię Barroilhet'a, błogosławione i czczone w obu półkulach.

Przewiniłbym bardzo, gdybym nie poświęcił kilku wierszy w tych pamiętnikach Panu Dillon, którego niezmordowana czynność, którego

opieka całkiem ojcowska umiała otrzéć wiele łez, i którego Onolulu, na wyspach Sandwich, żałuje zawsze jak swojego Apostoła, jak swojego dobroczyńcę.

Powiedziałem. Rozwińmy żagle, wziąwszy się pod ręce z Dillon'em i Barroilhet'em: gdzież znaleść zacniejszych towarzyszów podróży ?

ODJAZD Z CHILI.

Ostatnie spojrzenie. Hjeronim Garcin (cz. Garsę). Tornado. Krok wsteczny. Ana. Szuflada za pokój. Romieux, Alguier i Delafraye. Popychadło osady. Nasz groom Luco (cz. Luko). Fajka za dwa grosze. P. Bruyère. Pasztet P. Romieux. Luco go kończy. Piętnaście godzin burzy. Syn Kotzebue'go. Choris malarz, zjedzony potém przez dzikich. Witamy Markizy.

—

Ręczę ci, że kiedy masz choć trochę szlachetności w sercu, nie porzucisz bez żalu kraju, w którym kochałeś, gdzie cierpiałeś; że rzucisz spójrzenie, pełne tkliwéj goryczy na skały, po których się piąłeś, na dolinę, po któréj chodziłeś, na krzak, pod którym szukałeś schronienia, kiedy przyjdzie ci pożegnać je na zawsze.

Wtedy to nadewszystko kiedy niémasz ich więcéj oglądać, zdaje ci się, że zostawujesz cząstkę siebie samego u strumyka co mruczy, u wodospadu co szumi, u łagodnego wiatru, co cię obwiewa.

Nie kochamy dla tego tylko że jesteśmy kochani; niestety! jak często przywiązanie jedno zabija drugie; ale kochamy dla tego, że wszelkie odosobnienie jest boleścią, i że rzeczy sercem pokochane nie opuszczają nas ani w marzeniu, ani w nauce, ani w niebezpieczeństwach, ani we śnie.

Jeśli jest kraj na świecie, który Bóg zdaje się przeklął, to półwysep Péron, ziemia Endracht, ziemie Dorre i Bernier, całuny

blade i zimne, unoszące się na wodach jak trumna młodéj narzeczonéj: nie przypominam sobie nigdy tych płaszczyzn jałowych, żebym nie zapytał samego siebie, z głębokiém uczuciem zajęcia i ciekawości, dla czego Przedwieczny nie uposażył garstką zieloności tych ogromnych równin, tych wysokich pagórków, gdzie nędzny owad znajduje zaledwo swój pokarm, gdzie ptak przelatuje rzucając krzyk przerażenia, gdzie obłok skąpy nie spuszcza nigdy kropli deszczu. Nikt nie odwiedza tych stron, chyba kogo nauka tam zaprowadzi, lub huragan popchnie. Wzywamy z gorącém pragnieniem ostatniéj chwili pracy i dobroczynnego wiatru, który ma nas stamtąd oddalić. I cóż powiesz? nie oddalasz się stamtąd całkiem; sądzisz żeś zapomniał jakiéj myśli, jakiego szmatka na tém wybrzeżu, i włazisz na maszty dla ujrzenia jeszcze na widnokręgu tych biédnych bogactw straconych.... Gdyby mi powiedziano przed odjazdem: Zabawisz kilka miesięcy w Chili, wahałbym się czy się puścić w drogę. Przebyłem znaczną już część życia, żebym znajdywał upodobanie w długim gdzie pobycie; za nadto się śpieszę widziéć, badać, uczyć się; lękam się żeby sił nie zabrakło wkrótce mojéj rosnącéj coraz działalności, i oto na tyle okrętu, gdzie siedzę wsparty na łokciu, oczy moje napełniają się łzami na uścisk rąk mnie witających, na jęczenia fali pienistéj, którą wiatr południowy popycha na tamę; a to dla tego, że zostawiam tam miasto, co było moim przytułkiem, zostawiam głosy, których dźwięk bym rozpoznał po życiu stoletniém. To dla tego że uznaję jedną tylko wadę w niewdzięcznym, *niewdzięczność*, i że na ulicach Valparaiso, gdzie pył się kręci szybkiemi wiry, że w tych domach Valparaiso i Santjago, jego współzawodnicy zdetronizowanéj, czułem nie jedno serce odpowiadające na bicie mojego, domyślałem się nie jednego spojrzenia zasmuconego, utkwionego na moich źrenicach przygasłych. Żegnam więc was, urwiste góry Chili, co się pogrążacie w falach! żegnam was czarne lub ciemnowłose dziewczęta Chili, które znów ujrzę tu na ziemi lub tam wysoko, na lepszym świecie! żegnam was, umysły wzniosłe, dusze szlachetne, które mię nazwałyście bratem i pocieszyłyście w mojém nieszczęściu! żegnam was, oddalam się, Ocean mię wzywa, bywajcie zdrowi!

Dla niektórych charakterów nieszczęśliwie od natury uposażonych, przeszłość jestże bez nauki? Nic mi nie powiada, że nie przybędę jeszcze walczyć z temiż przeszkodami, narażać się na też gwałtowności żywiołów, skoro tylko zakończę moje zwierzenia się przyjaciołom, skoro otrzymam pocałunek tak słodki od rodziny.

Nierozsądni piszą: *Spoczynek, to grób.....* Wskaż mi palcem trupa, który ci to powiedział.

Patrz! oto blisko mnie na linie, oparta łokciem o wielki maszt, jedna z tych facjat granitowych, z którą mój przysadzisty towarzysz Marchais radby był sprobować się, gdyby go spotkał na swéj drodze. Hjeronim Garcin, uczepiony za swą linę, nie może być na cal zruszony z miejsca falami Oceanu i falami nieba, połączonemi dla zaguby.

Żeglował on dziesięć lat, jako poławiacz wielorybów śród lodów bieguna północnego, sześć lat w obec odwiecznego lodowiska południowego; powie ci nazwiska wszystkich małych wysepek, które od strony Zachodniéj Ameryki, ciągną się jak wieniec kwiatów aż do ciaśniny Torrès i nikną pośród Malezji; zaglądał do wszystkich przystani japońskich i chińskich; umie swój Indostan i swą Kamczatkę na pamięć; czuje się być zdolnym przewodniczyć ci wzdłuż całéj Afryki od Algieru aż do przylądka Dobréj Nadziei, a stamtąd aż do Zanzibar, uległ trzem rozbiciom, zostawił trzy okręty na skałach, i swych przyjaciół na wybrzeżu; ma pięćdziesiąt dwa lata, oszczędził w ciągu wszystkich swych wypraw kolosalną summę sto dwadzieścia siedm franków, których niema komu oddać, bo on bez familji ten kamienny majtek; i oto on bieży ku przyszłości, jak gdyby tylko co rozpoczynał życie, jak gdyby Ocean musiał go szanować, i złorzeczy szczupłości naszego planety, którego nie większym znajduje od łupiny orzecha.

— O czém ty myślisz? mój dzielny majtku? zapytałem go ściskając przyjaźnie za rękę.

— Chcesz Pan żebym mu powiedział? odpowiedział mi z gorzkim uśmiechem: to jest rzecz strasznie nieprzyjemna *wszystko obejrzéć;* Pański Marchais, którego historję mi czytano, powiedziałby

że to strasznie nieprzyjemnie *wszystko wypić*; ale dla mnie..... wyspy, zatoki, przylądki, przystanie, to jak przyjaciele, których żądamy znowu oglądać; potrzeba żeby rozkosz była podzielaną jak cierpienie.....

— Jak wino, dodałem.

— Gdyby Marchais był tutaj, uścisnąłby Pana za to słowo. Ale wróćmy do wszystkich tych drzew, do wszystkich tych skał, które oglądam po raz piąty, po raz dziesiąty; dla tego to, wtedy tylko jestem prawdziwie szczęśliwy, kiedy je opuszczam.

— Czyż nie marzyłeś nigdy o szczęściu familijném, o spoczynku nieprzerwanym, w chatce, na brzegu morskim?

— Tak! życie nieruchome, kiedy fala jest zawsze w ruchu; zdawałoby się że ona ci wyrzuca twoje lenistwo, lub twoję tchórzliwość. Miałem dziesięć lat, gdy ona mi przyniosła piérwsze swe wyzwanie, dałem się jéj późniéj za to dobrze we znaki; ale jeszcześmy się z sobą nie pokwitowali: wyzywający jeden winien wszystkiemu.

— Ależ zresztą, jaki jest cel téj wytrwałości?

— Czy ja wiém? Znasz Pan uczonych, którzy mówią ci i dowodzą rzeczy niedościgłe rozumem. Dobrze! niechże oni mi podadzą środek zajechania moim statkiem na księżyc, a zaraz ruszam i błogosławię ich.

— Marzysz sobie, mój biédny przyjacielu!

— Wszyscy ludzie marzą. Pan słyszysz mię mówiącego, nieprawdaż? Otóż, idę o największy zakład, że Panu się zdaje, iż mię widzisz jakim jestem, że robisz mi swoim sposobem nos, usta, oczy; marzymy częściéj na jawie niż we śnie, i dla tego to, P. Arago, życie jest tak długie i Archipelagi tak strasznie nieprzyjemne.

— A starość? rzekłem z prędkością, któréj za chwilę żałowałem.

— A, właśnie, bardzo ona mię obchodzi! odpowiedział mi ściskając ramionami; zapytaj Pan u téj fali wydrążonéj, co nas popycha, czy ona nam często daje czasu postarzéć. Jutro, tego wieczora może, Pan i ja, Kapitan i chłopiec okrętowy, będziemy równie starzy,

równie młodzi jedni jak drudzy. Widzę tam daleko plamkę czarną, co się wznosi powoli. Lękam się bardzo dla okrętu, żeby się ona nie posuwała za nadto szybko. Chodziłem nieraz w zapasy przeciw jéj podobnym, i nie znam rogów wolich tak mocno przytwierdzonych, żeby się mogły oprzeć wichrom, jakie one posyłają.

— Myślisz więc, że burza będzie w nocy?

— Tak pewno, jak gdyby już była. Nie będziemy mieli potrzeby spuszczać masztów, wiatr sam to zrobi.

W istocie, plamka czarna, którą Hjeronim wskazał, wznosiła się najprzód w górę z powolnością, jak gdyby przygnieciona własnym ciężarem, potém, rozszerzając się, objęła przestrzeń, ścieśniła widnokrąg i napoiła powietrze elektrycznością.

Czułem szczypanie dotkliwe po całém ciele; oczy moje cierpiały nadewszystko; zdawało mi się że moje źrenice odbierały małe wstrząśnienia jakby od stosu Volty, i spodziewałem się cudu. Niestety! niémasz ich już dzisiaj, i nie na moją to korzyść Bóg zmieni swe prawa.

Wszelako cisza panowała jeszcze na Oceanie uśpionym, fale milczące toczyły się wspaniale, ale bez kędziorów na swéj powierzchni, a jednak można się było domyślać, że był tam gniew pod spodem, groźba, a może nawet klęska..... Był to spoczynek lwa, była to chwila wytchnienia tygrysa; było to więcéj niż to wszystko, gdyż Ocean rozdąsany nie cierpi porównania z żadną inną wściekłością.

Żagle zostały zwinięte, każdy majtek był na swém stanowisku, każdy oficer był w pogotowiu, i Kapitan, śledząc wzrokiem widnokrąg, szukał napróżno strony, skąd wiatr miał uderzyć.

— Posłyszysz Pan zaraz tęgi harmider, rzekł do mnie Hjeronim z energiczném przekleństwem; albo jestem ostatni hebes, albo *tornado* gotuje się połamać nam żebra.

— Tak myślisz? Zapytałem go ze spokojnością, która mię nie opuszcza nigdy w chwili niebezpieczeństwa.

— Jestem tego pewny, panie, i gdybyśmy nie mieli morza otwartego przed sobą, dobrze byśmy zrobili, gdybyśmy zaczęli mówić nasze *In manus*.

— Czyż miałbyś doznawać trwogi, mój dzielny majtku?

— Alboż to ja jestem Hugue? odrzekł majtek, ściskając mi mocno za rękę i przypominając mi mojego dawnego służącego na *Uranji*; ja odebrałem już swoją cząstkę, jestem ku końcowi drogi; ale są pomiędzy nami głowy młode, serca młode, które mogłyby myśleć i bić jeszcze długo, i których pobożne matki czekają tam, tam daleko.

— To dobrze, to pięknie z twojéj strony, mój dzielny towarzyszu, że myślisz o tém co jest słabe; i po burzy, obiecuję ci.....

— To Pan nazywasz burzą, co ma nastąpić? To tak jakbyś Pan nazywał trójmasztowy okręt łódką; jakbyś utrzymywał, że Ocean jest puszką do golenia. Słuchaj Pan, słuchaj!

Jęczenie głębokie przebiegło po wód powierzchni, a jednak najmniejszy powiew wiatru nie prześliznął się jeszcze pomiędzy linami. Trzymając się oburącz za kołowrót, tak jak wtedy kiedy huragan porwał nas z zatoki *Bon-Succès*, u przylądka Horn, i rzucił nas wkrótce potém na skały Maluińskie, czekałem rozpoczęcia walki, i badałem, przywołując moje wspomnienia, przejawy meteorologiczne, pośród których chybotał się nasz okręt.

Jednym razem, podobny do silnego uderzenia piorunu, wiatr gwałtownie uderza i cięży nad nami z prawego boku; dajemy straszny skok, maszty trzeszczą; wiatr zmienia kierunek i pędzi nas z lewego boku, jak gdyby znalazł na swéj drodze nieprzezwyciężoną przeszkodę. Bryk podnosi się jednak i zatrzymuje..... Rozwijają jeden żagiel, i prawie w téjże chwili porwany on na szmaty; bieżémy z wiatrem, i fale co się wydrążają jak szerokie doliny, okrywają nas z końca w koniec i zmiatają wszystko z pokładu.

Rozkaz dany zdjąć maszty poprzeczne. Ale huragan, jak to dobrze powiedział Hjeronim, bierze ten trud na siebie, i oto one zdruzgotane i wiszące na linach i podporach..... Daléj do siekier! Na

maszty, majtkowie! Bałwan spadający okrywa tych, co już się dostali do bocianiego gniazda.

Bezład, raczéj chaos, panuje w około nas; *tornado* zasługuje na swe nazwanie; w jednéj minucie przebiega on wszystkie linje kompasu, i my jesteśmy mu uległemi, jak niewolnik uległym jest pletni swojego pana.

Ale oto grad, grad szybki i skaczący na pomoście, bez rozbicia się; oto błyskawice malujące Ocean barwą czerwoną i błękitną, podobną do tych płomieni fantastycznych, któremi chemja bawi się niekiedy; oto obłok, który trąci siarką i bieży jak majaczący zdala zakrzywiony przód okrętu..... Nie wydają już rozkazów, bo ich niepodobna słyszéć; każdy chwyta się liny, trzyma się jéj oburącz dla oparcia się szalonym bałwanom i czeka nim ostania godzina nie wybije....

Powiedziałem już wam, że bałwany pogardzają mną. Jednak *tornado* postępuje swoją drogą zniszczenia, i my, choć złamani jego uściskami, podnosimy dumnie głowę, i dążymy ku miejscu, gdzie nas wzywa powinność.

Podróż ta była krótką, ale pozostanie w mojéj pamięci, gdyż zmusiła mię do zrobienia wstecznego kroku; i oto zmuszony jestem jeszcze raz zmienić miejsce pobytu, dla wyjścia na otwarte morze i dostania się do Markizów, gdzie dokończę wkrótce moich rozpoczętych badań.

Ana podejmuje się przewieźć mię tam... Kréślę to nazwisko z uczuciem boleści nie do opisania.... Wypowiedzmy wszystkie nasze wrażenia; książka moja nie powinna mieć w sobie żadnych przerw.

Tam, na drugim statku, wiecie już, że moje mieszkanie było szafą, i że spałem w szufladzie; tu, mój pokój jest szufladą, a moje łóżko futerałem. Gdyby było cokolwiek więcéj wysokości, cokolwiek więcéj szérokości, cokolwiek więcéj długości, mógłbym się wsączyć tu bez wielkiego niebezpieczeństwa i kołysać siebie słodkiemi marzeniami, gdyż oddalam się od mojego kraju dla tego tylko,

żeby prędzéj do niego powrócić; ale nie: moja izdebka jest tak szczupłą że kładę się w niéj tylko skurczony i bokiem, że oddycham w niéj zaledwo, i że mój przyjaciel Nodier, przezroczystéj pamięci, nie mógłby w niéj przewracać kartek swojego prześlicznego Trilby, tego małego djabełka domowego, którego umiecie na pamięć, i którego zazdroszczę dzisiaj szczupłości.

Ana jestto bryk Amerykański kupiony w Chili, służący do przewozu transportów na naszą stację Oceanową, i który wyświadcza mi przysługę przewożąc mię do Markizów i do Taiti.

Nie chcę was dzisiaj zasmucać bardzo opisywaniem mojego położenia, ani przedstawiać wam obrazu trudności, jakie mam do przezwyciężenia, czy to kiedy kładę się w moje łóżeczko, czy kiedy z niego wstaję, czy to w czasie spokojnego, czy w czasie kołyszącego się morza, czy w czasie wichru, czy podczas zupełnéj ciszy. Wasza przyjaźń dla mnie, mogłaby zganić moje lekkomyślne przedsięwzięcie; zresztą mam wiele innych rzeczy do opowiadania, a *mikroskopiczność* miejsca, wyjaśnia natłok szczegółów.

Oto kwadratowy pokoik:

Stoliczek, trzy krzesła, kuferek, ot i cały mebl; w istocie, niepotrzeba nam więcéj, jest nas czterech i nie zapraszamy do siebie nikogo. Brak meblów wstrzymuje nas od wszelkiéj hojności. Jeśli drzwi naszych izdebek są zamknięte, kwadracik staje się salonem, tylko bez zwierciadeł, bez sof, bez zegarów, bez fotelów; ale skoro otworzysz je, żeby wiatr przyszedł aż do ciebie, o! wtedy salonik staje się podziemnym kanałem, a ponieważ ściany pomalowane farbami, wychodzisz stamtąd pokrésowany jak jaguar amerykański.

Co do mnie, biédnego ślepego, choć wiém już oddawna że nieszczęście uczy roztropności, upewniam cię, że nauka nie zyskałaby nic na badaniu wypukłości mojéj czaszki, rezultatu nieuchronnego moich codziennych spotykań z ścianami kwadraciku, z wypukłościami i wklęsłościami mojéj izdebki, raczéj mojego futerału, czy pochwy. Powiedziałem już, że jesteśmy we czterech w kwadraciku: trzéj młodzi ludzie, z których najstarszy ma dziewiętnaście lat, dwaj drudzy

więcéj ośmnastu; i to pięknie, upewniam cię, patrzéć na urwisów, prawdziwych urwisów, walczących codzień, z uśmiechem na ustach, z pogardą w oku, na łupinie orzecha, przeciwko ciszy i burzom, ulewom i piorunom, bez żywności dla zaspokojenia apetytu, bez wygodnego miejsca dla snu, prawie bez przyszłości dla marzeń.

Romieux, Alguier i Delafraye, oto nasz sztab; wszyscy trzéj postępujący w życiu drogą trudną i niebezpieczną, ale stworzeni do ciężkich prób i zapatrujący się na swe rzemiosło z poważnéj strony.

Wiatr mokry ich chłoszcze, oni nic nie dbają; fala ich zalewa, oni nie dbają; maszt trzeszczy i upada, oni dla tego nic nie dbają; patrząc na moich trzech śmiałków, sądziłbyś że oni nie chcą ani nieba pogodnego, ani morza spokojnego, ani wiatru łagodnego. To dobrze, to zacnie; i dla tegoż to moje wspomnienia cofają się z radością do tych pogadanek poufnych na pokładzie, i przesyłam moje najgorętsze życzenia tym młodzieńcom, którzy zamieniają może w téj chwili ze mną jedną z swych przyjaznych myśli.

Ale dla czegoż pletnia w waszych rękach, a żadnéj myśli ludzkiéj w waszych sercach? Według mnie, są to dwa ciężkie błędy, o które was oskarżam; niech drudzy was rozgrzeszą..... Przyszłość powie, kto z nas ma słuszność.

Dokończmy tego szkicu i pomówmy także nieco o popychadle kwadracika. Jest tam, blisko nas, cóś ruszającego się, mówiącego, działającego, sposobnego do wszystkiego, cieszącego się z odbieranych kułaków, z uderzeń nogą, z pokręcań ucha to prawego, to lewego, czystego zysku jego szlachetnego stanu chłopca okrętowego. Panowie kwadracika, sybaryci całą gębą, mają na swe zawołanie chłopca, to jest, strzelca, kamerdynera, lokaja, dojeżdżacza, stróża, *grooma* (*); gdyż prawo dozwala im mieć grooma dla obmycia grabków, które nie są nigdy czyste, dla wymycia serwet, które są

(*) *Groom* (grum) wyraz angielski, znaczy: chłopiec, służący.

zawsze brudne, dla wypłukania szklanek, na których się odbijają w dziwacznych deseniach palce zasłużonego grooma, przeznaczonego do nędzy od samego początku swojego zawodu, jak my wszyscy przeznaczeni do niéj jesteśmy przy śmierci.

Muszę go wam zaprezentować, tego naszego grooma; podajcie mu rękę, dobre przyjęcie jest dla niego rzeczą tak rzadką!

— Twoje nazwisko?

— Luco (Liuko).

— Twoje imię?

— Luco.

— Nie rozumiesz mię. Pytam się ciebie o twoje imię, twoje chrzestne imię.

— Luco.

— Jakże cię nazywają w twojéj rodzinie?

— Ja nie miałem rodziny.

— Twój ojciec, twoja matka?

— Ja nigdy ich nie miałem.

— Ależ, moje dziécię, każdy z nas miał ojca i matkę.

— Tak powiadają; ale to nie prawda; znam takich, którzy ich mają po dwoje lub troje, mniéj więcéj. Co do mnie, nie psuto mię, rzucono mię na ten statek bez ojca, bez matki.

— Skądże jesteś?

— Niewiém.

— Nie wiesz nawet gdzie się urodziłeś?

— Jakże Pan chcesz żebym wiedział? Wzięto mię całkiem małego, żebym żebrał chléba; późniéj zarabiałem nań moją pracą; dzisiaj, widzisz Pan wieszam się po linach.

— Tak tedy, Luco, stałeś się gołębiem, orłem czy sową?

— Bynajmniéj, kochany Panie; jestem zawsze tém czém byłem, ni mniéj ni więcéj; tylko że jestem zakłopotany więcéj niżeli kiedy, bo P. Romieux nazywa mię bałwanem; P. Alguier małpą; P. Delafraye, głupcem; a Pan, panie Arago, uraczasz mię często *epiktetem* wałkonia, nie licząc już Kapitana, który mi nadaje wszystkie przezwiska najbrudniejsze, jakie w swéj głowie znaleść może; tak da-

lece, że kiedy oglądam się na siebie, zdaje mi się że jestem dziéckiem wszystkich; w miejscu jednego, mam czterdziestu ojców, ot i wszystko. Co do tego, gdzie się urodziłem, domyślasz się pan, że mam prawo nazywać się synem każdego miejsca.

— Tak więc, mój chłopcze, masz piękne przechadzki w swoim kraju; postaramy się, za powrótem, wynaleść ci wioskę i ojca.

— Do czegoż to? Kiedy mię ojciec opuścił, to widać że mię nie kochał.

— To być może.

— Nie tylko *być może*, ale tak jest, mój panie; gdyby mię kochał choć trochę, czyż porzucając mię tam lub owdzie, nie wsunąłby kilku drobnych sztuk monety do mojego woreczka? A kiedy widział że miałem puścić się w drogę na około świata, czyż nie dałby mi surducika, czapki, parę koszul, parę trzewików i kolczyków? Widzisz więc Pan, że niemam ani ojca ani matki, albo że oni troszczą się o mnie tyle co o stary kawałek zepsutéj słoniny.

Biédny Luco!....

A jednak, Luco ma przymioty sobie właściwe, przymioty gruntowne, wrodzone, z których wiek nawet jego ogołocić nie zdoła. Luco jest bajecznie brudny; nie zobaczysz go cofającego się na cal od kałuży najbłotnistszéj. Gdyby panowie kwadracika nie zwracali na to baczenia, brodziliby w łupinach kartoflanych, w liściach kapuścianych, w bieliznie brudnéj, i w kawałkach rozbitych szklanek i butelek. Luco nie zdoła pojąć nigdy froterowanych posadzek, ani dywanów Aubusson'a.

Ach! dobry Boże, nie o żadne tu zbrodnie obwiniam Luco: biédny chłopiec ich nie popełnia; niezdolny do wykonania dobréj, równie jak złéj czynności, postępuje on w życiu z pracą i trudem, gdyż takie jest jego przeznaczenie; a jeżeli niekiedy uśmiech ukaże się na ustach znędzniałych, to stąd pochodzi że muszkuły szczękowe zmusiły go do tego, gdy tymczasem jego serce nie miało w tém najmniejszego udziału. Nie jestto zadowolenie, nie jestto radość: jestto konwulsja: musi jéj uledz, ot i wszystko. Bo też, narzucają tyle

obowiązków temu nieszczęsnemu Luco! — Luco, przytwierdź mały maszt.— Luco, przywiąż reję.— Luco, do pompy. — Luco wymyj,— wyczyść,— wyskrob. — Luco, podaj mi zimnéj wody.— Luco, prędko, talerza.— Luco, podaj ściérkę. — Luco, jajecznicę.

— Czy potrzeba, panie, jajek do tego?

— Głupi! jakże ty zrobisz jajecznicę bez jajek?

— Ba! nie mówiąc już o jajecznicy ze słoniny, robią u nas ją ze krwi wieprzowéj.

Oto Luco, oto jego pojętność, oto jego natura. Potrafiszże zmienić to wszystko?.... Może.

Wczoraj, po surowéj karze wymierzonéj na jego biodra trzewikiem podkutym, Luco wywierał swe żale przed panem Delafraye, który łajał i uśmiechał się jednocześnie.

— Patrz pan, rzecze do niego Luco, zapominając zupełnie o odniesionéj karze, masz pan tu trzy piękne fajeczki; gdybyś mi pan dał jedną, pańskie szklanki byłyby zawsze czyste, robiłbym panu jajecznice na maśle, na prawdziwém świeżém maśle, z tłustości przegniłéj.

— Ależ ty ladaco, nie wiész że jedna z tych fajek kosztuje mię 28 franków?

— Otóż nie na tę ja mam chrapkę.

— Druga kosztuje mi pół franka.

— A trzecia, panie?

— Dwa grosze.

— Otoż ta mi się podoba, i kiedy pan mi ją darujesz, przyrzekam panu, że oddam ją natychmiast, skoro wykroczę przeciw mym obowiązkom.

— Masz, Luco, fajkę.

— Dziękuję panu; zaraz umyję sobie ręce, i postaram się, żeby pańskie talerze mogły służyć za zwierciadło.

Cud napróżno dotąd oczekiwany, spełniony został za pomocą fajki dwugroszowéj; ale w razie gdyby się ona zbiła, a nieszczęściem jest bardzo krucha, lękam się, żeby mój Luco nie odpadł na zawsze

w swe węglarskie przywyknienia; P. Delafrayc nie będzie zawsze obecny, i nie jest on handlarzem fajek.

Jeżeli od Luco przejdziemy teraz do bryku; od biédactwa przechodzimy do biédactwa, gdyż lata nie oszczędzają bardziéj rzeczy jak ludzi: tarcice, żelaza, żagle, wszystkie metale ulegają ich wpływowi; każda rzecz starzeje po koleji i każda musi mieć swój koniec.

Pokład *Any* pokrésowany, dylowania rozłączone, zagięcia utraciły formę, tak dalece, że gdy rynsztoki, dzisiaj źle umieszczone, nie dają wolnego przejścia deszczom ulewnym; izby są zalane w czasie każdéj ulewy, a wiecie już jak one są częste w krajach podrównikowych.

Ana posiada jeden tylko przybór żagli, tylko jeden: przybór całkiem poszarpany, prawdziwe błazeństwo, na które przykro patrzéć, straszno się dotykać. Za każdym wichrem, robi się w nich otwór, kędy wiatr wieje swobodnie. Jeśli wiatr wieje z tyłu, nie mamy czém podnieść małych żaglów na prawym i lewym boku statku; tak dalece, że bryk, który uchodzi za szybkobiegacza, utyka jak starzec kulejący.

Co do masztów i rei, są one w takimże stanie jak i żagle. Haniebnie!

Niémasz kuchni, a więc kucharz byłby rzeczą zbytkową. P. Bonnard wziął na los szczęścia, kilku ludzi na swój statek przewozowy, rzucił ich tam, i powiedział im: «Szczęśliwéj drogi!» nie troszcząc się wcale o trudnościach podróży.

Za aptekę, skrzynka próżna; za instrumenta chirurgiczne, scyzoryk, szydełko i nóż kuchenny; za doktora, stérnik okrętowy, albo jeden z majtków bocianiego gniazda.

Blok spadł ci na głowę, złamałeś palec ciągnąc za linę, biegunka krwawa cię opanowała; lekarstwa są tam, znasz już je, nauka stérnika się wysila. Cierpisz boleści, wijesz się z bolu, przychodzi konanie, późniéj chrapanie z ostatnią myślą o rodzinie i Bogu; późniéj fala się otwiera, zamyka, i wieczność się rozpoczyna..... Dziękuję za żeglugę na *Anie*.

Alcż nie mówiłem wam nic jeszcze o Kapitanie! nic jeszcze o osadzie! Jakże obszerne próżnie do zapełnienia! Piérwszy jest Porucznikiem okrętu od lat wielu; czytał on, czytał wiele, zna naszych filozofów, poetów, śpiewaków; zna także swój okręt; ale żyje w nienawiści ziemi, lęka się żeby zegary go nie oszukiwały, lęka się przesadzić góry swoim miedzianym spodem okrętu, i jak dadzą znać o plamce na horyzoncie, każe skracać żagle, albo lawirować. Takim sposobem, pojmujesz dobrze, że się przybywa zawsze za późno, kiedy przybywa.

Luco zarzuca żucie tytuniu panu Bruyère: mniejsza o tę fraszkę; jeden z moich przyjaciół, dzielny i zasłużony Kapitan, jak rzadko, Guérin, który przebył świat razem ze mną, był winnym co do tego punktu, względem pokładu, gdzie zostawiał zawsze ślady swego przejścia. Mniejsza o to, dajcie mi towarzyszy takich jak Guérin, a zaraz odmłodnieję, żeby zwiedzić Archipelagi i stawić czoło burzom.

Zróbmy teraz wielki przeskok i powróćmy do pana Bruyère. Jestem pewny, że gdyby Marchais znał go, Bruyère jużby nie egzystował. Znacie Marchais, tę facjatę żelazną, przeciw któréj bezsilnemi były wszystkie boleści, wszystkie gwałtowności, Marchais, który przeklinał jak Lucyper w swym wieczystym kotle; otoż, P. Bruyère mógłby jeszcze nauczyć mojego Marchais; i niewiem, czy ten Kapitan, który zna swoje rzemiosło marynarskie, wyrzekł kiedy dwa frazesy, nie dołączywszy do nich dwudziestu pięciu lub trzydziestu *Do miljon kroćset*, dziesięciu metrów długości. Aż dotąd mi jeszcze w uszach dzwoni.

Mamy za osadę dwunastu ludzi; trzech z nich wie prawie co to jest maszt, reja, żagiel: reszta dowie się kiedy o tém, jeżeli się ich pojętność rozwinie, a rozwinie się bezwątpienia, dzięki pletni *zabronionéj* panów aspirantów i przekleństwom Kapitana Bruyère.

Otóż, z pośród téj nędzy, któréj pozazdrościłby nam sam Hjob, powstała, jednego poranku, myśl wielka w głowie jednego z nas; jedna z tych myśli wspaniałych, które ubarwiają przyszłość i podają w zapomnienie troski wczorajsze. Siedzieliśmy u stołu, nie dla je-

dzenia obiadu, ale dla pozoru; kilka jabłek z Valparaiso żyło jeszcze w szafce, jabłek nie zupełnie zgniłych, nie całkiem pomarszczonych, przypominających jabłka świéże, jak oset przypomina różę..... Aż miło! — Gruszki, nawet te, które oddawna straciły przymioty owocu, zstąpiły już do grobu, nosiliśmy po nich żałobę.

Worek orzechów wznosił się jeden pośród tych wspaniałych szczątków, worek nienawistny, dźwięczący jak szczęk goleni bez ciała, który zdradziecko zlokowano pod mojém łóżkiem, i który szczury łakome gryzły bezustannie, razem z tarakanami, obrzydłéj pamięci.

Według potrzeby, wino służyło za przyprawę lub za napój. W oliwie, czuć trochę tylko było jélkości, i moi nieprzezorni towarzysze podróży zapomnieli w Valparaiso, że cytryny są dzielną pomocą w żeglugach zwrótnikowych.

Dowódzca dał nam sześć jajek, i ten dar książęcy podał szczęśliwą myśl P. Romieux, który zawołał:

— A gdybyśmy to zrobili sobie pasztet!!

Grabki bezzębne wypadły z naszych rąk, noże stępione potoczyły się pod stół, słoninka wędzona pozostała nietknięta na naszych talerzach wyszczerbionych; i sam Luco, znamienity Luco, stanął jak piorunem rażony, pośród swego mruczenia zwykłego.

— Słyszałeś, Luco, potrzeba żebyś zrobił nam pasztet.

— To tak łatwo, jak połknąć kieliszek wódki.

— A wiészże czego potrzeba do pasztetu?

— Czego potrzeba! dla zrobienia pieczystego z kurczęcia, potrzeba najprzód kurczęcia: a więc, dla zrobienia pasztetu, potrzeba najprzód pasztetu.

— Głupi!

— Gąska!

— Prosiak!

— Trucień!

— Kret!

— Czyż potrzeba na to dwóch pasztetów? zapytał Luco, głosem cieńkim i z miną jemu tylko właściwą.

Pojętność naszego Luco, jego pojętność olbrzymia, tylko co nie pozbawiła nas naszego kochanego pasztetu; ale ludzie zgłodniali nabierają nowego hartu pośród trudności; złożyliśmy tedy radę, przy pomocy naszych wspomnień szkolnych i teatralnych.

O pani Gibou! o pani Pochet! jakbyście wy nam zazdrościły naszéj erudycji kuchennéj!

Mieliśmy jajka; bez kwestji użyjemy tedy jajek do pasztetu; ale pytanie, jak tych jajek użyć? Czy z łupiną, czy bez łupiny? Czy białek do tego potrzeba? czy też żółtek? Czy potrzeba ich ugotować? czy wlać surowe? Na los szczęścia, jajka surowe, bez łupiny do tego, zostały wrzucone do kilku garści mąki rozprowadzonéj.

Zrobiła się z tego masa dość lipka, i Alguier wpadł na myśl, że żeby jéj nadać trochę stężałości, należało wlać kilka kropeł octu. Luco zaśmiał się na całą swą széroką gębę; miał on swoją myśl. Mówiono jeszcze o wrzuceniu do tego sosu kilkunastu orzechów, ale zaniechano tego przez ostrożność, i Luco pobiegł na pokład z wielką salatérką, poruczoną jego staraniom.

Przybywszy do miejsca, które jemu służyło za kuchnię:

— Zaraz ja zadziwię tych panów, rzekł sam do siebie z miną tajemniczą; to ludzie, co niczego wymyślić nie mogą, jak sowy. Są tam kartofle, trochę pietruszki, pory, a moje zuchy ani myślą o tém, to aż litość bierze! Rozkazują, a ja słucham! Zajadają sobie w kwadraciku, a ja poszczę na pokładzie! Bóg nie jest Bogiem.

Od myśli do myśli, krok tylko jeden: jestto płomień, co pobudza płomień. Zapomniałem wam powiedzieć, że trochę cukru weszło do składu pasztetu. Otoż, cukier, kartofle, pietruszka i pory podały jeszcze myśl Luco, dla zrobienia tak pożądanéj potrawy jeszcze smaczniejszą, wrzucić do niéj dwie szczypty pieprzu i garstkę soli; to były, jak sądzę, już wszystkie zaprawy do przysmaku, który umieszczono bez litości na żarzących się węglach.

Kiedy godzina obiadu nadeszła, Luco jawi się dumnie z pasztetem w obu rękach. Był on cały promieniejący (mówię o Luco), podrósł na dziesięć łokci, był to Jowisz Olimpijski chłopców okrętowych, i sądzę że tego wieczora mówił *ty* do Kapitana; niestety! przebudził się on w parę godzin późniéj.

Na okręcie panowie sądzili że potrawa będzie niezgorszą; co tchu pokrajano, i każdy z nas przybliżył usta chciwe do swego kawałka..... Luco stanął sobie w kąciku czekając wieńca tryumfalnego.

— Wielki Boże! cóż to ja połknąłem?

— A, dla Boga! co to ja mam w gębie?

— A, litości! cóż to ja ukąsiłem?

Luco drżał w kącie.

— Zbrodniarzu! zawołał obracając się do niego P. Delafraye, co tam włożyłeś?

— Alcż, panowie chcieliście, żebym zrobił pasztet.

— No to i cóż? nędzniku!

— I cóż! nie mogłem panom dać połowy pasztetu; kartofle, pietruszka, sól, pieprz i pory weszły do tego.

Trochę się omylił. Luco sam jeden skończył pasztet, i nazajutrz był uwolniony od roboty, gdyż biédny chłopiec dostał niestrawności, mogącéj zabić słonia.

Zapytacie mię może, dla czego mieszczę te drobnostki pośród moich poważnych badań; ach! mój Boże! to dla tego, że wszelka radość, jakkolwiek drobna, przybiera większe rozmiary w oczach tego, który przerzyna fale na biédnéj łódce, pod niebem ognistém, bez żywności, prawie bez wody, prawie bez nadzieji.

I oto jednym razem:

— Ściągaj wielki żagiel! W dół żagiel trójkątny! Puszczaj! Ludzie na pokład!

Radości ziemskie nie tak prędko następują po sobie jak boleści; te ostatnie są stalsze, trwalsze: kiedy się przyczepią do ciebie, to nie opuszczą cię aż do rozdartego na szmaty.

Podczas naszéj uczty Lukullusa niebo się zachmurzyło, wiatr nieregularny powiększał się stopniowie w swéj mocy, w odmiennym coraz kierunku; w krótce pozostało nam tylko bokiem stanąć do wiatru; Kapitan uległ konieczności, i czekaliśmy wypadków z odważném sercem.

Nie była to nawalnica zwrótnikowa, ani niebo pokrésowane, ani morze ciągle galopujące, podobne do klaczy nie ujarzmionéj, biegącéj w zawody; było to cóś straszliwego i groźnego, tém bardziéj przerażającego, że nic nie zapowiadało jeszcze, skąd miało przyjść niebezpieczeństwo. Nie mieliśmy barometru dla poradzenia się, zapomniano włożyć merkurjuszu do rurki; ale, w braku téj pożytecznéj skazówki, ptaki przelatujące mimo i szybujące z wiatrem, nakazywały nam ostróżność, może nawet rezygnację.

Groźba była wszędzie, wszędzie takoż zaburzenie i chaos; wiatr strącał wierzchołki fal, uginających się pod deszczem ulewnym; błyskawice krzyżowały się śród masztów ogołoconych; mocny zapach siarki przejmował atmosferę zgęszczoną, i biédny bryk dogorywający nie wiedział już, czy fala, co się przed nim piętrzyła, będzie mu służyć za podnóże czy za grób.

Przesilenie trwało piętnaście godzin, podczas których *Ana* wycierpiała tysiące męczarń, już to leżąca bokiem, ze spodem prawie na powietrzu, już z przodem w obłokach, a tyłem pod falą kipiącą..... Było to pięknie, wspaniale! był to czarujący widok!

W téj walce zaciętéj, to mię najwięcéj zastanowiło, że przerwy rozdzielające dwa wichry, były milczące, lub zapełnione tylko trzaskami piorunów, przerzynających powietrze w metalicznych podskokach. Otoż, wtedy to nadewszystko, bryk narażony był na największe niebezpieczeństwo; wtedy to jego spojenia trzeszczały z posępnym odgłosem; gdyż bałwany uderzające się o siebie, ściskały go tak mocno swemi kleszczami, że czuliśmy ich nacisk, jak gdybyśmy sami wystawieni byli na ich gwałtowność.

Jestem przekonany, i dla tego tak piszę, a wreszcie może mi się tak zdawało, że nieraz okręt nasz, kiedy go fala opuściła, od-

padał na którykolwiek bok, lub na spód, pozostawiony tylko swojemu własnemu ciężarowi, tym sposobem że huragan mógłby go wtedy schwycić, i mówiąc bez przesady, kręcić nim w powietrzu.

Mógłbym tu wam dać wspaniały opis burzy z jéj drapieżnością i jéj klęskami; łatwo by mi było okazać wam żagle w szmaty porwane, parapety zdruzgotane, maszty zmiecione i kotwicę daleko w morze ciśnioną.

.....Ale spodziewam się że Ocean i ja będziemy jeszcze mieli z sobą nie mało do czynienia; dla tego czytelnik nie straci nic na poczekaniu. Jestem z liczby tych, których te wesołe obrazy często spotykają.

Niech więc *Ana* bieży po morzu mniéj rozhukaném, a tym czasem szperajmy w około dla korzystania z ostatnich dni, co tak szybko płyną.

Skała ukazuje się na widnokręgu, ostra najprzód jak obelisk; ale oto rozciąga się, robi się szérszą w swéj podstawie, i ukazuje na sobie żeglarzowi rośliny kolosalne, pod któremi tłoczy się ludność, sprowadzona tam przypadkiem lub gwałtownością prądów.

Cóż powiada mappa? Wskazuje ona Ruryk, wysepkę dokładnie oznaczoną, i tuż przy niéj, oddzieloną kanałem bardzo wązkim, drugą ziemię nazwaną Rumiańcow..... Wszystkie me wspomnienia obudzają się; słuchajcie:

Było to w roku 1818, miałem wtedy lat dwadzieścia skończonych (witajcie Patrjarchę); *Uranja* tylko co była zarzuciła kotwicę w zatoce Table-Bay, u przylądka Dobréj-Nadzieji, kiedy postrzegłem, o kilka sążni od nas, bryk silnéj powierzchowności, ale znacznie uszkodzony od walk morskich.

Lubię każdego co się nie cofa przed walką; chciałem się więc bliżéj zapoznać z brykiem. Nazywał się on *Ruryk*, kończył swą podróż w około ziemi i zostawał pod dowództwem Kapitana Kotzebue, którego ojciec, autor *Mizantropji* i *Żalu*, umarł pod sztyletem młodego fanatyka.

Znalazłem tam rysownika, zowiącego się Choris, zjedzonego

późniéj przez plemię dzikich Ameryki północnéj. Takie przykłady nie poprawiają wszystkich, jak to mi dobrze wiadomo.

Ale dla czegoż ten rzut oka wsteczny na tak dawno ubiegłe czasy? Oto dla tego, że przyszedłem do wieku, w którym pamiątki stanowią życie; dla tego że moje serce bije silniéj tam gdzie płakałem, gdzie się cieszyłem, tak dalece: że każdą razą kiedy wymawiam nazwisko mojéj wesołéj wioski śród Pireneów, westchnienie miłości wydobywa się z moich piersi. A to dla tego, że tam spoczywają, otoczone czcią publiczną, zwłoki najdroższéj z matek, najświętszéj z kobiét.

Żałuj tych, co nie pojmują tych czarujących smutków i tych tkliwych uniesień.

Ruszajmy daléj i powitajmy Markizy.

MARKIZY.

Nukahiwa. Każdy kraj ma swoich bogów. Ludożerstwo jest w religji Tworzenie się wyspy. Szczególniejsza legenda. Bóg łowiący rybę wędką. Śpiący i chrapiący. Ptak patiotio. Nie wymagaj u mnie porządku. Cześć wyrządzana zmarłym. Uczta z prosięcia. Popoc. Ryba surowa. O Véry! O Véfour! Ofiary ludzkie. Tabu. Wszystko jest tabu. Niższość kobiét. Zasadzki.

—

Pogoda nam nie sprzyjała ani przy odjeździe, ani w czasie przybycia: po podniesieniu kotwicy w Valparaiso, omal co nie byliśmy rzuceni na skały; bez pomocy pięciu silnych szalup, które pośpieszyły dla odciągnienia nas, niewiém coby się stało z naszym biédnym brykiem, i tak już zgrzybiałym.

Tutaj, dzięki tylko usiłowaniom prawdziwie nadludzkim, i przy pomocy majtka Amerykańskiego, co pośpieszył na nasz ratunek, *Ana* mogła daléj przedłużać swą podróż do Taiti.

Trzydzieści razy najmniéj, w ciągu pięciu czy sześciu godzin, zmieniliśmy kierunek statku, unosząc się na ostatniéj fali, co się rozbiła o głazy nadbrzeżne, w téj przeklętéj zatoce Anna-Marja (czyli Taihahoe). Z ostatniéj już potrzeby zarzuciliśmy tam kotwicę, co nas zatrzymała na uwięzi, na gruncie twardym i skalistym. Nasza biédna osada była doprowadzona do ostateczności; robotnicy, znużeni już ulewnemi deszczami dni poprzedzających, i tém *tornado*, które nas tak tęgo przywitało w drodze, nie byli już w stanie ściągać lin: krzątali się oni! krzątali! gdyż ich nędzne życie na krzątaniu zależy, i dla tego że pletnia jest strasznym argumentem; ale łatwo było widziéć że ich muszkuły straciły całą swą sprężystość. Dla tego to, każden z nas przygotował się jak mógł do uroczystego pożegnania, jakie mieliśmy posłać naszemu krajowi.

Co do mnie, sprzętu niepożytecznego, równie w burzy jak pośród ciszy, zstąpiłem do mojego futerału; i tam, zbierając me notaty i powierzając je puszce opiekuńczéj, rzekłem sam do siebie, że wcześniéj czy późniéj podobna katastrofa musiała mię spotkać! Zdawało mi się że słyszę moich dobrych przyjaciół z tamtéj strony Oceanu mówiących z przekąsem: Dobrze mu tak! wiedział gdzie dążył, fale tylko mogły mu dać porządną naukę!..... Dziękuję, moi kochani Arystarchowie; ale oto jeszcze jestem na nogach. Ślepy, znam planetę, na którym mieszkamy; możecież wy toż samo powiedziéć, wy których słońce oblewa swojemi jasnemi promieniami?

Kiedy miałem włosy czarne i myśli różowe,— jest temu lat dwadzieścia pięć, jeśli się nie mylę, — nazywaliśmy tę wyspę *Nukahiva;* późniéj, niewiém dla czego, nazwano ją *Nukuhiva*, i oto dzisiaj ulega nowéj przemianie, i jest ochrzczoną *Nuhiva*.

Nazwisko Anny-Marji jest takoż przemienione przez żeglarzy, którzy zachowali głównéj zatoce wyspy jéj nazwanie pierwotne: zowie się ona *Taihahoe*.

Wyobraź sobie góry na prawo, na lewo, przed tobą; szczyty pocięte, płaszczyzny dzikie, dziwaczne i ponure; wszędzie przepaściste urwiska, wszędzie wąwozy wyżłobione potokami, wszędzie natura dzika, okropna, prawie niepodobna do zbadania. U podnóża tych wyniosłości i tych żył granitowych, ze dwadzieścia chałup, cztéry aleje piaszczyste, dom drewniany dość obszerny, cytadella z ziemi, pięćdziesięciu kanaków, dwa czy trzy kokosy, dwóch ojców duchownych, prawie bez nowonawróconych; potém, fale kołyszące się z ciągłym i posępnym odgłosem, obijające się z łoskotem o brzeg koralowy; potém jeszcze, deszcze zwrotnikowe, spadające z szumem ze szczytów gór i toczące się bystro ku nadbrzeżu, zalewanemu ciągle przez fale..... Takie jest nasze pyszne stanowisko w Nuhiva; taką jest pomocnicza osada téj Taiti, którą niedawno opuszczono, i którą mają zająć na nowo, jeśli mamy wierzyć wieściom, co nas doszły w Chili.

Bawią się ludożerstwem w Nuhiva, ale daleko mniéj zapewne niż na Dominice, gdzie powiewa nasza bandera, a nadewszystko, niż w Nowéj Kaledonji, ziemi srogiéj, niegościnnéj, gdzie człowiek służy za ucztę człowiekowi, gdzie Europejczyk szczególniéj narażony na największe niebezpieczeństwa, jeżeli niéma z sobą bagnetów i dział.

W *Taihahoe* nie jedzą już ani mężczyzn, ani kobiét, ani dzieci; ale w zatokach sąsiednich, ludożerstwo jest dobrze uważane; słabszy służy tam za pokarm mocniejszemu, i religja przychodzi w pomoc zwycięzcy.

Szczególniejsze są te nasze zdobycze! kilka sążni ziemi nieużytecznéj i kosztownéj..... Do takiego postępu skorzy jesteśmy! Ale co do zdobyczy moralnych, o! o te my nie dbamy, te nas nie obchodzą; a jeżeli jaka dusza poczciwa chce niémi się zająć, ganią te jéj usiłowania, nakazują jéj zająć się swemi fortyfikacjami; czego się nie dotykają palcem, to jest za obrębem ich działania.

Ach! mój Boże! te niewiele wyrazów czyż nie zamykają w sobie całéj historji Nuhiwy, od czasu kiedy zatknęliśmy tam chorą-

giew narodową? Ale szczegóły dodają malowniczości opisom; te cośmy zebrali, są ciekawe, zajmujące, dramatyczne niekiedy; winniśmy je udzielić naszym czytelnikom..... Dla uczenia to, tyleż co dla nauczenia się przebiegamy świat.

Jeden tylko znam lud, który żyje bez Boga, bez czci, bez ołtarza. Dzicy mieszkańce Nowéj Galji południowéj, karmiąc się mrówkami, poczwarkami owadów, wężami, nie mają, według mnie, żadnego wyobrażenia o stworzeniu, ani o Istocie wiecznéj; napróżno ich rozpytywałem o ich przodkach, napróżno mówiłem im o bóstwie opiekuńczém, o potędze złośliwéj: nigdy mię pojąć nie zdołali. Ci nieszczęśliwi rodzą się, żyją, mnożą się i umierają; nie widzą nic tutaj, nie widzą nic tam, po za grobem.

Ludy najdziksze kuli ziemskiéj mają bogów, których obalają według woli, kiedy przegrają bitwę, i znowu późniéj ich wznoszą, kiedy bitwę wygrają..... Wznosić i obalać, jestto posłannictwo, które człowiek sobie przywłaszczył w swéj niepomiarkowanéj pysze.

Na Nuhiwie, wyspie gdzie ludożerstwo jest nakazane przez religją, gdzie nasz oręż nie zdołał go jeszcze wytępić, były, od niepamiętnych czasów, bóstwa, w które jéj dzicy mieszkańce wierzą jeszcze. Fo, Brama, Mahomet, pogaństwo, nie zawsze mieli rozum za podstawę; zobaczmy czy ci wyspiarze mają więcéj logiki.

Starcy to opowiadają, ślepy zbiera ich opowiadania: Nuhiva była najprzód długą i płaską, dziś jest okrągłą i wzgórzystą; na jéj wzgórzach czarnych i dzikich, popękanych ze wszystkich stron, jak gdyby ogień wywierał tam swe działanie, szumią gęste warkocze olbrzymich drzew, które zdają się ciężyć na ziemi. Nic nie dorówna potędze téj natury! nic nie jest tak wspaniałém jak milczenie tych pustyń, którego żaden ryk zwierząt drapieżnych nie przerywa, gdzie się nie rozlega nigdy żaden krzyk wojenny, gdyż śmierć i obrzydłość jest tam na brzegu, blisko fal unoszących szczątki ofiar!

Ale jakim sposobem ta ziemia, dzisiaj tak dziko wyglądająca,

uległa swemu cudownemu przekształceniu? Oto takim: to tak proste i naiwne jak pogadanka pana Nodier. Bóg jeden, a nazywał się on *Atua*, łowił rybę wędką, — to jest dozwolone równie bogom jak ludziom,— najuczeńsi z wyspiarzy utrzymują, że działo się to w łódce. Płynął on tedy pędzony wiatrem, który, według jego chęci, przebiegał wszystkie linje kompasu; jednym razem bierze go chętka, pomimo jego bóstwa, zasiąść do stołu; rozcina rybę na dwie połowy, rzuca jedną z nich w górę, ona spada, i oto wyspa w piérwszym dniu swego stworzenia.

Bóg (Atua) zstępuje na nią, przechadza się, i zadawala swój apetyt. Zdaje się, że rozmaitość widoków była w guście władcy tych miejsc, gdyż wymyślił tę mnogość wzgórków, nagromadzonych jedne na drugie, tych wąwozów i zatok, któremi wyspa dzisiaj tak dziwacznie poprzerzynana.

Po uczcie, spoczynek; to bardzo racjonalnie tak u bogów jak u ludzi. *Atua* zasnął tedy: chrapał bezwątpienia; i na odgłos jego muzyki nosowéj przybiega inny bóg, bóg złośliwy: zbliża się do niego, staje w pewnéj odległości, chwyta ogromny kamień, i mierząc niezbyt trafnie, choć był o kilka kroków od swego przeciwnika, chybia celu..... *Atua*, przebudzony, wpada w gniew djabelski, jakkolwiek był bogiem; i nieszkodzący dotąd nikomu, podejmuje także kamień, ciska nim jak z procy balearskiéj w swego niezręcznego przeciwnika, który upada, żeby się już więcéj nie podnieść. Nie możecie wątpić o prawdzie historycznéj téj walki: kamień ofiarny może być od wszystkich widziany, w zatoce Callet. Śpieszcie więc tu, niewierni Paryżanie, wszak to rzecz warta trudu; pięć do sześciu tysięcy mil prędko się przebędą, nadewszystko kiedy przylądek Horn okaże się grzecznym i zapomni swych przywyknień codziennych. Tam, na odłamie lawy prawie prostopadłéj, olbrzymi kamień przedstawia się wyraźnie oczom; i rozróżnisz nawet, skoro będziesz miał cokolwiek dobréj wiary, ślady potężnych palców boga na kamieniu świętym.

Potrzebaż innych rękojmi niewiernym? Słuchajcie śpiewu radośnego *patiotio*, ślicznego żółtego ptaszka, przylatującego co rano

i co wieczór opiewać tryumf pana tajemniczego wszystkich tych wysp Ach! panowie, niémasz tu nic trudnego do pojęcia; nié pajęczyny nadała religję światu: dla czegożby kamień nie mógł uposażyć bóstwem jakiego dzikiego Archipelagu?

Jednakże znaleźli się, pomiędzy ludnością tych stron, Tomaszowie, którzy chcieli widzieć i dotykać się, jak ten o którym mówią księgi święte. Kamień był wprawdzie dowodem, dowodem najgruntowniejszym, ale świadectwo dodane do świadectwa, nakazuje milczenie sceptycyzmowi; i oto dla czego: pewnego dnia, jednego z tych wesołych i woniejących poranków, w których wiatr powstając, z ziemi przebiega błądząc po falach zaledwo pomarszczonych, kilka łódek wybiegło na otwarte morze i poszło szukać oazy nieznanéj, skąd wyszedł bóg *Atua*. Niestety! wiatry są niestałe, mają swe dziwactwa, to jest swe gniewy, i łódki, które bez wieści przepadły, pozostawiły mieszkańców Nuhiwy w wierze tylko kamienia pionowego.

Zobaczycie, że jednego z tych dni, w których obłoki nagromadzone okrywają wyspę obszerną zasłoną żałoby, piorun, który jest mieczem Boga potężniejszego niżli *Atua*, wywróci budowlę współzawodniczą i rozciągnie nad Nuhiwą dziką panowanie dogmatów religji sprawiedliwości, przebaczenia i pokoju.

Kiedyż zaświta ten dzień? kiedy wybije ta godzina? Stara Europa zdaje się postępować naprzód, a często idzie na wstecz, i mało postępów moralnych, jakie uczyniliśmy dotąd na Markizach, sprawia mi nie mało bojaźni względem przyszłości téj kolonji.

Przed niedawnym czasem dowódzca naszéj osady, skutkiem zwierzeń się niektórych mieszkańców Nuhiwy, niespokojnych względem swych przodków zniknych, wyprawił jeden z swych okrętów dla szukania ryzykownych Argonautów....., a gdy ta wyprawa nie osiągnęła pożądanego skutku, mieszkańce Nuhiwy są przekonani, że ich współziomkowie, szczęśliwi swém nowém położeniem, nie chcieli powrócić do dawnéj ojczyzny.

Jest zawsze środek wykręcenia się z wniosków logiki najoczéwistszéj; i mieszkańce Markizów, upewniam cię, są nie lada

ptaszkowie, gdy idzie o walkę z nieprzyjaciółmi, co się na nich rzucili.

Postąpmy daléj jeszcze na téj drodze, ale nie żądajcie odemnie porządku; byłoby to narzucać wam samym zniechęcenie i nudę: rozmaitość w opisach staje się głównym ich wdziękiem i wolę raczéj labirynt, niż równinę z całą jéj regularnością..... Już to wam powiedziałem.

Ponieważ znajdujemy na Markizach tradycję, cześć religijną i kamień pionowy, musi tam być cóś poważnego w tém co się odnosi do zmarłych. Wszystko co było, maż znikać razem z trupem? Przywiązanie podzielane, czułość wzajemna, nienawiść, miłość i gniew, mająż zgasnąć około zwłok tego, który myślał, płakał, kochał jak my i z nami razem?

Znajdują się ludożercy na wyspach Wallis, Salomona, w Ombay, obrzydłéj pamięci; znajdują się oni również na Fitdży i w Nowéj Kaledonji, wszędzie blisko naszych opiekuńczych stanowisk; i missjonarze nic dokazać nie mogą z temi pożeraczami ludzi, dla których nasze ciało europejskie jest potrawą tak smaczną.

A jednak, na tych Archipelagach, które wymieniłem, człowiek opuszczający ten świat, pozostawia człowieka opuszczonego w żałobie i rozpaczy. Tu ucinają część palca przy śmierci brata, tam wypiekają sobie znaki przy śmierci przyjaciela; dół, gdzie spoczywają zwłoki, szanowanym jest jak miejsce święte, którego świętokradcę karzą śmiercią.

Zobaczmy czy Markizy stanowią wyjątek od tego prawidła.

Ten co zniknął ze świata na zawsze, nie znika bynajmniéj z pamięci przyjaciół i krewnych, którzy go kochali. Jak tylko życie zagasło, krzyki rozpaczy dają się słyszéć ze wszystkich stron; zbierają się do domu umarłego, otaczają ciało, oblewają je łzami, a potém, z religijną troskliwością, biorą je, odziewają w najpiękniejsze jego ubiory, kładą obok niego najwspanialsze oręże, te zwłaszcza, które zdobył na nieprzyjacielu; i skoro modlitwa za umarłych została odmówioną, przenoszą go do łódki; tu nogi leżą poziomo, wyższa część ciała utrzymywana [illegible] dwie listwy poprzeczne, równolegle

do poziomu; głowę i ręce trzymają wzniesione za pomocą trzeciéj listwy, takim sposobem, że zdaje ci się iż życie ożywia jeszcze to czoło bez myśli, tę pierś bez uderzeń serca. Z tém wszystkiém, ponieważ potrzeba zapobiegać skutkom rozkładu, mężczyzni i kobiéty nacierają go ciągle oliwą kokosową i chłodzą go wachlarzami, przemawiając do niego najczulszemi wyrazy.

Po dokonaniu tego, sąsiedzi się zwołują; zgromadzają się oni na nadbrzeżu, i tam, przed ucztą, na którą się zabija pewna liczba prosiąt, według ważności zmarłego dowódzcy, najbliższy krewny przemawia do niego temi słowy: „To twój przyjaciel *Ohatejo*, co przychodzi z tobą się widziéć i życzyć ci, żeby twoja dusza przechodziła się w pokoju nad obłokami. To twoja wierna towarzyszka *Tui*, która z łonem pociętém trzcinami, przychodzi cię zapewnić że jéj boleść będzie wieczną.“

Po skończonéj ceremonji przedstawienia, która się odbywa piętnaście lub dwadzieścia dni najmniéj, pośród wyziewów najzaraźliwszych, zawijają trupa w plecionki najdelikatniejsze, zawieszają go u pułapu domu, albo niosą go do pobliskiéj chałupy, która staje się tym sposobem *morai* rodzinnym. Ten *morai*, czyli cmentarz, jest zwykle otoczony drzewami, i co ranku, co wieczora, widzisz przyjaciół nieboszczyka, zawieszających na gałęziach ofiary poświęcone, materje z papyrusu, prosięta, owoce, ryby i *popoe*, których nikt nie śmié odbierać zmarłemu.

Powiedzmy mimochodem, że *popoe* jestto ciasto, zrobione z owocu drzewa chlebowego, które prawie wszystkie Archipelagi Oceanu nazywają *majore;* jestto pokarm zwyczajny i ulubiony wszystkich tych wyspiarzy. Możebym zagustował w tym przysmaku, gdybym pomieszkał między nimi jakie trzydzieści lat, i gdyby mię nie odstręczyli od swojéj kuchni, zmuszając mię jeść rybę surową, którą ofiarują z taką uprzejmością cudzoziemcom.

O Véry, Véfour, Champeau, Beauvilliers, Lointier! czemu nie przyszlecie tutaj cokolwiek z waszych tajemnic kuchennych? Ostatni z waszych kuchcików zasłużyłby tu na wstęgę błękitną, a możeby nawet stawiono mu ołtarze.

Kiedy wielki kapłan doliny pożegna świat, obrzęd pogrzebowy przybiera całkiem inną postać. Biada! trzy razy biada temu z mieszkańców wyspy, który nie okazałby swéj boleści przez łzy i okaleczenia!

Trup jest tam; najpiękniejsze dziewczęta okolicy przybiegają z włosami rozpuszczonemi, otaczają zwłoki, odrzucają daleko od siebie swe ubiory, i przyjmując na siebie postawy lubieżne, przemawiają do nieboszczyka najczulszemi słowy, spodziewając się, jak powiadają, że tyle uniesień wróci go do życia. Niestety! tu jak u nas, śmierć strzeże dobrze tego, co raz zabrała.

Te tańce młodych dziewcząt odbywają się tylko rankiem przed wschodem słońca, i wieczorem, po jego zachodzie. Późniéj następują ofiary ludzkie; wojownicy zatoki ruszają, zasiadają na czatach po za krzakami, i biada przechodniom, których zdołają dosięgnąć! Krew płynie, trup rozerwany w kawały orężem i zębami, i dusza ulatuje z większą błogością ku wieczności.

Potrzebaż męczenników dla każdéj religji? Jak tylko wielki kapłan umrze, dolina zdaje się być okrytą żałobną zasłoną; nigdzie ogień się nie zapala, żadna potrawa nie bywa przygotowaną, kobiéty ucinają sobie warkocze i niosą je do gaju poświęconego. Przez cały miesiąc najmniéj, niémasz tańców, niémasz uroczystości, sypiają na deszczu, kładą się na kamieniu, kaleczą sobie ciało.....

Cóż zrobił za życia swego ten wielki kapłan tak opłakiwany? Karmił się on prosiętami i owocami, które każdy w hołdzie jemu składał..... Skazał na śmierć pewną ilość biédaków, oskarżonych o zgwałcenie *tabu*, i zobaczysz czy w istocie kara jest odpowiednią przestępstwu..... Dokończę obrazu późniéj.

Tabu jest prawem zasadniczém kraju, prawem boskiém, piérwszém, najważniejszém ze wszystkich, jedyném, od którego nie uwalnia ani wiek ani płeć. Dziécię, małe biédne stworzeńko, które zdoła wyjąkać zaledwo imię swego ojca, wstępuje skacząc do miejsca *tabu*..... Nie żądaj dlań przebaczenia, będziesz zamordowany z nim razem.

Podobało się wielkiemu kapłanowi umierającemu nałożyć *tabu* na kolor czerwony; owoż, trafia się że mały pasek tego koloru, pasek prawie niedostrzeżony, przecina ogromną *tapa*, którą się okrywam; w téjże chwili wydają na mnie wyrok śmierci, zadają mi truciznę, lub rozbijają głowę.

Dajmy na to, że ja niewiedziałem że kolor czerwony był *tabu*, nie ogłaszano tego dźwiękiem trąby; nic to, niewiadomość moja nieuratuje mię, pójdę połączyć się z moimi przodkami. Jeżeli wielki kapłan zmarły nałożył *tabu* na kolor czerwony, następca jego przywraca temu kolorowi utraconą wziętość, i nakłada *tabu* na kolor błękitny. Wiedz jednak o tém że kolor biały i żółty nigdy nie są *tabu:* o przyczynie tego nikt wiedzieć nie może. Zapewne ukrywa się tu tajemnica, od któréj zależą losy ludów, państw i rzeczypospolitych. Ale wiécie co robią dowódzcy, żeby uniknąć następstw *tabu?* Nakładają *tabu* na siebie samych, i oto są nietykalni.

Patrzcie: *Mohana*, wielki król, którego widziałem wczoraj, i o którym wam wkrótce obszerniéj mówić będę, był zagrożony w swéj potędze przez innego wodza, *Opé-Wahiné*, i przez swój lud, który się go niemiernie lękał, i który miał przyczynę lękania się; postanowiono nawet zadać mu śmierć; ale on, śmiały aż do zuchwalstwa, staje w obec swych przeciwników, śród wielkiéj *koika*, czyli uroczystości narodowéj, i obracając się do *Opé-Wahiné:* «Nędzniku! rzecze, śmiész stawić twą potęgę przeciwko mojéj! Dobrze! przyjmuję twą nienawiść. Pluję na ten kamień i oddaję go tobie; zrób z nim co zechcesz; nim i tobą również pogardzam: nie odważycie się targnąć na mnie.» Ten czyn odwagi niesłychanéj podwoił liczbę stronników *Mohany*, który jest dzisiaj wodzem najpotężniejszym wyspy, i naszym przyjacielem wyprobowanym pośród okoliczności najtrudniejszych, dopóki się nie spełnią jego zdobywcze zamiary.

Skoro wódz nabył przywyknienia przechodzić się po jakiéj ścieżce, natychmiast ścieżka ta jest *tabu;* tworzą drugą obok piérwszéj, a ta zarasta trawą.

Wieprz czerwony jest *tabu*, nikt nie może go zabić bez świętokradztwa; zjedliśmy jednego takiego na pokładzie *Any*, i mogę was upewnić, że nie był on *tabu* dla nas: zęby miały co do czynienia.

Drzewo chlebowe jest *tabu* dla kobiét; biada im gdyby sprobowały wleść na jedno z nich..... Wszędzie przywileje na szkodę płci słabszéj. Prawda że mężczyzni jedni stanowią prawa, i że grzeczność dla dam nie znajduje się w Kodeksie żadnego z ludów, które zwiedziłem.

Miejsce wyniosłe, gdzie mężczyzni jedzą, jest *tabu* dla kobiét, które otrzymują tylko liche szczątki biesiady. Kobiéty nie mogą się odziewać w *tapa*, które osłaniało mężczyznę.

Nie skończyłbym, żebym chciał wam wyliczać wszystkie *tabu* uświęcone przez religją; nie skończyłbym żebym chciał wyliczać wszystkie zasmucające upokorzenia, na które skazane są kobiéty, prawie we wszystkich Archipelagach Oceanu. To sprawia zawrót głowy, to serce rozdziera. Starajmy się zapomnieć.

Mówiłem już wam o zasadzkach niektórych wodzów pokoleń z powodu śmierci wielkich kapłanów; jeszcze krok jeden, i oto jesteśmy w obec wojen okrutnych, obrzydłych, nieludzkich, krwiożerczych, które pokolenia między sobą wiodą..... Zawsze krew' na stronnicach historji.

Na krótki czas przed naszém przybyciem na Markizy, wojna wybuchła pomiędzy *Taipiwai*, ludem srogim nawet w swych miłostkach i sąsiedniemi pokoleniami. Piérwsi silniejsi, odważniejsi, pustoszyli wszystko ogniem i żelazem; wpadali do chałup, rozbijali głowy dzieci o ziemię, otwierali żołądki kobiétom ciężarnym, wyłupywali oczy młodym dziewczętom, i rzucali na ogromny stos resztę mnogich ofiar. Co do więźniów, którzy probowali walczyć, zachowali ich na najstraszniejsze męczarnie, i pióro wzdryga się skréślić te okropności, jakich się dopuścili ci ludożercy..... Gdy się to dzieje, my tymczasem przybyliśmy; wiedzieliśmy że Kapitan Amerykański Porter był pobity w kilku spotkaniach z *Taipiwai*. Musieliśmy miéć się na baczności..... i wyszło nam na dobre, żeśmy użyli wszelkiéj ostro-

żności dla uniknienia zasadzek, bezustannie stawianych naszym żołnierzom przez *Taipiwai*, których żadna potęga świata nie zdoła ucywilizować.

Czy to ma oznaczać postęp, czy upadek? Fakta same mówią; jeżeli pozbawione są one świeżości, jam temu nie winien. Opowiedziałem przeszłość; a oto obecność. Kto inny opowie nam przyszłość.

KRÓL MOHANA.

Król słomiany. Ludzie, ryby. Ich żony. Ojciec Aleksy. Jego akcent i chleb jego świeży. Odpowiedź siostrzyczki braciszkowi. Jestem Królem. Nos z nosem. Szczególniejsza opinja Mohany względem szerokości dróg. Jak ten wielki Monarcha postąpił, żeby dowiedzieć się, czy umiém pływać. Noc przepędzona w towarzystwie. Śpiew czarnoksiężników. Król w połowie pijany. Co lepszego do jedzenia: mężczyzna, kobiéta czy dziécię?

—

Mohana! Mohana! Oskarżam cię, że jesteś, według naszych obyczajów, nie więcéj jak Królem słomianym, a według twoich, Królem bez żadnéj ceremonji.

Zdaje mi się, że w człowieku, którego odwaga lub los postawiły na czele innych, powinny być zawsze pewne myśli wielkie i szlachetne, za pomocą których wolno mu uchylić się od zwyczajów tradycjonalnych, które poniżają lud w oczach narodów ukształconych; zdaje mi się, że są pewne rodzaje hańby, które każdy z nas musi pojmować, jeżeli nie inaczéj to instynktem, tą władzą zwierząt: a ty, Mohana, ty zadajesz w mojéj obecności fałsz temu przekonaniu..... Wyjaśnimy to 'późniéj; fakt sam powie to, co moje pióro opisać nie zdoła.

Pewien Francuz, biédny człowiek skądinąd, dziécię zbłąkane na tym świecie, i którego niemożność przeżycia gdzieindziéj osadziła tutaj, przybył na nasz pokład wtedy, kiedy walczyliśmy z przeciwnemi prądami które, nas wystawiały na największe niebezpieczeństwa: poradził nam przyjąć stérnika, którego miał z sobą, i na dobre to nam wyszło, gdyż nasza wątła osada przyprowadzona była do ostateczności, jak to już powiedziałem, i skały podwodne pieniły się na długość bosaka od *Any*.

Zarzuciliśmy wreszcie kotwicę, i udałem się do lądu w małéj łódce, którą missjonarze nam podesłali. Kiedyśmy byli już blisko brzegu, Kanaki rzucili się do wody, porwali mię na swe ramiona, i złożyli całego i zdrowego na wybrzeżu.

Kanaki Markizów są istoty ziemnowodne, pływają tak łatwo jak chodzą, daleko łatwiéj jak chodzą, bo jeśli się cofają przed zawadą na drodze leżącą, fale najbardziéj wzburzone nie wstrzymają ich od podróży wodnéj, którą przedsięwzięli.

Co do kobiét tych ludzi— ryb, ich zręczność i ich śmiałość są dziwniejsze jeszcze; obecność rekinów nie przeszkadza ich obrotom codziennym pośród skał podwodnych, i widzisz je, te dziewczęta od lat dziesięciu do dwunastu, ponurzające się z prawego boku okrętu płynącego i okazujące się po chwili z lewego boku, wstrząsające wesoło czarnemi kosmykami swych gęstych warkoczy..... Będziemy jeszcze mówić o nich, gdyż niewdzięczność jest mi nieznaną; zresztą mają one oczy tak wielkie, a ręce tak drobne!

Zaprowadzono mię do ojców; byłem im przedstawiony przez brata Aleksego, któremu Kanaki nie zdołali bynajmniéj odjąć jego akcentu gaskońskiego.

Aleksy urodził się w Auch (Osz), i wierzy w Szatana, Belzebuba, Lucyfera, w Św. Djonizego niosącego swą głowę na półmisku: wierzy w upiory, wilkołaki, gnomy, w kary wieczne za winy doczesne; zresztą, nie potępia nikogo, dobry chłopiec, w całém znaczeniu tego wyrazu..... Witaj, bracie Aleksy.

Ojcowie zaprosili mię na śniadanie: lękałem się tak bardzo, że-

by tego nie przepomnieli, że przyjąłem wezwanie pierwiéj niżeli dokończyli frazesu.

Stół, miejsca dosyć, szklanki czyste, co się nie lękają kołysania okrętu, krzesło, co nie skrzypi przy każdém poruszeniu, wiatr, co przewiewa we wszystkich kierunkach, woda przezroczysta w wielkiéj karafce, i chléb.....

Co to za wyśmienita rzecz, chléb! chléb biały, dobrze wyrobiony, pulchny, z swą skórką złotawą, swoim miękiszem dziurkowatym.

Bracie Aleksy, chléb którym mię traktujesz, okupuje twój akcent gaskoński i Bóg cię wynagrodzi, tam w górze, za szczęście, którego mi tutaj udzielasz.

— Siostrzyczko, dla czego każą nam mówić codzień: *Boże, chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj*, czemu nie: *na cały tydzień?*

— Dla tego, mój braciszku, że tym sposobem zawsze jest *świeży*.

W sześciu leciech można mieć niekiedy gienjusz, nadewszystko kiedy się zapina wielką ilością szpilek.

Wprawdzie, dobra to rzecz pieszczota matki, pocałunek przyjaciela, ściśnienie ręki braterskie; ale wyborna takoż chléb świeży po żegludze długiéj i przykréj! Chléb świeży, woda czysta, nie znam nad to lepszéj nagrody za niebezpieczeństwa morskiéj podróży.

Podano nam, zdaje mi się, jajka, szynkę, kurczę i banany; ale co pamiętam jeszcze dobrze dzisiaj, to że był tam chléb, chléb świeży, rozczyniony przez Aleksego, który jest sam z najlepszego gatunku ludzi, jakich kiedykolwiek znałem.

Aleksy wierzy w czyściec i w upiory: ja wierzę w brata Aleksego, który mię uraczył chlébem świeżym i wodą czystą.

Wierzę takoż w wielebnych Ojców Dordillon'a i Jana, których język jest poprawny, którzy przepowiadają swą naukę z tolerancją, i nie zrażają się niepowodzeniem swego apostolstwa.

Ale podczas śniadania, które każdy z nas chętnie przedłużał, cóż robi Francuz, co nas wprowadził? Oto puścił się on śmiało

w drogę i przyprowadził nam Mohanę, donosząc mu o przybyciu Króla Europejskiego.

Skłamałeś szalenie, synu Beocji! nie jestem bynajmniéj Królem.

Jakkolwiekbądź, oto mój kuzyn Mohana, odziany po Europejsku, ale boso, i wspaniale tatuowany, jeśli moje ręce mię nie mylą. Siada on obok mnie, pociera swoim nosem o mój, pije, jeszcze pije, i zaczynamy pogadankę.

Bo, macie wiedzieć, że Mohana pije wino, pije go wiele; piłby je ciągle, gdyby mógł, i byłoby to wielkie nieszczęście! gdyż każde jego upicie się jest zgubne dla jego poddanych, nędznik zabija wtedy z straszliwém okrucieństwem.

W swoim stanie normalnym, Mohana jest uposażony zdrowym rozsądkiem niepospolitym, i nie waha się stawić siebie wyżéj od nas, pod względem pojętności i odwagi, gdyż my, jak on powiada, potrzebujemy silnych pomocników dla wygrywania bitew. Bez waszych fuzij, waszych armat, waszych okopów i waszych koni, mówił daléj z ironją, żaden z was nie ujrzałby już swojego kraju. Wy macie więcéj głowy od nas, my mamy więcéj serca od was.

Mohana dziwi się, że my przybywamy do niego odziani, że żyjemy tam odziani, i że bawimy się tam, wówczas kiedy nie lubimy żadnego z owoców lub potraw, któremi Kanaki się karmią. Mohana dziwi się także, dla czego robimy tak szerokie drogi: można iść jeden za drugim, powiada, i uniknąć pracy niepotrzebnéj.

Mohana, jakkolwiek potężny, wierzy, że nie może bardziéj obrazić swojego wielkiego boga, jak mrówka nie obraża jego, Mohanę, gdy kąsa go w nogę: Bóg karze, dodał, ale się nie mści.

Mohana dowodzi upornie, że trzewiki przeszkadzają chodzeniu, i są dowodem tchórzostwa; kładzie je wszakże niekiedy, ale to dla upokorzenia nas.

Nie mogłem żadną miarą odkryć w zapytaniach lub odpowiedziach Mohany, czy czuł dla Francuzów, dzisiejszych swoich władzców, pogardę, czy też uwielbienie: kiedy chwali, to zawsze z powodu najdrobniejszych rzeczy; a kiedy staramy się obudzić jego po-

dziwienie dla niektórych najpiękniejszych naszych wynalazków, utrzymuje, że to nasza słabość, a nie nasz rozum wymyśliły je.

— Wy potrzebujecie zawsze pomocy obcych dla zwyciężania, mówił do mnie jeszcze wczoraj, przechodząc się ze mną po wybrzeżu zalewaném falami: z fuzjami, armatami, żywnością i okopami, mówił daléj, nie dozwolilibyśmy nikomu pobytu na naszéj wyspie. Wasza broń służy wam zdaleka, nasza ochrania nas zbliska: sądziłbym, że jesteście mężnymi tylko w pewnéj odległości od niebezpieczeństwa..... Nie odpowiadaj mi, dodał ściskając mię za rękę, i powiedz jednemu z twoich, najodważniejszemu, najsilniejszemu, żeby mię naśladował.

Natychmiast, rzucając się w paszczę bałwana ryczącego, zniknął i ukazał się w minutę późniéj na bałwanie odleglejszym; słyszałem jak walczył swojemi ramionami żylastemi przeciwko prądowi..... Mohana ujrzał był zdaleka łódkę pędzoną ku skałom; dognał ją, i dzięki jego pomocy, wyszła ona na otwarte morze. W godzinę późniéj przyszedł do mnie uśmiechając się i zapytując, czy byłem kontent z niego, oraz dla czego nie poszedłem za jego przykładem.

Mohana, jestto powierzchnia i natura jego kraju, tu dzika i surowa, tam rozkoszna i wesoła; jaśniejąca dzisiaj pod niebem pogodném, ciemna i groźna jutro pod deszczem ulewnym. Trzeba roztropnie wybierać dobrą chwilę, żeby się nie narazić na jaki przystęp gniewu Mohany, i los zapewne bardzo mi w tém posłużył, gdyż zawsze go znalazłem gotowym do zadośćuczynienia najmniejszéj mojéj chęci.

Dodam jeszcze, że nigdy nie chciał wierzyć w szczérość moich słów, kiedy mówiłem mu że nie umiém pływać; i dla tego, żeby sprawdzić ten fakt, zaprosił mię jednego wieczora na przejażdżkę w jego łódce. Przyjąłem zaprosiny z ufnością; ale zaledwośmy się oddalili na pięćdziesiąt sążni od brzegu, ten ladaco przechyla statek na bok, i zostawia mię na chwilę w wodzie, szamocącego się rękami i nogami..... W kilka minut potém, rozciągnięty na piasku, i z głową opartą na kolanach Mohany, który sam mię wydobył z wody, prosiłem go, że-

by drugi raz nie robił ze mną podobnéj próby: monarcha został przekonany.

Powiedziałem już o podziwianiu przez Mohanę małych rzeczy, dostępnych jego pojęciu, i o jego pogardzie dla tych, których nie pojmował istotnéj potrzeby..... Podziwia on korkociąg, igłę, nożyczki, nie rozumie ani grzebienia, ani brzytwy; wpadł w zachwycenie na widok zapałki chemicznéj, i woli sto razy bardziéj worek niżeli odzienie. Sztuki kuglarskie, które pokazywałem przed nim, u ojców, sprawiły mu zawrót głowy; zresztą, dał on mi dowód wysokiego szacunku, o czém wam muszę opowiedzieć, gdyż opisuję obyczaje Kanaków Taihahoi.

Noc nadeszła, noc zwrotnikowa, noc balsamiczna, z swemi woniami, swym łagodnym wietrzykiem i swą rozkoszną odrętwiałością. Wszedłem do domu jednego Hiszpana osiadłego w Nuhiva: tylkom co był wyssał *majore*, i wzywałem snu, który odemnie ucieka ciągle, od czasu kiedy moje oczy są bez spojrzenia, gdy posłyszałem osoby przechodzące koło mojego posłania.

— Kto tam? zapytałem wyciągając ręce, i strząsając tysiące mrówek przechodzących się po mnie.

— To Mohana, odpowiedział mi Hiszpan, to Mohana, jego żona, i jego bratanka, dziewczyna lat cztérnastu, która chce pana poznać.

— Bardzo im rad jestem; niech usiądą.

— Jużeśmy usiedli.

Po kilku grzecznościach z obu stron powiedzianych, Mohana oddalił się, uprowadzając z sobą swą żonę i zostawiając mi Moerę, od któréj czuć było oliwę kokosową na milę w około. Wyciągnąłem do niéj przyjaźnie rękę; cztéry drobne rączki wpadły do mojéj. Siostrzenica Hiszpana, od dziesięciu do jedénastu lat wieku, chciała także być ze mną. Byliśmyż tylko we trojgu?..... Wątpię o tém, zdawało mi się, że słyszę oddychającą inną osobę, i sądzę, że żona Francuza przepędziła noc w moim pokoju. Zresztą, udałem jakbym o tém nie wiedział.

Dwoje młodych dziewcząt, zapewne żebym nie zasnął, usiadło kolana przeciw kolanóm, w nogach mojego posłania; i wybijając takt za pomocą dwóch małych kawałków drzewa, wyciosanych w kształcie wrzeciona, zaczęły śpiewać, brzęczéć, wrzeszczéć, jęczéć arję tak jednostajną, tak ckliwą, tak bolesną, że cały mój systemat nerwowy został okropnie rozdrażniony.

Oto treść piosenki, którą Hiszpan przetłómaczył mi nazajutrz:

— Czy wierzysz w czarowników?

— Ja wierzę w czarowników.

— Czy jesteś pewną że są czarownicy?

— Ja jestem pewną że są czarownicy.

— Czy widziałaś ty czarowników?

— Ja nigdy nie widziałam czarowników.

— Czy czarownicy są bogowie, czy ludzie?

— Są ludźmi lub bogami, według woli.

— Dla czegoż stają się ludźmi, kiedy są bogami?

— Bo potrzeba burz powietrzu, nawalnic falom, namiętności sercom, i dla tego, że prędkobyśmy poumierali pod niebem zawsze błękitném, na morzu zawsze spokojném.

— A więc czarownicy są szczęśliwsi kiedy stają się ludźmi, niżeli kiedy pozostają bogami?

— Ty powiedziałaś.

— Opiewajmy czarowników.

Była druga godzina, owoce smolne nanizane na trzcinę drzewa zielonego, wsadzoną w ziemię, przestały się palić; i, jak śpiewy templarjuszów, *śpiewy ich ucichły*..... Ja pisałem i czekałem odwiedzin rannych.

Żona Mohany piérwsza przybyła, i zbliżając się na palcach swoich drobnych nóżek, pocałowała mię w czoło; potém, pieszczonym głosem, rzekła do mnie po francuzku: *Dobry dzień, bracie, dobry dzień.* Żona Mohany skłamała, nie jest ona moją siostrą: znieść nie mogę odoru oliwy kokosowéj; siostrzenica Hiszpana nie wysma-

rowała nią swoich włosów, ale pośpieszmy dodać, że to było ofiarą dla mnie uczynioną.

Zresztą, pożegnanie głowy wymazanéj oliwą niemniéj było serdeczne, i zdawało się że nie gniewała się bynajmniéj za pierwszeństwo okazywane przezemnie jéj przyjaciółce. Podarunek chustki fularowéj zaskarbił mi bardziéj jeszcze jéj względy.

Rana zadana miłości własnéj kobiécéj jest daleko trudniejszą u nas do uleczenia. Damy Paryża i jego okolic, powiedzcie same, czy tak nie jest?

Mohana ukazał się w kilka minut późniéj, przemówił do mnie kilkanaście słów przyjaznych, dotknął ręką plecionki, na któréj leżałem, potém zniknął, przyodzianym będąc tą razą tylko w swe wspaniałe tatuowanie. Wyglądał on na prawdziwego króla kanaka, a żona jego na prawdziwą królowę, gdyż rysunki na ich ciałach były przepyszne; mam je tu pod ręką, i każdy je podziwia.

Ale dla czego Mohana dotknął się plecionki z taką powagą? Chciałem o tém wiedziéć, i obróciłem się do Hiszpana, który strasznie się skrzywił, jak wnoszę z jego energicznych przekleństw.

— Ten człowiek, rzecze do mnie z największém oburzeniem i z junackiemi giestami, ten człowiek, senjorze, nie jest człowiekiem, nie jest nawet królem; to pożeracz wszystkiego, wydzierca wszystkiego, jestto ludojad, wampir, przepaść; ten człowiek pozrze kiedy nasze żony, nasze kokosy, nasze banany, nasze pola zasiane kartoflami, nasze domy, nasze wieprze; ten człowiek połknie wyspę i wszystkich jéj mieszkańców, bez najmniéjszéj niestrawności!.... Ach! zbrodniarz! ach! potępieniec!

— Cóż to takiego? co? uspokój się, mój chłopcze, i powiedz mi przyczynę tego złorzeczenia, które może na ciebie ściągnąć nieszczęście.

— Czyż tego nie uważałeś, senjorze, że ten antychryst dotknął się tylko co ręką i głową plecionki, na któréj pan spałeś?

— No, to i cóż?

— I cóż! od téj chwili plecionka do nas nie należy, nie możemy już jéj używać, potrzeba ją wrzucić w ogień, albo oddać jemu. Wolno nam ją spalić, rzucić jéj popioły na wiatr; ale ponieważ ten rozbojnik ma dobrą pamięć, przyjdzie jutro lub pojutrze i znowu zrobi toż samo.... A więc, niéma innéj rady jak oddać mu plecionkę *tabu*.

— A gdybyście jéj jeszcze używali?

— Miałby wtedy prawo upiec nas całkiem żywych i zjeść.

— Czy to głowa jego uświęciła plecionkę?

— Najprzód ręka, potém głowa. Przed kilku miesiącami, jeden Kapitan Amerykański śmiał dotknąć się włosów Mohany; téjże saméj chwili ten ostatni zabił go, dał jego tułów dwom swoim wodzom, a dla siebie zachował głowę; zjadł oczy, nos, język, mózg z rozkoszą ludożercy, i kiedy pan będziesz u niego, zobaczysz jeszcze tę okropną zdobycz zawieszoną nad jego królewskiém łożem.

— Ależ, u ojców, ja sam dotknąłem się jego głowy, a przecież żyję jeszcze.

— Żyjesz pan, bo powiedziałem mu, że jesteś królem tak jak i on, a do tego jesteś ślepym.

— Wyśmienicie! Otoż moja ślepota zbawia mię od stosu, czy od rożna, oraz od zębów Mohany. Dzięki ciemnościom!

— Wiész pan, że ojcowie go byli nawrócili. Mohana, sam nie wiedząc dla czego, zgodził się był zostać Chrześcjaninem: była to wielka radość dla nas. Ale gdy powiedziano mu, żeby schylił głowę dla polania jéj wodą święconą, gniew jego wybuchnął, rzucił w morze naczynie święte, i omal co nie wydał nam na nowo wojny. Ale daruj, Senjorze Santjago, mówił daléj Hiszpan, zwijając plecionkę *tabu*, muszę mu odnieść co do niego należy, i prosić Boga, żeby nadal zachował mię od jego odwiedzin.

Bądźmy sprawiedliwymi nawet dla złych; Mohana zdjął *tabu* z plecionki tegoż wieczora i pożyczył mi jéj na noc, ale upomniał się o nią znowu przed wschodem słońca, i ona była mu oddaną.

Wieczorem, Mohana spotkał się ze mną, ze mną Santjago, monarchą takimże jak on. Jego Kanakska mość był podpiły, poznałem to zaraz z jego czkawki oddającéj winem i z jego porywczéj grzeczności, podobnéj do groźby.

— Głodny jestem, rzekł przystępując do mnie.

— Ręczę, że nie cierpisz pragnienia, odpowiedziałem mu.

— Nie zgadłeś; nic tak nie powiększa pragnienia jak napój; zdaje mi się że wypiłbym całą zatokę.

— Dla czegoż nie sprobujesz?

— Bo to nie jest ani wino, ani wódka.

Mohana w połowie pijany, jest tylko w połowie srogim; ale jeżeli uległ zupełnie w pojedynku z wódką, nie znam chałupy zdolnéj oprzeć się wstrząśnieniu jego ramion. W czasie naszéj krótkiéj przechadzki, ręka jego zerwała dwa dachy, a noga jego rozbiła trzy łódki. Co za noga! co za ręka!

— Dla czego dopuszczasz się tych gwałtów? rzekłem obracając się do niego, jak gdybym mógł zbadać jego fizjonomję.

— Ty nazywasz to gwałtami, odpowiedział mi, to są zabawki; widzisz że nie uderzam ani mężczyzn, ani kobiét; to co robię, uczy ich pracy.

— Ależ właśnie to pracę tych ludzi niweczysz; nie sądzę, żeby za to byli ci bardzo wdzięczni.

— Wdzięczność, to bojaźń..... Nigdy silny nie będzie wdzięczny dla słabego; a kiedy słaby jest wdzięcznym dla silnego, to dla tego że się boi.

— Przecież, Mohano, pamięć dobrodziejstw jest cnotą we wszystkich krajach.

— Nie rozumiem ciebie; ale w każdym razie, czyż te wszystkie stworzenia, co się poruszają koło mnie, nie obowiązane są względem mnie do wdzięczności? Mógłbym ich pozabijać, mam do tego prawo; jestem ich królem, ich królem samowładnym; mam zupełną władzę, nie używam jéj, oni żyją, jedzą, śpią.

— Mohano, zdaje mi się że nie mało zyskałbyś na tém, żebyś okazywał więcéj swą dobroć, niżeli potęgę: sprobuj tylko.

— Szalony jesteś, Europejczyku; gdybym chciał się uniżyć raz tylko, nie podnieśliby oni głowy dla spojrzenia na mnie i byłbym zgubiony.

— Poszedłbym o zakład, że nie śmiałbyś tego powiedzieć przy nich.

— Gdyby mi te słowa wymknęły się, zadałbym im zaraz fałsz najoczewistszy, i biada tym, którychby mogła dosięgnąć moja ręka, i moja laska królewska!

— A mnie czybyś przebaczył? rzekłem biorąc go pod rękę, którąm był opuścił.

Mohana usiadł nic mi nie odpowiedziawszy; potém wskazał mi miejsce obok siebie i zasnął wkrótce snem głębokim. Nie był to sen lwa, ale tygrysa; palce jego drżały konwulsyjnie, usta drgały, wydawał dźwięki chrapliwe i podziemne, które zdawały się wydobywać z piersi spiżowych.

Czy to kiedy śpi, czy kiedy czuwa, Mohana zdaje mi się być godnym Królem tych ludów, które wyżéj cenią siłę muszkułów nad pojętność, i odwagę nad ludzkość; nie pojmują oni Króla przebaczającego winnemu. Kiedy wyrok wydany, bądźcie pewni, że spełnienie jego nastąpi.

Wiedziałem nadto, że Mohana widział Europę, że był w Anglji, i że tchnął ku obywatelom Wielkiéj Brytanji nienawiścią nieubłaganą. Tam, w Londynie, ci którzy go sprowadzili, przedstawiali go wszędzie jak zwierzę drapieżne, jak rzecz ciekawą, i on okropnie cierpiał z powodu tego produkowania codziennego, przeciw któremu napróżnoby się wtedy opierał.

Po jego przebudzeniu się, napomknąłem o jego podróży; ale, po kilku słowach, postrzegłem że nie należało mi posuwać się daléj. Nigdy tygrys nie zaryczał groźniejszym sposobem. Wziąłem to sobie za przestrogę.

Chcecie mieć jeszcze rys życia tego Mohany, któremu przypatruję się z pewnym rodzajem przerażenia? Słuchajcie: to krótkie, ale stanowcze.

Opé-Wahiné, wódz naczelny Akapuasów, nie przestawał okazywać się nieprzyjaznym względem naszych zamiarów kolonizacji, i przyjmował z nadzwyczajnym wstrętem tych z naszych ziomków, których zajęcia naukowe lub wymagania służby sprowadziły do jego okręgu.

Po wielekroć już dowódzca osady skarżył się na jego złe chęci, ale Opé-Wahiné nie zwracał najmniejszéj uwagi na nasze upomnienia i groźby, i odpowiadał urzędowym posłańcom, że powinni zajmować się własnemi sprawami.

Należało skończyć z tym śmiałkiem, i pewnego poranku, dwóch kurjerów przyniosło mu rozkaz stawienia się w obozie.

— Czego oni chcą odemnie? zapytał Opé-Wahiné tonem stanowczym.

— Powiedzą ci to, gdy dopełnisz rozkazu.

— W takim razie, nie powiedzą mi nigdy; gdyż najpewniéj nie dopełnię go.

— Strzeż się, nasze kule szybko lecą.

— Moje maczugi są twardsze od waszych czaszek.

— To twoja ostatnia odpowiedź?

— Ostatnia.

— Bywaj zdrów.

Licząc na roztropniejsze postanowienie, dowódzca w Taihahoe posłał nowych wysłańców do Opé-Wahiné, który nie lepiéj ich przyjął jak poprzedzających, i których odwaga tylko wyratowała z rozstawionych na nich sieci.

Wojna więc była bliską wybuchnienia; Mohana był o tém uprzedzony. Przybył do naszego obozu i oświadczył, że gdy otrzyma od nas upoważnienie słowne, potrafi sprowadzić do nas Opé-Wahiné.... Propozycja jego przyjętą została z wdzięcznością, i Mohana wyruszył, uzbrojony tylko w swą fuzję i swą odwagę.

— Po co tu przyszedłeś? zapytał go Opé-Wahiné, który w téj chwili siedział skurczony na piasku nadbrzeżnym, daleko od swéj chałupy.

— Przynoszę ci rozkazy Francuzów.

— Nie wiedziałem, że król kanak może się stać kurjerem; czyż Mohana zrzekł się swéj władzy?

— Mohana jest w téj chwili posłańcem pokoju; przynosi ci żądania swych sprzymierzeńców: dla czego nie chcesz im być posłusznym?

— A dla czego ty im jesteś posłusznym?

— Obchodzę się z nimi jak równy z równym.

— Mohano, wkrótce oni cię zdepczą.

— Czy sądzisz, że to tak łatwo? Czy sądzisz że przestałem być królem, dla tego że jestem ich przyjacielem?

— Nieinaczéj, Mohano, tak sądzę; ale ponieważ prosisz mię z taką natarczywością, udam się z tobą do Toihahoe. Chodź, pójdziemy razem do mojego domu.

— Bardzo chętnie, idźmy obok.

Mohana utrzymuje teraz, że Opé-Wahiné chciał nań zastawić sidła, i kazać go zamordować po przybyciu do wioski. Jestto tylko przypuszczenie; dowodów brakuje Mohanie, i według nas, jest to król-zbójca.

On i Opé-Wahiné przybyli do ścieżki, która jednemu tylko dozwalała przejścia; zmuszeni więc byli iść jeden za drugim. Mohana pozostał z tyłu, i wziąwszy Opé-Wahiné na cel, rozciągnął go martwym u nóg swoich.

— Oto jestem, rzekł do dowódzcy naszéj osady, z miną tryumfującą.

— Czyż Opé-Wahiné przybędzie wreszcie?

— Nie przybędzie, zabroniłem mu tego.

— Co przez to rozumiesz?

— Zabiłem go; szedł o cztéry kroki przedemną, a ja mierzę doskonale.

Cóż powiecie? co zrobiono dla ukarania tego czynu zbojeckiego? Oto zdjęto małą chorągiew powiewającą na domie Mohany, i pozbawiono go na kilka dni innych oznak jego dostojeństwa. Czyż to się nazywa wymierzeniem sprawiedliwości? Nie, zaiste. W Chinach, kiedy mandaryn wykroczył przeciw honorowi, odrywają mu guzik

od kapelusza, i tam czyn ten surowości uważany jest za bardziéj hańbiący jak uduszenie.

Ale tutaj, cóż obchodziło Mohanę, że mu zdjęto chorągiew, gdy nic nie utracił z swojéj władzy; gdy mógł chodzić sobie swobodnie; gdy mógł jeszcze probować swych kul na grzbiecie lub piersiach człowieka?

Zobaczycie, że prędzéj czy późniéj, ten czyn oburzający występnéj łaskawości wyda gorzkie owoce: Mohana da się jeszcze we znaki, i będzie dużo krwi rozlanéj pomiędzy jego domem i cytadellą, z któréj poszlą mu rozkazy..... Miejcie się na ostrożności.

Nie pierwiéj dowiedziałem się o główniejszych szczegółach życia tego zbójcy, jak w Papeete. Gdybym o nich wcześniéj wiedział, sądzę że mielibyśmy z sobą jaką ważną rozprawę, jakkolwiek jestem ślepym, jakkolwiek on jest królem.

Ojciec Dordillon zostaje w ścisłéj przyjaźni z Mohaną, brat Aleksy służy mu u stołu z wielkiém nadskakiwaniem..... Cóż chcecie? musiałem z nim także być grzecznym.

Nie mogłem poznać bliżéj, jak tego żądałem, téj postaci króla, pod którym drży Nuhiva dzika; a jednak z ludźmi takimi jak ten, którego podałem niektóre rysy, nic ważniejszego nie może uniknąć wzroku badacza, jakkolwiek krótkie będą chwile, które przepędził na zgłębianiu go.

Cechą panującą tego ludu, wówczas kiedy zostaje w zetknięciu z nami, jest obłuda. Jak tylko jesteś o tém uprzedzony, bierz na odwrót wszystkie ich słowa, a dowiesz się prawdy. Biada ci, jeśli zrobisz najmniejsze ustępstwo! Uważają oni to za tchórzliwość; stają się wtedy zuchwałymi, i kula jedna zdoła naówczas zapewnić wygranę twojéj logice poczciwego człowieka.

Mohana jednak zdawał się mi być śmielszym, otwartszym, w swych czynnościach, niżeli w swych słowach. Poskromił on Kanaków, swych najsroższych nieprzyjaciół, i odtąd uważa się za niezwyciężonego.

— Cobyś robił, zapytałem go wczoraj, żebyśmy ci wypowiedzieli wojnę?

— Pozabijałbym was, pozjadał.

— Wiész, że nie zabijają nas, skoro zechcą.

— Wiém, że strzelamy dość celnie, że kule przebijają równie wasze ciała jak nasze, i że jeśli wy macie wasze cytadelle do obrony, my mamy nasze lasy i nasze góry, dokąd nie śmiecie nas ścigać. Mięso białych wyborne, dodał z giestem dobitnym żarłoczności; wierzcie mi, pzoostańmy przyjaciółmi, nie obudzajcie w nas znowu apetytu. Można prędko sprzykrzyć sobie banany, kiedy jest do jedzenia ciało chrześcjańskie.

Chciałbym widziéć fizjonomję Mohany, kiedy mówił te słowa energiczne; musiała być powabną jak anioła Albana.

— Co wolisz, zapytałem Mohany dość nierozważnie, czy ciało mężczyzny, czy kobiéty?

— Nie jadłem nigdy ciała kobiéty, odpowiedział mi po chwili namysłu, podczas któréj, bezwątpienia, przywoływał na pamięć swą przeszłość.

— Czy ciało mężczyzny, mówiłem daléj, znajdujesz lepszém od ciała dziécka?

— To zależy od mego apetytu.

Ta odpowiedź dana mi była tonem tak porywczym, tak dzikim, że nakazała milczenie mojéj zbytniéj ciekawości, i opuściłem Mohanę z zamiarem nie spotykania się z nim więcéj.

Nie wiém, może się mylę, ale zdaje mi się, że ten człowiek będzie kiedy zgubnym dla naszéj osady. Zwycięzca Happasów i Mitokasów, może ich wciągnąć do spółki, i jak sęp napaść znienacka na naszych ludzi.

Należy pilnie czuwać nad nim, śledzić wszystkie jego kroki, upajać go niekiedy, często nawet, żeby się wywiedziéć o jego zamiarach; albo, powtarzam, strumień krwi wskaże nowym przybyszom drogę prowadzącą z Taihahoe do mieszkania Mohany.

Przeszłość jest prorokiem przyszłości.

Jeśli nalewasz napój Mohanie Markizów, nie przestawaj na małém, nalewaj jeszcze, nalewaj ciągle, ludzkość ci to nakazuje. Im więcéj przelejesz trunku z baryłki do dzbana, (dzbanem nazywam Mo-

hanę), tém więcéj nabyłeś praw do wdzięczności jego poddanych, gdyż wściekłość Monarchy tatuowanego wybucha w stosunku odwrotnym ilości użytego trunku. Reguła ogólna: Mohana wesoły, dwaj mężczyzni i jedna kobiéta zamordowana; Mohana podpiły, jeden mężczyzna i jedna kobiéta leżą bez życia na wybrzeżu; Mohana zupełnie pijany, mieszkańcy Nuhiwy swobodniéj oddychają, bezwładność Mohany wybawia ich od śmierci.....

Wiedz, Mohano, że pogardzam tobą więcéj jeszcze niżeli cię nienawidzę; gdyż byłeś pomiędzy nami, zachwyciłeś naszéj cywilizacji, i jestem pewny, że masz poczucie twych zbrodni.

Ale opuszczam cię dla drugiego człowieka; ten drugi jestto twój współzawodnik.

Przypatrzmy się mu.....

Zresztą, nie sądź bynajmniéj, żeby Mohana był złym człowiekiem, żeby miał serce pełne jadu; Mohana nie zabija nigdy z nienawiści, albo z gniewu, ale przez rozrywkę, przez zabawkę; zabija jak dziécko ciska kamykiem płaskim po powierzchni wód, jak mała dziewczynka rzuca w dal swój obręcz, jak my ścinamy kłosy lub osty znajdujące się przy drodze..... Ot i wszystko; nie należy szkalować Mohany.

Naprzykład, zabija on też niekiedy Francuza, Anglika, Hiszpana, ale tylko..... kiedy czuje głód, albo kiedy chce wzbudzić w sobie apetyt.

Czyż to jego wina, powiedzcie, jeśli jego żołądek wymaga nieco pożywienia? W istocie, my nie pojmujemy Mohany, kiedy rzucamy na niego naganę, albo ciskamy przekleństwo na naturę tak uprzywilejowaną.

Kiedy Mohana, tak słodkiéj pamięci, roztrzaskał czaszkę i rozciągnął martwym człowieka na wybrzeżu, obmywa swoją pałkę, będącą oznaką jego godności, albo oblizuje ją..... Gdzież znajdziesz podobnie wyszukaną czystość?....

W braku essencij i perfum, Mohana, król Markizów, ma krew dla obmycia swych rąk.

Niémasz na całym Archipelagu ani jednego fabrykanta wody kolońskiéj, i wy sami winni jesteście obrazy ludzkości, że się nie osiedlicie w głębi zatoki Taihahoi, piętrzącéj się falami.

Jedna jeszcze rzecz mię zadziwia i oburza: to że istoty podobne do Mohany zwrotnikowego, znajdują mężczyzn dla uprzyjemnienia swych dni, i kobiéty dla uciech swoich nocy. To dla tego, że żadne ramię się nie podniesie, żadna maczuga nie świśnie w powietrzu dla wstrzymania zapędu tych ludożerców.

U nas, ludzi ucywilizowanych, skoro niedźwiedzie zejdą z gór i zagrożą naszym mieszkańcom, skoro wilki zgłodniałe rzucą się na nasze owczarnie, uzbrajamy się na prędce, ścigamy nieprzyjaciela, dajemy do niego ognia, rozpędzamy ich, zabijamy, sądzimy, że dopełniliśmy swéj powinności.

Tu, Mohana nieszczęsny wychodzi z swego mieszkania, jest na czczo, znajduje na doręczu, jak ściągnąć swoją laską zwierzchniczą, młodą dziewczynę uśpioną w cieniu bananu..... Mohana obiaduje, i młoda dziewczyna przechodzi z jednego snu w drugi, a ojciec jéj nie śmie się zapytać: gdzie się podziały jéj kości, albo kto je obnażył z ich ciała?

PACOCO, (PAKOKO).

Portret tego wielkiego Króla. Historja dwóch Amerykanów. Gościnność Pacoco. Pacoco i Porucznik Amalric. Sąd i egzekucja. Pacoco bóg i nieśmiertelny.

—

Po lwie, tygrys; po pile (1) rekin; po orle, sęp; po Mohanie, Pacoco!

---

(1) *Piła morska*, ryba.

Prawie zawsze obok najmocniejszego najokrutniejszy; i jeśli poradzimy się nieco naszéj pamięci, znajdziemy może w naszych wspomnieniach nie jednego z książąt, monarchów lub samowładców, których piérwsi ministrowie okryli niesławą lub zgubili.

Ale zapomnijmy na chwilę starą Europę i stare dzieje, żeby się oddać całkiem poważnéj nauce człowieka, którego całe życie jest napiętnowane śladami krwi, i którego musieliśmy wstrzymać w jego ludożerskim zapędzie.

Wiele już pisano o Pacoco; ale nie powiedziano wszystkiego, nie śmiano wszystkiego powiedzieć; ja powiem wszystko, choćbym miał przez to wam niepodobać się, niepodobać się temu, lub owemu, którego milczenia nie pochwalam, ani też potępiam.

Wziąłem sobie za powinność myśleć głośno z moimi czytelnikami, dotrzymuję słowa. Uprzedzam tylko, że jeśli kto poda w wątpliwość moje słowa prawdomówne, jestem dość zaopatrzony w dowody niezbite, żeby się wahać wstąpić w szranki..... Ostrzegam was.

Ten Pacoco, którego wkrótce tragiczną śmierć wam opiszę, ma prawo do kilku stronnic więcéj niżeli niektóre inne osoby, co występują w mojéj galerji historycznéj.

Pacoco nie umarł dla Nukahiwjanów, on panuje nad nimi, unosi się nad nimi, żyje w nich..... Jeśli fala ryczy, to ręka Pacoco ją podnosi; jeśli grom się rozlega, to głos Pacoco odzywa się w przestrzeni; jeśli piorun uderza, zabija i pali, to pocisk Pacoco przerzyna powietrze i karze buntownika: Pacoco może łatwo zburzyć to co zbudował.

Jestto istnienie dziwnym sposobem zapełnione, istnienie tego człowieka—boga, zawsze stojącego na wyspie z lawy, skąd kréślę te wyrazy przy odgłosie fal pieniących się u stóp moich z straszliwym łoskotem.

Zajmie ono mało miejsca w mojéj książce, ale także, jestem tego pewny, zajmie niejedną godzinę pośród waszych nocy bezsennych.

Obiecałem wam coś historycznego, macie to wypisane czerwonym atramentem.

Wypowiedzieliśmy wojnę jego krajowi, zawładaliśmy najpiękniejszą przystanią Nukahiwy; baszty zębate i opatrzone w działa ochraniały zdobycz; żołnierze zuchwali i zwycięzcy zniewieściali odzywali się słowy urągającemi i grozili każdemu wyspiarzowi, co śmiał mieć wolę.

Pacoco powstał przeciw temu pognębieniu; podniósł, jak mówi się u nas, chorągiew buntu, i ogłosił się naszym nieprzyjacielem.

Pacoco był naczelnikiem w Avaho, pięknéj zatoce, gdzie mieszkali ludzie dzicy i okrutni, prawie zawsze w wojnie z sąsiednimi mieszkańcami, i znajdujący upodobanie tylko w morderstwie i krwi rozlewie.

Krajowcy Nukahiwy i Avaho trafnie wybrali swego wodza, i ten okazał się godnym rozkazywania im. Gdy zbójcy z sobą się łączą, łączą się oni ściśléj niżeli ludzie poczciwi: tylko że tu stowarzyszenie wyspiarzy Avaho było w obyczajach, i wojownik, który przynosił do swéj osady głowę uciętą w zasadzce, miał prawo do jednego lub więcéj tatuowań na téj lub innéj części ciała i twarzy: szlachetny paszport, cecha męztwa, rosnąca razem z muszkułami, starzejąca z niemi, i zstępująca z niemi do grobu.

Pacoco był cały czarny od tatuowań; miał on je na powiekach, na ustach, na uszach, na języku, na paznokciach. Wszystkie części ciała Pacoco wykazywały męzką energję, budowę, któréj żadna boleść fizyczna nie mogła nadwerężyć.

W pięćdziesięciu leciech, starości dość późnéj na ten kraj, posiadał on jeszcze całą siłę męzkiego wieku. Nikt nadeń nie miał dumniejszéj postawy, śmielszego spojrzenia; nikt zręczniéj od niego nie kierował łódką pośród skał podwodnych; nikt nie właził z większą szybkością na drzewa kokosowe, nikt nie ucinał głowy z większą zręcznością..... Pacoco, jak widzicie, był człowiekiem doskonałym.

Miał jednakże wzrostu niewięcéj jak pięć stóp, dziewięć cali; barki jego były szérokie, włosy gęste, głowa proporcjonalna, ramiona muszkularne, cały tułów jakby jakiego gladjatora starożytnego. Aże ikry jego były potężne, i ręce mogły władać tylko maczugą pięćdziesięciofuntową, którą wywijał jak laseczką; że odległości równie go nie wstrzymywały jak niedogności drogi, uchodził w kraju za człowieka zgrabnego, dość silnego, i godnego we wszystkiém stanąć w obec nieprzyjaciela, który dla obrony potrzebował strzelb, armat i okopów.

Pacoco, ze swojéj strony, wiedział dobrze, że wart był czegoś; probował on niejednokrotnie sił swych przeciwko osobistym nieprzyjaciołom; i głowy zawieszone w jego chałupie, świadczyły o jego zręczności, sile i odwadze.

Wiém, że zarzucają mu najwięcéj kiedy pół tuzina morderstw podstępnych mężczyzn bez obrony, kobiét bez woli. Ale życie Pacoco nie zostanie splamione podobnemi grzeszkami, i dziejopis jego czynów opowie szczegóły tych scen krwawych, w skutku których wódz mieszkańców Avaho powiększył swą potęgę, i rozszerzył przestrach pomiędzy nieprzyjaciółmi; więcéj niczego on nie pragnął.

Chociaż lubił nadewszystko mięso ludzkie, kobiéce szczególniéj, Pacoco nie pogardzał owocami i zwierzętami kraju, i jego przyjaciele najpoufalsi i najwięcéj mu oddani przyznają, że nie miał nigdy niestrawności, tylko po uczcie z ciała ludzkiego. Powiedziałem już, był to baranek u swoich ten gruby tygrys, i Amalric był wielkim nędznikiem, że śmiał go potępić.

Opowiem wam niezwłocznie o tym Amalric'u, którego nazwiska ludzie uczciwi i prawi nie wspominają inaczéj jak z odkrytą głową.

Mówiono nieraz na Nukahiwie i Taiti, że Pacoco był prawdziwym zwierzem dzikim, któremu tygrys Bengalski mógłby pozazdrościć; jestto wielki błąd niektórych pisarzy nierozważnych, i, pewnego dnia, kiedy młoda dziewczyna zapaliła przez nieostrożność fajkę mężczyzny, tylko co niedarował jéj życia; ale szczęściem, rozwaga przy-

szła w kilka minut późniéj, i młoda zbrodniarka była w kawałki pociętą, żeby służyć za wieczerzę dla Pacoco.

Wprawdzie napoje gorące popychały niekiedy tego godnego wodza do czynów nagannych. Upijał się on niewięcéj jak dwa razy na tydzień; ale gdy jego upicie się trwało od trzydziestu sześciu do cztérdziestu godzin, nie mogę go pod tym względem, chcąc być bezstronnym Tacytem, usprawiedliwić, i spodziewam się, że mi przebaczą wykazanie téj nieregularności w życiu przezemnie rozbieraném. Moje pióro jest skalpelem, tnącym bez uszkodzenia zbytnie ciału.

Uderzeniem pięści Pacoco zabijał wołu, uderzeniem nogi wywracał chałupę, uderzeniem ramion obalał drzewo kokosowe; Pacoco był człowiekiem salonowym, jak rzadko.

Zresztą opisy opowiadacza mówią zawsze więcéj niżeli jego uwagi i jego filozofja; słuchajcie, to świéże i powabne.

Dwaj Amerykanie opuścili pewnego dnia swój okręt, który nie doczekawszy się ich, wypłynął na otwarte morze, poczytując ich za zbiegów. Pacoco mężny, prawy, grzeczny Pacoco, widząc ich smutnych na wybrzeżu, przyobiecał im swą opiekę wszechmocną, i posunął obowiązki gościnności aż do ofiarowania im dwóch posłań w swojéj wielkiéj chałupie.... Jak na dzikiego, zdaje mi się, to dosyć cywilizacji, i dla tego, wzruszeni i wdzięczni za postępowanie tak delikatne, Amerykanie przyjęli pomoc wszechmocnego wodza, postanowiwszy okazać mu późniéj swą wdzięczność.

Nic nie było zaniedbane przez Pacoco, żeby podać w zapomnienie cudzoziemcom ich przykre położenie; owoce najwyśmienitsze, ryby najdelikatniejsze podawane im były codziennie, i nasi biesiadnicy kładli się na najmiększych plecionkach monarszego mieszkania Jedném słowem, Pacoco zdawał się być miłosiernym jak drugi Wincenty à Paulo, o którym zapewne nigdy nie słyszał, i którego następnie nie mógł sobie wziąć za wzór.....

Rzeczy tedy były w tym stanie, i trwało to przez trzy miesiące prawie, a wspaniałomyślność tatuowanego monarchy bynajmniéj

się nie zmniejszała, kiedy pewnego poranku, ten ostatni ujrzał na wybrzeżu jednego z swoich nowych przybyszów.

— Kakoe (dobry dzień), rzekł do niego poufale monarcha.

— Kakoe, odpowiedział mu Amerykańczyk, powstając przez uszanowanie.

— Co tu robisz?

— Patrzałem w dal, czy nie obaczę jakiego okrętu.

— Czyż ci się naprzykrzyła Nukahiwa i moja przyjaźń?

— Nie, Pacoco; ale twe dobrodziejstwa mogą ci się kiedy sprzykrzyć, a co do nas, naszą powinnością jest czynić śluby, żebyśmy mogli kiedy oglądać naszą ojczyznę.

— Szaleńcy! rzekł do niego Pacoco tonem dumnym; ojczyzna jest tam, gdzie jesteś szczęśliwym; ojczyzną jest grunt, który ci daje najlepsze owoce, morze, które ci użycza najlepszych ryb, dom, gdzie znajdujesz najmiększe posłania..... Dla czegoż więc, mówił daléj z gwałtownością, opuściłeś to, co nazywasz ojczyzną? Bezwątpienia dla tego, że żyłeś tam w nędzy. A tu! na czémże ci brakuje? Pozwalam ci karmić się wieprzem czerwonym; moje żony są prawie twojemi; jesteś zapewniony o mojéj przyjaźni..... Widzisz, cudzoziemcze, jak jesteś niewdzięczny.

— Masz słuszność, Pacoco; ale wspomnienia młodości mają wiele mocy nad nami; wszelako będę się starał zapomnieć.

— To dobrze, ale ponieważ próżnowanie i brak ruchu są przeciwne szczęściu, chodź, mój przyjacielu. Oto tam idą ku nam dwaj moi podwładni wodzowie; umówiliśmy się z sobą zrobić wycieczkę na górę; chodź z nami, przechadzka i znużenie sprawią ci rozrywkę; spoczynek późniéj będzie przyjemniejszy, marzyć będziesz o gojawach, wieprzach, miękkich posłaniach i kobiétach.

— Dobrze, Pacoco.

Puszczono się w drogę; zaczęto włazić na górę; we dwie godziny wdrapano się na sam jéj szczyt czarny i obnażony, który panuje nad równiną i nad zatoką.

— Nieprawdaż, że stąd piękny widok? rzekł Pacoco do Amerykanina.

— Wspaniały.

— Nieprawdaż, że tu okiem tak daleko sięgać można, że mógłbyś prawie widzieć swą ojczyznę?

— Istotnie, Pacoco.

— Nieprawdaż, że ci zrobiłem przez to wielką przyjemność?

— O, zapewne.

— A więc! zawołał dziki prostując się i podnosząc głowę, te piękne rzeczy oglądasz już po raz ostatni; moi przyjaciele i ja mamy wielki apetyt, ty jesteś tłusty jak jeden z moich najlepszych wieprzaków; sprobujemy, czy jesteś równie kruchy jak one.

— Chcesz mnie przelęknąć, nieprawdaż?

— Mylisz się, i oto moja maczuga wypełni natychmiast swój obowiązek.

Maczuga świsnęła, roztrzaskała czaszkę i piérwsza uczta odbyła się. Pacoco i jego towarzysze znaleźli w istocie, że mięso wyborne; ale nazajutrz chcieli urozmaicić swe rozkosze, i upiekli pozostałe resztki Amerykanina. Pili z téjże saméj czary, to jest, czaszki ofiary, nieco prawda wyszczérbionéj, ale musiano na téj przestać, kiedy niemiano innéj pod ręką..... Nawet tutaj, książęta i król nie mogą mieć zawsze swych wygód.

Głód wypędza wilka z lasu; wilk Pacoco skończywszy ogryzać kości Amerykanina, zstąpił z góry z swojemi towarzyszami i udał się do swéj chałupy, gdzie znalazł przyjaciela swojego przyjaciela w wielkiéj niespokojności.

— Uspokój się, rzekł do niego Pacoco głosem pieszczonym, mój gość równie jest drogi dla mnie jak dla ciebie; chciał on mi towarzyszyć na wierzch góry, skąd płynie strumień przerzynający moję dolinę, i położenie miejsca tak mu się podobało, że prosił mię o pozwolenie zbudowania tam chałupy dla ciebie i dla siebie; nie mogłem mu tego odmówić, i kiedy chcesz zaprowadzę cię tam.

— Prowadź natychmiast, zawołał Amerykanin.

— Jestem zmordowany, odpowiedział Pacoco, spodziewam się że pozwolisz mi odpocząć.

— Jak chcesz, Pacoco, rzekł cudzoziemiec ściskając rękę swojego dobroczyńcy.

— Teraz, ruszajmy! rzekł wódz w kilka dni potém. Jestem głodny, będziemy śniadać na górze.

— Jestem gotów.

— I my także, rzekł Pacoco, który ruszył w drogę z swoimi dwoma wodzami, co mu towarzyszyli w piérwszéj jego wycieczce.

Skoro przybyli do źródła rzeki, Amerykanin bardzo już niespokojny, że nie widzi przynajmniéj chałupy, o któréj mu mówiono, zaczął wołać głośno na swojego przyjaciela.

— Chcesz co najprędzéj połączyć się z swym przyjacielem, rzekł do niego Pacoco z piekielnym uśmiechem; poczekaj, zaraz ci sprawię tę radość.

— Ale gdzież on jest?

— Zaraz będziesz wiedzieć, pójdziesz tą samą drogą co on; patrz.

— Boże! kości!

— Są to kości twojego przyjaciela, i mojego; to wszystko co pozostało po nim.

— Czyż się nie zlitujesz nademną?

— Tak, zlituję się odbierając ci życie jednym ciosem; widzisz jakem wspaniałomyślny.

Wiecie już, że groźba Pacoco nie była nigdy daremną; dzielny ten człowiek podjadł, dwaj jego towarzysze podawali mu najdelikatniejsze kawałki nieboszczyka; i jeśli będziesz w Nuhiwie, zobaczysz może jeszcze na szczycie góry, leżącéj na północ pięknéj doliny Avaho, kości zbielałe, jeśli wiatry od morza nie rozproszyły ich dotąd.... Pacoco zostawił tam swe ślady.

Gdyby ten wódz srogi dopuścił się był tylko tych przewinień, dosyć częstych w pięknym kraju, o którym mówimy, przyznaję że nie mielibyśmy prawa postępować z nim surowo. Nie mieliśmy posłannictwa zmieniać obyczaje mieszkańców Nuhiwy; dolina, gdzie panował Pacoco, nie należała do nas, rozporządzał on według woli życiem swych poddanych, wszyscy ulegali mu jak niewolnicy, wszyscy uważali go za swego pana samowładnego, postąpilibyśmy bardzo nie-

roztropnie, gdybyśmy chcieli co innego zrobić, jak wybudować kilka domów dla missjonarzy i dwóch lub trzech warowni, ochraniających naszą osadę.

Co nas może obchodzić interes ludzkości? Są to drobne wypadki, któremi niewarto się zaprzątać.

Tak więc Pacoco niemiał być ukarany jako zabójca dwóch ludzi, którzy pokładali w nim wiarę. Pozwolono mu, żeby swobodny i silny, rządził według swéj woli, i zobaczycie zaraz, co z tego wynikło.

Dowódzca bataljonu Amalric był kommendantem w Nuhiva, gdzie go kochano i poważano. Żyje on jeszcze, Bogu dzięki! i zostaje w dobrém zdrowiu. Jestto jeden z tych mężnych oficerów silnéj budowy, kochających swych żołnierzy jak się kocha swe dzieci, uprzedzających ich potrzeby, i karzących ich wtedy tylko, kiedy wymagania karności wojskowéj koniecznie mu to nakazywały. Położenie Amalric'a stawało się codzień trudniejszém: siły, któremi rozporządzał były bardzo szczupłe; nieprzyjaciele zewnątrz, a temi były Kanaki nieposkromione; nieprzyjaciele wewnątrz, to jest missjonarze nieposłuszni; musiał bronić się ze wszystkich stron; ale, jak wam powiedziałem, kochano go, szanowano, i to przywiązanie, które się posuwało aż do fanatyzmu, było jego najdzielniejszym puklerzem.

Silny, gdyż był sprawiedliwym; potężny, gdyż był ludzkim, Amalric pozwalał kobiétom sąsiednich okolic odwiedzać osadę, już ustaloną; ale, nieszczęściem, okoliczność jedna zepsuła dobre porozumienie panujące między Indjanami i nami.

Jeden Anglik, poławiacz wielorybów, wszedł do zatoki. Rozporządzenie, dobrze znane wszystkim, zabraniało kobiétom udawać się na pokład okrętów; ale, łakome niezmiernie, chciwe nowych wzruszeń, młode i stare puściły się na swych łódkach, wdrapały na pokład i oddały się swym rozpasanym żądzom. Napoje gorące dokonały reszty, i nie zdołam wam opisać niecnéj rozpusty tych bachantek po powrocie z wyprawy, przeciw któréj należało jawnie wystąpić w interesie obyczajów i przyszłości.

Ścisłe poszukiwania były nakazane, i winne, zamknięte w więzieniu, czekały tam dni kilka nim nie odzyskają straconego rozumu.

Pomiędzy niemi znajdywały się dwie krewne Pacoco, o które on napróżno upominał się. Indjanin, zapalony gniewem, przysiągł że się zemści, przysiągł to na swą ślinę zakopaną w ziemi, a wiecie już od Mohany, jaka to straszliwa przysięga.

Nasi żołnierze, uprzedzeni o tém, mieli się na ostrożności; nie wychodzili inaczéj jak dobrze uzbrojeni; nie śmieli oddalać się daleko od swych okopów, i ta bojaźń tak uzasadniona rzucała żałobną zasłonę na osadę.

Amalric pojął niebezpieczeństwo nagłego uderzenia, które mogło się nie udać; roztropność nakazywała mu wejść w układy, ażeby skutek był pewniejszy, uciekł się do Mohany, którego wpływ rozciągał się na całą wyspę.

Ten podjął się chętnie roli ambasadora, w nadziei, że wódka francuska wynagrodzi jego bezinteresowne usługi, i udał się do Pacoco, swego osobistego nieprzyjaciela.

— Podaję ci moję rękę prawą, rzekł doń wchodząc do jego chałupy, i przynoszę ci słowa przyjazne Francuzów.

— Słowa przyjazne tych ludzi, odpowiedział Pacoco głosem ponurym, są zdrady; uwierzę w nie wtedy, kiedy przestanę wierzyć w samego siebie.

— Cóż ci oni zrobili?

— Jedna rzecz tylko zadziwia mię i oburza więcéj, niżli to pytanie, to jest, że ono zadane mi przez ciebie.

— Nie powiedziałem ci, żebyś przyjął ich propozycje na ślepo; podaj warunki.

— A więc dobrze. Wódz francuski wrzucił do więzienia pewną liczbę kobiét kanakskich; niech mi da równą ilość mężczyzn, których zatrzymam jako więźniów i późniéj mu ich oddam.

— Żywych? zapytał Mohana tonem niewiary.

— To mnie wiedzieć, Mohano; oni mię obrazili, ja o tém pamiętam, i nie zapomnę tak łatwo.

— Strzeż się, Pacoco; kule Francuzów szybko lecą, i wiesz czy one celnie trafiają.

— W każdym razie, nie przedziurawią one mię z tyłu, odrzekł dziki z giestem gniew wyrażającym; powiedz Amalric'owi że czekam go.

— To twoje ostatnie słowo?

— Nie będziesz miał innego.

Nie podejmuję się opisać myśli, które miotały duszą Mohany, skoro się udał drogą ku warowniom. Ale nie popełnibym może wielkiego błędu przypuszczając, że był wielce zadowolony z energicznego oporu Pacoco; interes jego wymagał, żebyśmy mieli nieprzyjaciół do zwalczenia. Zwyciężcy i zwyciężeni zostaliby osłabieni w walce, i zbójca widział już przed sobą mniéj przeciwników.

Mohana miał w pogardzie Pacoco, którego spodziewał się łatwo zwalczyć, za podaną zręcznością; a więc rozbójnik życzył sobie w duszy, żeby pogardzany przezeń nieprzyjaciel był zwycięzcą w mającéj się rozpocząć walce. Mohana lękał się Francuzów, i łatwo pojąć, że był ich nieprzyjacielem, gdyż oni mu odjęli część jego potęgi.

Jednak, obłudny z interesu, powiedział kommendantowi Amalric'owi, że Pacoco odrzucał wszelką propozycję pokoju, i radził mu wystąpić z orężem w ręku przeciw temu strasznemu nieprzyjacielowi, przyrzekając mu swoją i swoich Kanaków pomoc.

Mężny dowódzca znał dobrze Mohanę i obyczaje kraju, żeby się dać powodować udzielanemi przezeń radami: przeto odpowiedział wodzowi dzikich, że się zastanowi nad środkami pozbycia się współzawodnika tak przeważnego jak Pacoco.

Nie tego chciało się Mohanie, skompromitowanemu niepowodzeniem swego posłannictwa; ale postanowił odzyskać straconą wziętość, i w tym celu, nędznik ten zaczął rozsiewać nasiona niezgody, wmawiając Francuzom że Pacoco myślał o ogólnym napadzie, a Pacocowi, że Francuzi przygotowywali się do obsaczenia go w jego zatoce.

Tak widzimy, strony nieprzyjazne były w gotowości, Francuzi i Kanaki mieli zakrwawić ziemię za pierwszém spotkaniem, i roztropny Amalric przedsięwziął środki dla ochronienia swoich żołnierzy od niebezpieczeństw wojny, którą uważał za zgubną dla swéj osady.

Rozkazy najsurowsze były wydane, żeby żaden żołnierz nie oddalał się ze stanowiska bez pozwolenia, i oznaczono granicę, któréj pod żadnym pozorem nie wolno było przekroczyć. Była to mała rzeczka odgraniczająca osadę, w któréj garnizon mył zwykle swoją bieliznę.

Starając się zawsze zwyciężyć swoją prawością nienawistne usposobienia Pacoco, Amalric kazał go uwiadomić o wydanym przez niego rozkazie, ale razem oświadczył chęć, żeby żaden z jego podwładnych nie wstępował na naszą ziemię; Pacoco obiecał to, pozostawiając sobie zapomnieć o danem słowie za piérwszą zręcznością. Łatwo się domyślić, że te układy nie bez wielkich trudności przyszły do skutku. Z jednéj strony, prawość; z drugiéj, wiarołomstwo.

Stan rzeczy stawał się coraz bardziéj zawikłanym. I podczas tego zawieszenia broni, w którém życie naszych żołnierzy było narażone na też same niebezpieczeństwa jak gdyby kroki nieprzyjacielskie były rozpoczęte, Mohana nie zostawał bezczynnym w swojéj chałupie; dla tego, sądzę, w brew nawet opinji P. Amalric'a, że nadewszystko podżeganiom to tego wodza należy przypisać potrójne morderstwo, które okryło żałobą osadę.

Jednego wieczora, zdobywszy się na odwagę, zacząłem z Mohaną rozmowę o Pacoco, jako o zbójcy, z którym nie można było inaczéj traktować jak za pośrednictwem kul.

— Usprawiedliwiaj ten wyrok jak chcesz, rzekł do mnie, ale jestem pewny, że w téj opłakanéj sprawie Francuzi byli najwinniejsi.

— Przecież, mówiłem daléj, Pacoco był zbójcą.

— Pacoco był człowiekiem odważnym, i zdoła ci tego dowieść.

— Alboż umarli mogą zmartwychwstać?

— *Umarli zmarli*, nie; ale *umarli żyjący*, mogą.

— Czyż Pacoco jest jednym z tych ostatnich?

— Bez żadnéj wątpliwości.

— Jeśli chcesz, Mohano, zaprowadzę cię na grób, co go w sobie zamyka.

— A ja cię na górę, co go ochrania.

— Widziałeś go tam?

— Tak, ja, oraz jego poddani, i ty kiedyś nie będziesz wątpił o tém.

— Jakim sposobem, ty, Mohano, który byłeś w Europie, możesz dawać wiarę tym śmiesznym baśniom twojego kraju? Kiedy nasze kule przebiją serca, te serca już nie biją.

— Nie mów tak o sercach Kanaków: my mamy dwoje żyć, my..... Nie zapominaj o tém.

Te ostatnie słowa były wyrzeczone z gwałtownością nacechowaną krwią. Przechadzki z konwojem, rondy bezustanne każdéj nocy, bicie na trwogę każdodzienne, mało żywności, słońce palące, żadnych wiadomości z kraju, wojna ustawiczna, wojna zacięta, z rozpryśnieniem mózgu za każdém uderzeniem maczugi, oto Nuhiva pod dowództwem odważnego Amalric'a; oto nasze bogactwa i nasza chwała na Oceanie Spokojnym.

Dwie mile gruntu suchego, niepłodnego, skalistego, gorącego w dotknięciu, zimnego na oko, zatokę zawsze pieniącą się, zawsze wzburzoną, wtenczas nawet, kiedy wiatru niéma i niebo pogodne.

Pomieść teraz Pacoco i Mohanę pośród tego obrazu, a będzie on zupełny.

Nie było więc nadto, jak widzimy, energicznéj pojętności jednego człowieka dla stawienia czoła wszystkim tym odczarowaniom, dla przezwyciężenia wszystkich tych biéd. Amalric, według nas, zasłużył się dobrze krajowi.

Ale przystąpmy do dramatu, który przyobiecaliśmy czytelnikowi i śledźmy powoli za jego rozwinięciem.

Wiecie już, że granice naszych wycieczek były dokładnie zakréślone przez roztropnego Amalric'a; wszelkie środki porządku i bezpie-

czeństwa zdawały się ochraniać życie naszych żołnierzy, tak wysoko cenione przez ich dowódzcę.

Pacoco czuwał z jednéj strony, my czuwaliśmy z drugiéj. Ale są nieroztropni, niekarni we wszystkich stronach, i zobaczycie zaraz, jak zgubne następstwo pociągnęło za sobą nieposłuszeństwo.

Powiedziałem już, że nie wolno było przekraczać małéj rzeczki, gdzie nasi żołnierze zwykli byli myć bieliznę; ale pewnego dnia, kilka niebezpiecznych napastniczek, młodych dziewcząt, ukazało się na stronie przeciwnéj rzeczki, i sześciu z naszych rzuciło się wpław, żeby odpowiedzieć przyjaznemu, według ich rozumienia, wezwaniu. Zaledwo zbliżyli się do syren, Nuhiwjanie, ukryci w zasadzce, rzucają się, chwytają naszych bezbronnych żołnierzy, zabijają ich i pożerają z wściekłością. Jeden tylko ratuje się ucieczką; wyborny pływacz, i dość oddalony zresztą od miejsca rzezi, dostaje się na drugi brzeg, i bez żadnego wytchnienia, przybiega donieść o klęsce.

Natychmiast Amalric rozkazuje swemu oddziałowi rzucić się do broni, z wielkiém zadowoleniem żołnierzy, chciwych odwetu; pluton przybywa nad rzeczkę..... Nic, nic, ani jednego nieprzyjaciela: mordercy i trupy poznikali. Jednak szukają jeszcze, postępują daléj; wszystko napróżno, ale od téj chwili, przytrzymanie i osądzenie Pacoc'a było rzeczą zdecydowaną. Amalric przedsiębrał środki surowości najbardziéj energiczne, wydawał rozkazy najsurowsze przeciwko obrońcom Pacoco. Dał wiedzieć temu wodzowi, że kiedy się nie uda sam do zatoki Taihahoe, potrafią go znaléść śród jego poddanych.

Pacoco nie raczył odpowiedzieć. Amalric zaczął mu tém więcéj grozić, i wysłał do niego kilku podrzędnych wodzów Nuhiwjan; ale zbójca był niezachwiany; mówił, że kiedy go przyjdą szukać w jego dolinie, długi strumień krwi wskaże drogę uciekającym Francuzom aż do ich osady.

Amalric nie był człowiekiem, coby się strwożył wszystkiemi temi przechwałkami: znał on męztwo osobiste Pacoc'a; wiedział o wpływie, jaki wywierał na swoich poddanych; przewidywał, że krew szlachetna popłynie jeszcze; ale powinność jego była dlań skazó-

wką, morderstwo musiało być ukarane: Pacoco powinien był przybyć, albo dolina Avaho miała zostać obszernym grobowcem.

Groźby Amalric'a okazywały się w czynach; jego bezustanna działalność, miłość sprawiedliwości nim władnąca, musiały wydać szczęśliwy skutek: jakoż wydały.

Obsaczony ze wszystkich stron i bliski wpadnienia w nasze ręce, Pacoco dał znać, że chce wejść w układy; Amalric kazał odpowiedzieć, że nie wchodzi w żadne układy ze zbójcą; że nakazuje mu udać się do obozu, i że tam tylko zgadza się wysłuchać go.

— Czy będę wolny? zapytał kommendanta.

— Będziesz wolny, odpowiedział mu Amalric.

— Jak się ze mną obejdziesz?

— Jeśli będziesz uznany za niewinnego przez sąd wojenny, który cię ma sądzić, zostaniesz odesłanym na swą dolinę; jeśli będziesz uznany za winnego, ulegniesz karze śmierci.

— W takim razie, jaki rodzaj śmierci mi zadasz?

— Pacoco, zdajesz się wątpić o dzielności naszych kul, przekonasz się, że one zabijają.

— Być może, Amalric'u, że one dają nowe życie.

— Przyjdź przekonać się.

Pacoco przyszedł w istocie. Zamknięto go w warowni, i badanie rozpoczęło się. Co zajmowało najwięcéj zbójcę, to sposób, w jaki egzekucja się odbędzie. Za nic w świecie nie chciał być powieszonym: ta śmierć zdawała mu się być ohydną, poniżającą; wiele mu na tém zależało, żeby jego ostatni dzień był godnym wodza, o czém bezustannie powtarzał żołnierzom, którzy go nie spuszczali z oka.

Zresztą, odwaga nie opuściła go na chwilę; nie odmawiał żadnéj z potraw, które mu były podawane do jedzenia, chociaż sądził, że one są zatrute.

— Wiém dobrze, mówił z dziwną krwią zimną, że połykam śmierć, ale dzisiaj czy jutro, kula czy trucizna, mniejsza o to! Podawajcie jeść.

Posiedzenie sądu zostało otwarte: Pacoco był tam wprowadzony

pod konwojem, ale bez łańcuchów; miał zdać sprawę z okropnéj rzezi, o którą go obwiniano.

Kommisja wojskowa, pod prezydencją Amalric'a miała go wysłuchać: dwaj tłómacze byli przytém obecni, JKs. Franciszek, biskup Basinilopolis, i Moto, krajowiec.

Piérwszy, jeden z tych godnych Apostołów, jeden z tych ludzi energicznych, religijnych i prawych, postępujących w życiu krokiem pewnym, widzących wszędzie tylko braci, goniących bezustannie za nieszczęściem, żeby się nad niém użalać i pocieszać je, i wierzących w Boga pokoju i miłosierdzia.

Drugi tłómacz był Kanak, poczciwy człowiek.... Lubo wyją z wilkami, wtedy nadewszystko kiedy chcą ich ugryźć.

Badanie było krótkie, treściwe; Pacoco stojąc z wachlarzem wodza w ręku, odpowiadał na wszystkie zapytania jak bohatér, jak dziki, jak zbójca.

— Oskarżony, twoje nazwisko?

— Pacoco.

— Twój wiek?

— Dzień, chwila; jestem tak młody, tak stary jak ty: czémże jest wiek w porównaniu do wieczności?

— Twój stan?

— Wódz doliny Avaho, gdzie powrócę kiedyś, skoro mój bóg, który nie jest twoim, rozkaże mi.

— Wiész, że jesteś oskarżony o zabójstwo pięciu Francuzów bezbronnych, których twoje kobiéty zwabiły na twą ziemię?

— Odpowiedziałem już na to oskarżenie tym, którzy przychodzili pytać się mię o to w twojém imieniu; nie zabiłem ich, ale jadłem, mało, bardzo mało, prawie nic; nie byli bardzo smaczni.

— Jeśli będziesz uznany za winnego, Pacoco, twoje przechwałki nie pomogą ci, dni twe policzone.

— Są one policzone przez mojego wielkiego boga, równie jak i twoje, przedtém nawet nim przyszliśmy na świat. Teraz, mów, o czém chcesz wiedzieć?

— Głowa jednego z naszych żołnierzy została znalezioną w *morai* Avaho na posągu twojego boga; a więc ty pochwaliłeś zabójstwo, jeśli sam go nie dokonałeś.

— Zrobiłem dar mojemu wielkiemu bogu, ot i wszystko.

— Nie, Paçoco, to nie wszystko. Wiémy jeszcze, że gałąź gojawu, którą zachowujesz nietkniętą w swéj chałupie, została złamaną przez ciebie dniem przed zabójstwem naszych nieszczęśliwych towarzyszów; a u was, jestto znak wypowiedzenia wojny. Czy prawda Pacoco?

— Prawda.

— A więc upoważniłeś rzeź?

— Wyciągaj z mojego czynu wnioski jakie chcesz; przychodząc tutaj, wiedziałem jaki mię los czeka, i widzisz, że pomimo to nie cofnąłem się.

— Dla tego, że ucieczka była niepodobną.

— Dla tego, że ucieczka moja byłaby hańbą, i że Kanaki moje mogliby powątpiewać o mojéj odwadze.

— Niémasz nic innego do powiedzenia na twe usprawiedliwienie?

— Czyż myślisz, że ja się usprawiedliwiałem?

— Pacoco, będziemy stanowić o twoim losie.

— Czém prędzéj, tém lepiéj.

Jednogłośnie Pacoco był skazany na karę śmierci. Wysłuchał swojego wyroku z bohatérską spokojnością; ukłonił się sędziom, prosił ich o pozwolenie ściśnienia im ręki, uśmiechnął się do nich tym uśmiechem Pacoc'a, który dreszczem przejmował, i udał się na miejsce kary. Prezydent powiedział mu, że pozwala appelować do trybunału wojskowego. «A to na co? odrzekł Pacoco, dwa wyroki równie mię nie usprawiedliwią jak jeden. Niechaj będzie temu koniec.»

Wspólnicy Pacoc'a, *Opite*, *Mohi*, *Tekiki*, *Uta*, byli skazani na wygnanie na jedną z pustych wysp Archipelagu. *Pakia* jeden, uznany za niewinnego, wypuszczony był na wolność, i otrzymał od

Amalric'a pyszne podarunki, które go wynagrodziły za czasowe uwięzienie i doznane trwogi.

Miejsce wybrane na egzekucję Pacoc'a był rów pomiędzy warownią i łazaretem. Wódz Kanaków udał się tam krokiem pewnym, i stając na dziesięć kroków od plótona złożonego z piętnastu ludzi, który nań oczekiwał, patrzał na żołnierzy okiem niezmrużoném. Prawie wszystkie kule trafiły..... Trup był pochowany o kilka kroków stamtąd.

Dzisiaj jeszcze, dzisiaj kiedy wzgórek pokrywający zwłoki Pacoc'a zrównał się z ziemią; dzisiaj, kiedy nasze panowanie nie jest już zaprzeczaném, nie przekonasz nigdy Kanaków, że kule francuskie zabiły ich znakomitego wodza.

Pacoco żyje zawsze, i jeżeli nie ukazuje się nam, to dla tego, że chce nas niespodzianie zdybać.

Prawdę powiedziawszy, wodzowie każdego okręgu utrzymują ich w téj wierze; wszyscy przysięgają jeszcze przez Pacoco, i dzień może niedaleki, w którym cień tego zbójcy będzie zgubnym dla naszych osadników, napadniętych znienacka.

Ta miłość Nuhiwjanów Avaho i prawie całego Archipelagu dla ich wodza, który zasłużył na podanie o nim niektórych szczegółów, nietylko jest religją, ale szałem, którego ostatni wybuch będzie rzezią Europejczyków, jeśli to będzie mogło im ujść bezkarnie. Pacoco rządzi jeszcze, Pacoco ciągle wpływ wywiera. Niémasz mieszkańca Nuhiwy, przybywającego ze środka wyspy, któryby go nie widział pomiędzy krzakami, pośrod skał, w głębi przepaści, na wierzchu drzew, nad obłokami nawet, potrząsającego swą laską wodza, ciskającego błyskawice i rzucającego przekleństwo na każdego, co się oświadcza być naszym przyjacielem.

ODWIEDZAM MOHANĘ.

Tjono służy mi za przewodnika. Wejście. Okropna uczta. Biorę w niéj udział. Matka Tjony.

—

Przechadzka będzie krótką i nużącą razem.

Chałupa, w któréj mieszkam, nie przedstawia mi nic ważnego do badania. Mohana nie przybędzie dzisiaj; małe Kanaki pląsają w wodzie, pomiędzy skałami podwodnemi; Francuz chrapie nielitościwie u stóp mojego posłania; żona Peruwjanina, młoda osoba lat piętnastu najwięcéj, zgadza się być moją przewodniczką, jeżeli dam jéj chustkę, albo ołówek..... Będzie miała chustkę; moje ołówki są moim majątkiem, muszę je dla siebie zachować.

— Gdzie chcesz iść, Atako?

— Gdzie będą drzewa, cień, chłodek.

— Wszystkiego tego jest potrochę po drugiéj stronie wyspy; ale ponieważ oddalasz się jutro, musisz zrzec się przyjemności, jakiéj odemnie żądasz, gdyż nie powrócimy pierwiéj aż po trzech słońcach.

— A więc prowadź mię gdzie chcesz Czy droga zła?

— Bardzo zła.

— Czy znajdziemy chałupy i łóżka wiszące?

— Tak, gdzie niegdzie, ale bardzo mało, ponieważ udamy się wewnątrz wyspy. Nam, Atako, potrzeba morza, morza z jego gniewami, z jego hukiem i groźbą. Morze uczy nas wojny, i nikt jeszcze nie przybył do nas, żeby nam przynieść pokój.

— Czyż raczéj nie wy to okazujecie się nieprzyjaciółmi każdego odwiedzającego?

— Jestemże twoją nieprzyjaciółką? Czyż odmawiam tobie cokolwiek, o co mię prosisz? Jeśli nasi bracia zjedzą niekiedy którego z białych, to dla tego, że są głodni.

— Czy jadłaś ich kiedy?

— Patrz, Atako, oto wielka chmura zakrywa słońce; ruszajmy; wkrótce dużo łez spadnie, nie będzie ci gorąco.

Wielka chmura odpowiedziała na me pytanie, i moja śliczna piętnastoletnia towarzyszka zdawała mi się być mniéj przyjemną w dotknięciu, niżeli przed pytaniem, na które jéj usta nie chciały odpowiedzieć. Nadto, przez ostrożność, opchałem ją ciasteczkami, i ruszyliśmy razem wesoło drogą w góry prowadzącą. Przez kwadrans prawie szliśmy wciąż przez zarośle gęste, wysokie, kolczaste, i nie pojmuję, jakim sposobem maleńkie nóżki mojéj przewodniczki nie były poszarpane przez kolce i suche gałęzie.

Tjono śpiewała, i ja, równie jak ona, czułem z przyjemnością ulewę zwrotnikową spadającą na moje ramiona. Zaczęliśmy wstępować na górę ścieżką wązką i wijącą się, według dziwacznych zakrętów nagich i urwistych skał, pomiędzy któremi przechodziła.

Co za natura tych młodych dziewcząt kanakskich, których przychodzimy szukać tak daleko od ojczyzny! Moja towarzyszka nadstawiała radośnie swój warkocz czarny i gęsty gwałtownéj ulewie, która przecież wyrywała wplecione weń kwiaty.

Na płaszczyźnie, do któréj dostaliśmy się w godzinę późniéj, chłód dojmujący dał się nam uczuć, i jak sądzę, ciepłomierz stustopniowy nie wskazywałby więcéj jak sześć stopni nad zero. Moja towarzyszka zdawała się cierpieć z tego powodu, gdyż zaczęła wybijać nogami jak koń tresowany, ale nie chciała się przyznać, i zaproponowała mi wstąpić na wierzchołek jeszcze wyższy.

Ruszyliśmy tedy, a podczas krótkiego odpoczynku, jakiego sobie dozwoliliśmy, zauważałem z przyjemnością, że mrówki nie były już naszemi zwykłemi gośćmi. Co do karaczanów, ukazywały się mi one w mglistém oddaleniu, i cieszyłem się również, że będę mógł zadrzemać, nie będąc niepokojonym od tych owadów, wygnanych z téj wysoko leżącéj krainy.

— Tu, blisko nas, dwie chałupy! rzekła moja towarzyszka, ściskając mię za rękę; chodźmy.

— Do kogo one należą? zapytałem.

— Do Mohany, odrzekła mi wesoło; daje nam znaki, żebyśmy się zbliżyli, pośpieszajmy.

Spodziewałem się że Mohana nie głodny, szedłem śmiało do niego.

— *Kahua tajo* (dobrydzień, przyjacielu), rzekł do mnie dziki wyspiarz, uderzając mię zlekka po ramieniu; usiądź na mojéj plecionce, będziemy jeść razem. Jest tam *majorè* dla twojego przewodnika.

Masz wiedzieć najprzód, czytelniku, że na Markizach, równie jak w nowéj Kaledonji, wyraz *tajo* nie jest tylko słowem, ale rzeczą, rzeczą poważną, wieleznaczącą, świętą. *Tajo* mężczyzny, czy kobiéty jest jego *alter ego*, więcéj jak brat, więcéj jak ojciec. Jeśli jesteś moim tajo, powinieneś rzucić się za mnie w przepaść, powinieneś bić się za mnie, służyć mi za puklerz śród niebezpieczeństwa, wyrwać mię, z narażeniem swojego życia, z pośród fal rozdąsanych, mających roztrzaskać mię o skały, i osłaniać mię swém ciałem na każdém miejscu, o każdéj godzinie.

Znałem wartość tego wyrazu w ustach Kanaków Nukahiwy; i dla tego, jak tylko uczułem że sen skleja moje powieki, myślałem o środkach obrony, jakich mógłbym użyć w razie napaści i zdrady.

Zadrzemałem jednakże; i, rzecz dziwna, wódz i jego dwaj podrzędni wodzowie, którzy usługiwali mu jak niewolnicy, nie przerywali moich marzeń niezupełnie wesołych. We dwie godziny późniéj, wstałem pełen rzezwości, i pozwoliłem sobie zrobić przegląd mieszkania królewskiego, nie zadając ani jednego pytania właścicielom miejsca.

Chałupa była kwadratową, zupełnie regularną, pokrytą trawą morską, i bez innego otworu jak drzwi, nie mające cztérech stóp wysokości. Na ścianie prawéj, obmacałem ręką kilka plecionek zwiniętych, dwie maczugi, z których jedna wyrzynana po obu końcach, druga zrobiona ze szczęki rekina, osadzonéj na rękojeści z twardego drzewa; widziałem podobne w Ombay świętokradzkiém.

Tuż obok maczug i na wysokość człowieka, dotknąłem się do czaszki obnażonéj, potém do drugiéj opatrzonéj we włosy, potém do trzeciéj, takoż z włosami, potém do czwartéj, wilgotnéj w dotknięciu. Zatrzymałem się; ale wyśmienity Mohana, który chciał mi oszczędzić daremnéj prawie fatygi, dokończył opowiadania, które moje ręce były rozpoczęły.

— Tutaj, rzekł do mnie, są trzy czaszki Kanaków, którzy wtargnęli gwałtem do mojego mieszkania; tam, dwie inne czaszki angielskie, w których znalazłem mózg bez żadnego smaku; tam daléj, dwie szczęki Hiszpanów, którzy wpadli do Taihahoe, żeby złupić nasze chałupy, a tam jeszcze inne czaszki z kraju, który znasz dobrze.

Noc zbliżała się..... nie dla mnie, niestety!.... napomknąłem o moim powrocie.

— Dla czegożbyś nie miał zostać na zawsze z nami? rzekł do mnie Mohana głosem łagodnym jak ryk tygrysa.

— Gdyż mam tam daleko ojczyznę, rodzinę, które chcę oglądać co najprędzéj.

— Nie potrzeba ich było opuszczać.

Te krótkie wyrazy wyrzeczone były tonem groźby przez bandytę, i miejsce mojéj czaszki zdawało mi się być oznaczone na ścianie domu królewskiego, honor nie lada, którego by mi jednakże, jak sądzę, niewielu pozazdrościło.

Mohana, dwaj podrzędni wodzowie i ja usiedliśmy do stołu, to jest, przysiedliśmy w kuczki na plecionce, w około wieprzaka prawie upieczonego, położonego na szerokim liściu bananu. Podczas uczty, zdawało mi się, że moi współbiesiadnicy rozmawiali z sobą po cichu, i z wielką starannością wybierali kawałki dla mnie; nie potrzeba było więcéj, żeby mi odjąć apetyt, i dla tego ledwo się dotknąłem zastawionego mi jadła; piłem wodę, dzicy łykali *namu* (wódkę) pełnemi haustami; uważałem za rzecz przyzwoitą wstać od stołu i prosiłem wodza, żeby mi oddał mojego przewodnika, dla odprowadzenia mię nazad.

— Czy nie przyjmiesz pomocy jednego z moich oficerów? rzekł do mnie Mohana.

— Chętniebym ją przyjął, odpowiedziałem, ale lękam się, żeby nie był trochę za słaby w nogach; wolę raczéj moję małą Kanaczkę, zawołaj ją.

— Ona już nie przyjdzie.

Zląkłem się.

— Dla czegożby nie miała przyjść, kiedy ty jéj rozkażesz?

— Gdyż ona mię nie posłyszy.

— A więc ona jest stąd daleko?

— Tak i nie.

Dreszcz przeszedł po mnie; zamilkłem, nie śmiałem już więcéj pytać.

— Mohano, rzekłem w kilka minut późniéj z oznaką gniewu, którego mi niepodobna było powściągnąć, chcę mojéj przewodniczki, nie oddalę się bez niéj, i jeśli mi tego odmówisz, nie zasługujesz na tytuł *tajo*, którego mi udzieliłeś.

— *Tajo*, odpowiedział mi dziki, jest ten, który nie pożera swojego *tajo*. Przeciwnie, prawdziwy *tajo* jest ten, który daje swojemu tajo najdelikatniejszą plecionkę swéj chałupy, najlepszy kawałek wieprzowiny lub człowieka, którego zabił. Czyż jesteś niezadowolony z uczty Mohany?

Nic na to nieodpowiedziałem; a czując obok siebie obecność jednego z współbiesiadników, wziąłem go pod rękę i prosiłem, żeby mi służył za przewodnika, polecając młodą Kanaczkę opiece Mohany.

— Idź, bądź spokojnym, rzekł do mnie monarcha, twoja protegowana niéma się czego lękać; do zobaczenia, tajo.

Żołądek mój nie strawił obiadu Mohany; zstąpiłem z góry już to na nogach, już na czworakach, już tocząc się z poszarpaniem moich członków; a nazajutrz poszedłem do matki młodéj Kanaczki dowiedzieć się, co się stało z jéj córką.

— Jest ona tam wysoko, odpowiedziała mi głosem zupełnie spokojnym.

— Z Mohaną? zapytałem.

— Tak, z nim, i daleko jeszcze wyżéj; ona się przechadza po obłokach.

— Jakto! ty wiedziałaś o tém, kiedy się ona odprawiała?

— Bezwątpienia, Mohana potrzebował jéj u mnie.

Mamy misjonarzy w Nukahiwa; ojcowie Dordillon, Jan i brat Aleksy każą przy huku fal Taihahoe. Nie dziw więc, że ich ewangeliczne słowa nie są słyszane!

CHLOR.

Obrzędy pogrzebowe. Nadużycie oliwy kokosowéj. Zajęcia córki zmarłego. Groby na powietrzu.

Chlor wszędzie, na ziemi, w powietrzu, na twojém odzieniu; operacja ma się rozpocząć. Bądź przy tém, gdyż ja miałem tę odwagę; może, zresztą, nie jestto tak posępne, tak przerażające, jak ci z początku zapowiedziałem.

Przed pięcią minutami, byłto człowiek; teraz, jestto rzecz jakaś.

Oto chałupa: śpiewają w niéj, tańczą, śmieją się, płaczą w równoodległych przerwach; jedzą tam, piją.

Jeszcze jedna radość nawiedziła mieszkanie: jestto tylko początek; reszta pójdzie swoim porządkiem.

Jeśli jesteś jednym z uprzywilejowanych, z przyjaciół rodziny, korzystaj ze szczęśliwéj pory: drzwi otwarte, możesz wejść; zaraz zacznie się obrzęd, przypatrzmy się mu pilnie.

Rzecz, o któréj ci wspomniałem, leży na plecionce; podnoszą głowę, opierają ją na kolanach, na kolanach czy to małżonki, czy

matki, czy córki; trzymają ją tak, gdy tymczasem inna osoba naciera ją suto oliwą kokosową. Ręce rozcierają, rozcierają ciągle, równają masę rozlaną płynu, wpuszczają go delikatnie w nozdrza, pod powieki wpół otwarte, w uszy i gębę, któréj zęby roztwierają za pomocą kości lub drzewa, wyciętego w kształcie nożyczek. To początek ubrania; zajęło ono godzinę najwięcéj. Po głowie nacierają szyję; po szyi, tułów..... I tak porządkiem aż do nóg, które podlegają takiemuż tarciu i które obracają z całą *machiną*, żeby każda część otrzymała namaszczenie kokosowe.

Nie zapominaj, proszę, że żyjemy i umieramy tutaj pod słońcem zwrotnikowém, które nie dozwala, żeby najmniejszy powiew wiatru oczyścił powietrze, zarażone śród tych uroczystości familijnych, gdzie serce, jak widzisz, ma tak wielki udział.

Trzy dni i trzy nocy przeszły nad tém, co było człowiekiem, a to ciało jednakże nie stężało bynajmniéj; dzięki opiekuńczéj oliwie, jest ono jeszcze miękkie, i zobaczysz zaraz nową próbę, któréj poddane zostanie. Znają w Nuhiwie środki przedłużania wzruszeń. Oto deska, tarcica gruba na trzy cale; może ona łatwo dźwigać na sobie ciężar. Oto druga, obrobiona jak piérwsza; ciało kładzie się między te dwie deski, wstępują na wierzch, biją nogami; mocne sznury z bananu czy baurao, ciągnione z całéj siły, ściskają trupa, gniotą go, spłaszczają, czynią z niego pewien rodzaj ciasta ludzkiego, szérokiego, mastkiego, gdzie znaczne nieco oczy, nos, ramiona, ale gdzie wszystko zaczyna się rozkładać.....

Jeszcze trzy dni pod témże słońcem, z tąż wysoką temperaturą, a niewiém, jakim sposobem nie znajdzie się więcéj trupów w chałupie.

Na ciebie koléj teraz, córko zmarłego; masz w ręku széroką skorupę, wykrojoną w kształcie strychulca; skrobaj, skrobaj ciągle, porządnie, symetrycznie, w pewnéj mierze.

Najprzód, pojmujesz to dobrze, powłoka oliwy znika; późniéj po kolei zdziera się skóra, następnie dostaje się do mięsa. Wtedy dosyć, nie skrobie się już więcéj. I zawsze to słońce, i zawsze śmierć

dybiąca na swe ofiary! Ale czegoż potrzeba, żeby operatorowie się zatrzymali? Potrzeba jednéj tylko, bardzo prostéj rzeczy, rzeczy, którą przywiązanie najżywsze mogło tylko wymyślić; oto potrzeba, żeby skrobanie oddzieliło głowę od reszty ciała, i kiedy ten kléj z ciała miesionego raz i drugi, może się podawać z rąk do rąk, dzieło jest prawie skończone, Kanaki—chirurgowie mogą odpocząć..... Każda praca się opłaca.

A teraz, w jakież miejsce ustronne wyspy zaniosą te szczątki bezkształtne? jaki dół dość głęboki wykopią dla zagrzebania ich? jakież fale dość czyste pokryją je dla ich oczyszczenia?

Znacie chałupę, w któréj miały miejsce przygotowania; nie oddalimy się od niéj daleko, dla dokonania obrzędu. Ciało bez głowy, członki bez kształtu, szczątki potworne wnętrzności, muszkułów, kości w połowie skruszonych, są szkrupulatnie zaszyte w chropawe materje, i wszystko, dobrze uwinięte, złożone jest w sąsiedniéj chałupie, któréj drzwi są odtąd *tabu* dla wszystkich..... Tu poszanowanie dla zmarłych jest kamieniem fundamentalnym religji.

Zwiedzacze tych okolic, żądacie li widzieć muzeum, złożone z broni, odzieży i narzędzi Nuhiwjan? Uderzcie nogą tę zagrodę z trzcin, okrytą liśćmi drzewa *pandanus;* zgwałćcie świętość grobów; wyciągnijcie ręce i znajdziecie blisko téj masy trupiéj, czaszki obnażone i czaszki zdobne w swe warkocze, potém maczugi wyrzynane, siekiery wojenne z drzewa żelaznego, włócznie krwią zafarbowane, pociski w ogniu zahartowane, łódki z wszystkiemi ich przyborami..... Mieszkanie zmarłego strzeże w sobie wszystko co należało do niego za życia, wszystko co mu było pomocą w jego nawyknieniach dzikich, wszystko co stanowiło jego chwałę, wszystko co go czyniło drogim i świętym w obec tych, którzy go kochają i myślą jeszcze o nim.

O! wiém, że nie jeden głos się odezwie dla podania w wątpliwość mojego opowiadania, i dla utrzymywania, że to jest marzenie w rodzaju Makbeta; ale odwołuję się do tych, którzy jak ja, przebiegali te Archipelagi krwią przesiękłe.

— Dla czego te śmiechy, te tańce, te śpiewy i te łzy przy trupie tego człowieka? zapytałem jednego z wodzów Wastohu.

— My go tak kochaliśmy! odpowiedział mi uderzając się pobożnie w piersi.

— Na co te okaleczenia przed pochowaniem go?

— On był tak mężny w bojach!

— Dla czegoż go tak oszpecacie?

— Ooro, wielki bóg, zazdrościłby jemu.

— Dla czegoż go otaczacie bronią wojenną, teraz kiedy już nią władać nie może?

— Dla tego, że żaden z nas nie mógłby jéj tak dobrze użyć jak on.

— Długoż go jeszcze opłakujecie?

— Na cóż go mamy opłakiwać? on szczęśliwy, on się przechadza po nad błyskawicami, on czuwa nad nami, on ochrania nas od nieprzyjaciół; on jest i będzie zawsze naszym wodzem.

— Czyś ukończyła już swą pracę? zapytałem młodéj dziewczyny, która tylko co przestała skrobać szczątki swojego ojca, jak to wyżéj widzieliśmy.

— Ukończyłam, odpowiedziała mi z głębokiém westchnieniem.

— Czegoż doznajesz po tém wszystkiém?

— Wielkiego zmordowania.

Teraz, idź za tym orszakiem. Czterech lub sześciu ludzi idzie po przedzie; niosą oni trupa na swych silnych ramionach. Tłum milczący postępuje za nimi; udają się drogą ku dolinie albo ku pagórkowi, okrytemu najgęstszym lasem.

Przybyli, składają z ramion swój ciężar; a kiedy będziesz tam, kilku Indjan, dozorców *morai* (cmentarza), wskaże ci grób.

Nie szukaj go u stóp swoich; przeciwnie, podnieś oczy, i zobaczysz chwiejące się w powietrzu głowy obnażone z ciała, czaszki ogołocone z włosów, wznoszące się na wierzchołkach najwyższych drzew lasu; wydrążono drzewo, wsadzono tam trupa. Botanik i wędrowiec przechadza się pod tym cmentarzem, okropném miastem zmarłych, do których jednak dotknąć się palcem byłoby świętokradztwem.

TABU. TATUOWANIA.

Przesądne poszanowanie, jakie dla nich mają. Odpowiedź wielkiego Kapłana. Wszystko jest tabu. Tatuowanie. Jakim sposobem dokonywa się. Jego warunki. Ojciec Aleksy robi kalambury nie wiedząc o tém. Siostra Marcellina i siostra Sofranja. Ojciec Dordillon. Moja antypatja dla imienia tego dzielnego człowieka.

—

Tabu! te cztéry litery wypowiadają całą religję. Kiedy wielki kapłan jakiéj wyspy lub zatoki wyrzekł słowo *tabu*, biada ci, jeśli się ośmielisz wystąpić przeciwko niemu!

Tabuować jaką rzecz, miejsce, osobę, jestto uczynić ją świętą, nietykalną: śmierć oczekuje gwałciciela.

— *Atoe*, co robisz tam w milczeniu przed swoją chałupą?

— Czekam.

— Na co?

— Żeby mi przyniesiono truciznę, którą mam spożyć tego wieczora, albo jutro.

— Cóżeś takiego zrobiła?

— Niechcąc, zgwałciłam *tabu*.

— Nie sądzę, żebyś była winną; dobrzebyś zrobiła, żebyś ratowała się ucieczką.

— Gdzież ja ucieknę? przekleństwo wielkiego kapłana wszędzie mię doścignie, a zresztą nikt nie zechce mię przyjąć.

— Oprócz nas, którzy nie wierzymy w potęgę twojego wielkiego kapłana, i jesteśmy więcéj ludzcy od niego.

— Mylisz się; jeśli on zechce, zada wam wszystkim śmierć jedném słowém, jednym giestem. On jest bogiem na ziemi, a wiész, że bóg jest mocniejszy bez broni, jak wy wszyscy z waszemi fuzjami i armatami.

— Sprobuj tylko, chodź za mną, przyrzekam ci zabezpieczyć cię od prześladowania tego, który ci rozkazuje.

— Nie nalegaj na mnie więcéj, *matapo* (noc w oczach); trucizna mi zapowiedziana; czekam jéj dzisiaj wieczorem lub jutro, muszę odpokutować mą zbrodnię.

Piękna i pobożna Kanaczka, która tak rozmawiała ze mną, umarła w kilka godzin późniéj, od zadanéj gwałtownéj trucizny, nakazanéj przez wielkiego kapłana i przyniesionéj przez jéj ojca.

Matka była przy tém, przypatrując się bez łez konaniu swego dziecka.

Wielki kapłan chce, Kanak nie może niechcieć; wielki kapłan nie chce, żaden Kanak nie ośmieli się powiedzieć: Ja chcę. Dla tych ludzi uległych i zezwierzęconych, Bóg nie jest większym Bogiem jak ich wielki kapłan, i gdyby podobało się temu ostatniemu zdetronizować bóstwo, uczniowie jego byliby bez czci religijnéj.

Powiedziałem, że liczba przedmiotów *tabu* na Markizach jest znaczną, i powiedziałem prawdę, przytoczyłem niektóre z nich. Oto jeszcze ich więcéj.

Kobiéto, nie pal z téj fajki, dotknęła się ona ust mężczyzny: będziesz skazaną na śmierć.

Kobiéto, nie okrywaj się tą *tapą*, któréj się dotknęła laska wielkiego kapłana: trucizna cię czeka.

Morze jest *tabu* dzisiaj, nie kąp się w niém, albo ci wyłupią oczy.

Słońce dopieka, oto dziécię chroni się pod kokos *tabu*.... Dziécię wyprawione na tamten świat.

Co zrobiła ta kobiéta, którą dwaj ludzie ciągną bez litości na wierzch góry dla zamordowania jéj swojemu bogu? Wypiła ona *ava* w naczyniu *tabu*.

Kobiéta włazi na kokos, strzeż się ty na dole! jeśli mężczyzna odważy się przejść tamtędy, utną mu nos, albo wyłupią oko.....

Dziécię okrywa swoją głowę *pareo*, należącém do jego matki lub siostry; siostra lub matka nie mogą się już do tego ubioru dotknąć.

Nikt mi nie powiedział, że ten kamień nad brzegiem jest *tabu* od dnia wczorajszego, ujrzano mię dziś rano dotykającego się go nogą, jutro pozostanę z jedną tylko nogą.

Od téj godziny do téj mogę jeść pomarańcze; od téj godziny do téj to mi zabroniono pod karą śmierci.

Żebym miał prawo jeść z tegoż półmiska co wódz, powinienem mieć prawą rękę *tatuowaną*, bez tego utną mi ją..... Tu przynajmniéj jestem ostrzeżony.

Jeśli zapalam mą fajkę przy ogniu ogrzewającém żelazka do prasowania, mam oko wyłupione.....

Laska kapłana lub Króla może ciebie się dotknąć i połamać ci kości, a nie będziesz przez to *tabu;* ale jeśli sam dotkniesz się téj laski, będziesz zamordowany..... Otoż to straszne berło!

Jeśli ta łódka, do któréj wstąpiłeś płynie na wschód, siądź w niéj tyłem, inaczéj zostaniesz pastwą rekinów; jeśli zaś dąży ku zachodowi, masz więcéj swobody..... religja *tabu* jest wspaniałomyślną.

Król chce jakiéj rzeczy, wielki kapłan zabrania jéj..... Być posłusznym jednemu, jestto nie być posłusznym drugiemu; będziesz ukarany przez monarchę w imieniu ludu, albo przez wielkiego kapłana w imieniu Boga..... To rzecz ambarasowna.

Czyż to nie hańba starać się wykorzenić religję tak świętą?

Jestem *tabu*, ty nie wiesz nic o tém, i przychodzisz mię odwiedzić; czekaj nim do ciebie przemówię, bo kiedy powiesz: *Kaoha*, albo *Jaorana* pierwiéj niżeli ja i kiedy o tém doniosę, jak to jest moją powinnością, urzną ci jutro kawał języka.

Jedna rzecz nadewszystko dziwi mię tutaj: to, że jest tyle wesołości w tutejszych uroczystościach, tyle śmiechu po chałupach: to co było dobrém wczoraj jest złém dzisiaj; co trzeba było zrobić wczoraj, pod karą ciężkiéj odpowiedzialności, bronném jest dzisiaj pod karą daleko cięższą.

Wtedy, kiedy mogłem władać pęzlem, i kiedy odwiedzałem po raz piérwszy ten ogromny Ocean, byłem zajęty od rana do wie-

czora, szczególniéj na wyspach Sandwich, ozdabianiem rysunkami ciał dzikich, małych i wielkich, wodzów i poddanych, chudych i tłustych.

Sądzę w rzeczy saméj, że zaludniłem ten Archipelag większą liczbą postaci, niżliby tego dokazać potrafiło pięćdziesiąt rodzin najpłodniejszych. I jakież osoby, jakich bohatérów, jakich bogów im dałem! Byli to: Apollo Belwederski, Wenus siedząca, Djanna łowczyni, Herkules Farnezyjski, Antynous, gladjator, Ganimedes, Merkury..... Cała mitologja, cała starożytność występowała na ramionach, na biodrach, na rękach i na piersiach dzikich; jeden człowiek dźwigał na sobie cały Olymp: cudów dokazywałem.

Ale, mówiąc nawiasem, malowałem często i inne rzeczy niżeli osoby historyczne, i przypominam sobie, trochę ze wstydem, że nakréśliłem więcéj jak tysiąc trąbek myśliwskich *na wszystkich policzkach* żon *Tamea—mea*, oraz na policzkach jego ministrów i wodzów, którzy poddawali się operacji z właściwym sobie wdziękiem.

Tatuowanie Mohany prześliczne; regularność jego kazałaby wnosić, że było rysowane pod linję, z cyrklem i węgielnicą: jestto ubiór całkowity eleganta, z którego każdy Król dzikich mógłby się pysznić, którym każdy malarz mógłby się pochlubić. Ale, gdyby który z prostych poddanych monarchy pijaka ośmielił się ozdobić podobnemi malowaniami, część ciała, na któréj oneby się znajdowały, niezawodnie byłaby posiekaną w drobne kawałki, z rozkazu najwyższych władzców kraju..... Każdy według swojego stopnia, każdy według swych zasług.

Zapomniałem powiedzieć, że kiedy mój łotr Francuz przedstawił mię jako króla bandycie, ten rozpiął mi co najprędzéj kamizelkę, odchylił koszulę, żeby zobaczyć przepych mojego tatuowania, i jestem pewny że straciłem wiele w jego oczach, gdy się przekonał, że żadne nacinania nie odróżniały mię od brata Aleksego.

Ależ, dla Boga! czy my nie mamy także naszych galonów, naszych szlif, naszych haftów? Dla czegożby Mohana nie miał mieć

swoich wieńców? On przynajmniéj kładzie się i śpi z oznakami swéj godności; a powiedz mi, co u nas odróżnia jenerała od żołnierza, kiedy spoczywają obaj rozebrani na łożu obozowém?

Jakim sposobem robią się te pyszne tatuowania, którym się nie można dosyć napatrzyć? To rzecz bardzo prosta: na końcu małéj laseczki, grubości pióra do pisania, i długości czterech do pięciu cali, przytwierdzają się prostopadle trzy sztyfciki zbliżone do siebie, które przykładają się do części, mającéj być napiętnowaną. To zrobiwszy, bierze się druga laseczka ręką prawą, uderza się nią zwolna po piérwszéj trzymanéj w lewéj, sztyfciki zaledwo wchodzą w ciało powoli, bardzo powoli, prawie bez bolu; otworki krwią nabiegają, widną tylko przez drobnowidz; naciera się potém wszystko to liściem zielonym, którego sok miesza się z krwią, i tworzy na skórze potrójną linję błękitną, bardzo malowniczo wyglądającą.

Jeden piękny Kanak, lat piętnastu najwięcéj, ośmielił się wyryć na swych piersiach rekina gryzącego swój ogon; natychmiast miał ucięte dwa palce prawéj ręki uderzeniem siekiery.

— Chciałbym bardzo obejść twą wyspę w około, rzekłem jednego poranku do Mohany, który, jak miarkowałem, nie wypił więcéj jak pięć czy sześć butelek wódki; ale może należałoby mieć z sobą glejt; jak myślisz?

— Tak, zapewne, bez tego życie twoje mogłoby być narażone na jakie niebezpieczeństwo.

— Nie mógłbyś mi w tém dopomódz?

— I owszem; każ siebie wytatuować.

— Czyż wszelkie rysowania ochraniają?

— Mniéj lub więcéj; moje, naprzykład, czynią nietykalnym.

— Dobrze więc! zgadzam się.

— Ale, żeby mieć je na sobie, potrzeba na to zasłużyć.

— Cóż mam zrobić, żeby na to zasłużyć?

— Zabić Kanaka i zjeść go.

— Gdzież go znajdę?

— W piérwszéj lepszéj chałupie; chcesz żebym ci ją wskazał?

— Dziękuję, Mohano; późniéj odbędę podróż, jak będę głodny.

Z niewielkiém zboczeniem od porządku, mającego panować w tém dziele, łatwo mi powrócić do brata Aleksego, który zasługuje na prawdziwą przyjaźń z mojéj strony.....

Mówiłem mu o bezrozumném posłuszeństwie Kanaków, i ubolewałem nad tém, z nieznacznym uśmiechem, że oni wszyscy będą skazani na kary wieczne.

— Niestety! odpowiedział mi tonem, który dobrze znacie, zaprawionym szczyptą żalu, z ludźmi dzieje się tak samo jak z książkami: *wiele przebieranych*, *ale mało czytanych*. I to wielka szkoda, mówił daléj bijąc się w piersi: ci ludzie są łagodni jak owieczki, kiedy nie są złymi jak tygrysy; można ich przyswoić tak łatwo jak wróblów, kiedy nie szarpią cię szponami jak sępy, i karmiliby się chętnie owocami i leguminami, gdyby nie czuli blisko siebie ciała chrześcjańskiego. Wierzaj mi, panie Arago, mówił daléj tonem tryumfującym, my z nich zrobimy cóś, kiedy pobędziemy tutaj jeszcze jakie lat trzydzieści. Przybądź wtedy tu, a zobaczysz zupełnie co innego.....

Kochany Aleksy, jesteś nieoceniony!

We wszystkich stronach świata, obowiązkiem syna jest poświęcić się usłudze ojca chorego, przynosić mu pomoc, ratować go wszelkiemi możliwemi środkami. Cóż powiesz! na Markizach, pokarmy przygotowane przez syna są *tabu* dla ojca, który się nie może ich dotknąć pod karą śmierci.

Wczoraj, nie dawniéj jak wczoraj, byłem w chałupie, gdzie biédny starzec, rozciągniony na plecionce, umierał z głodu; słyszałem jego jęczenia, które mi rozdzierały serce, i pytałem go o przyczynę ich.

— On głodny, odpowiedział mi syn jego, silny chłopak lat dwudziestu.

— Śpiesz się więc podać mu jakiego pokarmu.

— To dla nas *tabu*.

— Powiedz innym, żeby przynieśli.

— To zapóźno, on już zgubiony.

— Ależ, czy nie jesteś jego dziécięciem? zawołałem z gniewem.

— Gdybym nie był jego dziécięciem, onby żył.

— A jaż, mogę mu być użytecznym?

— Powiedziałem ci już, on umrze, i czekam tu trzech moich przyjaciół, którzy mi dopomogą przenieść go na wierzch góry.

— I gdzie, bezwątpienia, będziesz się modlić za niego, dodałem z giestem odrazy.

— Na cóż się to zdało? on będzie umarły; nie będzie potrzebował niczego.

Przyjaciele przybyli; zaniesiono na górę szczątki martwe ojca, któremu dzieci jego pozwolili umrzeć z głodu.

A jednakże, o parę kroków stamtąd, powtarzam jeszcze, są misjonarze francuscy, opowiadający religję Chrystusa; prawda że wielebny nazywa się Dordillon..... To nie jego wina, jego ojciec tak się nazywał.

Ojciec Dordillon zapewnia mię, że był na swoich chrzcinach; wierzę temu. Ale dodaje, że jego pojętność nie była jeszcze dosyć rozwinioną, żeby pojąć śmieszność nazwiska, które przodkowie jego jemu przekazali, i oto dzisiaj, pokonany przywyknieniem, oswoił się z temi trzema syllabami nieszczęsnemi i prawie zabójczemi.

Wspaniałomyślny jak wszyscy, którzy ciepieli, chciałem przynieść pociechę Ojcu Dordillon'owi w śmieszności, co go spotkała: przypomniałem, że Dordillon rymuje się wybornie z Massillon, Crébillon i Corbillon; nieszczęśliwy pojął moje politowanie, podał mi braterską rękę, i z oczyma łez pełnemi prosił, żebym bronił go przeciw szyderstwom i przycinkom.

Żartownisie tedy są uprzedzeni, oświadczam, że jestem nieprzyjacielem każdego nieprzyjaciela ojca Dordillon'a, pobożnéj pamięci.

NUKAHIWA. DWA WSPOMNIENIA.

Śpiew dwóch młodych dziewcząt Nukahiwy. Uczę francuzczyzny piekną Oreę

—

Powiedziałem, niewiém gdzie, że natura gruntu wywiera ogromny wpływ na ludzi na nim mieszkających, i powiedziałem prawdę. W istocie, wszystko jest dzikie na Nukahiwie.

A jednak, cóś dobrego, litościwego, błogiego spotyka cię w twoich przechadzkach z Kanaczkami zatoki Taihahoe, wtedy kiedy wielki kapłan raczył je oszczędzić.

Opisałem wam jeden z ich poetycznych śpiewów z towarzyszeniem laseczek, wybijających takt okresu muzycznego; oto inny, którego główna myśl nie ujdzie zapewne waszéj uwagi, i który pozyskał moje współczucie dla dziewczyny go śpiewającéj. Było ich dwie, każda z nich nie miała więcéj jak lat dwanaście, całkiem nagie..... Nieświadome niebezpieczeństwa, na jakie narażały zwiedzającego ich wyspę cudzoziemca, rozpoczęły śpiew na ton łagodny, cichy, powolny, melodyjny; miał on tylko trzy nuty, już to krótkie, już przeciągłe, i kończące się zawsze sposobem nagłym i urywanym. Posłuchaj djalogu, któremu odejmuję nieco barw, zanadto żywych.

— Wiesz, Taito, dla czego mężczyzna jest silniejszy od kobiéty?

— Nie wiém tego, Aihi.

— Chcesz, żebym ci powiedziała?

— Chcę, żebyś mi powiedziała, ale nie będę ci wierzyć.

— Dla czegoż mi nie będziesz wierzyć?

— Bo ja wiém, że kobiéta jest silniejszą od mężczyzny, gdyż prawdziwa siła nietyle jest w ręku jak w duszy.

— A więc, dla czegoż my im posłuszne jesteśmy?

— Bo więcéj na tém zyskujemy.

— Teraz ja, z mojéj strony, nie rozumiem cię.

— Jeszcze kilka księżyców, a zrozumiesz mię doskonale.

— O niechże co prędzéj miną te księżyce!

— Bo, widzisz, jak będziesz miała męża, nie będziesz wtedy wątpić o władzy twojéj nad mężczyzną.

— Przyśpiesz więc wschód i zachód księżyców.

— To niepodobna; ale zaraz zrozumiesz mię całkiem. Wiész, że Taboe jest moim mężem; otóż, gdybyś przepędziła noc w naszéj chałupie, zobaczyłabyś, że rozkazuję, że jestem jego panią, i że uznaje mię za silniejszą od siebie, gdyż otrzymuje odemnie więcéj szczęścia, niżeli mi go daje.

Czyż kobiéta miałaby być kobiétą, nawet w Nukahiva?

Wychodziłem od Ojca Dordillon'a, gdzie Mohana szczęściem nie przyszedł w ciągu całego dnia, i poszedłem przejść się nieco na wybrzeżu, kiedy dziewczyna lat dziesięciu do dwunastu, nazwiskiem Orea, która stała się chrześcjanką dniem przedtém, zbliżyła się do mnie i zawiesiła na mojém ramieniu, rozkazawszy Hiszpanowi, mojemu przewodnikowi, żeby dozwolił jéj mnie prowadzić.

— Czego chcesz odemnie? rzekłem do téj swawolnicy.

— Żebyś mi towarzyszył aż do mojéj chałupy.

— A to na co?

— Bo chcę nauczyć się twojego języka.

— Ależ znasz go już tyle, ile twoje potrzeby wymagają. Kto był twoim nauczycielem?

— Francuz, nazwiskiem Ledanseur, którego wzięłam za mojejego *tajo*.

— Dobrze, Oreo; będę ci towarzyszył.

Przybyliśmy do chałupy, w któréj nie było wtedy nikogo, i usiadłem na plecionce, opartéj w części o ścianę z bambusu, przeplatanego roślinami morskiemi.

Orea usiadła skurczona.... dla czegoż nie miałbym powiedzieć?... na moich kolanach, jakkolwiek była Chrześcjanką; ale wiara nie przeniknęła jeszcze do jéj duszy.

Młoda Kanaczka była ustrojoną w swe dwanaście lat, w swą szczérość powabną, w swe liście i swe kwiaty na szyi, w uszach i między włosami, pozbawionemi tą razą obrzydłéj oliwy kokosowéj, o któréj już wam mówiłem.

Ręce i nogi Orei były tak delikatne, że mogły obudzić zazdrość najpowabniejszéj Andaluzki Kadyksu, a jéj ramiona okrągłe, równie jak jéj ręce jędrne i pulchne, zapowiadały życie pełne rzezwości i siły.

— Słuchaj, Oreo, czy istotnie dla nauczenia się mojego języka przyprowadziłaś mię tutaj?

— Istotnie dla tego, dla tego tylko.

— Ty kłamiesz.

— Cóż to jest kłamać? zapytała mię młoda dziewczyna z naiwnością, niemającą w sobie żadnéj obłudy.

Lekcja się rozpoczęła, i nie zdołam wam wyrazić, jak pojętną okazywała się Nuhiwjanka, kiedy chciała rzeczywiście nauczyć się. Dotykała się ona mojego czoła, ramion, brwi, nosa, mianowała ich swoim językiem tak dźwięcznym, i powtarzała wybornie syllaby mojego. Jednakże z trudnością przychodziło jéj powtarzać niektóre wyrazy, których zdawała się nie pojmować.

Co do wyrazów łatwych, powtarzam raz jeszcze, Orea zatrzymywała je w swéj pamięci z dziwną łatwością; i wieczorem, kiedy przechodziłem koło jéj chałupy, słyszałem ją dającą poważnie lekcje języka francuskiego niektórym z swoich towarzyszek, o których postępie będziesz mógł sądzić, jeśli śród twoich przechadzek porannych, zabłądzisz kiedy aż na Markizy.

Czy sądzicie że podobne rozrywki są bez zajęcia dla wędrowca? Czy sądzicie że o pięć lub sześć tysięcy mil od ojczyzny, każda mała przyjemność nie staje się wielką rozkoszą, uśmiech niedostrzeżony niewypowiedzianą radością?

Po dwóch godzinach nauczycielstwa, oddaliłem się od Orei, przystrojonéj w kwiaty jak krzak jaźminu; ale ona towarzyszyła mi jeszcze w przechadzce, nie chcąc powierzyć nikomu swojego powolnego nauczyciela. Niestety! mam powrócić znowu do téj Francji,

tak ulubionéj, gdzie spoczywają święte popioły mojego ojca i mojéj matki; otóż, obraz Orei, którą opuszczę jutro, będzie mię ścigać, jestem tego pewny, nawet pośród najmilszych rozrywek rodzinnych; i jeśli moja ręka dotknie się kiedy, wiosną, bukietu kwiatów, będę sobie wyobrażał, że pieszczę się z głową powabnéj Nuhiwjanki, wesoło siedzącéj na moich kolanach.

NOWA KALEDONJA.

Wiarołomstwo Kaledończyków. Ich dzikość. Ludożercy Tahiri. Życie Kaledończyka. Rozmowa wieleznacząca. Gotowany czy surowy? Mała Chiloe. Sceny ludożerstwa. Poławiacz wielorybów Amerykański. Kaiman. Alkmena.

Jesteś o kilkaset sążni od brzegu.....— Zarzucaj kotwicę! Łańcuch się odwija, kotwica ryje dno morskie; korweta podskakuje..... Możesz spocząć.

Kilka łódek podchodzi na zwiady do okrętu; mężczyzni, kobiéty, młode dziewczęta nadewszystko ofiarują ci głosem wrzaskliwym i gardłowym owoce swojego kraju.

Dajesz im w zamian chustki, haczyki do wędek; pozdrawiają cię, wzywają, żebyś szedł szukać uchrony w gościnnych chałupach. Zgadzasz się na to wezwanie przyjacielskie. Noc nadchodzi cokolwiek chłodna, choć rozkoszna, balsamiczna; okrywają cię plecionkami; nazajutrz, po przebudzeniu się, oskarżasz podróżników, zadajesz kłamstwo ich opowiadaniom, i kréślisz w twoich notatkach szczegóły przyjemnych wrażeń doznanych w zatoce Tahiri, na wschód od Nowéj Kaledonji. Powiadasz, że znalazłeś w chałupach tylko ludzi całkiem

oddanych czci gościnności; podawano ci pokarmy najwyśmienitsze; wyspa cała jest pobytem rozkosznym, wytchnieniem, jakiego żądamy po długiéj i niebezpiecznéj żegludze; podróżnicy skłamali, nie widziałeś ani członków poszarpanych, ani czaszek zakrwawionych.

Nowa Kaledonja jest czarowną oazą!

Nieroztropny, co sądzisz że tutaj wszystkie pieszczoty są bez obłudy, wszystkie ściśnienia ręki bez nienawiści!

Wierz w prawdomówność, w doświadczenie tych, którzy cię poprzedzili w zawodzie, i którzy opłakują jeszcze brata, przyjaciela, pożartego przez ludożerców Tahiri!

Jakież jest życie Kaledończyka?

Słonce wschodzi, Kaledończyk kładzie się; potém, przebudzony hukiem fali obijającéj się u stóp jego, wstaje, wsiada do swojéj łódki z jednym żagłem, wychodzi na otwarte morze i idzie walczyć z pienistemi bałwanami Oceanu.

Niekiedy także, podczas téj przejażdżki kilkogodzinnéj, Kaledończyk, stojąc w swojéj łódce, z nogą naprzód wysuniętą, z ręką podniesioną, okiem na czatach, szuka dorady wędrownéj, i wstrzymuje ją w biegu, za pomocą żelaza trójzębnego, przytwierdzonego do krótkiéj trzciny, trzymanéj na sznurku długim na kilka sążni.... Chybić swą zdobycz, byłoby dla Kaledończyka hańbą, ktoréj nie śmiałby wyjawić przed swymi przyjaciółmi.

Kiedy połów skończony, kiedy łódka na brzeg wyciągnięta, krajowiec dąży pod gojaw, usiada skurczony, pożera, bez ugotowania, rybę jeszcze całkiem świéżą; przydaje do swéj uczty banan lub *evi*, kładzie się i czeka nim wahadło machiny powszechnéj nie skryje się za widnokrąg.

Zapomniałem wam powiedzieć, że przed i po uczcie, przed i po swoim śnie, Kaledończyk modli się i składa dzięki swojemu bogu.

O co u niego prosi Kaledończyk? Nie wiecież tego wy, którzy opłakujecie towarzysza waszych niebezpieczeństw, nieobecnego przy apelu okrętowym?

Kaledończyk wycina sam sobie swojego boga, który jest bogiem dopóty tylko, dopóki podwładne mu stworzenie wychodzi zwycięzko z bitwy; jeśli doznaje porażki, bóg nie jest już sposobny być bogiem: rzucają go w ogień, i pień drzewa sąsiedniego lasu zastępuje jego miejsce.

Przed walną bitwą, Kaledończyk wzywa swojego wielkiego boga, wzniesionego na wierzchołku góry.

Przed małą utarczką, klęka u stóp boga średniego, stojącego na pagórku, a przed walką pojedyńczą uchyla tylko głowy przed bożkiem maleńkim, osłonionym kapustą karaibską, albo jakim krzakiem doliny.....

Ci dzielni ludzie, logiczni swoim sposobem, są wdzięczni w miarę dobrodziejstwa; ale wiész także, jak oni się mszczą za niedołężność i złą wolę.

— Czy masz jakiego boga? zapytałem pewnego dnia córki wodza Haane.

— Gdybym nie miała choć jednego, możebym nigdy nie znała smaku ciała ludzi białych!

— I uważałabyś to za wielką karę bezwątpienia? mówiłem daléj, słuchając pilnie zmian tonu jéj głosu.

— Nie sądzę, żeby było co okropniejszego, odpowiedziała mi, bo jeść to, znaczy że jesteś silniejszą, i że nie będziesz sama zjedzoną.

— W jakimże wieku jadłaś to po raz piérwszy?

— Nie rozumiem cię.

— Pytam się ciebie, czy dawno już jak nie jadłaś ciała białych?

— O! tak, więcéj pięćdziesięciu słońc.

— Czy to było na uczcie ogólnéj?

— Tak, ale pomiędzy nami, młodemi dziewczętami; gdyż nam nie wolno jeść razem z mężczyznami.

— Czy wolisz to lepiéj gotowane, czy surowe?

— Na gotowane trzeba długo czekać, lepiéj surowe.

Można byłoby wybrukować jedną z najobszerniejszych dolin wyspy kośćmi ludzkiemi, ogryzionemi zębami ludożerców tego straszliwego Archipelagu, i moja pamięć oburza się na wspomnienie scen okropnych, które zakrwawiły chałupy dolin i wybrzeży wysp.....

Cofnijmy się nieco w przeszłość i przewróćmy prędko te karty.

W 1837 pewien Amerykański poławiacz wielorybów zarzucił kotwicę przy Tahiri..... Nazajutrz, żaden z osady nie został przy życiu; wszyscy poginęli, podczas snu, na tych samych matach plecionych, które młode dziewczęta im rozesłały!

Kapitan, który pozostał jeden na pokładzie, miał czaszkę roztrzaskaną maczugą naczelniczki doliny.

W rok później, *Kaiman*, z Baltimoru, stracił cztérech swoich najlepszych majtków, których tułowy pocięte krajowcy przesłali Kapitanowi, z wyzwaniem wystąpienia na ląd. Jakoż wystąpiono w istocie, i podczas kiedy strzelano śród lasu, Kaledończycy, ukryci w zasadzce, napadli na *Kaiman*, zamordowali ludzi będących na straży, ucięli linę, i wyrzucili okręt na brzeg.

Była to okropna rzeź, w któréj zginęło wielu ludzi z marynarki kupieckiéj angielskiéj, nad którymi ci ludożercy pastwili się ze straszliwém okrucieństwem.

Jeden majtek codzień upadał pod włócznią lub maczugą, i towarzysze zmarłego byli zmuszeni, dla uniknienia okropnych męczarń, połykać porcje ciała ludzkiego im podawane.

Ale wstrzymajmy się; nie chcę szperać więcéj w rocznikach tego ludu, jednego z najdzikszych w świecie, i pytam, jakim sposobem, po tylu smutnych przykładach, cztérnastu z naszych najodważniejszych majtków i dwóch z naszych najwaleczniejszych oficerów zaufało, przed kilką zaledwo miesiącami, zdradzieckim pieszczotom tych ludzi, oddychających łupieztwem i mordem!....

Gdzież są członki naszych nieszczęśliwych współziomków?

Co do kości zbielałych, oto one leżą na wybrzeżu, już to porywane, już wyrzucane po kolei przez fale.

Klęska *Alkmeny* będzie bezowocném ostrzeżeniem; zobaczycie, że piérwsze nowiny, które przybędą do nas z tych stron oddalonych, będą wieścią o kilku nowych morderstwach, za które całą zemstą na winnych wymierzoną, będzie spalenie kilkudziesięciu chałup i wycięcie kilkudziesięciu drzew owocowych.

Ognia na tę wyspę niegościnną, co się podnosi przed nami jak widmo straszliwe! Ognia na dzikich Kaledończyków, błąkających się tam na wybrzeżu, wyciągających do ciebie przyjazną rękę, i udzielających ci potém przytułku we wnętrznościach swoich!!!

TAITI.

Opisania i wspomnienia. Mieszkańcy Taiti osądzeni przez Cook'a i Bougainvill'a.

Trzy razy pozdrowienie téj wesołéj kolébce zieloności, co się pokazuje na widnokręgu i przegląda w falach najprzezroczystszych na kuli ziemskiéj!

Trzy razy pozdrowienie téj wyspie sławnéj, którą Bougainville i Cook odkryli prawie jednocześnie i rzucili na pastwę ciekawości wszystkich podróżników!

Trzy razy pozdrowienie Taiti, któréj kokosy zdają się tykać wierzchołkami niebios, i którą wiatr łagodny codziennie obwiewa swém woniejącém tchnieniem!

Oto ona.... Zielona u podnóża, zielona u szczytu, zielona po bokach; wszędzie bogactwo aż do zmordowania oczu, wszędzie wolne powietrze, słońce i zefir igrający pośród owoców drzew *majoré*.

Opowiadają mi wszystkie te wzruszenia; oczy moje napełnia-

ją się łzami, i szukam ucieczki w mojéj przeszłości, żeby uniknąć rozpaczy.....

Wszystkie moje wspomnienia wesołéj przeszłości ożywiają się za zbliżeniem do téj wyspy różnobarwnéj, najweselszéj z pomiędzy wesołych, i na któréj życie, od tylu wieków, ubiega pośród coraz nowych rozkoszy, zdala od wszelkich uczuć nienawistnych.

Moje wyspy Karolińskie, moje wyspy Marjańskie z obyczajami tak gościnnemi; moje ranne wycieczki śród lasów z pandanów, rimów i bananów; moje odpoczynki tajemnicze w chałupach matek nieobecnych, niechcących przeszkadzać cudzoziemcóm, kołysanym w łóżkach wiszących przez dziewczęta z głosem pieszczonym; moje strumyki przezroczyste; moje kręte wybrzeża, gdzie fala umiera z westchnieniem; moje obłoki przelotne, przerzynające powietrze jak trzoda kóz wędrownych,— zdawało mi się, że wszystko odzyskuję, że odzyskuję mój dwudziesty rok życia, które mi niebo uczyniło tak burzliwém.

W niewielkiéj odległości czasu jeden od drugiego, Cook i Bougainville odkryli Taiti. Obydwa oni odmiennie sądzili o dzikich mieszkańcach tego Archipelagu; obydwa mieli słuszność ze swego punktu widzenia, i charaktery całkiem różnorodne tych żeglarzy wyjaśniają dostatecznie różność ich zdań: Cook był popędliwy, gwałtowny; skarcenia jakie domierzał, były u niego prawdziwemi karami; badał on obyczaje dość zawikłane plemion przez siebie odkrytych i traktował ich niekiedy z surowością, dla któréj ostatnia chwila miała nadejść w Owhyi, w dniu pamiętnéj rzezi.

Mieszkańcy O—taiti, jak ją nazywano wtedy, nie różnili się od swych sąsiadów; łakomili się oni na wszystko, co się przedstawiało ich oczom, na wszystko co znajdowało się im na podorędziu. Przybyli na pokład, i wierni swojéj naturze, nie domyślając się może, że dopuszczają się występnego czynu, chwytali potajemnie ćwieki, kawałki sznurów, żelaztwo, przebiegając tu i owdzie, na pokładzie lub w działobitniach.

Nie podobało się to Cook'owi tak dalece, że przywitał tych furażerów szrotem dobréj wagi i dobrze wymierzonym, co obudziło wielką wrzawę i sprawiło, że rzucono się do broni.

Walka była nierówną: krajowcy zwyciężeni przestali bratać się z ludźmi, którzy ciskali pioruny; pokryli się w swoich krzakach, i Cook napisał, co bezwątpienia czytaliście, — to jest, że krajowcy wysp *Towarzyskich*, są nietowarzyscy, kłótliwi, rabusie i złodzieje.

Bougainville, przeciwnie, był półkownikiem kawalerji, lubiącym żyć dobrze, trochę może zanadto swawolnym, zapatrującym się zawsze na rzeczy z dobréj strony, nielubiącym łez ani u siebie, ani u swego sąsiada, szukającym rozrywek dla majtków więcéj jeszcze jak dla siebie, i goniącym za boleścią dla odpędzenia jéj lub zmniejszenia.

Przybywszy do zatoki przerażonéj Papééte, Bougainville chciał dojść najprzód przyczyny bojaźni, okazywanéj przez krajowców; a wystąpiwszy na ląd, prawie bezbronny, powierzył się całkiem, że tak rzec można, wyspiarzom i pozyskał od razu całą ich ufność.

Nazajutrz, O-taitczykowie udali się na pokład. Przyjęto ich jak braci, obchodzono się z nimi jak z przyjaciółmi; co chcieli mieć, Bougainville im dał. Między przybyłemi były i kobiéty; tańcowano na tychże samych deskach, obiadowano przy tymże stole; wiele małżeństw było zawartych, i we dwa dni późniéj, pod otwartém niebem, w obec całéj ludności uradowanéj, Kapitan okrętu, który odmłodniał przy pięknéj dziewczynie lat dwunastu, otrzymał, nie pyszniąc się wcale z tego, sześć głośnych wiwatów, które często powtarzano w czasie bytności fregaty w Papééte.

Bougainville opisał także historję swojego pobytu na Archipelagu, i pojmujecie dobrze, dla czego jego opowiadanie, przybrane w barwy najświetniejsze, różni się tak dalece od opowiadania Kapitana Angielskiego, którego nie wiele obchodziły powaby dziewcząt O-taitskich.

Lubię Cook'a, ale daleki jestem od nienawidzenia Bougainvill'a, i, ogólnie biorąc, rola tego ostatniego zdaje mi się na większe pochwały zasługiwać niżeli tamtego.

KRÓLOWA POMARE.

Jéj przymioty. Jéj wady. Jest ona niewolnicą a jednak rozkazuje. Jest uwielbianą od swoich poddanych. P. Bonard. Królowa mnie czeka. Nadaje mi imię Matapo, to jest, noc w oczach. Jéj dwór. Jéj rozmowa. Jéj małżonek. Robię sztuki przed Królową. Śliczne wyrażenie. Inne rozmowy poufne. Kto pił będzie pił. Kocham Pomaré. Kanak nie przestanie być nigdy Kanakiem. Nie umiemy zakładać kolonji. Wszędzie Anglicy mają cząstkę lwa. Pomaré jest tabu, nawet dla swego męża, w niedzielę Aptekarz Pritchard. Zapytuję Królowę. Jéj poddany. Ostatnie widzenie się.

—

Pomaré jest niewolnicą, a jednak Pomaré rozkazuje, bez żadnéj wątpliwości. Zdetronizowaliście Królowę, ale nie zdetronizowaliście kobiéty.

Pomaré, która ma tylko chałupę obok waszego pałacu, jest silniejszą od was; miłość jéj poddanych stanowi jéj potęgę. P. Bonard mówił mi jeszcze wczoraj: Ta kobiéta jest prawdziwą panującą; rozkaż Kanakom jaką robotę pożyteczną dla osady, przyobiecają że będą posłuszni; ale na jeden giest, na jedno spojrzenie ich Królowéj, ręce ich będą związane; nie opuszczą swych chałup, i śmiać się będą z twoich pogróżek, równie jak z twoich prośb.

Mówi ona mało, słucha wiele, do każdego mówi *ty*, każdy do niéj mówi *ty*, dorosły i mały, mężczyzna i kobiéta, cudzoziemiec i Kanak; a pomimo to, musisz ją szanować. Nie znają jéj jeszcze w Europie: potrzeba ją widzieć, potrzeba ją słyszeć, żeby sądzić o niéj.

Przybywamy tu zasmuceni wypadkami piérwszych lat panowania Pomaré; ale późniéj doznajemy cichego uczucia rzewnéj czułości dla téj kobiéty energicznéj i dumnéj, która ogołocona z swéj potęgi, nie straciła nic ze swéj godności.

Nie uwierzyłbyś nigdy, nie będąc sam często świadkiem, ile jest poszanowania dla niéj, w mowie i powierzchowności poddanych, przemawiających do niéj. *Wasza Wysokość*, *Wasza Przewielebność*, *Wasza Wielkość*, *Wasza Królewska Mość*, zdają mi się być ubliżającymi, w porównaniu z tém tykaniem naiwném, nacechowaném uległością i przywiązaniem.

— Pomaré, czy nie chcesz ty bananów? czy nie potrzebujesz ty wachlarza?

— Czy chcesz ty cygaro, Pomaré; bierz moje.

— Czy ty pójdziesz się kąpać, Pomaré? pozwól mi sobie towarzyszyć.

Wszystko to jest synowskie, i wzrusza cię aż do głębi duszy; wszystko to sprawia, że kochasz kobiétę przed Królową.

Królowa czekała mnie zawczoraj, czekała wczoraj, czekała jeszcze dzisiaj rano; nie dziw więc, że przeklinałem ulewy zwrotnikowe, które od trzech dni ciężą na wyspie zasępionéj. Pomaré kazała mi powiedzieć, że nie chce mię narażać na złą pogodę, i że za to zatrzyma mię u siebie dłużéj za ukazaniem się słońca. Możecie sobie wyobrazić, jak moja niecierpliwość była wielką! Zaraz nazajutrz po mojém przybyciu otrzymałem następny bilecik od P. Bonard: «Odwiedź mię dziś rano, Królowa kazała mi powiedzieć, że przyjmie cię po śniadaniu.» Zaledwo wstaliśmy od stołu, służący oznajmił przybycie Królowéj. Pobiegliśmy ku niéj, spotkała nas na progu przedsionka. Gubernator powiedział mi, że podawała mi rękę: gdy się jéj dotknąłem, rozumiałem, nie pochlebiając, że był to figiel; rączka malutka, dziecinna, zgrabna, podłużna, delikatna w dotknięciu, ręka dobrego domu, śliczna, giętka, z gracją podawana. Ślepi postrzegają te rzeczy tak prędko jak wy waszemi oczyma. Pomaré swoją ręką pokonała mię do reszty.

— Nie chciałam, rzekła do mnie, żebyś się niepotrzebnie trudził; przyrzekłam jednéj z moich przyjaciółek odwiedzić ją tego rana. Przyjdź kiedy będziesz chciał, będę szczęśliwą kiedy mię odwiedzisz.

Zdziwiony tak wielką dobrocią, oświadczyłem jéj najżywsze moje podziękowania, i ukłoniłem się z głębokiém uszanowaniem.

— Żałuję cię, dodała głosem wzruszonym, że masz tyle ciemności w oczach; miéj nadzieję, że światło ci będzie wrócone.

Królowa nazwała mię *Matapo*, to jest, *noc w oczach*, i od téj chwili tak mię nazywano w Papééte.

Wychodzę od Królowéj. Wkrótce znowu wrócę do niéj . .

. . . . . .

Oto znowu tylko com powrócił od Pomaré. To rzecz nadzwyczajna! Nigdy nie spodziewałem się znaleść umysłu tak wzniosłego, rozumu tak wytrawnego, filozofji tak ujmującéj. Nie zapomniałem niczego, nie zapomnę niczego; ale jak wam określić ten wdzięk tak powabny téj kobiéty, ten głos tak pieszczotliwy, to braterskie uściśnienie ręki, to pełne poszanowania zachowanie się wszystkich tych ludzi ją otaczających, wszystkich tych kobiét przy niéj klęczących?.... Sprobujmy.

Siedziałem obok niéj na krześle niebardzo elastycznem, pośród jéj dworu, składającego się z dwudziestu przeszło osób, które siedziały na ziemi i na przemiany to głośno z sobą rozmawiały, to zachowywały zupełne milczenie.

Tłómacz powtarzał mi słowa Królowéj; odpowiadałem i zapytywałem po francuzku, używając przytém niektórych słów kanakskich. Słyszałem jak się śmiała! jak dworzanie jéj śmieli się razem z nią, i cieszyłem się bardzo z tego, że na wyścigi chcieli mię uczyć sposobu ich wymawiania. Im bardziéj oddalałem się od ich pronuncjacji, tém radość tych dorosłych dziatek była głośniejszą, i możecie łatwo sobie wyobrazić jak niezręcznie, a raczéj zręcznie starałem się przekręcać wyrazy mowy taitskiéj! Rzecz niezawodna, że wszystkie dwory wpływają na zepsucie. I ja też stałem się pochlebcą; ale po-

nieważ to nie było bynajmniéj z ujmą mojéj godności, utrzymywałem swą rolę do końca.

— Dla czego, kiedy niebo dotknęło cię tak wielkiém nieszczęściem, powiedziała do mnie Królowa, skoro usiadłem, dla czego jeszcze podróżujesz?

— Dla zmiany miejsca; kiedy mi mówią o przedmiotach, które mię otaczają, zdaje mi się, że je widzę.

— Znasz więc nasze kokosy, nasze banany, nasze domy?

— Znam to wszystko, Pomaré; znam wszystkie bogactwa tego kraju; zdaje mi się, że się ich dotykam, kiedy mi mówisz o nich.

— A więc podróżowałeś już przedtém?

— Okrążyłem cały świat.

— Tém bardziéj powinieneś teraz spocząć, i gdybyś nie był w moim domu, gorzéjbym cię łajała.

— Możesz mię łajać, Pomaré.

— Czyż ci się to podoba? Matapo.

— Podoba się dla tego, że wtedy mówisz, a ja ciebie tak lubię słuchać.

— Wielebym dała za to, gdybyś mógł mię widzieć.

— Zalotnica!

— Gdybyś mię widział, nie mówiłbyś tak..... Ot, tego dnia, kiedy Gubernator ciebie mi przedstawił, powróciłam prędko do siebie, i zamknęłam dobrowolnie oczy, żeby się przyzwyczaić do ciemności.

— Jak jesteś dobrą, Pomaré.

— P. Bonard mówił mi, że masz brata, wielkiego brata, który czyta w gwiazdach, jak my w książce.

— Powiedział ci prawdę, Pomaré. Mówić mi o moim bracie, to znaczy, przynosić mi pociechę; jestem dumny z niego, jak ty jesteś dumną, Królowo, z miłości twoich poddanych. Skrywałem przed nim mój wyjazd, aż do czasu, kiedy niepodobna było się cofnąć; inaczéj, nie oglądałabyś mię tutaj, blisko siebie.

— Słuchaj, Matapo; kiedy będziesz do niego pisał, czy wspomnisz co o mnie?

— Jakże możesz o tém wątpić?

— O nie, jestem tego pewną. I cóż mu powiesz?

— Że jesteś bardzo ciekawą i bardzo zalotną.

— Mówisz o przeszłości, odrzekła Pomaré, uderzając zlekka dłonią po mojéj twarzy; ale gdybyś widział, możebyś się mię przeląkł.

— To nie prawda. Mam twój obraz w mojéj myśli; jeśli nie jesteś tak ładną jak przedtém, jesteś za to piękniejszą.

— Cóż wolisz z tego dwojga?

— Jak dla ślepego, wygrywasz na tém wiele, że nie jesteś tak ładną. Ja widzę tylko mojemi palcami.

— Ależ ty mię nie widziałeś.

Nie miałem co na to odpowiedzieć.....

Zagłębiłem się czas jakiś w moich myślach, więcéj lub mniéj poważnych, i postanowiłem, prędzéj czy późniéj, przekonać się o prawdzie opisów mnie udzielonych.

— O czém myślisz? zapytała mię Pomaré głosem prędkim, niedozwalającym mi zastanowienia. Myśli twoje są smutne czy wesołe?

— Trudno je określić, Pomaré; dajmy temu pokój; ale, ze swéj strony, będę cię prosił o pozwolenie zapytania ciebie.

— Słucham, odrzekła Królowa opierając się na mojém ramieniu.

— Zaczynam więc. Czy wierzysz zawsze w szczérość oświadczeń, jakie Anglicy ci czynią?

— Zaczynam powątpiéwać.

— A czy wierzysz w prawość naszych?

— Powątpiéwanie znika.

— A jednak, mówiono mi, zła kobiéto! że chlubisz się tém, iż się nic nie nauczyłaś naszego języka.

— Dokładam wszelkich starań, żeby się oduczyć angielskiego. Możeby toż samo nastąpiło kiedy i z *twoją mową*.

— Czyż masz jaki powód skarżenia się na P. Lavaud?

— Myślę, że jeszcze będziemy mieli deszcz, powiedziała do mnie Królowa oddalając się od mojego krzesła.

— Nie lubisz więc naszego uprzedniego Gubernatora, który niedawno się oddalił?

— Kaskada musi być wspaniałą dzisiaj.

— Rozumiem. Jeśli się zapytam, z jakiém uczuciem przyjęłaś wiadomość o powrocie P. Bonard, czy także będziesz mi prawić o kaskadzie?

— Nie, wiém już, że kaskada dobrze wygląda, nie troszczę się o nią. Uważamy Pana Bonard za szczérego przyjaciela, słowo jego wzrusza mię.

W téj chwili wszedł mąż Królowéj (ma ona tylko jednego męża). Pomaré wyrzekła do niego parę słów; zbliżył się do mnie szybko, ścisnął mię za rękę, i siadając obok mnie: *Jaorana, jaorana, Matapo*, rzekł głosem uprzejmym; potém, obrócił się do Królowéj, i zdawało mi się, że mówił do niéj z gniewem, powtarzając często nazwisko P. Bonard.

Podczas téj sprzeczki małżeńskiéj, dokończyłem, żeby o niczém nie zapomnieć, moich notat, i cieszyłem się entuzjazmem, jaki obudziło w obecnych Kanakach narzędzie tak proste, i tak użyteczne, za pomocą którego przechowuję wszystkie me wspomnienia. Skończywszy tę robotę, powstałem.

— Czekam cię jutro, rzekła do mnie Królowa, nie jestem szczęśliwą dzisiaj; wróć do nas jutro.

NAZAJUTRZ.

—

— Jaorana, Pomaré.

— Jaorana, Matapo; niebo *nie płacze* dzisiaj, bądźmy wesołymi jak ono.

— Czyż można śmiać się, lub płakać według woli? Zasmucają nas często pośród naszéj radości, w chwili kiedyśmy się spodziewali tego najmniéj; i przedwczoraj, zdaje mi się, że zostawiłem cię rozgniewaną, lub bardzo zasmuconą wypadkiem nieprzewidzianym.

— Patrzajno! to ty widzisz?

— Tak, widzę prawie wszystko to, co obchodzi tych, których kocham.

— Dla czegoż mię kochasz?

— Najprzód, że jesteś kobiétą, potém że cierpałaś wiele.

— Dziękuję, Matapo.

To słowo, *dziękuję*, Królowa wyrzekła po francusku, gdyż ono się nie znajduje w Słowniku Kanakskim.

Jesteś głodnym, wchodzisz do chałupy; idziesz prosto do składu żywności, gdzie są banany, mayoré, pomarańcze; bierzesz je, jesz sobie do woli, i kiedy zaspokoiłeś swój apetyt, oddalasz się mówiąc tylko do gospodarza domu: *Jaorana*, które wyrzekłeś wchodząc. Jeśli to nie jest religja pokoju i bratérstwa, nie wiém gdzie jéj szukać.....

Kobiéty tylko znajdywały się w mieszkaniu Królowéj, byłem więc w najlepszém usposobieniu, gdyż one okazywały mi życzliwość, posuniętą aż do poufałości największéj, wyjąwszy jedną z nich, panią Salmon, krewną Królowéj, będącą za Anglikiem, i daleko mniéj mówiącą od swych towarzyszek. Piękna jeszcze, pani Salmon jest jedną z najznakomitszych osób Archipelagu; dobroć jéj charakteru czyni ją drogą Kanakom i cudzoziemcom, którzy mają szczęście poznania jéj.

— Powiedz mi, Pomaré, dla czego nie nazywasz się więcéj Aimata, jak wtedy, kiedy byłaś młodą dziewczyną?

— Gdyż młoda dziewczyna zmienia nazwisko, kiedy wychodzi za mąż.

— Ale twój mąż nie nazywa się Pomaré.

— To prawda; my, po urodzeniu otrzymujemy jedno imię; późniéj, kiedy mamy około lat dziesięciu, my dziewczęta, otrzymujemy drugie imię; a kiedy wychodzimy za mąż, bierzemy trzecie.

— To zdaje mi się być niepotrzebném i niedogodném; bo nareszcie kiedy pytam się o zdrowie Aimaty, nie wiém, czy Pomaré mi odpowie?

— Zgadzam się na to, ale nie chcę zmienić przyjętego zwyczaju.

— A więc córka i syn nigdy nie noszą nazwiska ojca?

— Ani nazwiska matki, ani nazwiska swego męża, jak to ci już powiedziałam.

— A przecież oto blisko mnie pani Salmon.

— O! ona, to co innego; ona do was należy; ona została zaślubioną sposobem Angielskim; my jéj nie uważamy już za Kanaczkę, téj niewdzięcznicy.

— Kanaczka, czy Angielka, będę cię kochać zawsze jak siostra, odpowiedziała pani Salmon, zbliżając się i uściskając Królowę.

— Ot widzisz, rzekła do mnie Pomaré, jestem bezustannie pośród mojéj rodziny.

Zdawało mi się, że postrzegłem, iż moje pytania i odpowiedzi mnie dawane, nie wiele bawiły kobiéty otaczające Pomaré. Dla tego, wezwawszy na pomoc zręczność moich palców, i niby przez nieostrożność, upuściłem sztukę pięciofrankową; wszystkie kobiéty rzuciły się dla podania mi jéj, ale dałem znać ręką, żeby się z miejsca nie ruszały, i w mgnieniu oka, pieniądz znikł.

Krzyk przerażenia rozległ się w około.

— Powtórz nam to *kłamstwo*, powiedziała do mnie Królowa głosem wzruszonym.

— Bardzo chętnie.

Pieniądz znikł jeszcze, znalazł się znowu, potém przepadł, żeby się okazać sam jeden lub z innemi, według mojéj woli. Koło otaczające mię zwiększyło się znacznie; kobiéty nie śmiały już zbliżyć się do mnie i patrzały na mnie z pełną poszanowania trwogą; napróżno wyciągałem rękę, żadna nie śmiała przyjść do mnie: lękały się mnie jak ognia.

— Kto cię nauczył tego kłamstwa? zapytała mię Królowa, więcej strwożona niżeli jéj towarzyszki.

— Mniejsza z tém, odpowiedziałem jéj, ale jeśli chcesz wiedzieć tyle co ja, powiedz tylko.

— Proszę cię.

Wkrótce tajemnica nie była już nią; ale przestrach znowu je ogarnął, kiedy, wziąwszy talję kart, w mgnieniu oka zamieniłem im asa pikowego na waleta karowego, albo newkę kierową na Króla treflowego; lecz jakież drżenie gorączkowe przejęło całe zgromadzenie, kiedy wziąwszy nóż, oświadczyłem z powagą, że jeżeli chcą, to urznę głowę jednéj z kobiét Królowéj, i przytwierdzę ją znowu na swoje miejsce całą i zdrową! Pomaré prosiła mię, żebym tego nie czynił, i tym sposobem oswobodziła mię od potrzeby przyznania się, że tego nie dokażę. Ale przekonałem się tutaj, jak i gdzie indziéj, w innym czasie, że cudowność podoba się wszystkim ludom pierwotnym, i że chętnie przyjmują wszystko, czego nie rozumieją.

Kobiéty Taiti nie chcą ani rękawiczek na swe ręce, ani trzewików na nogi, ani zasłony na twarz, ani gorsetu na swój stan. Mając słońce prawie zawsze prostopadle świecące nad głową, nie lubią one siebie więzić; i goniąc z wiatrem, lub falą, zmieniają żywioł nie zmieniając natury, nie tak jak kobiéty Europejskie, które zmieniają częściéj swe uczucia, niżeli tutejsze swe *pareo*. A, co się tycze *pareo*, macie wiedzieć, że tutaj, od czasów Lavaud nadewszystko, żadna kobiéta nie chodzi nago; osłaniają one swe ramiona pewnym rodzajem worka muślinowego, pozostawiając pierś odkrytą, gdy tymczasem dolną część ciała okrywa *pareo*, które spada aż po kostki. W parę minut, kobiéta jest ubraną. Mężczyźni, w mieście nadewszystko, noszą majtki; wspaniale oni wyglądają, te dzielne zuchy, kiedy oprócz téj części ubioru, odzienie mniéj lub więcéj ciasne, więzi ich sprężyste muszkuły. Nigdy Prezydent Izby nie przechodził sali *Pas-Perdus* z większą okazałością, jak Taitczycy bogatsi, kiedy w dniach uroczystych występują w swych sukiennych pogniecionych ubraniach. Kiedy jeden z tych włocęgów przechodzi koło mnie, i przewodnik mój opisuje mi jego ubiór, zaraz mi przychodzi na myśl ten przepyszny wódz Rhadamy, który razu jednego przyszedł do nas na pokład, ubrany tylko w kamizelkę czerwoną z ga-

lonami, w kapeluszu stosowanym z piórami, w jednym bucie, i z blaszką oficerską na piersiach.

Dla czego robię te uwagi, w jednym z salonów Królowéj Pomaré? Oto dla tego, że jeden z urzędników jéj dworu wszedł przed chwilą, i w miejscu tego, coby mi podać rękę z szczérą dobrodusznością, chciał nadęty pychą, żebym się dotknął poły jego odzienia i guzików jego kamizelki. Dziękuję ci, Moharé, że nie wymagałeś jeszcze odemnie, żebym się dotknął twoich szelek, bo wiém, że je nosisz i że przejmujesz z radością wszystkie nasze śmieszne zwyczaje.

Pomaré pojmując dobrze nieroztropne uroszczenia Moharé, szepnęła mu na ucho kilka tych słów życzliwych, które zmieniają złe usposobienia, i urzędnik zbliżył się znowu do mnie, żeby mię uścisnąć uprzejmie za rękę.

Ponieważ ten dygnitarz przyodziany zdawał mi się być bardzo zasmuconym, że się nie znajdował na widowisku sztuk magicznych, pokazałem mu na próbkę dwie czy trzy sztuki dość ciekawe i Królowa, zawdzięczając moję grzeczność, zniewoliła mię do przyjęcia dwóch wieńców z *pia:* jednego splecionego przez nią samą, drugiego przez panią Salmon, która pali cygaro tak jak nasze lwy najgłośniéj ryczące; tylko że lwica Taiti jest wolną od przesądów, i lubię ją szczególniéj za to, że chociaż w połowie Angielka, kocha Królowę, która jest do niéj również przywiązaną.

— Czy powrócisz jeszcze? zapytała mię Królowa, widząc mię gotowego do wyjścia.

— Ponieważ nie opuszczam jeszcze wyspy, i kiedy mi tego nie zabronisz, powrócę.

— Tem lepiéj; uprzedzam cię, że nie będę nigdy dla ciebie *tabu.* Joarana, Matapo.

— Jaorana, Pomaré.

Każda z kobiét Królowéj podała mi rękę do uściśnienia. Co za ręce tych Taitjanek! Można otrzymać przez nie tylko połowę

pieszczoty, połowę policzka. Ręce Pomaré są jedne z najmniejszych i najdelikatniejszych; trzeba marzyć o nich pomimo woli . . .

---

28 Kwietnia 1850.

— Jaorana, Pomaré.

— Jaorana, Matapo!

— Jesteśmy prawie sam na sam; uprzedzam cię, że kiedy będziesz mówiła mi o mojéj przeszłości, ja będę mówił o twojéj.

— Czyż sądzisz, że mi rumienić się za nią trzeba?

— Wiém o niéj bardzo niedokładnie, i gdybyś mi chciała dać ją poznać, czułbym dla ciebie wdzięczność najżywszą. Historja kobiéty takiéj jak ty, Pomaré, jest często historją całego kraju. Zechceszże mię wziąć za powiernika?

— Ciebie prędzéj niżeli kogo innego. Dzięki tobie, nauczyłam się rumienić za rzeczy, z którychbym się pierwiéj chlubiła, i wiém, że mój Tayo-Matapo nie widzi kolorów. Ale dla czego chcesz wiedzieć tak bardzo, czém była moja przeszłość? Co umarło, to już umarło.

Im bardziéj poznaję tę kobiétę, tém bardziéj ona mię podbija, a jednak nie widzę jéj.

— Jeżeli cię rozpytuję z tak wielkiém zajęciem, Pomaré, odrzekłem, to dla tego, że piszą u nas tyle niedorzeczności o tobie, iż uważam za powinność zadać wręcz fałsz wszystkim tym potwarzom. Możesz kiedy zdecydować się przybyć do Francji: masz tyle myśli w swéj głowie..... chcę tedy, żebyś była tam uważaną tak jak na to zasługujesz.

— Nie udam się nigdy do Francji, odpowiedziała mi Pomaré, z miną poważną i dumną; moi Kanacy tak są szczérze do mnie przywiązani, że rzuciliby się wszyscy wpław za mną..... Pomimo to, przyjmuję cię jako obrońcę, i *otworzę przed tobą drzwi całego mojego życia.*

Tłómaczę słowo w słowo:

— Powiedz mi, Królowo, w jakim wieku zaczęłaś myśleć?

— Odpowiedź na to trudna; myśli rodzą się jak liście na drzewach, *jedne po drugich.*

— W jakim wieku drzewa zaczynają kochać?

— Po swém urodzeniu, kochają słońce, światło, wodę, wiatr, kochają wszystko czém żyją. Byłam, jestem jeszcze trochę podobną do drzew naszych lasów.

— Czy jesteś zupełnie pewną, że będziesz zrozumianą?

— Nie mogę się tłómaczyć inaczéj.

— A, jeśli tak, to pojmuję. Drzewo Pomaré, czy przypominasz sobie dzień urodzenia piérwszego twego liścia?

— Tyle innych rozpuściło się od tego czasu, jak pamięć moja nie zasięga. Wiész co mię oduczyło przypominać? to chęć wiedzy; i dla tegoto drzwi moje nie będą nigdy zamknięte dla ciebie; ten kto idzie prędko naprzód, czy ma czas żałować drogi, którą przebiegł?

Nie zapominaj, że ołówek jest w mojém ręku, i że spisuję tylko to, co Pomaré mówi: jestto kobiéta dzika, która uczy człowieka cywilizowanego.

— Ponieważ byłaś szczęśliwą z twym piérwszym liściem, dla czego pozwoliłaś potém rosnąć innym?

— Uległam memu przeznaczeniu: wasza Europa rzuciła się na mnie; gdybym się opierała, byłoby wiele krwi rozlanéj na wyspie. W naturze drzewa kokosowego jest wydawać kokosy, w naturze drzewa bananowego i gojawego jest wydawać banany i gojawy; tak samo w naturze kobiéty tych krajów jest wydawać liście..... Niech nam dadzą inne słońce, jeśli chcą nas przeistoczyć.

«Nadto, rzekła Królowa z pewném rozjątrzeniem w głosie, ci sami którzy chcieli nas przerobić, starali się, w cieniu, zobaczyć nas zdobnych we wszystkie nasze liście; chcieli zawsze, chcieli bezustannie; byłyśmy mało sposobnemi do oporu, kobiéty moje poszły za moim przykładem, i widzisz dzisiaj Taiti nową i Taiti dawną podobnemi do siebie jak dwie siostry.

— Tak, Pomaré, z dodatkiem *pareo*, *tapas* jedwabnych i sztuk pięciofrankowych.

— To wy sami jesteście temu winni. Zalotność kobiét, uważaj dobrze, że nie mówię, ich wstydliwość, ten wyraz nie znajduje się jeszcze w naszym języku, waszém jest dziełem.

— Powiadasz, że wyraz *wstydliwość* nie znajduje się w waszym języku, będzie on w nim późniéj.

— Nie myśl tak; mój Archipelag będzie zawsze o sześć tysięcy mil od twojego kraju.

— Zbliżymy do siebie te kraje.

— Czy to jest życzenie, czy groźba, Matapo?

— Jestto chęć najżywsza pobratania się z wami.

— Ja nie będę nigdy twą siostrą.

— Pojmuję cię, Pomaré: nasze panowanie przykrzy się ci; wszystko co się narzuca, rozjątrza i cięży; są nienawiści lepsze daleko od wielu przyjaźni. Ale dotknęliśmy strony bolesnéj, Pomaré, zmieńmy rozmowę.

— I owszem.

— Będziemy mówili, jeśli zechcesz, o twéj wesołéj przeszłości.

— Sądzę, że wszystkom wypowiedziała; w niewielu słowach mieści się często wiele rzeczy.

— Czy byłaś kiedy zazdrośną względem mężczyzny, którego kochałaś?

— Jakże? kiedy go kochałam.

— To prawda, pytanie moje niedorzeczne.

— Ale zrobione pewno dla tego, że mi inne chcesz zadać.

— No! mniejsza o to, ośmielam się ci je zadać: czy wiele razy byłaś zazdrośną?

— Zdaje się, że zapomniałeś o liściach na drzewie; sądziłam, że mię pojąłeś, i godność moja nie traci nic na tém wyznaniu. Ten tylko czyni zło, który wié, że je czyni. Kocham tak jak w przeszłości, tylko z większym spokojem; zdaje mi się, że nie mogę już być rozgniewaną.

— To dla tego, że panujesz nad swym małżonkiem, i jesteś pewną jego przywiązania. Któraż śmiałaby probować odebrać go tobie?

— Ta coby go kochała.

— Gdybyś o tém wiedziała, cobyś robiła?

— Robiłabym tak, jak gdybym o tém nie wiedziała.

— Żeby lepiéj widzieć, bezwątpienia.

— Nie, żeby uleczyć chorego; podwójną jest hańbą oszukiwać zaufanie i przyjaźń.

— Jesteś szlachetną kobiétą, Pomaré. Opowiem wszystkie te rzeczy mojemu krajowi, żeby o nich dokładnie wiedziano, żeby je powtarzano, i żebyś była szanowaną, jak zasługujesz nią być.

— Wiesz o czém myślę niekiedy, Matapo?

— O czém, Pomaré?

— Powierzyć ci jedną lub dwie z moich młodych krewnych, żebyś im dał poznać Paryż.

— To może się da zrobić. Czy to są drzewa z liśćmi?

— Sądź sam: jedna z nich ma zaledwo lat dwanaście; druga, starsza, jedenaście.

— Czy nie mylisz się?

— Nie, mówię co chcę powiedzieć; młodsza jest dosyć już starą, dosyć edukowaną; ona tam odmłodnieje.

— Wolę, żebyś poruczyła ich innemu przewodnikowi.

— Pomówimy jeszcze o tém, Matapo.

Dano znać Królowéj, że dano do stołu. Powiedziałem jéj *jaorana*. Ścisnęliśmy się za ręce, i rozstaliśmy nie mówiąc: *do zobaczenia*. Pojmowaliśmy wybornie jeden drugiego.

Czy dokładnie wyraziłem moje myśli? Czy dałem już poznać po części Pomaré Królowę? Wątpię o tém.

Nie pójdę zobaczyć się dzisiaj z Królową; ale biją w bęben na dziedzińcu pałacowym i słyszę zbiegających się z pośpiechem żołnierzy kanakskich, którzy stają milczący we dwa rzędy i chylą głowy przestraszeni. Pomaré postępuje szybkim krokiem, i tonem rozgniewanym daje słyszeć następne krótkie słowa:

— Czy wiécie, że jestem bardzo niezadowoloną z was? Dowiaduję się, że wielu z was, podobni do zwierząt, upijają się bez miary i padają prawie bez życia na ulicach lub na wybrzeżu. Jestto hańbą dla was, boleścią dla mnie..... Moje serce krwią się zalewa, widząc was tak zapominających na waszego Boga, na waszą Królowę, na wasze rodziny. Pamiętajcie, że potrzeba, żeby to ustało, i nie zapominajcie nadewszystko, że jeżeli będziecie tak daléj postępować, zasmucicie tę, która was nosi w swém sercu. Czy słyszeliście?

— Tak, tak!

— Czy będziecie mi w tém posłusznymi?

— Tak! tak!

— Otoż jestem szczęśliwą, i wy jesteście zawsze moimi wiernymi poddanemi.

Królowa oddaliła się krokiem mniéj szybkim, pozdrowiła swoich Kanaków z rozczulającą dobrocią, i potrzeba powiedzieć na pochwałę tych dzielnych chłopaków, że odtąd..... upijają się gorzéj jeszcze jak pierwiéj! Przysłowie: *kto pił, będzie pił*, jest prawdziwém we wszystkich krajach.

Przechodząc koło mnie, Pomaré wyrzekła *jaorana* po przyjacielsku; kazała mi przyobiecać, że odwiedzę ją nazajutrz. Nie zaniecham tego uczynić, a jednak!....

Wolałbym nie znać nigdy Pomaré. Mniejsza z tém, ona mię czeka, bądźmy śmiałymi, i stawmy czoło niebezpieczeństwu.

— Jedna rzecz mię coraz bardziéj zadziwia, Pomaré.

— Jakaż to, Matapo?

— To jest, że widzę ciebie, ciebie, tak myślącą, Królową narodu, który nie myśli.

— On jest szczęśliwym swoim sposobem, tego mi dosyć.

— Czy masz więcéj wodzów tak mocno zajętych, jak ten Praita, którego widzę tam siedzącego, blisko ciebie, ciągle skurczonego w postawie pokurcia?

— Wszyscy oni są również zajęci, wszyscy myślą tyleż jak przypuszczasz że myśli Praita.

— Wieleż im płacisz za prace tak użyteczne?

— To tajemnica; ale się oni nie skarżą. Ja także się nie skarżę, i interesa idą dla tego swoim porządkiem.

— Czyż się nie lękasz, żeby tak zły przykład nie był zaraźliwym?

— Tu zaraza lenistwa poczyna się od naszego urodzenia. Krzewy, kwiaty, drzewa same tylko idą prędko. Wszystko co nazywamy naturą martwą jest w ruchu, nasza zaś *odpoczywa w swoim spoczynku.*

— A jednakże, słyszałem biegających na wybrzeżu wiele młodych dziewcząt, które nie są, zdaje mi się, wielkiemi przyjaciółkami snu.

— Tak, do dwunastu lub piętnastu lat, *mają skrzydła w Taiti, późniéj nie mają nawet rąk.*

— Dla tego to twój kraj jest ubogim, lubo powinien być bogatym.

— Widzisz, Matapo, człowiek bogaty w Taiti byłby ten, który mógłby obiadować dwa razy.

— Zadziwiasz mię, Pomaré: zdawałoby się, że oddajesz pochwałę lenistwu.

— Zmień moje słońce, ja zmienię mój sposób życia; zdaje się, że ci to już powiedziałam.

Widzicie, ta kobiéta, ta Królowa, będzie zawsze należeć do swojego kraju. Napróżno Francja sadowi się tu na swoich trybunałach, na swoich kantorach, na swoich szynkowniach: Kanak nie przestanie nigdy być Kanakiem, i Królowa Pomaré będzie zawsze monarchinią samowładną ludu, który nas zwycięży przez swe odrętwienie.

Kanak stojący będzie twoim sługą, lub twoim niewolnikiem, Kanak leżący będzie cię zawsze trzymać w swojéj mocy.

Prawdą nieszczęściem niezaprzeczoną jest to, że nie umiemy zakładać kolonij; czyż to nie boleśnie, w istocie, patrzéć, jak ten cały Ocean zostaje pod władzą Wielkiéj Brytanji, wtedy kiedy my zaledwo stąpiliśmy bojaźliwą stopą na Nuhiwa i Taiti, które będziemy musieli opuścić wkrótce?

Wróćmy do Pomaré, która nas wezwała do siebie tego rana, i która jest mocniejszą w zalotności niżeli w polityce.

Odwiedziny moje były krótkie, ona piérwsza powstała i rzekła do mnie przed odejściem:

— Nie zobaczę się z tobą jutro w niedzielę, będę się modlić w kościele i będę *tabu* dla wszystkich.

— Nawet dla swojego męża? zapytałem ją z uśmiechem.

— Nadewszystko dla niego, odpowiedziała mi z powabną zalotnością.

— O cóż będziesz błagać twojego Boga, Pomaré?

— Żeby mi dopomagał nie według moich chęci, ale według moich potrzeb.

— Ty wierzysz w Niego i w Jego potęgę, nieprawdaż?

— Czasami.

— Kiedyż w Niego nie wierzysz?

— Kiedy widzę blisko siebie niewdzięcznych i złych.

— Biédna Królowo, byłabyś ateistką, gdybyś żyła pomiędzy nami.

Nazajutrz, Pomaré spała głębokim snem w świątyni, zbudowanéj staraniem aptekarza Pritchard'a, dzisiejszego Konsula na wyspach Żeglarzów. Oto już drugi raz jak nazwisko Pritchard'a wymyka się z pod mojego pióra i kala ten papier. Nie chciałem wspominać dotąd Królowéj o tym przedawaczu pigułek, który winien swój rozgłos naszéj słabości, gdyż pamiętacie, że my to opłaciliśmy jego flaszki pobite, jego ważki potrzaskane i jego maści precz powyrzucane, o tym Pritchard'zie, który zajmował uwagę Europy prawie tyle co Abdel-Kader, Mehemet-Ali i ów wichrzyciel O'Connel, który zmarł miljonowanym panem, zbogaconym przez swych zgłodniałych współziomków.

Dzisiaj jestem odważniejszy niżeli wczoraj, i będąc u Królowéj wybąknąłem nazwisko Pritchard'a..... Może to niegrzecznie, nie przeczę temu; ale lubię wywiadywać się. Niestety! tą razą niczego się nie dowiedziałem, Królowa jest kobiétą, i kobiéta Królową.

— Nieprawdaż, Pomaré, że cię potwarzają? Nieprawdaż, że Europa jest szaloną, że śmie przypisywać tobie miłość jakąś do gwoździków i senesu? Pośpiesz się wytłómaczyć z tego przedemną.

Na wspomnienie Pritchard'a Pomaré opuściła moję rękę i oddaliła się nic mi nie odpowiedziawszy. Rzecz niezawodna, że warjacja jest Królową świata i że głowa kobiety jest jéj główną rezydencją.

Do zobaczenia więc, Pomaré.

. . . . . .

Zdaje mi się jeszcze, że od kiku dni podobało się niebu rzucić nieco rozmaitości w długi szereg nudnych godzin, które mi się zaczynają przykrzyć. Jednostajność szczęścia niemniéj jest jednostajnością, i pojmuję że ta wieczna zieloność, która służy za płaszcz dla Taiti, staje się nużącą w końcu dla wzroku, któremu się przykrzy swoją wieczną tożsamością.

Najgorętszą więc chęcią moją było, ażeby dzień odjazdu nadszedł co najprędzéj, a jednakże zostawiam tutaj wiele przedmiotów, które z żalem opuszczę. Królowa nadewszystko tkwiła w mojéj głowie ze swojemi dziwactwy i swoją zalotnością, i gniewałem się sam na siebie widząc jak ona przeważnie góruje nad wszystkiemi miłemi wspomnieniami z Papééte. Dla tego to wydalałem się często z tego *miasta królewskiego* i korzystałem ze świeżego powiewu porannego wiatru dla przebieżenia wązkich ścieżek, co go otaczają.

Pogoda była przepyszna, lekka mgła rozciągała się w powietrzu, fala pluskała na oblewanych przez nią koralach, i ja obmywałem me stopy w pobrzeżnéj wodzie zatoki, kiedy posłyszałem, że mię wołają po imieniu.

Była to Pomaré, która przyszła przepędzić ranek w Papaua, i która, lżejsza i śmielsza, przybiegła z łatwością aż do mnie.

— Mówiono mi, Matapo, że masz się stąd oddalić?

— Powiedziano ci prawdę.

— Czyżbyś nie miał przyjść zobaczyć się ze mną?

— Nie sądzę.

— Czy to uprzejmość zwykła twojego kraju podyktowała ci tę odpowiedź?

— Z tobą, Pomaré, słowa powinny wyrażać rzeczy, i jeżeli nie poszedłem uścisnąć ci ręki, to dla tego, że ona jest za małą, żeby o niéj zapomnieć; mniéj żałujemy skarbu, który straciliśmy oddawna.

— Ale ten skarb, jak go nazywasz, nie należał nigdy do ciebie.

— Okrutną jesteś przypominając mi o tém.

— Bynajmniéj, ponieważ się oddalasz. Gdzie się udasz, opuściwszy moję wyspę?

— Bóg to raczy wiedzieć, mój kraj tak daleki, fale tak swawolne!

— Chciałabym bardzo czytać książkę, którą napiszesz o moim kraju.

— Pamiętaj o wszystkich naszych rozmowach, będą one tam co do słowa powtórzone.

— Gdybym to ja wiedziała! odrzekła Pomaré, popychając mię zlekka ręką.

— Rad jestem, że tego nie wiedziałaś, powiedziałem zbliżając się znowu do niéj. Napisałbym kłamstwa i ty byłabyś winniejszą odemnie.....

— Niechże sobie i tak będzie.

Królowa ścisnęła mię za rękę i oddaliła się szybko.

Co do mnie, dołączyłem tę rozmowę do tych, jakie już z nią miałem. Kiedy się oddalała, zawołałem jeszcze: *Jaorana*, było to moje ostatnie pożegnanie.

SUKNIE CZARNE. — SMUTEK.

Księża Chili i Markizów. Tolerancja i nietolerancja. Uczniowie Ojca Dordillon. Odpowiedź Kafra. Zdanie podrzędnego wodza Happasów o Bogu. Ja także przepowiadałem.

—

Nie jestto myśl wcześnie powzięta; nie przyjąłem stanowiska osobnego względem nich, sądzę tylko według ich uczynków.

Widziałem niektórych księży, którzyby cię nauczyli religji, widziałem takich wielu, którzyby cię zrobili ateistą, tak dalece otaczali oni Boga swego zemstą i piorunami.

Przepowiadaj łaskawość, będziesz słuchanym, będziesz zrozumianym; przepowiadaj surowość, będziesz lżonym, wyganianym, przeklinanym.

. . . . . .

Księża Chilijscy utrzymują ciągłą korrespondencją z księżmi Markizów, Gambierów, Witi, Wallis i Nowéj Kaledonji, kiedy ten ostatni kraj pozwala mieć księży u siebie. Tu sprzeczność wykazuje się z przerażającém stopniowaniem.

Zwierzchnicy, według mnie, przebywają w Chili; podwładni, w Gambjerach i po innych miejscach.

Dwaj księża są w Mangareva, dwaj księża zależący od Biskupa Taiti, którego uważałem długo za stronnika tolerancji i pokoju, i o którym wam mówić będę przy końcu tego rozdziału. Katolicy Taiti żyją szczęśliwi przy Królowéj Pomaré, która wyznaje inną religję; katolicy kanakscy Mangarevy drżą bezustannie pod rózgą i rygorem swoich zapędnych pasterzy..... Gdybyś widział zezwierzęcenie nieszczęśliwych Kanaków Gambierskich, rumieniłbyś się za rolę haniebną, jaką grają tutaj słudzy Boga pokoju i miłosierdzia, i zapytałbyś na serjo; czy nie lepiéj byłoby zostawić tych biédnych dzikich w niewiadomości rzeczy świętych, niżeli udzielać im téj wiadomości za pomocą groźb i batogów.

Wolę sto razy lepiéj systemat ojca Dordillon'a i jego kolegi, niżeli systemat przyjęty przez wielebnych Ojców Mangarevy. Tam przynajmniéj, w Nuhiva, nasi Missjonarze nie każą ryczeć potępionym i ich władcy; przyzywają do siebie Kanaków młodych i starych, uczą ich na pamięć zdań biblijnych i Psalmów, które śpiewają do wtóru, i przy których odgłosie śpiewacy i publiczność zasypiają snem sprawiedliwych.

Byłem przytomnym na jednym z tych popisów pod gołém niebem.

— Zaczynajcie, rzekł Ojciec Dordillon do swoich uczniów; zaczynajcie.

Od kwadransa już te dzielne chłopaki i dziewczątka wrzeszczeli całém gardłem, kiedy uczułem powieki moje klejące się i prosiłem o litość u Wielebnego Ojca.

— A widzisz! rzekł do mnie z miną tryumfującą, te chłopaki i dziewczęta mogliby ci tak śpiewać przez półtrzeci godziny najmniéj.

— Czy rozumieją oni co śpiewają?

— Trochę.

— Czemuż niezupełnie?

— Bo pojętność ich jest nieco tępą, a potém uważam za rzecz potrzebną pozostawić jakąś niepewność w ich umyśle, co do pewnych prawd tyczących się naszéj świętéj religji: niewiadomość jest często zbawienną.

— Czy mówisz o piekle swoim uczniom?

— Ja im mówię o niebie.

Na poczciwość! niech żyje Ojciec Dordillon! pomimo to, że się nazywa Dordillon'em.

Zapytałem pewnego razu Kafra, niewolnika na wyspie Francuskiéj:

— Czy ty wierzysz w Boga?

— Kiedy mi Pan mój każe, wierzę, odpowiedział mi bez wahania.

Byłoby dziesięć grubych tomów do napisania o tém posłuszeństwie biernem zwierzęcia dwunożnego względem zwierzęcia obdarzonego rozumem. Dla czego nie ogłosicie ich, wy, których słuchają, którym wierzą?

— Czy wierzysz w Boga? zapytałem, drugiego razu, podrzędnego wodza *Happasów*, który przyszedł był odwiedzić mię.

— W którego? odpowiedział mi hardo.

— Ależ jeden tylko jest, nasz.

— Wasi księża zapewniają, przeciwnie, że jest ich trzech.

— To dla tego, że ich nie rozumiecie.

— Powtarzają oni nam to codzień, i my postanowiliśmy nie wierzyć temu.

— Ale, w takim razie, musicie wierzyć w innego boga; bo wiém, że się modlicie.

— Modlimy się do naszego boga, kiedy idziemy do bitwy, późniéj kiedy z niéj wracamy, jeśli dozwolił nam ściąć wiele głów.

— A kiedy ucięliście ich wiele, o co wtedy modlicie się, po bitwie, do waszego boga?

— Żeby nam pozwolił uciąć więcéj.

— Cóż wy robicie z temi uciętemi głowami?

— Pokazujemy je naszym dzieciom, żeby się stali walecznemi jak my.

— A z ciałami, co robicie?

— Jemy.

— Czyż nasi księża nie uczyli was, że nie należy jeść swoich nieprzyjaciół zabitych lub zwyciężonych?

— Probowali oni nas wyciągnąć na słowo, ale my nie chcieliśmy im nic obiecać..... Gdybyśmy obiecali, dotrzymalibyśmy słowa.

— Czy wasi księża radzą wam piec waszych nieprzyjaciół?

— Nie; oni nam zalecają jeść ich całkiem surowych.

Oto wiele już lat, jak Markizy do nas należą; oto wiele już lat, jak nasi księża przepowiadają Boga Chrześcjan, a religja ludożercza panuje jeszcze w Nuhiwa. Czy myślicie, że przepowiadanie było gorliwe i dobrze kierowane? Nie sądzę.

Pozostaw Kanaka Nuhiwy w przekonaniu, że jest silniejszym od ciebie, a będziesz spać bezpiecznie w jego chałupie. Sprobuj zaimponować mu groźbą, a będziesz w wielkiém niebezpieczeństwie stania się jego ofiarą.

Przyznaję razem z tobą, że to Apostolstwo, którego się podejmują przepowiadacze, czy ono będzie dziełem przekonania, czy obłudy, potrzebuje zawsze pewnéj energji. Widoki powodzenia są wątpliwe; niebezpieczeństwa istotne mogą powstać z przyczyn najbardziéj błahych. Prawda, że wygódek nie braknie prawie nigdy tym Missjonarzom Anglikańskim i Katolickim, i że noszą z sobą sakwy dobrze napakowane; prawda takoż, że ci, którzy ich posyłają, nie opuszczają żadnéj zręczności ośmielania ich i zachęcania do wytrwania; ale klimaty mają swe dziwactwa, Oceany swą surowość, wiatry swe gniewy; i kiedy kto opuszcza wygody klasztoru, lub spokój probóstwa dla widoków wątpliwego tryumfu, zasłużył się dobrze przed ludźmi i niebem. Co nadewszystko zadaje cios zgubny postępowi wiary, przepowiadanéj we wszystkich Archipelagach Oceanji, to bezustanne wojny, kłótnie każdodzienne, zachodzące pomiędzy księżmi rozmaitych wyznań.

Przepowiadanie religji pokoju przez ludzi tchnących wojną nie jest, w istocie, bardzo budującém, i to nam tłómaczy oziębłość i obojętność nowonawróconych; wolą oni raczéj banan niżeli kazanie i *evi* niżeli mszę, wtedy nadewszystko, kiedy muzyka wojskowa jéj nie towarzyszy.

Dawno już temu, jak podjąłem się był przepowiadania wiary katolickiéj u dobrych, poczciwych wyspiarzy Karolińskich. Wincenty à Paulo nie okazałby tyle żarliwéj gorliwości. Karolińczycy żyli w pokoju na swym bogatym Archipelagu, mieli Boga dobroczynnego i sprawiedliwego, który ich często odwiedzał na chmurach, z których spuszczał rosy lub pioruny, według tego jak ludzie byli więcéj lub mniéj braćmi pomiędzy sobą. Nie chcieli oni zmienić religji, zostali przy swojéj czci; a ja bez nienawiści i bez przekleństwa, zyskałem tylko na tém chrypkę, którą łagodzące mleko kokosu prędko uleczyło.

W owych krajach życie tak szybko upływa, że niepozostawia prawie czasu do myślenia: jest ono tak miłe i tak łatwe, że krajowcy nie chcą sobie zadawać trudu dowiedzenia się, czyby nie można było jego ulepszyć.

Czyż Kanak marzy kiedy o bananach słodszych niżeli jego, o soczystszych pomarańczach, o smaczniejszych *mayoré*, o miększych plecionkach, o przezroczystszych wodach? Nie, zaiste; i dla tego to z trudnością on uwierzy w Boga innego, niżeli ten, który go tak hojnie obdarzył.

JESTEM W SZPITALU.

Nazywam się No. I. Nauczyciel retoryki. Nie ufaj łacinie. Liberja miejscowa. Doktor Bellebon. Siostra Régis (Reży).

Jestem w szpitalu. Poświęcenie się i wierność danemu słowu przyprowadziły mię do tego smutnego pobytu, gdzie nauka zapytuje i rozmyśla, gdzie boleść i milczenie odpowiada.

W szpitalu, doktór odrabia to, co zrobili ksiądz i ojciec chrzestny, odbiera ci imię.

Skutkiem jego wszechwładcy, nie jesteś już Leonem, Juljuszem, Fryderykiem lub Jakóbem, nie nazywasz się ani Chatterton, ani Moreau, ani Gilbert, jesteś niczém więcéj jak N. 1. 2. 3. 4. 5..... Nie wymagaj więcéj, mianoby cię za ambitnego.

Jestem dzisiaj N. 1. szpitalu; z jakimże wyjdę z niego?

Przychodzi mi na myśl jeden dramat; słuchajcie!

Byłoto w Paryżu, w jednym z najwspanialszych szpitalów, otwartych tylu nieszczęśliwym. Jeden sławny lekarz kończył prawie swą wizytę ranną, w towarzystwie wielkiéj liczby uczniów, uwa-

żnie słuchających jego wykładu; zbliża się do jednego chorego, którego powierzchowność nędzna i blada świadczyła o długich cierpieniach ciała i duszy.

— Kto doglądał tego subjekta? zapytał swych uczniów.

— Ja.

— Pańskie zdanie?

— Puls lepszy, oddech wolniejszy, oczy mniéj szkliste; sądzę, że wkrótce powróci do zdrowia.

— Mylisz się pan, rzekł professor po łacinie, żeby nie być zrozumianym od chorego; jutro przed południem ten człowiek umrze.

— Mylisz się pan także, odpowiedział nieszczęśliwy chory, w tymże samym języku co doktor; pańskie słowa teraz wyrzeczone dobijają mię, pański wyrok przyśpiesza ostatnią chwilę moję.

Był to stary profesor retoryki w Kollegjum Ludwika Wielkiego..... We dwie godziny późniéj niesiono go do amfiteatru, i młodzi ludzie podziwiali naukę swojego profesora, który niechcąc dopuścił się zabójstwa.

Powróćmy do siebie.

Wstąpiwszy do szpitalu, należysz tylko do szpitalu, i bronią ci w pewnym sposobie przypominania sobie co jest *tobą*. Dają ci liberję, przyodziewają w cóś smutnego, posępnego, wydającego z siebie woń zakładu. Wyzywam cię o wielki zakład, że jakkolwiek byłbyś dobrego zdrowia, jakkolwiek policzki twoje byłyby rumiane, nie ujdziesz zarazy ubioru i dasz powód przechodzącym do mówienia: To człowiek zgubiony.

Oto lekarz miejscowy, oto umysł wzniosły, i serce na równi z umysłem.

Ten człowiek, to P. Bellebon, z którego osada jest dumną, przez którego szpital jest szczęśliwym.

Wyrażenie P. Bellebon krótkie i jasne; tłómaczy ono myśl jak zwierciadło odbija obraz; nie szuka po omacku, idzie prosto do celu; pojmujemy je od razu, i dla tego to dodaje ono nam otuchy, dla tego pociesza nas.

Doktór, który może czytać będzie kiedy te wyrazy, będzie wiedział, że stałem się echem całéj osady, i nie słusznieby sądził, że one zostały natchnione wdzięcznością dla jego starań każdodziennych.

Powrócimy jeszcze późniéj do P. Bellebon, z którym z żalem rozstajemy się na czas jakiś.

P. Blondeau (Blondo) jest Prokuratorem domu; mało to was obchodzi, i mnie także.

Witam was, moje siostry!

Witam was, czyste i pobożne dziewice, których życie upływa pośród dolęgliwości ludzkich, jak lube marzenia pośród naszych nocy żałobnych!

Witam was, penitentki bez grzechów, których kolana kaleczeją od modłów, których szlachetne ręce leczą rany ciała, a święte słowa leczą rany duszy! Kiedy mój dzień był posępny, kiedy dotkliwe boleści, które niebo dało mi za towarzyszy, więziły mię w mojéj izbie, jedna z nich, młoda Przełożona, siostra Régis, którą inne nazywają swą matką, przychodziła z głosem tak miłym jak dźwięk kryształu, wskazywać mi palcem, może proroczym, tam, tam daleko, po za wielu widnokręgami, braci odzyskujących swego brata, zbłąkanego pośród wód obszaru.

Często drugie téż siostry przychodziły po chwili do mnie, i spólniczki natchnione, rzucały promień radości na moje długotrwające nieszczęścia.

Ja, syn Pireneów, czułem w sobie szlachetną dumę słuchając ich; prawie wszystkie one były mojemi współziomkami.....

Nie sądźcie, żeby przesadne w swéj religji pokoju siostry, o których mówię z prawdziwém zadowoleniem, broniły poufnych gawędek i rzucały klątwę na wszystkie rozrywki światowe. Wiedzą one, że Dawid tańcował przed Arką; wiedzą, że Archaniołowie śpiewają po nad obłokami, i ich literatura nie ogranicza się wyłącznie mszałem i biblją.

WYCIECZKA DO FATAHUA.

Porucznik Vallés. Wstępowanie. Bourdonnec jest dzbankiem. Śmiałe wyrażenia Bourdonnec'a Grzeczna uprzejmość P. Nicolai. Bourdonnec służy mi za konia jezdnego. Opisanie Fatahui przez Porucznika Vallés. Wzięcie Fatahui. Powrót.

—

Każdy mi mówił: Nie idź tam; młodzi silni, dobrze widzący mają jedni prawo drapania się po tych szczytach urwistych i przebywania tego szybko lecącego potoku, który stawi swe pięć ruchomych zawad śmiałemu wędrowcy, i toczy swe wody szumiące pomiędzy ogromnemi bryłami, rozsianemi w jego łożysku.

Ale tam daleko, albo raczéj tam wysoko pewien człowiek mię czekał. Był to waleczny żołnierz, który widział już Afrykę, i zdobył swe szlify na polu bitwy.

Powiedział on do mnie: Przyjdź; a ponieważ nazywał się Ludwik Vallés, ponieważ był moim współziomkiem, ponieważ mieliśmy rozmawiać o ojczyźnie, przyjaciołach, rodzinie, puściłem się w drogę.

Idę i piszę; pięć godzin blisko potrzebuję, żeby stanąć w warowni, któréj Komendantem jest mój przyjaciel Vallès, umysł wzniosły, serce wyborne, człowiek z głową; biorę za przewodnika głowę ciasną, umysł tępy, cóś lipkiego i zsiadłego razem, gawędę, który ma zawsze słówko do powiedzenia, słówko bardzo logiczne, słówko godne La Palisse'a lub Condillac'a, jak chcesz. Bourdonnec ma w sobie cóś z natury polipa i Berzeljus'a, koralu i Galileusza, kapusty i Keplera; Bourdonnec zadziwia cię i wzrusza śmiałością swojéj nicości, zuchwałością swojego głupstwa, cynizmem swojego pijaństwa. Bourdonnec znajduje rzeczą całkiem prostą pić zawsze; Bourdonnec jest dzbankiem, tylko bez *uszu;* mówię o Bourdonnec'u, a więc muszę wyrwać się z jakiém głupstwem..... Słuchajcie.

— Mój biédny Bourdonnec'u, jakaż to niegodziwa droga!

— Ach! panie, to dla tego, że niedobra.

— Ależ co za upał!

— To dla tego, że słońce niezimne.

— Jak te wody bystro lecą.

— To dla tego może, że nie powoli płyną.

— Otoż śliska skała!

— To dla tego, że nie jest chropowata, panie.

— Ale jakże mi te gałęzie szarpią po twarzy.

— To dla tego, że sięgają aż do nas.

Dziw się po tém wszystkiém, że lubię tak podróże, kiedy wspaniałomyślne niebo rzuca niekiedy na naszéj drodze istoty tak nauczające, tak kompletne!

«Są głupstwa, które człowiek dowcipny opłaciłby drogo,» mawiał Fontenelle; Fontenelle miał słuszność, i tego poranku opieram się z rokoszą na ramieniu Bourdonnec'a.

Szliśmy dość prędko, i odpowiadaliśmy jako tako na *Jaorana* młodych dziewcząt.

Dzień zaczął świtać, wiatr powiewał przez wysokie gałęzie *burao* i rozpięte parasole bananów..... Dwaj piesi szli za nami prędkim krokiem i Bourdonnec, który nie jest Cezarem, drżącym głosem zwrócił na to moję uwagę.

— Czegoż się mamy lękać? powiedziałem mu. Mam tu w kieszeni kilka sztuk pięciofrankowych, pod stęplem Rzeczypospolitéj; jeśli to są zbójcy, oddamy im te pieniądze; nie chcę cię narażać na walkę nierówną.

— Witamy Pana Arago, rzekli razem obaj nowo przybyli.

— Witam was, panowie, odpowiedziałem; kto jesteście?

— Dwaj żołnierze z pułku 8-go, jesteśmy wysłani w pogoń za Panem, żeby dać mu pomoc.

— Komuż winienem tę uprzejmą grzeczność?

— Naszemu dowódzcy Nicolai.

— Podziękuję mu za to za powrotem.

Szliśmy daléj dość wesoło, choć ciernie i trzęsawiska były przyczyną, że się potykałem częściéj niżeli tegobym sobie życzył.

Odważny Bourdonnec zaczął pojmować, że P. Nicolai, jego dowódzca, miał w sercu szlachetną myśl, przysyłając mi pomoc. Stanęliśmy u piérwszéj rozpadliny skał, lecąc wichrem z szybkoscią trzech mil na godzinę. Trzeba było przebyć strumień, Bourdonnec ofiarował się służyć mi za rumaka, wsiadłem więc na niego, i utrzymywani przez innych przewodników, zaczęliśmy się piąć po śliskich skałach, obchodząc te, których przystęp był trudniejszy i przybyliśmy w końcu na ląd stały, przedzielający dwa piérwsze koryta rzeki. Tak samo przebyliśmy i inne strumienie.

Nie zabrakło na filozofji mojemu bydlęciu i podczas téj niebezpiecznéj przeprawy: ten ladaco zatrzymał się śród najgłębszego ze cztérech prądów, i gdy zapytałem go o przyczynę téj niebezpiecznéj zwłoki:

— Wiész Pan, o czém myślę? rzekł do mnie.

— Nie myśl, a ruszaj daléj.

— Ale to rzecz bardzo ważna, P. Arago.

— Mów więc, tylko prędko.

— Ja myślę, Panie, że żeby ta woda była winem, to moi towarzysze i ja przychodzilibyśmy tu często, a droga z Papééte do Fatahua nie byłaby ani tak trudną, ani tak samotną.

Gdyby mój dzielny Petit był blisko mnie, Bourdonnec otrzymałby jego braterskie uściśnienie.

Po przebyciu strumieni, droga szła w górę stromo, urwisto. Z jednéj strony, odłamy skał spiczastych dziwnych kształtów; z drugiéj, przepaść.....

Polecenie, dane przezemnie kilku dniami przedtém nie było spełnioném, gdyż przyjaciel mój Vallés, którego szedłem odwiedzić, nie wysłał nikogo na moje spotkanie. Kapral strzegący stanowiska, którego zapytywałem, odpowiedział mi, że Porucznik jego nie czekał mię; pobiegł on prędko uwiadomić go, i w pół godziny przybył mój współziomek, przekonany wreszcie, że przeszkody nie zatrzymują człowieka odważnego, który obiecał zrobić przyjemność w zamian za uciechę.

Porucznik Vallés przyprowadził za sobą osła; Bourdonnec przyjął go po przyjacielsku.

Oto jesteśmy po nad kaskadą, blisko wysokiéj kotliny, która ją podsyca; słucham, ledwo że nie widzę. Przeklinam mą ślepotę, która mi nie dozwala cieszyć się tym wspaniałym widokiem, i zasłania przed memi oczyma *Djadem*, którego trzy panujące szczyty wznoszą się jeszcze nad moją głową.

Nie opowiem wam poufnych gawędek tego dnia, tak szybko upłynionego. Ojczyzna była tam, tuż blisko nas; rodzina, przyjaciele byli tam także. Pustynia Fatahui zaludniła się; mieliśmy blisko siebie dwory, miasta, stolice, sztuki, handel, przemysł, świetność ludu wolnego; i wiatr, który obwiewał nasze czoła przynosił nam wyziewy miłe i balsamiczne; Fatahua i Paryż podały sobie uprzejmie ręce.

Ale, oprócz kaskady, strumienia i jego kotlin, czémże jest Fatahua? Słuchajcie Vallés'a, który pisze do swojego brata.

«Przybywam do Fatahua, ale czy wiész co to jest Fatahua? oto: podczas ostatnich wojen, Indjanie byli pobici w rozmaitych spotkaniach, ale Fatahua trzymała się jeszcze; a więc Indjanie nie byli zwyciężeni. Gubernator przypuszczał kilka ataków, ale cóż począć przeciw tym wałom olbrzymim, wzniesionym przez naturę?... Oddziały nasze napróżno kierowały przeciw nim swe działa, żaden krzyk przerażenia, żaden jęk rannych nie odpowiadał na ich głos; echo tylko powtarzało go na rozmaity sposób: byłato piekielna wrzawa; nie było sposobu pokonać trudności przeprawy? Po jednemu tylko można było przechodzić tamtędy, a jednakże, jakby obelżywie natrząsając się, gromady kóz skalnych skakały tam igrając; a Fatahua! Fatahua odbijała się w uszach Pana Bruat jak wrzask szatana w gorączkowém marzeniu. Góry uważane za nieprzystępne, wznosiły się nad Fatahua; Bonnard, dowodzący kolumną szturmującą, wyzwał na ochotnika; wielu się stawiło, z nich trzydziestu tylko wzięto, dano im sznury, uściśniono za ręce, mówiąc: do zobaczenia, z bolesnym uśmiechem, i wysłano..... Teraz dość jednego kamienia, zruszonego z miejsca, jednego wystrzału, jednego kija na nich wymierzonego, a już po nich.... A jednak stanęli u szczytu.»

«Fatahua była zdobyta, Fatahua się poddała, wyspa cała została podbitą. I cóż powiesz! nie to mię zadziwia; zadziwia mię raczéj że człowiek, lat już podeszłych, ślepy, Jakób Arago, jest tutaj, blisko mnie, rozmawiający ze mną o rodzinnym kraju, o dawnych czasach, o krewnych; opuszczam cię, żeby słuchać go.»

Jeżeli te wyrazy przyjaciela pełnego życzliwości zostają na kartach mojéj książki, to dla tego, że nie chciałem go gniewać przekreślaniem, i że obiecałem mu szanować myśl jego. Rad jestem, że tu przyszedłem; tylu innych, dobrze widzących i młodych cofnęło się przed tym zamiarem, ale

Gdy się ma *skałę* pod ręką, nie trza jéj żałować,

i oto tupam nogami po wązkiéj ścieżce, prowadzącéj do *Djademu*.

— Nie pójdziesz tam, rzekł do mnie Vallés, ściskając mię za rękę.

— Pójdę, postanowiłem.

— Bourdonnec nie będzie ci towarzyszył z bojaźni, ja ci nie będę towarzyszył przez życzliwość.

— A więc wezmę jednego z twoich żołnierzy.

— Rozkażę im wszystkim, żeby cię nie słuchali.

— Czy takim sposobem wykonywasz gościnność?

— Nie inaczéj; jesteś moim gościem, podjąłem się odprowadzić cię do Papééte, a wątpię bardzo, żebysmy powrócili *obaj z Djademu*.

Wyraz ten *obaj* nakłonił mię i zostałem. Nie zarzucajcie mi, że się cofnąłem przed przeszkodą, bo w takim razie, puszczam się zaraz w drogę, a nie będę miał zawsze blisko siebie służącego tchórza jakim jest Bourdonnec, i przyjaciela troskliwego jak Vallés.

Jeszcze trochę prozy:

Spad pionowy kaskady wynosi 406 metrów; kotliny sklepione, co się nad nią wznoszą i podsycają ją, są otoczone głębokiemi jaskiniami, których kamienie symetrycznie ułożone, zdają się być tam położone ręką ludzką; ale co zadziwia, co przedstawia widok prawdziwie odurzający, to są małe kaskady, spadające w oddzielnych strugach, które się przeświecają i iskrzą brylantami w promieniach słoń-

ca, śród téj zamkniętéj przestrzeni, gdzie panuje wieczna świeżość..... Dzięki Vallès'owi, że sprostował moję wyobraźnię, która mogłaby się obłąkać: ślepi takoż budują sobie pałace ze złota, kryształu i światła.

Otoż chwila powrotu nadeszła, rzućmy już pustynię, pożegnajmy najprzód Marens'a, służącego pełnego pojętności, który przyrządza dość dobrze ptaki zabite na polowaniu; uściśnijmy rękę Delord'a, żołnierza wiernego, który oczekuje na szlify i zasługuje na nie. Powiedzmy jeszcze, że cytryn i pomarańcz tu co nie miara; nie zaniechajmy nadewszystko wspomnieć o przejawie botanicznym, któremu podobnego nie spotykamy w żadnym innym kraju; to jest, że *papaya* (1), tak mile woniejące, które dochodzi znacznéj wysokości na wielu Archipelagach, jest tutaj tylko dwópłciowe. Gdzieindziéj, samce wydają kwiaty, samice zaś owoce; na Taita, drzewo to jest samcem i samicą razem. W istocie, owoce i kwiaty pomieszane przylegają do tegoż samego pnia: są to dwie rodziny w jednéj, żyjące w zupełnéj zgodzie i nie chcące siebie wzajemnie porzucać.

Stok góry jest już za nami, strumień znowu przebyty. Vallés dał nam żołnierzy za eskortę, i słońce oblewało nas z góry swemi najświetniejszemi promieniami: błagaliśmy go dzisiaj, żeby umniejszyło cokolwiek swego blasku, ale nie dało się ubłagać, i teraz trudno mi samemu sobie dać wiary, że się ogrzewałem przy jedynym kominku, jaki istnieje na wyspie, to jest, na stanowisku w Fatahua. Oto jesteśmy z powrotem. — *Jaorana*, Oiti. — *Jaorana*, Pomaré, idę spać, myśląc o tobie, nie przestając myśleć o Vallés'ie.

O czém nie powinienem przemilczeć, i co będzie mogło służyć za wskazówkę przyszłym badaczom, to, że mnóstwo chałup zrujnowanych znajduje się rozproszonych po wszystkich stronach téj części wyspy, a nadewszystko w dolinie *Djademu*. Napotykamy je na ka-

---

(1) *Papaya* (Papayer) drzewo Indyjskie, którego liście, kwiaty i owoce, podobne do melonów, trzymają się pnia.

P. Tl.

żdym kroku na płaskich wyniosłościach, w wąwozach, na szczycie nagich skał, pośród zarośli najgęstszych. Spotykamy je pomiędzy pokładami łupkowego kamienia, zalane wodą, lub przyczepione do brył, które wieki ochroniły.

Gdzież jest lud, który wybudował te chałupy? Gdzież ludzie, co je zamieszkiwali? Gdzie leżą kości tych, którym one służyły za przytułek? Byłożby prawdą, co utrzymuje Bougainville, że Taiti liczyło dwakroćstotysięcy mieszkańców, w czasie odkrycia tego Archipelagu?

Ale, mówiąc nawiasem, nie zadaję tego pytania Bourdonnec'owi, gdyż mógłby mi odpowiedzieć, że te pokolenia musiały umrzeć, dla tego, że nie żyją; nie chcę, żeby zawsze miał większą słuszność odemnie. To mię upokarza.

HUPA — HUPA.

Rocznica poświęcenia kaplicy protestanckiéj w Haapapé. Grobowiec Tauohai. Kaczki czerwone. Amazonki okrakiem. Trzy kazania. Zawsze jeden tekst: „Kanaki, nie pijcie.“ Tańce taickie. Śpiewy. Tam-tam. Flet nosowy. Véron i Duponchel (Diuponszel). Drugie Hupa-hupa. Potém taniec. Obraz. Skutek dwóch butelek wina na trzydziestu dziewczętach uśpionych. Namu.

—

Pobożna uroczystość, rocznica poświęcenia kaplicy protestanckiéj, sprowadziła wczoraj, 12 Czerwca 1850 całą ludność wyspy do *Haapapé*, pięknéj zatoki, leżącéj o trzy mile od Papééte. Królowa udała się tam dniem przedtém; gubernator, jego żona, jego sztab, oficerowie garnizonu, muzyka półkowa, naczelnicy i naczelniczki wszystkich okręgów, młode i ładne Kanaczki, stare i brzydkie, te nadewszystko, które żyją powietrzem i przestrzenią, które umieją na

pamięć wszystkie uroczystości krajowe, i zaprowadziłyby cię na nie, z oczyma zamkniętemi, zebrali się tłumem na *Hupa-Hupa*.

Miały być tam tańce, śpiewy, wyścigi, wrzawa, modły; nie zaniechałem tedy stawić się na wezwanie.

— Moje siostry, opuszczam was jutro.

— Gdzież się pan udajesz?

— Do Haapapé.

— Masz pan konia?

— Idę tam piechotą.

— Jakto? wycieczka do Fatahua nie dała się jeszcze dosyć panu we znaki?

— Przeciwnie, moja siostro, ona właśnie do tego mię skłania, gdyż zasłużyłem przez to na pochwałę.

— Ponieważ pan koniecznie iść postanowiłeś, nie pójdziesz przynajmniéj sam jeden.

— Kogoż mi dacie za towarzysza podróży?

— Najprzód żołnierza, na którego ramieniu będziesz się mógł oprzeć, potém kosz napełniony bananami, czekoladą, gołąbkiem, słoikiem konfitur, butelką wina.....

— Ależ nie chcecie chyba, żebym przybył na miejsce?

— Tak, bez zakosztowania tego co będzie w koszu; znam ciebie, panie Arago, znajdziesz spółbiesiadników.

— No, niech sobie i z koszem! Jutro o piątéj godzinie rano, puszczam się w drogę.

Przez pół mili prawie droga jest piękną, dosyć szeroką, dosyć ocienioną; ale pomału, zwęża się ona, staje się piaszczystą, nużącą, trudną, z powodu przerzynających ją strumieni, na których mosty są zrujnowane.

Oto na lewo, gromada kamieni, regularnie w kupę złożonych; to grobowiec wodza nieposkromionego wyspy, który się nie chciał nigdy poddać, żył sam jeden, przez wiele lat, w krzakach, i umarł wolny jak jego przodkowie. Imię tego odważnego Kanaka zasługuje być zachowanem; nazywał się on *Tauohaa*. Miejsce, gdzie spoczywa, jest *tabu*; przechodzę mimo i pozdrawiam.

Jak się nazywa ta wysoka góra, z pod któréj wytryska obfity strumień, i którą my zostawiamy po prawém ręku? To *Huahorai*, wyniosła, urwista płaszczyzna, malowniczo wyglądająca, na którą, jak powiadają, jeden tylko Kanak zdołał się wedrzeć po ośmiu dniach bezskutecznych usiłowań, i gdzie znalazł, jak dowodzi, na samym wierzchu, jezioro wody słonéj, pełne ryb różnobarwnych, i kaczki czerwone, które uważam za prawdziwą *kaczkę* (1).

Ponieważ niemam już moich dawniejszych nóg, i mojéj młodzieńczéj rzezwości, dzielniejsi odemnie wędrowce, którzy wyszli późniéj, wyprzedzili mię, i łatwo mi było wnosić o liczném zebraniu, jakie będzie miało miejsce w *Haapapé*. Ale co mię zadziwiło najbardziéj, to znaczna liczba jezdców i amazonek, którzy pędzili drogą..... Był to *Longchamps* (2) w piękny dzień wiosenny.

Objazdki, krzaki, wyrwy, mosty trzęsące się, nic nie wstrzymywało pędu koni w czwał lecących, i nie mogę dotąd pojąć, jakim sposobem, pośród takiego szału, nie zdarzył się żaden nieszczęśliwy przypadek. Kobiéty kanakskie nadewszystko są prawdziwemi centaurami, siedzącemi na koniu okrakiem, i wyzywającemi najśmielszych w biegu.

U nas, przygotowania do uroczystości, są prawie zawsze więcéj bawiące, więcéj ożywione niżeli sama uroczystość; przeciwnie dzieje się w Taiti, gdzie oszczędzają swe siły na chwilę ostateczną, jak puszczający fajerwerki swe najsztuczniejsze ognie.

Oto Haapapé: przychodzę tam kulejący, zmoczony; a nieszczęściem, nie miałem nawet Bourdonnec'a za towarzysza podróży.

Natłok był tak wielki, że z trudnością znaleźliśmy wygodne

---

(1) *Kaczka* (Canard), wyrażenie francuskie, na oznaczenie jakiego wymysłu, bredni.

P. Tł.

(2) Miejsce przejażdżki w okolicach Paryża.

P. Tł.

miejsce, żeby usiąść pod gołém niebem; rzadkie kity bananu osłaniały nas jako tako, i mogliśmy tam przecie rozpakować swój zapas żywności.

Dwie młode Kanaczki, piętnastu wiosen najwięcéj, — wiecie że zimy tu niéma,— usiadły poufale obok nas, i prosiły o pozwolenie zakosztowania gatunku wina..... Reszta mało ich zajmowała.

Ponieważ wolę karafkę czystéj wody lub filiżankę mléka kokosowego niż dziesięć butelek Burgundzkiego, prosiłem mojego przewodnika, żeby wezwał jednego z krajowców i prosił go o kilka owoców. Parę złotych skłoniło do tego bezinteresownego Taitczyka, i w pięć lub sześć minut późniéj, spora wiązka kokosów, porządnie otworzonych, mogła nasycić nasze pragnienie.

Ale, kiedy mój żołnierz był tém zajęty, co robiły moje dwa wesołe dziewczątka? Zabrały one bez ceremonji gołąbka i czekoladę, i wmieszały się znowu w tłum coraz bardziéj rosnący.

Te rzeczy nie nazywają się tutaj kradzieżą, ale raczéj figlami i igraszką, na które nie wypada bynajmniéj się skarżyć; i moje dwie włoczęgi tak dobrą miały opinję o mnie, że spotkawszy się ze mną późniéj zapewniały, że gołąbek był dobrze upieczony i czekolada bardzo smaczna. To pewna, że gdybym wymagał jakiéj zapłaty, pewnobym ją otrzymał.

Tym czasem obrzęd się rozpoczął. W kościele dwaj księża zmieniali się koleją i odprawiali naprzemiany to kazania, to modlitwy. Jeden z nich zdawał mi się być tak zapędnym, że zacząłem się serjo lękać o jego gardło, i bez żadnéj wątpliwości, nie mógł on mówić przez jaki tydzień, chyba znakami, albo na ucho swojego sąsiada.

Trzy kazania były mówione w kościele i pod gołém niebem. Tekst wszystkich tych mów był: *Kanaki, nie pijcie.* Wszystkie rozumowania do tego celu zmierzały. Po uściśnieniu ręki Królowéj, która, bosemi nogami, oszczędziła mi połowę drogi, udałem się na *plac jarmarczny*, gdzie stoły były rozstawione, i uczta pełna wrzawy rozpoczęła się. Ileż to wieprzów pożartych! ile wina przelanego z butelek do beczek! ile niewstrzęmięźliwości, pomimo słów paste-

rzy! Nigdy biesiada nie była tak rozpasaną, nigdy bardziéj szalone krzyki nie wymykały się z piersi więcéj chrapliwych. Wszędzie radość, wszędzie ruch, szał, i na dwóch stołach uprzywilejowanych, bordo, szampan, kawa, wódki słodkie płynęły strumieniem w gardła nienasycone.

Ot i zabawa, raca, bukiet! Przypominacie sobie może, że obiecałem wam gdzieś udzielić szczegóły o tańcach narodowych tego kraju: dotrzymuję słowa.

Krzyk jeden, potém drugi, potém trzeci, wydane na nótę bardzo wysoką, i którym odpowiada głos artystów uroczystości. Oto oni drgający, chciwi rozpoczęcia wstępu. Przysiedli na ziemi, na piętach, mężczyźni i kobiéty razem zmieszane i wyciągnięte w linję jak żołnierze..... Jestto chwila poprzedzająca piérwszy wystrzał przed bitwą; to coś poważniejszego niż mowa pogrzebowa.

Baczność! już rozpoczęli. Śpiew szybki, ucinany; każdy go umie na pamięć; każdy go powtórzył sto razy w życiu; nie można się omylić: ten, ktoby nie zachował miary, ściągnąłby hańbę na siebie; zresztą *tam-tam*, klaskania rąk i flet nosowy ułatwiają ruchy i ich zgodność.

Tam-tam, jestto pień wydrążony drzewa, którego jeden otwór pokryty skórą dobrze napiętą, i po któréj palce uderzają z symetrją dyktowaną przez rytm muzykalny; artysta trzyma go pomiędzy nogami, pochylony nad nim jak nasi krawcy nad swą robotą.

Flet nosowy, z którym Tulon, Altès i Dorus, ci ludzie niezręczni, nicby nie dokazali, jest trzciną wydrążoną, którą przytyka się do jednego nozdrza, gdy tymczasem drugie zatyka się palcem lewéj ręki, trzymającéj instrument; prawa przebiera trzema palcami na trzech dziurkach, i tym sposobem wydaje harmonję zachwycającą dla ucha, i którą można słyszeć na dwie mile w około..... Flet nosowy zasięga czasów wejścia Izraelitów do ziemi obiecanéj, i nie zrobił żadnego postępu od téj epoki. Oddaję Kanaków zemście Véron'a i Duponchel'a.

Ale jeżeli gra jest pełną życia, jakież wyrażenie zdoła odmalować ruchy gorączkowe wykonywających taniec? Ramiona, ręce, palce, tułów, głowa, oczy, nogi, wszystko w ruchu, wszystko wyzywające, wszystko chwiejące się. Jestto pierś stykająca się z piersią; sąto grzbiety uderzające się o siebie; sąto usta chciwe zbliżające się i oddalające, żeby się zbliżyć znowu; jestto cóś piekielnego i anielskiego razem, co cię przejmuje wszystkiemi zmysłami i nie daje ci chwili do rozwagi. Ale jeden z tancerzy wymyka się z szeregu; więcéj namiętny od innych, ściąga na siebie wszystkich oczy, i za tę szczególną względność, czegoż on niedokazuje, o mój Boże! Wąż nie miał nigdy bardziéj gibkich ruchów, pantera skoków udatniejszych, płomień rzutów bardziéj elektrycznych!..... On także, mówi i nie wié o tém; śpiewa i nie wié że śpiewa; ma on gorączkę, szał, i okułbyś go w łańcuchy, żeby oczy jego nie wyrażały uniesienia.

Do tego tancerza przyłącza się drugi; do głosu mężczyzny, do tułowia mężczyzny, tułów i pierś kobiéty; oboje młodzi, oboje młodzi i kwitnący, młodzi i lekcy, szybcy jak raca, i zatrzymujący się nagle, jak ona, z braku materjału.

Tańce ogólne dla tego nie ustały, usta nie zachowały milczenia, chwiania się tancerzy nie przerwały się; potrzeba kilku godzin przynajmniéj, żeby fale Oceanu zrównały się po burzy.

I podczas tego widowiska w wielu aktach, cóż robią widzowie? cóż robi tłum zgromadzony? Milczą, wykrzywiają się, ocierają czoło, niektóre z kobiét uśmiechają się, niektórzy z mężczyzn kryją twarz, przyrzekając sobie że więcéj nie będą świadkami téj zabawy, i przybiegający potém znowu na piérwsze wezwanie.....

Czy dramat został odegrany? czy przyszliśmy już do rozwiązania? czy rozebraliśmy wszystkie zmiany tego widowiska? Jeżeli tak myślisz, nieznasz jeszcze Kanaków Taiti; nie tak prędko oni się mordują.

Bądźmy jeszcze obecnymi przy drugiéj *hupa — hupa*, ona jest także ciekawą, sto razy więcéj anakreontyczną, niżeli piérw-

sza, trafia ona więcéj do serca i udziela mniéj zawrotu..... Zobaczmy.

Nie jestto już szereg prosto wyciągnięty, linja nie zgięta jak sztaba żelaza, ulegająca tylko nierówności gruntu. Jestto linja krzywa, koło, które sądziłbyś że jest cyrklem zakreślone i utworzone w mgnieniu oka.

Taniec bez śpiewu byłby rozkoszą przeciętą na dwoje; potrzeba Kanakowi, a szczególniéj Kanaczce, całego przysmaku. A więc oto śpiew, na ton łagodny, nacechowany melancholją i snem, przedziwnie nastrojony na tercję, na kwintę, przez głosy dziwnéj akuratności. Auber, Adam, Meyerbeer i Halévy nie posiadaliby się z radości słysząc ten śpiew.

Kiedy się raz spotkał ze szczęściem, Taitczyk chce go całkiem zagarnąć, i z bojaźni stracenia go, nie chce żadnéj w nim zmiany. Dla tego trochę jednostajności panuje w jego codziennych rozrywkach. Ale kiedy nóta zmordowana usypia, znajdzie się tam lub owdzie, w jedném z ogniw koła, młoda dziewczyna ze źrenicą ognistą, która powstaje dla ożywienia jéj..... Przypatrz się jéj tylko.

Wyskoczyła ona, *tapo* zasłania jéj ledwo jedne ramię, drugie zupełnie nagie; jéj frazes muzyczny żywy, ale krótki, zakończony prawie zawsze trzema syllabami *pitoré*, o których znaczeniu u nikogo nie mogłem się dowiedzieć. Na jéj wezwanie, przybiega młody Kanak, który z wyzywanego staje się wkrótce wyzywającym, chwyta rękę dziewczyny, zbliża ją do swych ust, rzuca się na kolana, prosi, błaga, płacze z uśmiechem, uśmiecha się ze łzami, i zdaje się znajdywać upodobanie w uporze, który mu stawią.

Po usunieniu tego kochanka, drugi zajmuje jego miejsce, zastąpione wkrótce przez trzeciego, i ciągle, ciągle, jak tylko *pitoré* da się słyszeć, obecne osoby odpowiadają przez *hé* więcéj lub mniéj głośne, ale kończące się zawsze raptownie i hucznie, jakby uderzenie piorunu.

Tu dramat nie potrzebuje objaśnienia, wszystkie umysły go pojmują, jest on przezroczysty jak gaza najcieńsza, i jeśliby czego do

zrozumienia brakowało, następstwa bezpośrednie *hupy—hupy* wyjaśniłyby to całkiem.

Widziałem te zabawy w 1819, zabawy oryginalniejsze jeszcze, gdyż jedynym ubiorem kobiét był wtedy wieniec z kwiatów i naszyjnik z paciórek. Cóż powiesz? moda nie zmieniła się dotąd, uciechy są pospolite jak i naówczas, dziewczęta dwunastolotnie tyle umieją co dwudziestoletnie, i nie mogę dojrzeć epoki, w któréj przewrót moralny nastąpi, przepowiadany wciąż przez Misjonarzy.

To dla tego, że jak tylko gromada Kanaków postanowiła odbyć *hupa—hupa*, nic nie zdoła ich wstrzymać; deszcz leje jak z wiadra, wiatr wyrywa z korzeniem drzewa, nic to nie szkodzi! Tańcują przy świście wichru, śpiewają przy chłostaniu ulewy, woda wezbrana zalewa ziemię, młoda Kanaczka puszcza się wpław i *hupa—hupa* rozkiełznana idzie swoim porządkiem.

Za panowania P. Lavaud, te tańce były surowo zakazane, kobiéty sąsiednich przystani nie miały nawet prawa przyjść kąpać się w błękitnych falach Papééte; ale P. Bonard dozwolił tych rozrywek, i według mojego zdania, dobrze uczynił.

Hupa—hupa nie ustanie więc w Taiti.

Gromady mniéj lub więcéj liczne młodych dziewcząt leżały tu i owdzie na wilgotnéj murawie, pod drzewami lub pod stołami próżnemi, i zatoka zapełniała się już licznemi łódkami, odwożącemi do Papééte szczęśliwych biesiadników. Słońce spozierało z ukosa, nie tracąc nic z swéj dzielności, i ja prosiłem o przytułek u mojego przewodnika, którego nazwisko bardzo wesołe muszę wam powiedzieć: nazywa się on Ledanseur (1).

— Widzę o trzydzieści stąd kroków, odpowiedział mi, piękną altankę, gdzie odetchniemy swobodnie, aż do chwili powrotu; chcesz pan, żebym go tam zaprowadził?

— Zaprowadź, jeżeli sądzisz, że będziemy tam sami; te tańce, te wrzaski, te śpiewy, te wołania okropnie mię zmęczyły.

---

(1) *Ledanseur*, po polsku: tancerz. P. T.

— Co będzie to będzie, chodźmy, panie; wątpię, żebyśmy mogli gdzie być samotni.

Ledanseur się mylił; trudno było znaleść samotniejsze miejsce, jak to, w którém się znajdowaliśmy, chociaż pośród trzydziestu kobiét przynajmniéj, po których śmiało mogłeś stąpać bez przebudzenia ich, bez wydobycia z nich najmniejszéj oznaki bolu. Były to masy bezwładne, ciała krzepkie i silne, które mógłbyś toczyć dowolnie z jednego miejsca na drugie; byłyto suknie poszarpane, włosy rozczochrane, piersi obnażone, usta wpółotwarte i zaślinione; byłyto bezwątpienia także marzenia bachiczne, nowe upojenie, nowe zezwierzęcenie.

— Nie mógłbyś obudzić jednego z tych stworzeń? rzekłem do Ledanseur'a, który patrzał na nie z zimną krwią dziecięcia przedmieścia Ś. Antoniego.

— To łatwo, panie, odpowiedział mi; czy myślisz pan, że te dziewuchy śpią dla tego, że wiele piły? Nie, mylisz się pan, nie znasz ich, to są gąbki, śpią dla tego tylko, że nie mają już czego pić.

— Czy tak myślisz?

— Zróbmy, panie, doświadczenie, a zaraz będziesz mógł pan zapisać to w swoim dzienniku. Znam je wszystkie, przypuśćmy tylko atak. Hola! héj! wstawajcie, moje pijaczki, zaczął wołać głosem stentora mój wesoły mieszczanin; prędko, moje małe, noc się zbliża, wasi *tané* czekają was w Papééte; wstawajcie, pieszczoszki, bo inaczéj przybędziecie zapóźno, i otrzymacie jutro waszą niedzielną porcję uderzeń.

Nic nie odpowiedziało, ani nawet echo altanki, wstydzącéj się bezwątpienia gości, których w sobie mieściła.

— A widzisz! rzekłem do Ledanseur'a, niesłusznie posądziłeś te biedne dziewczęta.

— To dowodzi tylko, odpowiedział mi, że pan źle o mnie sądzisz; byłem pewny, że żadna z tych interesujących kłód nie powstanie na dźwięk mojego głosu, ale zaraz pan nabędziesz innego przekonania.

Zaczekaj pan tylko pięć, czy sześć minut, a będziesz miał co napisać w swych notatkach.

Ledanseur wyszedł, i powrócił w kilka minut z dwiema szklankami i dwiema butelkami wina. Mój wisus stawia na ziemi dwie przyniesione szklanki, i tylcem noża zaczyna zlekka brząkać po nich.

Stos Volty nie sprawił nigdy podobnego wstrząśnienia; wszystkie dziewczęta stanęły na nogach, z oczyma obłąkanemi, rękoma wyciągniętemi, tak dalece, że widziałem tylko jedyny środek uśpienia ich znowu tym snem zwierzęcym. Wziąłem od Ledanseur'a obie butelki, jak gdybym chciał rozdzielić napój zarówno pomiędzy wszystkie te nienasycone bachantki; i jakby przez trafunkowe uderzenie, pochodzące z mojéj niezręczności, obie butelki pękły i płyn z nich wyciekły zarumienił ziemię. Toż to dopiéro przekleństwa sypnęły się na mnie:

— Obyś nigdy nie wziął do ust żadnego napoju! *Matapo* nieszczęsny! zawołały Eumenidy wypychając mię z altanki.

I upadły znowu na ziemię całym swym ciężarem, z głową na tułowiu drugiéj, z nogą na ramieniu innéj, z twarzą na..... już niewiém tam na czém....

— Komedja odegrana, rzekł do mnie Ledanseur, tonem tryumfującym, kosztowało to nam tylko cztéry franki, a otrzymałeś pan lekcję historji i moralności; oto czém jest kobieta kanakska, panie Arago. Widzisz pan, mówił daléj z równąż energją, ona wciąga w siebie jak gąbka, ona zdolna zawstydzić kaprala szwajcarskiego, sierżanta polskiego; bierze w siebie wino, jak trzewik gałganiarza wodę; napełnia się ciągle, a nigdy się nie wypróżnia.

— Przecież, mój chłopcze, musi być koniec wszystkiemu.

— Tylko nie piciu Kanaka, odpowiedział mi Ledanseur tonem niedozwalającym żadnego zaprzeczenia.

Nareszcie trzeba było myśleć o powrocie; gubernator był tam także, przywitałem się z nim i pożegnałem; on żegnając się ze mną oświadczył mi swój żal, że nie może mię zabrać do swojéj łódki.

— Bo to widzisz pan, rzekł do mnie mój żartobliwy towarzysz, ta łódka ich nie warta pięciu groszy; czworo ich zaledwo się w niéj pomieści, on, jego żona, jego bęben, i złośliwa mała bona, którą my nazywamy *Jowiszem*. Ale oto gotują łódź, w któréj oficerowie *Thisby* zostawili dla Pana miejsce. Podziwiaj pan jeszcze i ruszajmy.

Widok musi być zachwycający! Jestto karnawał ze wszystkiemi swemi wybrykami; jestto tłusty wtorek ze swą swawolą, swym szałem; jestto Callot w dobrym humorze.

Co do kobiét, ich najbogatsze *tapa* osłaniają je zaledwo, i jakież *tapa!* muśliny kosztowne, bogate materje, wieńce prześliczne; tak, bezwątpienia, to dziwaczne w oczach Europejczyka, ale dziwaczność ta poetyczna; było wiele dobrego gustu w tym braku wszelkiego gustu; panowała zupełna harmonja w ubiorach rozmaitych okręgów, i większa jeszcze harmonja na radośnych twarzach biesiadników. Oto suknie żółte z trójkątami kolorowemi na piersiach i różyczką po środku; oto drugie błękitne z przepaskami różowemi, otaczającemi kibić jak wąż nakrapiany; oto kapelusze z *pia*, zalotniejsze jeszcze jak wieńce, włożone na bakier, sposobem całkiem wyzywającym. Każdy okręg ma swe hasło zbierania się, i kiedy ono wydane, grupy się tworzą, szumne, ożywione, pełne zachwytu; późniéj za danym znakiem, za rozpoczęciem śpiewku, kupa się rozdziela, podskakuje, harcuje, żadna z tych dziewcząt nie pozostaje samą, żadna z nich nie dąży nie oparta na ramieniu swojego *tané*, nie mająca serca przepełnionego radością..... Uważ tylko, że mówię ci o wyborze młodych Taitjanek, za któremi się ubiegają, któremi się pysznią, o najniebezpieczniejszych, najsamowładniejszych w tym kraju. Inne są tak jak i wszędzie; pomiędzy niemi jest także radość, ale jaka radość! oddalamy się od niéj jak od boleści.

Mój Ledanseur śmiał się ciągle i pojmowałem jego radość w obec ruchomego obrazu, który się rozwijał przed jego oczyma.

— Co jest najpocieszniejszego, panie, w tém wszystkiém, rzekł do mnie w swéj mowie żołnierskiéj, to nie tyle dziwaczne stroje, które panu opisałem, jak nadęte miny tych, którzy się przybrali w te ła-

chmany nowe. Rzekłbyś że to są monarchowie w swych ogrodach piaskiem wysypanych. Przysiągłbyś, że to są *Franconi* okrakiem na swych koniach, sądziłbyś że to prawdziwe straże leśne u wejścia do lasu, albo prawdziwi szwajcarowie przy drzwiach katedry. Słowo honoru, poszedłbym o największy zakład przeciw drobnostce, że ta szarańcza uważa siebie za olbrzymów; chcesz pan, żebym zrobił próbę?

— Jakiż twój zamiar?

— Ot zaraz zaczepim jednego z nich. Mówię dość dobrze po kanaksku; jeśli pan chcesz, wdamy się w rozmowę z jednym z tych książąt; czy zgoda? Ot tu, blisko nas, jeden z wodzów, co się zatacza, ale jeszcze trzyma się na nogach; wdam się z nim w gawędkę i zapytam o jego rodzinę..... *Jaorana, Tarini.*

— *Jaorana, Letatore.*

— Widzisz pan jak ten łotr przekręca moje nazwisko; ale przebaczam mu to..... Powiedz mi, mój kochany, jak się ma twoja żona?

— Nienajlepiéj, *namu* ją powaliło.

— *Namu*, panie Arago, to znaczy po naszemu wódka..... A twoja córka starsza? rzecze daléj Ledanseur.

— *Namu* ją powaliło.

— A młodsza twoja córka?

— *Namu* ją powaliło.

— A twoi synowcowie?

— *Namu* ich powaliło.

— A twoja matka?

— *Namu* ją powaliło.

— A więc sam jeden jeszcze trzymasz się na nogach?

— To nie moja wina, zabrakło mi *namu.*

— Czyż sam jeden powrócisz do Papééte? Zostawiszże tutaj twoje siostry, twych synowców, twoję żonę i twoję matkę?

— Czyż chcesz, żebym ich poniósł na swych ramionach?

— A kiedy się im przytrafi jakie nieszczęście?

— Nieszczęście już się przytrafiło, nie mają więcéj *namu.*

Byłto wódz, we wspaniałym ubiorze ambasadora tureckiego, co tak mówił; możesz sądzić o mowie tych, którzy nie mieli ani galonów, ani haftów na swém odzieniu, i których język mógł zaledwo przebąknąć kilka wyrazów.

Łódź gotową była do odpłynienia; wsiedliśmy w nią i ruszyliśmy uprowadzając z sobą młodą Kanaczkę, którą się opiekował jeden z Oficerów *Thisby*, i ładną jéj przyjaciółkę, mającą najwięcéj lat dwanaście, a którą w téj chwili wziąłbyś pewno za dwudziestoletnią przynajmniéj.

TAITI.—UCZTY.—MUZYKA.

Wieprz słusznie wieprzem nazwany. Bez wieprzowiny niéma biesiady. Jak ją pieką. Jedzą o każdéj godzinie. Panny trzezwe ośmnaście godzin na dwadzieścia cztéry. Majoré. Modlitwa pięknéj Tuané. Widelce Ojca Adama. Krwawe uczty Nuhiwjanów. Okropne przygotowania. Pieśni pogrzebowe. Ulubione narzędzia muzyczne na Taiti, Markizach i Żeglarzach.

Pewna dama bardzo dowcipna powiedziała jednego razu naiwnie na widok zwierzęcia, odzianego zawsze szczeciną: «Jak słusznie nazwano to brzydkie zwierzę *wieprzem;* patrz tylko jak on brudny!»

Wieprz tutaj, na Gambjerach, na Sandwich, na Marjanach, na Salomonach, jest fortuną żyjącą kraju, i Europejczyk jé tam zupę z wieprzowiną, jarzynę z wieprzowiną, majoré z wieprzowiną, banany z wieprzowiną; bez wieprza niémasz zbytkowéj uczty, niémasz biesiady, niémasz hupy—hupy; bez wieprza niémasz wodza, niémasz wielkiego kapłana, niémasz uciechy w domu.

U nas, dla zrobienia potrawki z zająca, potrzeba najprzód zająca; dla zrobienia jajecznicy, potrzeba najprzód jajek, *chyba że się robi ze słoniną*, jak mówiła służąca Normandzka; tu, do potrawki z zająca, do piroga, do pasztetu, potrzeba koniecznie wieprzowiny.

Francuz, biegły w sztuce kucharskiéj, mając tylko wieprzowinę pod ręką, potrafi często za pomocą trochy octu, trochy cynamonu, trochy wanilli i skórki cytrynowéj, wmówić w ciebie, że podaje ci kaczkę z jarzyną, kuropatwę po katalońsku, albo nawet wieprzowinę. Ale tutaj, na tym przestronnym Oceanie, gdzie nic nigdy nie jedzą z jakimkolwiek sosem, wieprzowina podobną jest do wieprzowiny, do niczego więcéj jak do wieprzowiny: chcesz wiedzieć jak dzicy ją przygotowują? to proste jak *dobry dzień.*

Oto ofiara, oto ofiarnicy; piérwsza bez wieńca na głowie, rozciągniona na szerokim liściu bananu; drudzy siedzący na piętach skurczeni, rozżarzający dmuchaniem ogień rozłożony w głębi dołu, na dwie stóp głębokiego. Czynność ta trwa długo, i dwie godziny często upływa, nim posłanie szczecistego Gwatimozina przygotowaném zostanie. Po ukończeniu tych przygotowań mężczyźni i kobiéty biorą świnię,— czy wieprza, jeżeli wolisz,—okręcają go żywego czy nieżywego w liść bananowy, ściskają go, obwijają, okręcają sznurkami, jak czyniono niegdyś z Królami egipskiemi, i rzucają w piec; nakładają nań jeszcze kamieni rozpalonych, potém nasypują piasku: na to wszystko naściełają liści bananu, zarzucają ziemią, depczą po niéj; tym sposobem wnętrzności wysychają, skóra pęka, mięso soczystém się robi. Wieprz tym sposobem upieczony ma smak wyborny.

Na całym tym Archipelagu tak wesołym niémasz zgoła łąk, nawet sztucznych, a zatém niémasz wołów, niémasz owiec; nie wiele tylko błąka się ich tu i owdzie po dolinie, ale są bezsilne za życia i nie smaczne po śmierci; nie dla Kanaków to robię tę uwagę, gdyż oni wolą kawałek *majoré*, niż kotlet barani. Rzadko ich także zobaczysz oddających się zajęciom rybołostwa, chyba tylko dla przejechania się w swych łódkach, dla pokazania swéj zręczności i uroz-

maicenia swych rozrywek. Nie sądzę, żeby najżarłoczniejszy z Kanaków Taiti lub Markizów zdołał rozróżnić po smaku węgorza od bonity i doradę od raka morskiego. Nie jedzenie to, ani bieganie zabije ten lud, ale plecionka i jego życie leżące.

Kanaki nie mają przeznaczonych godzin dla swych uczt, apetyt ich jest nienasycony; przypatrywałem się pilnie młodym dziewczętom najwstrzemięźliwszym w Papééte, jakiemi są Oiti, Tuané, Peo, Metua; i cóż powiesz? jedzą one ośmnaście godzin na dwadzieścia cztéry.

Majoré przygotowuje się następnym sposobem: Kanak bez *pareo* na nogach, bez koszuli na grzbiecie, ale z opaską na lędźwiach, włazi na drzewa, którego ani ty, ani ty, chłopcze uliczny, lub majtku, nie dosięgniesz nigdy wierzchołka; jest on tam na gałęzi, obok owocu, który probuje zlekka dłonią; jak tylko dźwięk mu zapowiada, że owoc dojrzały, zrywa go, zrzuca na ziemię, i spuszcza się prawie tak prędko jak on.....

Oto majoré, objętości prawie równéj z melonem; łupina jego zielona i chropowata; we środku, zamiast pestek, znajdziesz pewien rodzaj włókien, których nie zadają sobie trudu wyrzucać. Kanak rozcina go na dwoje, oskrobawszy go pierwiéj pewnym rodzajem ostréj skorupy, podobnéj do noża; wrzucają go w piec, podobny do tego gdzie pieką wieprzowinę; rzucają takoż kamienie rozpalone, potém naściełają liście bananu, na to nasypują piasku, i czynność ta trwa około godziny. Wszyscy tu niezmiernie lubią *majoré*, Europejczycy prędko do niego przywykają, niektórzy nawet przenoszą go nad chléb.

Napojem Kanaka jest woda; w czasie jedzenia nie używa on nic innego jak wody czystéj lub kokosowéj; ale jeżeli zdołał zaopatrzyć się w *namu*, to jest, w wódkę europejską, w ava lub w wino, o! wtedy, bądź pewnym, że mężczyzna stanie się bydlęciem, kobiéta zwierzem dzikim.

Oiti, Tuané, Peo, Metua, powiedziałem wam razu jednego, że doniosę światu o waszéj brzydkiéj namiętności do trunków gorących; dotrzymuję słowa.

— Czy modlisz się do twego boga? zapytałem wczoraj Tuané, która tylko co była wróciła z długiego odrętwienia.

— Raczéj dwa razy niż jeden, odpowiedziała mi głosem ochrypłym.

— O cóż prosisz u niego?

— Żeby mi dał tyle majoré , ile mogłabym zjeść.

— I zapewne tyle wódki, ile mogłabyś wypić?

— Nie, daleko więcéj. Jednakże życie, powiedziała, po krótkim namyśle, jestto jeszcze sen, kąpiel i miłość.

— Cóż to jest miłość, moja mała?

— Miłość to zmiana, rozmaitość.

O moja biédna Tuané, jakże ty odzierasz z poezji twoje małe rączki, twoje piękne włosy, twoje nadbrzeże, i twą chatkę tak cichą! Nie chcę już twoich zwierzeń.

Kanak jest bardziéj miły w oczach młodéj dziewczyny tamtejszéj, niżeli jeden z naszych, i zobaczysz jutro na ramionach szesnastoletniego urwisa, piękną *tapa*, którą wczoraj podarowałeś młodéj lat dwunastu dziewczynie.

Kanak czy zachowuje przynajmniéj czystość w jedzeniu? Nie, jé on jak gdyby się lękał, żeby mu nie zabrakło jedzenia. Żadnego naczynia, żadnych sztućców, żadnego obrusa prócz liścia bananu, o którym już wam mówiłem; ręka, mylę się, ręce, oto cały sprzęt domowy , każdy czerpa z tegoż samego źródła , i pojmujesz łatwo, że czystość paznogci zajmuje bardzo wszystkich mieszkańców tego Archipelagu.

Sprzecznościami świat wybrukowany. Zmieńmy przedmiot, nie zmieniając prawie miejsca pobytu , i opiszmy krwawe uczty Nuhiwjanów.

Walka jest wstępem do okropnéj uczty.

Mohana został panem pola bitwy; jego nieprzyjaciel leży związany u nóg jego, z wściekłością w sercu , czekający roztrzygnienia swego losu, ale nie błagający ani o łaskę, ani o przebaczenie. Uczta nastąpi, ale nie dzisiaj, ani jutro, godziny szybko biegą, a konanie powinno być długie. Potrzeba zresztą , żeby zwyciężony odzyskał

swe siły utracone, żeby dzielniéj walczył z czekającą go męczarnią, wié on o tém dobrze i wybiera sam dla siebie pokarm, wskazując potrawy, które mu najlepiéj do gustu.

Dzień nadszedł; rycerz, bohatér, męczennik, zwyciężony staje na wskazaném miejscu. Nie zwycięzca to zada mu piérwszy cios, nie jeden z wodzów, ale najsłabszy z wojowników zdziera mu skórę, wyrywa paznokcie, rozcina mu czaszkę, wydziera oczy, nucąc pieśń tryumfu. Przy tych męczarniach, przy tych ranach, zadawanych mieczem i słowem, ofiara odpowiada tylko groźbami i pogardą..... Opisuję to co było wczoraj, co jest dzisiaj, co będzie jutro. On śpiewa także, śpiewa swój hymn pogrzebowy, kiedy życie wymyka się tysiącznemi otworami, kiedy bicie serca już ustaje; przekleństwo straszliwe, groźba na przyszłość, zapowiada zwycięzcy rozpoczęcie uczty.

Czy pieką pokrajane szczątki bohatéra? Czy go skrępowanego wrzucają do pieca, pełnego rozpalonych kamieni? Czy dają mu liść bananu za całun?.... Nie, bynajmniéj, taki honor spotyka tylko wieprza. Wódz zwyciężony nie odbiera go: każdy chwyta kawałek ciała, pożera go swoim sposobem; ale głowa, ale oczy, ale język, przysmaki najdelikatniejsze, jak wiecie, należą według wszelkiéj słuszności do wodza, i nie zdołacie sobie wyobrazić, z jaką rozkoszą wypróżnia on czaszkę pełną mózgu swojego nieprzyjaciela, ażeby nie nie zostawić innym z tego smacznego kąska, którego zresztą nikt mu nie ośmiela się zaprzeczać.

Te rzeczy dzieją się w roku pańskim 1851, na wyspie, na Archipelagu, gdzie powiewa nasza flaga narodowa, gdzie uczęszczają Misjonarze katoliccy, gdzie wznieśliśmy warownie, gdzie dosyćby nam było posłać kilka secin ludzi w boju zahartowanych, którzyby powiedzieli wodzom tonem stanowczym: «Albo was wszystkich wytniemy, albo nie będziecie jeść więcéj ciała ludzkiego.»

Obiecałem wam na początku tego rozdziału powiedzieć kilka słów o muzyce tego ludu tak ciekawego do poznania. Dotrzymuję słowa. Kiedy poraz piérwszy odwiedzałem Archipelagi Oceanji, zauważałem, że śpiew, wykonany na trzy nóty, mniéj więcéj przyśpie-

szone, nie był niczém inném jak wypoczynkiem, opowiadaniem z pewną zmianą tonów, rozrywką przydaną do pracy. Dzisiaj postęp stał się widoczny: melodja jest taż sama, regularna, jednostajna, ale harmonja daje się słyszeć z pomiędzy lasów, gór i wód, i z przyjemnością słuchasz już harmonijnych dźwięków, rozlegających się z domów nadbrzeżnych i dolin. Najprzód odzywa się jeden głos, potém wszystkie; najprzód pewien rodzaj wyzwania, potém żwawa odpowiedź, nie do wtóru już jak przedtém, ale na tercję, na kwintę i dziwnéj akuratności. We wszystkiém tém panuje wdzięk nie do opisania, słuchasz wszystkiemi zmysłami, i nie pierwiéj przedłużasz swą przechadzkę, aż nim sen nie położy końca tym śpiewom.

Teraz idę o największy zakład, że nie zgadniecie jaki jest ulubiony instrument Kanaków Taiti, Markizów i Żeglarzy. Bęben, piano, trąbka, kocioł, oktawka? Nie. Flet, klarnet, trombon, oboja? Nie. Gitara, bęben chiński, skrzypce?.... Nie zgadłeś..... Jestto drumla, drumla, drumla; są rzeczy, które potrzeba nieraz powtórzyć, żeby nie pozostawić w umyśle żadnéj wątpliwości. Drumla, ten śmieszny kawałek żelaza, wykrojony w kształcie liry i przecięty na dwie połowy małą klapką stalową bardzo cieńką: oto instrument ulubiony Kanaków; czułem w sobie gniew jakiś każdą razą, kiedy widziałem jedną z tych dorodnych i pięknych dziewcząt, idącą krokiem powolnym i z przymróżonemi oczyma, sprawiającą swym oddechem lekkie drżenia na swéj drumli ulubionéj.

Drugim instrumentem tych wesołych wirtuozek, są ręce, które więcéj lub mniéj otwarte w swém uderzeniu, wydają nóty więcéj lub mniéj dźwięczne.

NOC W TAITI.

Noce w Taiti. Do jakiego stopnia dochodzi gościnność. Nie zapominaj o siatce.

—

Witam cię nocy Taitska! Każda noc w Taiti jest dobrodziejstwem.

W Taiti, czujemy, że śpimy; u nas, domyślamy się tylko, że zaśniemy; w Taiti, zegar życia jest regularnym; każdemu dostaje się część równa, jeden nie przywłaszcza sobie miejsca drugiego, żaden nie pożąda cząstki sąsiada: kokos, pomarańcza, banan, evi, majoré, należą do wszystkich; kto ma najwięcéj apetytu, jest najbogatszym, posiada więcéj, i nic nie może go zubożyć.

Ciemności ciebie zaskoczyły, ciebie, Europejczyka, zdala od téj przepysznéj przystani Papéété, gdzie powiewa nasza flaga opiekuńcza; obejrzyj się na prawo, na lewo: oto chałupa otwarta, wejdź, połóż się na téjże plecionce, gdzie spoczywa młoda dziewczyna, gdzie śpi młoda kobiéta; rano wszyscy się przebudzają, kobiéta bez przestrachu, dziewczyna bez żalu, mąż, ojciec bez gniewu, bez zazdrości:— *Jaorana!* mówią ci; uśmiechając się odpowiadasz: *Jaorana.* Odtąd, wiész już drogę do ich mieszkania, będziesz tam zawsze dobrze przyjęty, chyba że miejsce będzie zajęte przez drugiego wędrowca, który, téj nocy, podobnie jak ty, zabłąkał się w dolinach wyspy.

Jedném z dobrodziejstw, którém Taiti chlubić się może, jestto, że żaden gad, żaden owad jadowity, nie miesza tam spoczynku nocnego. Połóż się tam lub owdzie, na wierzchołku gór lub w głębi dolin, wszędzie będziesz bezpiecznym: nie przebudzisz ani jaszczurki Papusów, ani pająka kosmatego Brezylji, ani jaguara Paragwaju, ani tygrysa Bengalskiego, ani węża grzechotnika Boliwji, ani krokodyla Malezji, ani boa dusiciela wysp Malajskich. Nie lękaj się jadu stonoga, który się przechadza tam, pod trawą; gdyby ukąsze-

nie jego było śmiertelném, ten co kréśli te wyrazy, nie starałby się ciebie dzisiaj ubezpieczyć, on co żyje w nienawiści wszystkiego co pełza.

Pytałem się najmniéj u dwudziestu pięciu dziewcząt, w Papéété, czy one marzyły często w nocy, i jakiego rodzaju były ich marzenia.

— Nie marzymy nigdy, odpowiedziały mi wszystkie.

— A ty, powiedziałem do Oiti, najpiękniejszéj, najzręczniejszéj, zdaniem nawet jéj towarzyszek, czy ci się nie trafia kiedy marzyć?

— A to na co? odpowiedziała mi śmiejąc się i wskakując okrakiem na moje ramiona.

— A o twoim mężu, nie marzysz nigdy?

— Ja niemam męża.

— A o twoim kochanku?

— Nigdy o nim nie myślę.

— Ale kiedy on ciebie oszukuje, zasmuca?

— Zasmucam go także, i kwita pomiędzy nami.

Pojmujecie dobrze, że nie doznają tam żadnéj niespokojności w chałupie, kiedy młoda dziewczyna nie powraca na noc, i skoro się ukaże znowu, nie pytają jéj, czy ona jadła wiele bananów: *tapa*, które ma na sobie, dowodzi dostatecznie, że nie zupełnie była powściągliwą.

A teraz kiedy znacie prawie noce Taitskie, kiedy jesteście ubezpieczeni, kiedy niedbacie o lwa, jaguara, krokodyla, nie liczcie bardzo na spoczynek bez boleści, gdyż znajdziecie tam nieprzeliczone ćmy mrówek czarnych i czerwonych, tarakanów rudych i białych, much milczących i brzęczących, komarów z ostrém żądłem, tak dalece, że bez siatki, przez całą noc musielibyście walkę toczyć z tą armją szczypiącą, gryzącą, brzęczącą, kolącą, ssącą, o któréj wam wspomniałem.

Ale z siatką, należycie rozpiętą, możecie śmiać się z dąsań i gniewów téj armji bezsilnéj, z któréj się natrząsasz bezkarnie, jak żołnierze z kul nieprzyjacielskich, w warowni opatrzonéj kazamatami.

DOPEŁNIENIE.— TROCHĘ WSZYSTKIEGO.

Jak się Kanacy modlą z swą rodziną.— Jak palą tytuń.— Jak mówią.— Przykład jedyny zazdrości.—Więzienie.—P. Nicolai.—Nogi Taitjanek.— W jakim wieku gorsety są potrzebne.— Dwa rodzaje.— Omówienia w Taiti.— Spłaszczenia systematyczne tyłu głowy.— Na czém Taitjanki zakładają swój honor. — Skąd biorą swe imiona. — Imie się zmienia ze zmianą kochanka.— Kanacy płaczą według woli.— Tayo.— Czém się różni od przyjaciela. — Względy na pewne owady. — Czém jest młoda dziewczyna w Taiti? — Listy kobiét do swych tané. — Pamięć Taitjanek.

—

Rodzina kanakska odprawia swą modlitwę ranną i wieczorną. Najstarszy w chałupie powstaje, powtarza to czego go nauczyli Misjonarze anglikańscy; drudzy nucą chórem wiersze z biblji; kładą się późniéj, chrapią, i godziny upływają nad czołami bez marzeń, aż nim wschodzące słońce nie rozbudzi familji do spokojnych uciech dnia każdego.

Każda kobiéta, czy to dziewczyna, czy dziécię, kurzy tytuń w Taiti. Tytuń amerykański, przychodzący tu w tabliczkach, jest najwięcéj ceniony, lubo preparują go przed użyciem: sąto małe liście soczyste, wązkie, jedne na drugie złożone, które zapalają i zawijają potém w obsłonkę z liścia *pandanus*. Każdy z przytomnych zaciągnie się z tego rodzaju papirosu najwięcéj jakie dwanaście razy, potém oddaje go sąsiadowi, i tak następnie aż póki całe zgromadzenie nie otrzyma swéj cząstki. Powiedziałem już wam, że wszystkiém się dzielą w Taiti: rozrywkami, pożywieniem, plecionkami, snem, pieszczotami. O kommunizmie! maszli zawitać do nas z krajów dzikich?

Nie mówią w Taiti, że pies wyje, że kot miauczy, że lew lub osieł ryczy, że wilk wyje, ale że zwierzęta *rozmawiają*.

Młoda dziewczyna kanakska upędza się za sercem Kanaka, ale powie tobie *Jaorana* za *tapa* piękną lub brzydką, i odpowie ci *Aita*, jeśli ofiarujesz jej swą istność, swą miłość, swą duszę; *Aita*, to jest, *nie*, *ty mię nudzisz*, *idź sobie*.

— Gdzie pójdziesz po śmierci? zapytałem Tuany, która dokończyła swéj modlitwy.

— Tam gdzie Królowa Pomaré.

— Ale jeżeli umrzesz pierwiéj od niéj?

— No, to będę na nią czekać tam w górze.

Nie jesteśże przekonany, równie jak ja, że jesteśmy plagą dla tego ludu?

Mowa Kanaka jest ciągłém wahaniem, że tak rzec można; dwie syllaby bezustannie się powtarzają w ciągu wszystkich frazesów; naprzykład: *ma teata meama de de neama*.

Zdaje ci się często, że słyszysz ten sam wyraz na wyrażenie odmiennéj zupełnie myśli; zmiana tonu stanowi całą różnicę.

Jedna zbrodnia..... a raczéj, jedno zabójstwo, od lat dziesięciu, popełnionem zostało na Archipelagu: mąż oszukiwał swą żonę; ktoby temu dał wiarę w Europie? żona bierze siekierę, i jedném cięciem, rozcina czaszkę winowajcy, który ze snu przechodzi do śmierci.

Sprawa powołaną została przed sąd, i nieszczęśliwa skazana na otrzymanie tatuowanego na twarzy napisu: *zabójczyni*; część liter jest na jednym policzku, druga część na drugim, nos przedziela wyrok na dwie połowy.

W chwili kiedy to piszę, 17 Maja 1850, jest więzienie w Papéété; ale P. Nicolai, dowódzca oddziału, i opowiadacz prawdomówny a przytém bardzo dowcipny, zapewnia mię, że jedno uderzenie ramion więźnia, niebardzo silnego, zdolne jest zachwiać budową, i rozsadzić ją. Ściany jéj służą za drzwi lub okna, według wysokości, w jakiéj umieszczony więzień, który wchodzi i wychodzi z niéj jak we własnym domu. P. Nicolai radził wczoraj na serjo Panu Bonard, żeby kazał zbudować więzienie dla uwięzienia istniejącego teraz, jako ułatwiającego ucieczkę.

Rada kolonjalna zajmuje się tém, i P. Nicolai wielką zasługę położył dla moralności i ojczyzny.

We dwudziestu leciech Taitjanka potrzebuje gorsetu.

Ale w dwunastu leciech, nawet niekiedy w dziesięciu, córka Taiti może służyć za model dla robiącéj gorsety; tak jest pełną gracji i kształtną jak Njobe.

Wyzywam cię, żebyś zdołał biedz tak prędko po ostrych koralach jak Taitjanka, choćby niewiem jak grubą była podeszwa twojego obówia. Młoda dziewczyna skacze po nich, jak po piasku najdrobniejszym, i nie widać żadnéj oznaki bolu na twarzy Atalanty. Zresztą, nogi jéj nie są tak delikatne jak jéj ręce; i wyspy Towarzyskie ustępują pod tym względem Markizom.

Powiedziałem wam przed chwilą, że dwie syllaby podobne powtarzają się często we frazesie taitskim; ale oto szczególniejsza jeszcze własność tego języka:

Nie mówią tu nigdy: pies, suka; koń, kobyła; kozieł, koza; ale: pies samiec i pies samica; koń samiec i koń samica, i tak następnie.

Omówienie jest jedną z najbogatszych własności języka taitskiego.

O koniu mówią: zwierzę biegające prędko po ziemi: *Puoa horo founa.*

— Gdzie idziesz?— Na górę, na dół; to znaczy: na wschód, lub na zachód..... Nie jestże to poezja?

Wyraz najkrótszy języka znaczy to lub owo, według przydechu: i tak, *hoe* znaczy już *wstrzemięźliwy*, już *kiszka*, *cukierek*, *Król* i kilkanaście innych rzeczy całkiem od siebie różnych. Zmiana w wymawianiu gardłowém stanowi wszystko.

Nigdy nie widziano Kanaka zajękliwego.....

Zachować dziecięciu kształty, które natura mu nadała, nie jest rzeczą przyjętą na tym Archipelagu. Jak tylko dziécię się urodzi, ojciec lub przyjaciel ściskają główkę nowonarodzonego, spłaszczając szczególniéj tył głowy, tak, że robią z niéj coś szpetnego i odrażające-

go, co oni znadują bardzo pięknem. Apollo i Wenus Medycejska nie byłyby w guście Taitjanów.

Nie staraj się dowieść kobiécie kanakskiéj, że to rzecz nieprzyzwoita plwać na podłogę; będzie ona sądzić, że żartujesz z niéj i zawala ci cały salon lub sypialnię, żeby ci dowieść, że ona się poznała na tém. Co za dowcip!

Nadają tu prawie zawsze dzieciom przezwiska wyrażające którykolwiek z ich przymiotów lub wad fizycznych, albo częściéj przypominające wypadek jaki ich życia. I tak, jedna młoda dziewczyna, która, podczas swéj choroby, prosiła ciągle o wodę, zowie się teraz *Anivai*, prosić o wodę. Jeden Kanak, który miał narośl na kolanie, przezwał się *Moituri*, ból w kolanie. Drugi, który chorował niebezpiecznie, i wyleczył się nad wszelkie spodziewanie, nazywa się *Moikito*, wyrwany z nieszczęścia. Jedna młoda Kanaczka, która wbrew zwyczajowi dzieci, nie płakała w ciężkiéj chorobie, nazywa się *Atajoré*, bez łez.

Taitjanka ma zwyczaj zmieniać swoje przezwisko za każdą zmianą kochanka. Znałem niektóre młode dziewczęta lat czternastu, które tym sposobem zmieniły swe imię dwanaście lub piętnaście razy przynajmniéj, i jeszcze pewno nie raz zmienię.

Fizjologowie najbieglejsi czy zdołają wytłómaczyć mi następną szczególność? Dwaj Kanacy, którzy się nie widzieli oddawna, spotykają się na drodze, zbliżają do siebie, ściskają w milczeniu za ręce, potém odwracają i płaczą rzewnemi łzami; po chwili, łzy ustają i śmiechy rozpoczynają się.

— Czego tak płaczesz? zapytałem razu jednego Kanaka, z którego oczu łzy płynęły strumieniem.

— Bo myślałem o przyjacielu zmarłym.

— A dla czegoż śmiejesz się teraz?

— Bo już nie myślę o przyjacielu zmarłym.....

— Dla czegoż więc, zapytałem pewnego rana młodéj Tahjory, dla czego znieśliście wszystkie *tabu* w Taiti?

— Ażeby ich nie zgwałcić, odpowiedziała mi skacząc.

Taitjanka pogardza Nuhiwjanką, która to jéj oddaje z lichwą. Jeśli arystokracja małych rączek ma wziąć górę, Markizy będą zawsze Markizami.

Tayo, będące zawsze w poszanowaniu na Markizach i Żeglarzach, pozostaje tylko w Taiti w pamięci starców. Tu *tayo*, to jest, przyjaciel, ma takie znaczenie jak w Paryżu, w Berlinie, w Londynie; przyjaciel, to jest, kapelusz, krzesło, trotuar; przyjaciel, to jest, znajomość jednodzienna, jednoroczna, ściśnienie ręki w rękawiczkach, grzeczność w mowie, zdrada w sercu; przyjaciel, to jest, trzy syllaby, wyraz bez znaczenia i bez wagi..... Dobry dzień, mój przyjacielu, to jest, dobry dzień, ty, on, wy, nowy, stary, dobrydzień każdy.

Ale w Nuhiwa, na Markizach, na Żeglarzach, niekiedy nawet na Fitdży, téj ziemi zaludnionéj dzikiemi i wyludnionéj ludożerstwem, przyjaciel, *tayo*, to znaczy, poświęcenie się każdego dnia, życzliwość każdéj chwili, prawość, otwartość, zaprzanie się siebie; *tayo*, to jest, ja, ty, jedném słowem dwaj w jednym.

Ty jesteś moim *tayo*, mówi dziki, a więc bierz mą chałupę, moje majoré, moję broń, moję żonę, moję córkę, wszystko to należy do ciebie, więcéj niżeli do mnie.

Ty jesteś moim *tayo*, a więc niémasz się czego lękać ze strony twych nieprzyjaciół, dopóki mię samego nie zdepczą, dopóki mi nie utną głowy, dopóki nie zjedzą mych członków.

Na Markizach, *tayo* jest gościem nietykalnym domostwa, bóstwem opiekuńczém, i bóstwem, którém się opiekują, panem, władcą, wielkim kapłanem.

Trzykroć biada *tayo*, któryby oszukał swojego *tayo*, któryby okradł swojego *tayo*, któryby mu nie dał tego co jest najdroższém w świecie!

Są rzeczy, o których opowiadamy ze wstrętem, a o których jednakże powinniśmy wspomnieć, kiedy chcemy uzupełnić dzieło poważne. Sprobujmy to opowiedzieć.

Polska jest ich pełną; Cyganie rozsiewają je od bieguna do bieguna. Nasze ubogie wioski południowéj Francji są od nich na-

pastowane. Włochy, Sycylja nadewszystko, karmi ich ćmy niezliczone; Hiszpanie chlubią się niemi jakby zdobyczą; w Chili, w Peru, w Boliwji, wypowiadają im wojnę, ale nie zbyt zaciętą.

Jedni mieszkańcy ziemi Papusów gniewaliby się, gdyby one ustąpiły z ich ogromnych czupryn. Wszędzie, widzisz, obchodzą się z niemi dość względnie. Na Markizach biorą je pomiędzy wielki i wskazujący palec, niosą do ust i żują z przyjemnością.

— Niémasz smaku, powiedziała mi młoda dziewczyna, którą odpychałem ręką na podobne zwierzenia się; to mię bawi, powiedziała druga; to mię zajmuje, powiedziała trzecia; to należy do rodziny, powiedziała mi czwarta.

Ochędóstwo jest pół cnotą, powiedział Ś. Augustyn; ale któż kiedy słyszał o Świętym Augustynie na wyspach Markizach?

Nigdy list kobiéty do swojego *tané* nie zaczyna się inaczéj jak następnym frazesem: *Jaorana oe ite a tua mu teje tau parao ite jaoe.* Obyś był zbawionym przez prawdziwego Boga, oto moje słowa do ciebie.— Nigdy nie kończy się inaczéj jak następnemi wyrazami: *A horoa moa oe ote tai iti ju.* Przyszlij mi jednego piastra.

Wyznam jednakże, że byłem świadkiem wyjątku, tą razą na korzyść jednego z moich przyjaciół. Piérwszy frazes był religijnie zachowany; ale w ostatnich wyrazach zachodziła odmiana, było tam: *A horoa moa iti mou maha tara jau.* Przyszlij mi cztéry piastry, chyba że sam zechcesz przysłać mi ich sześć.

Jedną z ważnych zdolności tego ludu, tak ciekawego do poznania, jest dziwna pamięć, którą Niebo go obdarzyło. Jak tylko Kanak chce nauczyć się na pamięć prozy czy wiersza, języka hiszpańskiego czy francuzkiego, czułego śpiewu czy pieśni wojennéj, możesz być pewnym, że wszystko utkwi w jego głowie w dziesięć razy krótszym czasie, niżeli tybyś dokazać tego potrafił, pomimo twoich tryumfów klassycznych.

W Taiti, i na Archipelagu Towarzystwa, nierzadko można widzieć Kanaka lub Kanaczkę zdolną powtórzyć na pamięć wszystkie

modlitwy Kościoła i całą Biblję, od deski do deski, lepiéj niżeli tybyś potrafił odmówić *Ojcze nasz.*

Ta władza powiększa się jeszcze, kiedy Kanak chce żeby mózg jego przesiąkł temi wyrazami dwuznacznemi, temi wyrażeniami karczemnemi, temi frazesami pijackiemi, które się wymykają z szynkowni, lub z piersi majtków zezwierzęconych.

BREZYLJA.

Brezylja.— Olbrzym leżący. — Warownie Lage i Villegagnon. — Najśw. Panna podróżnych.— La Gloria.— Wyspy dos Cobras, dos Ratos, Botafogo i do Gobernator. — Śpiew murzynów. — Motyle. — Kolibry. — Moja piękna Brezylja.— P. Tannay nasz Konsul.— P. de Saint-Georges. — Ulice, trotuary, pojazdy. — Niedźwiedź. — Francuzi wszędzie. — Paryż w Rio.— Cassemajou.— Dzienniki.— Pani Fournel, modniarka. — Mój nauczyciel gry na flecie— Hotel giełdy.— Klasztor Ajuda i Świętéj Teresy.— Wspaniałe Corcovado.— Pół tuzina wężów.

Po raz trzeci, witam cię Brezyljo!

Oto z głową nad parapetem, z szyją wyciągniętą, jak gdyby niebo wróciło mi światło, zdawało mi się, że widzę występującego z wody, jakby biegłego nurka, tego olbrzyma leżącego, tak malowniczo wyglądającego, tak szczęśliwie położonego dla bezpieczeństwa żeglarzy.....

Tak, tak, oto głowa burbońska, piersi, kolana i noga, wskazująca ci wejście do zatoki.

Mijajmy prędko, zostawmy po za sobą z przyjemnością, warownie Lage i Villegagnou, blisko których zarzucamy kotwicę.

Oddycham swobodnie; Najświętsza Panna podróżnych na prawo, na lewo la Gloria, dwie Opiekunki żeglarzy; daléj wyspa Cobras, wyspa dos Ratos, a potém jeszcze Botafogo, San-Domingo, Corcovado i Praya-Grande. Niczego nie braknie, ani wodociągu, z jego podwójnym rzędem arkad, ani wyspy do Gobernador, ani organów wieńczących to wspaniałe panorama. Znajduję com tak ukochał, łagodny powiew wiatru, śpiewy murzynów, nierówny świst ich wioseł, zdaje mi się, że widzę i słyszę latające koło mnie motyle różnobarwne, i bogatszych, jaśniejszych jeszcze od nich kolorów, kolibry, które oko twoje zaledwo ścigać może w ich szybkich obrotach.

Oto zawsze taż sama piękna moja Brezylja, silna jak przed trzydziestą laty, przybrana w chorągwie, jak przed dwoma wiekami; młoda, potężna, jak w dniu stworzenia.

Słońce wschodzi; poznaję to po uniesieniu tych, którzy, pomiędzy nami, nie widzieli jeszcze téj przepysznéj zatoki. Działa szybkiemi wystrzały pozdrawiają Cesarza; okręty zatoki oddają im nawzajem te huczne grzeczności; i wolni od wszelkiéj kwarantanny, możemy wysiąść na ląd..... Ruszajmy!

W czółnie, które mię przewozi do brzegu, mam przyjemność uścisnąć braterską rękę, rękę P. Tannay, naszego Konsula, o którym wam już mówiłem we *Wspomnieniach ślepego*, i którego znajduję znowu tutaj więcéj kochanego, więcéj błogosławionego niż przedtém.

P. de Saint-Georges jest sprawującym interesa Francji w Brezylji. Biegły dyplomata, administrator prawy, jednacz wszelkich sporów, P. de Saint-Georges może być sprawującym interesa największéj wagi.

Łódź płynie daléj. Zapytuję, czy przystań jest łatwą, odpowiadają mi, że niéma przystani.

Dzielni majtkowie unoszą mię na swoich ramionach, i oto oparty na ręku mojego młodego przewodnika, równie wzruszonego, jak ja, depczemy nierówny grunt Cesarskiego placu.

— Tamten oto gmach, Dubreuil, to pałac monarszy?

— Daruj, P. Arago, ale nie widzę żadnego tu gmachu.

— Dubreuil, nie rób żartów; czyż niéma tam, naprzeciw téj fontanny, którą słyszę, wielkiego domu?

— Jest, z małym balkonem na przedzie.

— A właśnie, to on; nic w nim nie zmieniono; poszanowanie dla ruin, przypominających piękne pamiątki historyczne!

Przeszliśmy plac.

— Zatrzymaj się tu, Dubreuil, i zajrzyj do téj kaplicy, gdzie złoto jaśnieje ze wszystkich stron.

— Malują ją, P. Arago, widok dla nas stracony.

— Idźmy daléj tą ulicą, nazwaną *Prostą*, choć jest bardzo krzywą, i zwróciwszy na lewo, wejdźmy na ulicę *do Uvidor*, która stała się, jak zapewniają, całkiem Europejską.

— W istocie, oto trotuary, pojazdy i magazyny świetne.....

— Co to, Dubreuil? dla czego ten skok w tył? czego się przeląkłeś?

— Sądziłem na chwilę, żem się znalazł pośród menażerji, oko w oko z ogromnym niedźwiedziem szarym.

— Co tu robi ten niedźwiedź?

— On nieruchomy, P. Arago, i zdaje się wzywać nas, żebyśmy odpoczęli u niego.

— Odpowiedzmy na tę grzeczność; grzeczności niedźwiedzia nie są pospolitą rzeczą. Czy to znak traktjeru, kawiarni?

— Nie, jestto znak fryzjera.

— No, wstąpmy do tego niedźwiedziego fryzjera; nie chcę pokazać się starym i znędzonym w oczach ciekawych Brezyljanek.

— Oto jesteśmy u niego.

— Mój panie, rzekłem do niego złą portugalszczyzną, czy nie będziesz łaskaw ogolić mi brody?

— Mów pan do mnie po francuzku, odpowiada mi grzecznie gospodarz, jesteśmy ziomkami; ja nie golę już brody, ale fryzuję; jednakże, jeśli pan życzysz, mogę go i ogolić.

— Bardzo dobrze, proszę pana o krzesło.

— Oto fotel, łaskawy Panie.

Słowem, znajduję Paryż w *Rio*. Meble bardzo eleganckie; obejście się grzeczne, niewymuszone; salon obszerny, sofy miękkie i wszystkie wygody właściwe temu przemysłowi.

Potém jeszcze miły głos kobiécy, który cię rozpytuje o nowiny z kraju rodzinnego, i dziękuje ci, że raczysz bawić się lalką razem z dwoma ładnemi dziatkami, które szczebiocą około ciebie..... Czy ci się zdarzyło kiedy znaleść u innych niedźwiedzi podobne przyjęcie? Co do mnie, nienawidzę tak dalece niewdzięcznych, że śpieszę powiedzieć wam nazwisko właściciela zakładu. Duvert, Lauzanne, i Arnal odsztychowali go w *Gabinetach partykularnych*, tak pociesznéj pamięci. Nazwisko jego jest *Cassemajon* (Kassmaiu), i ręczę, że nie przejdziecie teraz mimo *Niedźwiedzia szarego*, ulicy *do Uvidor*, nie wstąpiwszy jak ja do P. *Cassemajon*, ż nie oddawszy mu przyjaznego *dobry dzień*.

Przewodniczę mojemu przewodnikowi i rozpytuję go razem; opowiadam mu przeszłość, on mi opisuje teraźniejszość, nie potykamy się bynajmniéj w drodze.

— Oto modystka francuska.

— Idźmy daléj.

— Oto szewc francuski.

— Idźmy daléj.

— Krawiec francuski, kapelusznik francuski.....

— Idźmy, idźmy daléj; nie dla poznania to Francji przepływałem Oceany; nie dla przechadzania się po ulicy *Vivienne*, idę w Brezylji, julicą *do Ouvidor*.

Oto szyld bardzo zrozumiały: *Lesmarais, perfumiarz i fryzjer Cesarski*..... Przyjemne zapachy uwiadomiłyby cię o jego mieszkaniu, gdybyś oczyma nie mógł się o tém przekonać.

Sylwan Jugaud (Żiugo) mieszka obok P. Desmarais..... Dla czegożby dwa porządne domy nie miały żyć z sobą w zupełnéj zgodzie?

Jeszcze i trzeci! jeszcze i czwarty! Czyżby ulica *do Ouvidor*

miała pretensję współzawodniczyć z najbardziéj kwitnącymi przemysłowcami wszystkich stolic świata?

Ale, otoż dwa wyrazy portugalskie : *Aó comercio*. Bravo ! biuro dziennikarskie, gdzie posłyszę rozmawiających po portugalsku, gdzie otrzymam świeże nowiny z mojego kraju ; Dubreuil, wstąpmy tu.

Niech licho weźmie ściągaczów, zaborców, przywłaszczycieli ! Powierzchowność moja przecież nie jest paryzką, spojrzenie moje nie wydaje mojéj ojczyzny..... Wstępuję na piérwsze piętro, otwierają mi drzwi gabinetu redakcji, i znajduję tu wszystko to, od czego uciekałem na ulicy: nazwiska francuskie, obejście się francuskie, akcent, wyrazy, uczucia francuskie.

PP. Manuel Moreira de Castro, Picot i kilka innych piór niepodległych panuje w tym domu i rozrzuca na obie półkule błyskawice swéj pojętności..... Witam was! Rozstajemy się z sobą z zamiarem zobaczenia się znowu.

O Correio Mercantil, uczenie redagowany przez P. Joachim Francisco Alves Branco Muniz Barreto, jest takoż reprezentantem pewnéj zasady: sumienność i prawość są dwoma pomocnikami, którzy jednają wielu czytelników publicyście, niegdyś Radcy w Sądzie Kasacyjnym.

— Idźmy daléj.

— Pani *Fournel*, robiąca gorsety.

— Pani *Fournel*, którą znałem dzieckiem prawie w Paryżu, i którą znajduję teraz w Brezylji, robiącą gorsety dla Cesarzowéj i jéj dworu. Szczęśliwa Fournel ! jakkolwiek powabną jesteś, moja młoda zalotnico, opuszczam cię i będę starał się zapomnieć o tobie.

Laforge..... mój nauczyciel gry na flecie w Perpignan, zajmuje się dawaniem lekcij muzyki w Rio.... Pośpieszam uścisnąć rękę mojego wybornego i starego towarzysza.

— Ach! mój panie, zawołał Dubreuil, oto magazyn, zakład, bazar, gdzie tłum się ciśnie jakby na miejsce licytacji.

— Idźmy za tłumem..... Cóż się tu znajduje? Najprzód świeża i wesoła twarzyczka, pani Dubois, żyjąca pośród kwiatów, wieńców,

kapeluszów, i panująca samowładnie nad gronem pięćdziesięciu dziewcząt, gadających, śmiejących się, figlarnych i żartobliwych, które niby spuszczają oczki, a jednak widzą kupujących.

Ale zawsze Francuzi lub Francuzki, to przyprowadza do rozpaczy podróżnika.

Idźmy daléj: *rua d'Aquitanda..... P. Laenmert, księgarz-wydawca.* To nazwisko nie jest ani francuskie, ani brezylijskie; to niemiec; ale on wydaje, rozpowszechnia, robi dobry wybór.... Dzięki mu!

Upał był nieznośny, chód mojego przewodnika zdawał mi się być powolniejszy, ulitowałem się nad nim.

— Chodźmy, rzekłem, odpocznijmy trochę; poszukaj hotelu, nadewszystko hotelu brezylijskiego.

— *Rua Alfandega*, rzekł do mnie.

— Dobrze, jesteśmy na ulicy Komory celnéj; czytaj napisy.

— *Hotel Giełdy.*

— O! tu chcąc wejść, trzeba być bogatym, a nasze kieszenie w długich podróżach bardzo się wypróżniły; pomimo to, sprobujmy, wstąpmy tu; może Brezylijczycy nie wszyscy są korsarzami; w każdym razie, przedstawmy się skromnie.

Wchodzimy na piérwsze piętro, i prosimy, niby to po portugalsku, o dwa pokoje i niewystawne śniadanie.

— Będziecie panowie mieli natychmiast, odpowiedział nam po francusku jakiś Jegomość, który z nadskakującą grzecznością wyszedł na nasze spotkanie.

— Jeszcze Francuzi! zawołałem zawiedziony.

— Czyż P. Arago, odpowiedział mi głos łagodny i dobrego tonu, gniewa się, że znajduje współziomków w Brezylji?

— Nie, bynajmniéj, pani, odpowiedziałem zachwycony znienacka, ale chciałbym przecież znaleść choć trochę Brezylijczyków.

— O! bądź pan spokojnym, znajdziesz ich pan teraz więcéj, niżeli w czasie swojéj ostatniéj podróży.

I proszęż tu walczyć! Byliśmy w hotelu Giełdy, na ulicy Komory celnéj, u P. Ravot; nie mieliśmy potrzeby szukać innego hote-

lu, i pośpieszam dodać, że nigdzie w moich podróżach nie znalazłem obejścia się więcéj uprzejmego, nadskakiwania więcéj paryskiego, wygód mniéj kosztownych, i właściciela zakładu, któryby umiał lepiéj przyrządzać potrawy najpospolitsze. P. Ravot zdolny cię uczynić gastronomem; ktokolwiek jesteś, żegnając się z Panią Ravot, musisz żałować, że ją opuszczasz.

Co do mnie, jeżeli powrócę kiedy do Brezylji, najmę sobie mieszkanie w *hotelu Giełdy*, na ulicy *Komory celnéj:* dom ten zanadto tkwi w mojéj pamięci, żebym go nie miał zalecać przybyszom wszelkich krajów.

Oto wieczór, oto noc, oto cisza; marzmy o ojczyznie pośród tego wszystkiego, co nam ją przypomina.

Dzień zaledwo zaczął świtać, kiedy mój młodzieniec był już na nogach i chciał bliżéj poznać miasto; zaprowadziłem go najprzód do klasztoru Ś. Benedykta, gdzie mógł według woli przypatrzyć się bogactwom jego mieszkańców.

Poczciwy młodzieniec nie domyślał się nigdy, żeby słudzy Boga ubóstwa, mogli być tak bogatymi; wydawał głębokie westchnienia żalu, i nie zdołał żadną miarą pojąć, że zbierający kwestę prawie zawsze bogatszymi są od tych co ją dają. Nie mógł się wydziwić, powtarzał swe wykrzykniki za każdą udzieloną mu przezemnie wiadomością i odpowiadał myślami zamogilnemi, które rumiani zakonnicy *San Bento* pewnoby ostro skarcili.

Stąd udaliśmy się do klasztorów Ajuda i Ś. Teresy. Uwiadomiłem go, że tam, śród życia regularnego jak zegarek Breguet'a, wielka liczba kobiét, zamkniętych na zawsze, przepędza życie na robieniu wybornych konfitur, ładnych robótek z łuski rybiéj, z słomy i z piór sztucznie układanych, klękających, śpiewających i modlących się za penitentów, których nie zobaczą nigdy, i za odpuszczenie grzechów, o których może się domyślają.

Chcąc się dostać do klasztoru Ś. Teresy, trzeba się piąć na urwistą górę, wzdłuż któréj ciągnie się wodociąg, dostarczający miastu wody świeżéj i czystéj, a gdy stanąłeś u końca jego, nie możesz

się oprzeć chęci wstąpienia na wspaniałe Corcovado, skąd rozwija się najśliczniejsze w świecie panorama.

Dubreuil był w uniesieniu na widok tak przepysznego obrazu; ale słońce zaczęło nam dopiekać, zstąpiliśmy więc z góry ze strony morza. Powitałem ręką dawne mieszkanie mężnego jenerała Hogendorp'a i powróciliśmy do hotelu Giełdy, gdzie zapewne domyślano się, że ta przyjemna przechadzka zaostrzyła niezmiernie nasz apetyt.

W powrocie spotkaliśmy nie więcéj jak półtuzina wężów; czyż Brezylja już ubożeje? Niech prawodawcy i właściciele zwrócą uwagę na ten niedostatek im zagrażający, jeśli nie chcą żyć bez sąsiadów, bez towarzyszów przechadzek i spoczynku.

P. S. Dowiaduję się dzisiaj, 15 Marca 1854, że P. Blanchard, o którym wam mówiłem, mianowany Konsulem w Rio.... Smutek stąd zapewne nie mały w Valparaiso, ale za to radość w Brezylji.

RIO — ŻANEJRO.

Posłuchanie u Cesarza.—J. C. Mość przyjmuje dedykację mojego dzieła. Caetano aktor i Wybuch śmiechu. Cesarz przybywa na reprezentację mojéj sztuki. — Dają mi wieniec złoty. — Postęp w Rio. — La Bayonnaise.

Prosiłem o audjencję u Cesarza, udzielono mi jéj z uprzejmością, któréj czuję całą wartość.

Czekałem od dziesięciu minut, kiedy przybył Cesarz, w towarzystwie jednego ze swych ministrów.

— Szczęśliwy jestem, rzekł do mnie monarcha, że przyjmuję u siebie brata jednéj ze znakomitości naukowych, któremi się szczyci Europa.

— A ja, Najjaśniejszy Panie, głęboko wzruszony temi szlachetnemi słowy, powtórzę je mojemu bratu, który będzie niemi uszczęśliwiony.

— Powiedz mu także, że mam zamiar zbudować Obserwatorjum w Rio, i że chciałbym, żeby mi przysłał plan i anszlag dla wskazówki moim architektom.

— Potrafiłbym, Najjaśniejszy Panie, dać mu opis dokładny Obserwatorjum paryskiego.

— Wolałbym go mieć od pańskiego brata, będzie on dokładniejszym jeszcze..... Ale, mówił daléj Cesarz uśmiechając się, pomówmy o przeszłości. Czy przypominasz pan, P. Arago, szczegóły pojedynku, który miał miejsce przed moim pałacem, w 1821, i który opisujesz w swoich Podróżach?

— Ach! przebacz, N. Panie, kilka wyrazów dostateczne będą do mojego usprawiedliwienia. Gdybym powiedział po prostu, że Pauliści byli zręczniejszymi od ułanów polskich, rzecz przeszłaby prawie niepostrzeżona; chciałem ją lepiéj wrazić w pamięć, i dla tego to dałem obrót dramatyczny temu opisowi..... Podróż nie powinna być książką pocztową.

— A więc tym sposobem, P. Arago, przedstawisz dramatycznie i naszą rozmowę dzisiejszą?

— Nie, N. Panie, wypiszę ją tylko; ona jest dramatyczną sama przez się. Monarcha mający zaledwo dwadześcia siedm lat wieku, który w piastowaniu swéj władzy pewnym krokiem idzie, Cesarz, który pojmuje, że nauki i sztuki są głównemi bogactwami państw, i staje na równi, przez swą naukę i myślenie, z najznakomitszemi umysłami starego świata..... Te rzeczy trzeba tylko napisać, one się nie gluzują z pamięci ludzi.

— Jesteś pochlebcą, panie Arago.

— Jestem tylko echem Twoich poddanych, N. Panie.

— Komu poświęcisz pan swoje dzieło?

— Waszéj Cesarskiéj Mości, jeśli na to zezwoli.

— Przyjmuję.

— A ja, N. Panie, wiém do czego mię zobowiązuje podobna łaska.

— Ale, ale, mówił daléj Cesarz, wiész, że jutro grają dramat pański na jednym z moich teatrów; czy pan będziesz obecnym?

— Będę, N. Panie; Caetano ofiarował mi uprzejmie lożę.

— Jestto aktor z wielkim talentem. Do zobaczenia, panie; przeczytamy twoje dzieło z przyjemnością.

Nazajutrz, afisz ogłosił *Wybuch śmiechu*, przez P. Jakóba Arago, i przytém wielkiemi literami dodano: *Widowisko będzie miało miejsce bez względu na pogodę, z Najwyższego rozkazu.*

Przybyłem do teatru, gdzie loża, bogato ubrana, była dla mnie przygotowaną, były tam kwiaty, girlandy, a przy wejścu do niéj, tłum niesłychany, który gwardziści nadworni zaledwo mogli w porządku utrzymać.

— Cesarz sam będzie, rzekł do mnie Dyrektor teatru, gdyż oto jego przyboczna gwardja; jednak nie jestem tego pewny, to zbyt wielka byłaby łaska.

Wszedłem, usiadłem, loża Cesarza dom Pedro otworzyła się, orkiestra zagrała hymn narodowy, i głośne oklaski ze wszystkich stron się rozległy.

Powiedziano mi, że Brezylijczycy mię pozdrawiają, wstałem, podziękowałem głosem wzruszonym, i dwaj poeci, których żałuję mocno, że nazwiska zapomniałem, odczytali wiersze wydrukowane na atłasie, których tutaj przytoczyć nie mogę.

Wieniec złoty był mi podniesiony, oderwałem z niego jeden listek, a ów bogaty dar włożyłem na głowę Joao Caetano dos Santos. Ten Caetano jest artystą najdoskonalszym, jakiego kiedykolwiek słyszałem; ma on głos w najwyższym stopniu sympatyczny: jestto boleść ze wszystkiemi jéj łzami, jestto gniew ze wszystkiemi jego uniesieniami. Caetano miał nauczyciela tylko samego siebie, swoje

serce, swoją duszę. Tak tragiczny jak Talma, tak dramatyczny jak Fryderyk Lemaitre, nikt nie zdoła lepiéj wyrazić czułości nad niego; i kiedy ci wypowiada swe nadzieje i swe udręczenia, sądzisz, że mówi twoim językiem, pojmujesz go. Caetano dos Santos, powtarzam to, jest najwyborniejszym aktorem obu Ameryk, i znalazłem w nim Fryderyka i Talmę, tak zaszczytnéj pamięci.

Podczas reprezentacji, Cesarz wezwał mię do swéj loży, gdzie otrzymałem dowody jego wspaniałości; Cesarzowa, któréj imię w Brezylji nie inaczéj jak z czcią wspominane, raczyła przemówić do mnie kilka uprzejmych słów; i, około północy, w towarzystwie trzydziestu przynajmniéj łódek, z muzyką na czele, udałem się na *la Bayonnaise*, która miała podjąć kotwicę.

Caetano i jego truppa pożegnali mię głośnemi wiwatami, uścisnęliśmy się po bratersku za ręce, i powiedzieliśmy sobie: *do zobaczenia*.

Do zobaczenia! mój przyjacielu Caetano.

Oto już wiele lat temu jak ujrzałem Rio po raz piérwszy; od téj pory miasto znacznie się powiększyło, stało się weselszém i ozdobniéjszém, wkroczyło w granice odwiecznych lasów i drobnych zarośli..... Rio jest miastem kroczącém po wsi.

Patrz jak Praya-Grande pyszni się w swéj okazałości, pomimo piasków nadbrzeżnych! Patrz jak San-Domingo panuje nad nią i tłumi ją swą wspaniałością! Patrz jak Botafogo, świeżo spanoszona, dumnie przegląda się w zwierciedle wód najprzezroczystszych w świecie!.....

Wszystko to było jeszcze bardzo młode w 1818..... Cóż powiesz? wszystko to jest młode jeszcze, ale tą młodością zuchwałą, co pojmuje swą siłę i nie stara się ukryć jéj pod zmyśloną pokorą.

Żegnam te wspaniałe obrazy ręką i myślą; późniéj, pogrążony w moje wspomnienia, pełne wdzięczności, wychodzę z portu i kołyszę się na otwartem morzu.

Na cóż, przed zakończeniem tych stronnic mam mówić długo o

la Bayonnaise, i o mojém smutném życiu na pokładzie téj poskocznéj korwety?.... Kilka słów wystarczy, bo przyszedłem do téj epoki życia, gdzie oduczamy się gniewać; a zresztą, milczenie może być karą. Zapomniano na niéj, że jestem ślepy, że umrę bez światła..... Majtkowie korwety, mam nadzieję, będą pamiętać o tém.

Okręt ten ma 32 działa. W ciągu czteroletniéj żeglugi, dwa razy tylko był zwyciężony w biegu, przez dwa okręty amerykańskie, i to jeszcze do jednéj przegranéj się nie przyznaje.

P. Jurien - Lagravière dowodzi nią jak człowiek znający swoje rzemiosło, i nie żałuje płótna przeciw rozdąsanemu wiatrowi. Włada on również dobrze trąbką okrętową, piórem i szpadą; posyła swe wiersze do najznakomitszych dzienników, i napisał dzieła, do którychby się z dumą mogli przyznać nasi najlepsi prozaicy. Kiedy się dowiedział, że rozkaz podpisany przez Franciszka Arago, ministra marynarki, zabronił kar cielesnych na pokładzie okrętów Państwa, zebrał swą osadę na pokład, i rzekł: *Majtkowie, podniesiono was do godności człowieka.....* Te słowa nie sąż usprawiedliwieniem rozkazu?

Dwieście pięćdziesiąt ludzi, tworzących osadę okrętu *la Bayonnaise* przychodzili często powitać mię przez strzelnice, i tak byli wdzięczni za rozkaz podpisany przez Franciszka Arago, że kochali mię jak gdybym był starszym bratem mojego rodzeństwa. — Cicho! oto ziemia rodzinna!

KONIEC.

SPIS ROZDZIAŁÓW W DZIELE

OD BIEGUNA DO BIEGUNA

Rozdziały. *Stron.*

Kilka słów o życiu i pismach Jakóba Arago 1

CZĘŚĆ PIERWSZA.

I. Krok nierozważny 3
II. Julja 13
III. Miłość synowska 16
IV. Spotkanie 22
V. Tajemnica 27
VI. Dwa Huragany 33
VII. Potyczka 39
VIII. Powrót.— Rekiny 42
IX. Żuanita.—Wstąpienie na Cypel.—Huragan 50
X. Indje wschodnie.— Wojna z Małpami 70
XI. Polowanie na Tygrysa Królewskiego, Rysia Azjatyckiego i Jaguara Amerykańskiego 86
XII. Woda i Ogień.—Ludożercy 100
XIII. Borneo 122
XIV. Fala i Dramat 144
XV. Chaos 177
XVI. Sir Willams Barkley.— Las Dziewiczy 190
XVII. Cisza zupełna 220
XVIII. Święta Helena.—Zachód słońca 224
XIX. Tęsknota 232
XX. Języki.—Jak się zaludniały Archipelagi 240
XXI. Podróżnicy 260
Epoki główniejszych odkryć 276
XXII. Patagończyk.—Jaguar 280
XXIII. Polowanie na Jaguara 295
XXIV. Paragwaj.— Stepy.— Kordyljery 304

CZĘŚĆ DRUGA.

DWA OCEANY.

Przedmowa 1
Odjazd 3
Topielec 8
Edward.— Potrochę wszystkiego 12
Ja.— Mój wiek dziecinny 21
Portrety. — Curet 25
Ktoby się tego spodziewał? 34
Żale 40
Marzenia 46
Pod żaglami 47
Przejście przez Równik 53

Kolos 58
My.— Trybunał honorowy 68
Przylądek Horn 78
Przybycie do Chili 86
Teatry 92
Szyngana 99
Serenos 107
Żebracy 111
Umarli i żywi 120
Pojedynek 127
Arkan 130
Temblor 139
Gwiazdy spadające 142
Staranne dziecię 146
Imiona własne 152
Chwile wytchnienia 159
Nakoniec 165
Dzisiaj 173
Odjazd z Chili 179
Markizy 198
Król Mohana 209
Pacoco, (Pakoko) 225
Odwiedzam Mohanę 243
Chlor 248
Tabu.- Tatuowania 252
Nukahiwa. Dwa wspomnienia 259
Nowa Kaledonja 262
Nazajutrz 274
Suknie czarne.— Smutek 288
Jestem w szpitalu 292
Wycieczka do Fatahua 295
Hupa—Hupa 301
Taiti.— Uczty.— Muzyka 313
Noc w Taiti 319
Dopełnienie.— Trochę wszystkiego 321
Brezylja 327
Rio—Żanejro 334

INSTYTUT GEOGRAFII BIBLIOTEKA P. A. N.

120—
14/4. 65—
231

34476